

MALIN PERSSON GIOLITO

RUCHOME PIASKI



MALINPERSSONGIOLITO

RUCHOME PIASKI

Przełożył
Wojciech Łygaś

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Tytuł oryginału:
STÖRST AV ALLT

Redakcja językowa: Agnieszka Niegowska
Projekt okładki: Simon & Schuster UK Ltd, Art Dept.
Zdjęcia na okładce: © plainpicture/Hollands, e Hoogte/Richard Brocken
Korekta: Beata Wójcik
Redaktor prowadzący: Małgorzata Głodowska

Copyright © Malin Persson Giolito 2016
Published by agreement with Ahlander Agency
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-519-0

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Szkolna klasa

Przy ławkach stojących w lewym rzędzie leży Dennis. Jak zwykle ubrany jest w T-shirt z nadrukiem, proste dżinsy z supermarketu i niezawiązane tenisówki. Dennis pochodzi z Ugandy. Twierdzi, że ma siedemnaście lat, ale jest tak gruby, że wygląda przynajmniej na dwadzieścia pięć. Uczy się na profilu zawodowym i mieszka w Sollentunie, w specjalnym ośrodku dla takich jak on. Obok niego, na boku, leży Samir. Chodzi do naszej klasy, bo dostał się na profil o nazwie „Gospodarka światowa i wiedza o społeczeństwie”.

Przy katedrze widać Christera, naszego wychowawcę i samozwańczego naprawiacza świata. Jego kubek przewrócił się na stolik, kawa poplamiała mu nogawkę spodni. Amanda siedzi niecałe dwa metry od niego, oparta o kaloryfer pod oknem. W promieniach wiosennego słońca nadal błyszczą jej diamentowe kolczyki, które dostała na konfirmację. Jeszcze kilka minut temu ubrana była w piękny kaszmir, białe złoto i sandały, ale patrząc na nią teraz, można by pomyśleć, że jest pokryta błotem. Ja siedzę na podłodze. Na moich kolanach leży Sebastian, syn najbogatszego człowieka w Szwecji, Claesa Fagermana.

Osoby znajdujące się w klasie nie pasują do siebie. Tacy jak my nie spotykają się w takim gronie, chyba że w wagonie restauracyjnym albo na peronie metra podczas strajku taksówkarzy. Na pewno jednak nie w szkolnej klasie.

Śmierdzi tu zgniłymi jajkami. Powietrze jest szare i gęste od dymu. Wszyscy zostali zastrzeleni. Z wyjątkiem mnie. U mnie skończyło się na siniaku.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

1.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam sąd od środka, doznałam rozczarowania. Poszliśmy tam z klasą na wycieczkę szkolną. Oczywiście nie oczekiwałam, że zastanę garbusa w todze i peruce z lokami, tak jak nie spodziewałam się szaleńca z pianą na ustach i kajdankami na nadgarstkach w pomarańczowym, więziennym ubraniu. Miejsce, do którego przyszliśmy, było połączeniem przychodni lekarskiej z salą konferencyjną. Ze szkoły zabrał nas autobus, który śmierdział gumą do żucia i spoconymi nogami. Oskarżony miał łupież i spodnie wyprasowane w kant. Zarzucano mu oszustwa podatkowe. Oprócz naszej klasy (Christer też z nami był) rozprawie przysłuchiwały się cztery osoby, a w sali było tak mało miejsc, że Christer musiał przynieść z korytarza dodatkowe krzesło, żeby mieć na czym usiąść.

Teraz wygląda to inaczej. Znajdujemy się w największej sali rozpraw w Szwecji. Ławnicy siedzą na ciemnych, mahoniowych krzesłach z wysokimi, obitymi aksamitem oparciami. Oparcie środkowego krzesła jest wyższe od pozostałych. To miejsce zajmuje sędzia. Na stole przed nim leży młotek z oprawionym w skórę trzonkiem. Wszędzie są mikrofony. Obicia ścian zrobiono chyba z dębu i mają pewnie z kilkaset lat. Są więc stare, ale w pozytywnym znaczeniu tego słowa. Na podłodze między siedzeniami leży ciemnoczerwony dywan.

Publiczne występy to nie moja działka. Nigdy nie chciałam odgrywać Świętej Łucji ani startować w zawodach sportowych. A jednak sala wypełniona jest szczelnie publicznością. Wszyscy przyszli tutaj dla mnie. To ja jestem główną atrakcją.

Obok mnie siedzą moi adwokaci z kancelarii Sander & Laestadius. Wiem, że taka nazwa pasuje raczej do antykwariatu, w którym dwa spocone, ubrane w jedwabne szlafroki i monokle mole książkowe krążą między półkami z lampami naftowymi w rękach, odkurzają książki i wypchane zwierzęta. Tak jednak nie jest, bo Sander & Laestadius to najlepsza kancelaria adwokacka w Szwecji, specjalizująca się w sprawach karnych. Zwykli przestępcy mogą liczyć na jednego zmęczonego adwokata z urzędu, podczas gdy dla mnie pracuje cały sztab zaangażowanych ludzi, którzy w przyszłości chcą się zaliczać do grona „białych kołnierzyków”. Pracują od wczesnego świtu w elegancko urządzonej biurze przy Skeppsbron, mają przynajmniej po dwa telefony komórkowe i wszyscy, z wyjątkiem Sander, uważają, że grają w amerykańskim serialu telewizyjnym, którego bohaterowie jedzą chińszczyznę z kartonowych pudełek w sposób wskazujący na to, że są akurat zajęci czymś ważnym. Żaden spośród dwudziestu dwóch zatrudnionych w kancelarii prawników nie nazywa się Laestadius. Właściciel tego nazwiska zmarł chyba na atak serca. Okoliczności śmierci wskazywały na to, że był wtedy zajęty czymś ważnym.

Na sali zjawił się Peder Sander – typ celebryty – i jego dwaj współpracownicy. Młodszy z nich to dziewczyna (nazywam ją Ferdinand) o krótko obciętych włosach i przekłutym nosie bez kolczyka – najwidoczniej Sander nie zgodził się na taką ozdobę („Proszę natychmiast się tego pozbyć”). Ferdinand uważa, że słowo „liberał” to obelga, a energia atomowa jest zagrożeniem dla ludzkości. Nosi brzydkie okulary, bo jest przekonana, że w ten sposób zademonstruje, iż świetnie się orientuje, jak w praktyce funkcjonuje system patriarchalny. Na dodatek brzydzi się mną, uważa chyba, że kapitalizm to moja wina. Podczas naszych pierwszych spotkań traktowała mnie tak, jak gdybym była jakąś walniętą blogerką modową, która leci samolotem z odbezpieczonym granatem w ręce. „Nie musi się pani niepokoić –

stwierdziła, nie patrząc mi w oczy. – Jesteśmy tutaj po to, żeby pani pomóc”. Słowa te wypowiedziała takim tonem, jakby chciała kogoś ostrzec, że jeśli nie dostanę mojego ulubionego bioenergetycznego soku pomidorowego bez lodu, wysadzę wszystkich w powietrze.

Drugim współpracownikiem Sanderą jest facet, którego nazywam Naleśnik. Ma czterdzieści kilka lat, obwisły brzuch, okrągłą – jak naleśnik – twarz i uśmiech na ustach, jak gdyby chciał powiedzieć: „Mam w domu trochę filmów, przechowuję je w układzie alfabetycznym w zamkniętej na klucz szafie”. Naleśnik jest krótko ostrzyżony, a mój tata mawia, że komuś, kto nie ma włosów, nie wolno wierzyć. Ale sam tego nie wymyślił, pewnie ściągnął to powiedzenie z jakiegoś filmu albo reklamy. Tata lubi cytować hasła i powiedzonka z reklam.

Kiedy pierwszy raz spotkałam się z Naleśnikiem, zatrzymał wzrok gdzieś poniżej mojego obojczyka, cmoknął swoim grubym językiem i syknął z zachwytem: „Dziewczyno, co teraz będzie? Wyglądasz na dużo więcej niż te twoje siedemnaście lat”. Gdyby nie Sander, Naleśnik zacząłby pewnie sapać. Ślina aż kapała mu z ust na obcisłą kamizelkę. Nie chciało mi się sprostować, że mam już osiemnaście lat.

Dzisiaj Naleśnik siedzi po mojej lewej stronie. Do sądu przyniósł aktówkę i walizkę na kółkach wypełnioną segregatorami i papierami. Walizka jest teraz pusta, a segregatory stoją przed nim na stole. Została w niej tylko książka pod tytułem *Make Your Choice. Winning Is the Only Option* i szczoteczka do zębów, która wystaje z bocznej kieszonki. Za mną, w pierwszym rzędzie dla publiczności, siedzą moi rodzice.

Zanim przed dwoma laty pojechaliśmy z klasą na wycieczkę do sądu, Christer specjalnie nas przygotował, żebyśmy zrozumieli powagę sytuacji i wiedzieli, o co chodzi. Wątpię, czy nam to w czymkolwiek pomogło. Mimo to po wyjściu

z sądu powiedział, że zachowywaliśmy się porządnie. Przed zwiedzaniem był trochę niespokojny, nie wiedząc, czy powstrzymamy się od głupich śmiechów i ciągłego korzystania z komórek. Bał się też, czy nie będziemy grać w jakieś gry albo nie zaśniemy z opuszczonymi głowami niczym znudzeni posłowie w parlamencie.

Zapamiętałam jego grobowy głos, gdy nam oznajmił („Posłuchajcie, chcę wam coś powiedzieć!”), że na rozprawie sądowej nie wolno się wygłupiać, bo stawką jest ludzkie życie. Każdy człowiek jest niewinny do momentu, aż sąd orzeknie jego winę. Christer powtórzył tę formułkę kilka razy. Podczas jego wystąpienia Samir odchyłał się na krześle, lekko na nim kołysał i kiwał głową w charakterystyczny dla siebie sposób, za który kochali go wszyscy nauczyciele. Takie zachowanie oznaczało mniej więcej: „Bardzo dobrze rozumiem, nadajemy na tej samej fali, więc nie mam nic do dodania, bo wszystko, o czym mówisz, to prawda”.

„Każdy człowiek jest niewinny do momentu, aż sąd orzeknie jego winę”. Co za dziwne stwierdzenie! Albo ktoś jest niewinny od samego początku, albo dopuścił się przestępstwa i wtedy jest winny. Sąd ma tylko ustalić stan faktyczny, nie zaś decydować o tym, co jest prawdą. To, że na miejscu zdarzenia nie było policji, prokuratora ani sędziego, a mimo to każda z tych osób wie, kto co zrobił, wcale nie oznacza, że sąd zdoła to ustalić po fakcie.

Pamiętam, że tak właśnie skomentowałam słowa Christera: sędziowie stale popełniają błędy. Na przykład wypuszczają na wolność gwałcicieli. Jeśli więc ktoś doznał przemocy na tle seksualnym, nie ma sensu zgłaszać tego na policję, bo nawet jeśli jakaś dziewczyna zostanie zgwałcona przez połowę mieszkańców ośrodka dla uchodźców, którzy wcisną jej między uda całą skrzynkę pustych butelek, to i tak nikt jej nie uwierzy. A przecież to wcale nie znaczy, że nic się nie stało i że sprawcy nie dopuścili się gwałtu.

– To nie takie proste – odparł Christer.

To jedna z typowych odzywek większości nauczycieli. „Bardzo dobre pytanie...” albo „Słyszę, co mówisz...”, albo „To nie jest takie czarno-białe” czy też właśnie „To nie takie proste”. Każda z tych odpowiedzi oznacza w praktyce to samo: że dana osoba nie ma zielonego pojęcia, co odpowiedzieć.

Jeśli jednak tak trudno ustalić, co jest prawdą, a co kłamstwem, jeśli nie jesteśmy pewni, kto kłamie, a kto mówi prawdę, to co wtedy?

Czytałam gdzieś, że „prawdą jest to, w co chcemy wierzyć”. Dla mnie to jeszcze bardziej porąbane. Jak ktoś może sam zdecydować, co jest, a co nie jest prawdą? Czy coś może być prawdą dla jednych, a rzeczą zmyśloną dla innych? W zależności od tego, kogo o to spytamy? Czy jeśli ktoś, komu ufamy, coś powie, to możemy uznać, że tak właśnie jest, i przyjąć do wiadomości, że właśnie taka jest prawda? Jak można w ogóle dojść do tak głupiego wniosku? Gdyby mi ktoś powiedział, że postanowił we mnie uwierzyć, to natychmiast bym uznała, że zdaniem tej osoby wszystko jest kłamstwem, a dana osoba próbuje udawać, że jest wprost przeciwnie.

Mój adwokat Sander zachowuje w tym względzie obojętność. „Jestem po twojej stronie”, powtarza, a jego twarz robi się wtedy jak miniatułka. Sander nie podnieca się byle czym. Wszystko, co robi, ma pod kontrolą, działa spokojnie i nigdy nie reaguje pochopnie. Nie okazuje uczuć, nie wybucha głośnym śmiechem. Podejrzewam, że nie krzyczał nawet w chwili, gdy przychodził na świat.

Sander stanowi przeciwieństwo mojego taty, który nie jest aż takim „cool facetem” (jego własne słowa), jakim chciałby być. Podczas snu zgrzyta zębami, a gdy ogląda w telewizji mecz, nie może usiedzieć spokojnie na krześle. Wpada w złość, gdy zirytują go pedantyczni pracownicy urzędu miasta albo sąsiad, który czwarty raz w tygodniu parkuje na nie swoim miejscu; denerwują go niezrozumiałe umowy na dostawę energii i przedstawiciele

handlowi firm telekomunikacyjnych; denerwują go komputery, kontrole paszportowe, dziadek, grill, komary, zalegający na chodniku śnieg, Niemcy w kolejce do wyciągu narciarskiego i francuscy kelnerzy. I wszystko go ekscytuje, przyprowadzając o głośny śmiech albo krzyk. Trzaska drzwiami i każe ludziom „spieprzać”.

Sander jest zupełnie inny. Oznaką tego, że się wkurzył albo wściekł, jest to, jak marszczy czoło i w charakterystyczny sposób mlaska językiem. Takie zachowanie wprawia w przerażenie jego współpracowników, którzy od razu zaczynają się jękać, przeglądać papiery i robić różne inne rzeczy z nadzieją, że poprawią mu humor. Przypomina mi to trochę sposób, w jaki moja mama odnosi się do taty, jeśli akurat nie jest wnerwiony, tylko zachowuje całkowity spokój.

Sander nigdy się na mnie nie denerwuje ani nie jest oburzony tym, o czym mówię. Nie krzywi się, jeśli coś przemilczę albo go okłamię, a on to zauważy.

– Jestem po twojej stronie, Maju – mówi głosem bardziej zmęczonym niż zwykle.

I tyle. O „prawdzie” nie rozmawiamy.

To dobrze, że interesuje go tylko to, co udowodniła policja i prokurator. Nie muszę się niepokoić, czy swoją pracę wykonuje dobrze, czy tylko udaje, że to robi. To tak, jak gdyby zebrał wszystkich zabitych, całą winę i cały strach, i zamienił to w cyfry. Jeśli wynik równania nie będzie się zgadzać, Sander wygra.

Może właśnie tak trzeba robić. Jeden plus jeden nie może się równać trzy. Następne pytanie, proszę.

Nie czuję się z tym zbyt komfortowo. Bo albo coś się zdarzyło, albo nie. Wszystko inne to zawiłości, którymi powinni się zająć filozofowie i prawnicy, pewnego rodzaju konstrukcje myślowe. „To nie takie proste”.

A Christer? Pamiętam, jaki był dla nas upierdliwy przed tamtą wycieczką

do sądu. Żeby zachęcić nas do słuchania, robił w zasadzie wszystko. „Każdy człowiek jest niewinny do momentu, aż sąd orzeknie jego winę”. Zapisał to nawet na tablicy jako „Podstawową zasadę prawną” (Samir znowu skinął głową), a następnie poprosił nas, żebyśmy to sobie zapisali (Samir zapisał, chociaż wcale nie musiał tego robić).

Christer uwielbia wszystko, co jest na tyle krótkie, żeby można się było tego nauczyć na pamięć i przerobić to na jakąś kwestię. Za prawidłową odpowiedź na sprawdzianie, który mieliśmy dwa tygodnie później, można było dostać piątkę. Dlaczego nie szóstkę? Bo Christer uważał, że w tym, co zadaje nam do nauczenia się na pamięć, istnieją szare strefy, a rację można mieć tylko „prawie”. „Jeden plus jeden to wprowadzie nie trzy, ale rację przyznaję ci tylko w połowie, bo odpowiedziałaś jedną liczbą”.

Sąd zwiedzaliśmy z Christerem prawie dwa lata temu. Sebastiana z nami nie było, bo doszedł do nas w ostatniej klasie, którą musiał powtarzać. W szkole czułam się wtedy całkiem dobrze, miałam kolegów, koleżanki i nauczycieli, którzy od najmłodszych klas ciągle się zmieniali: chemika Jonasa, który mówił zbyt cicho, nigdy nie pamiętał, jak kto się nazywa, i czekał na autobus z plecakiem na brzuchu; nauczycielkę francuskiego Mari-Louise, która nosiła okulary, miała włosy w kolorze dmuchawca i ciągle ssała ostatni kawałek pastylki na gardło, a robiła to tak intensywnie, że usta kurczyły jej się do rozmiaru poziomki. Frigg od wuefu miała trudną do określenia płęć, krótko obcięte włosy i przywodziła na myśl świeżo polakierowaną drewnianą przykrywkę. Na szyi nosiła gwizdek, miała gładko wygolone, lśniące, szerokie łydki i przez cały czas ciągnął się za nią smród potu i skarpetek antypoślizgowych, które w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wkładało się na zajęcia z wuefu. Była też roztargniona Malin, nasza farbowana blondynka od matny, która ciągle wydawała się z czegoś niezadowolona, spóźniała się na lekcje i średnio dwa dni w tygodniu przebywała na

zwolnieniu lekarskim, a na Facebooku umieściła swoje zdjęcie profilowe w trójkątnej bikini (była na nim o dwadzieścia kilogramów młodsza).

No i Christer Svensson. Zaangażowany w to, co robił. Facet w stylu „zbierzmy się na Mariatorget, żeby zademonstrować naszą postawę”. Normalny aż do bólu, typowy „swój chłop”. Uważał, że koncerty rockowe mogą uratować świat przed wojnami, głodem i chorobami. Mówił głosem, którego należałoby zabronić, może z wyjątkiem sytuacji, gdy ktoś chce zmusić psa do machania ogonem.

Christer przynosił każdego dnia do szkoły termos z zaparzoną w domu kawą, w której było tyle cukru i mleczka, że konsystencją przypominała raczej krem. Kawę pił z własnego kubka („Najlepszy tata na świecie”). Przynosił go do klasy i na lekcjach robił sobie dolewki. Christer kochał porządek, prowadził uregulowany tryb życia i uwielbiał powtórki ulubionych przebojów. Prawdopodobnie od ukończenia czternastego roku życia jadł na śniadanie zawsze to samo, coś w stylu pokarmu dla długodystansowców, jak kaszę manę z sokiem malinowym i tłustym mlekiem („śniadanie to najważniejszy posiłek dnia!”), a za każdym razem, gdy spotykał znajomych („kumpli”), siedł z nimi na piwo i kieliszek wódki. W piątki chodził z rodziną na tacos albo wpadał do pizzerii w swojej dzielnicy (takiej, w której mają papier do rysowania i kredki dla dzieci), a gdy była ku temu okazja, wypijał ze swoją „starą” butelkę wina. Christer był pozbawiony fantazji, latał czarterami i nigdy by mu nie przyszło do głowy, by do dania dodać kolendry albo smażyć na czymś innym niż masło.

Christer został naszym wychowawcą w pierwszej klasie liceum i przynajmniej raz w tygodniu się skarżył, że pogoda zrobiła się jakaś taka dziwna („nie ma już dziś prawdziwych pór roku”). Każdej jesieni narzekał, że dekoracje związane ze świętami Bożego Narodzenia pojawiają się coraz wcześniej („niedługo pojawią się na Skeppsbron, jeszcze zanim przestaną

pływać letnie promy”).

Skarżył się na wieczorne gazety („dlaczego ludzie czytają takie gówno?”) i na *Let's Dance*, na eliminacje do Eurowizji i *Paradise Hotel* („Po co ludzie oglądają taki chłam?”). Jednak najbardziej nie cierpiał naszych telefonów komórkowych („Jesteście krowami? Przez cały czas dostajecie esemesy. Równie dobrze moglibyście sobie założyć dzwonki na szyję. Po co tracicie czas na takie głupoty?”). Za każdym razem, gdy się na coś skarżył, miał zadowoloną minę; uważał, że młodo wygląda i jest cool (tata nie używa tego słowa), a dowód na to, jak blisko związany jest ze swoimi uczniami, stanowi to, że w rozmowach z nimi pozwalał sobie na używanie słów uważanych powszechnie za wulgarne.

Po każdym kubku kawy wkładał pod górną wargę porcję snusu. Potem resztki zawijał w papierową serwetkę i dopiero wtedy wrzucał do kosza na śmieci. Kochał porządek, nawet jeśli chodziło o coś takiego jak tytoń do żucia.

Kiedy po rozprawie przeciwko oszustowi podatkowemu wróciliśmy do szkoły, Christer był z nas zadowolony. Stwierdził, że się spisaliśmy. On zawsze był albo zadowolony, albo zatroskany, nigdy uszczęśliwiony czy wnerwiony. Za lekcje zadane na pamięć zawsze dawał nam przynajmniej pół punktu.

Umarł na leżąco, z rękami nad głową i podciągniętymi kolanami, mniej więcej w takiej pozycji, w jakiej leży moja młodsza siostra Lina, gdy jest pogrążona w głębokim śnie. Christer wykrwawił się, zanim na miejsce dojechała karetka. Ciekawe, czy jego żona i dzieci też uważają, że życie wcale nie jest takie proste, a ja jestem niewinna, bo na razie żaden sąd nie stwierdził mojej winy.

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

2.

Mama kupiła mi ubranie, które włożyłam dziś na rozprawę. Szczerze mówiąc, wolałabym włożyć kraciatą piżamę braci Daltonów, bo wyglądam, jakbym się wystroiła.

Cóż, dziewczyny zawsze się stroją. Jedne chcą wyglądać elegancko, drugie mądrze i poważnie. Jeszcze inne noszą się tak, jakby chciały pokazać, że na wyglądzie im nie zależy: włosy mają rozczochrane, wkładają zbyt cienkie T-shirty albo biustonosze bez fiszbinów.

Mama chciała zrobić ze mnie osiemnastolatkę, zwykłą dziewczynę, która trafiła przed sąd, chociaż niczego złego nie zrobiła. Bluzka opina mi się na piersiach, bo w areszcie przytyłam i teraz między guzikami porobiły się wąskie szczeliny. Wyglądam jak sprzedawczyni, która włożyła lekarski fartuch i chodzi za klientami centrum handlowego z próbkami specyfiku do pielęgnacji skóry. „Niech ci się nie wydaje, że kogoś możesz oszukać”.

– Jesteś taka ładna, kochanie – szepcze mama ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie.

Zawsze to robi: obrzuca mnie prymitywnymi komplementami i oczekuje, że sama dokonam ich selekcji. Wszystkie i tak są sztuczne. Nie jestem „ładna” i „nie umiem rysować”. Powinnam przestać „śpiewać” i chodzić po lekcjach na „kółko teatralne”. To, że mama prawi mi komplementy, jest dla mnie obraźliwe, bo dowodzi tylko, że nie ma pojęcia, czy naprawdę jestem w czymś dobra albo czy jestem ładna. Mama nie interesuje się mną na tyle, by obdarzyć mnie komplementem mającym pokrycie w rzeczywistości.

Nie wiem dlaczego, ale zawsze miała zły gust.

– Jeśli chcesz, możesz pójść się pobawić – mawiała przez ostatnie miesiące, gdy nie potrafiła już udawać, że wolałaby, abym została w domu i opowiedziała jej o moim dniu.

Pobawić? Jestem już na tyle dorosła, że mogę brać udział w wyborach i kupować alkohol w klubie. Od trzech lat wolno mi się zgodnie z prawem pieprzyć, a ona mi mówi, żebym się poszła pobawić? Może w chowanego z sąsiadami? „Raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy”. Mam biegać zdyszana po ogrodzie, zaglądać za te same co kiedyś krzaki, do tej samej co kiedyś garderoby na ubrania i za ten sam co kiedyś zepsuty parasol w garażu? „Fajnie było? – pytała mama, gdy wracałam do domu, a moje ciuchy śmierdziały haszem. – Czy mogłabyś powiesić kurtkę w piwnicy, kochanie?”.

Wczoraj wieczorem rozmawiałam z nią przez telefon. Głos miała jaśniejszy niż zwykle. Posługuje się nim tylko wówczas, gdy wie, że ktoś jej słucha, albo gdy wykonuje dwie czynności naraz. Mama prawie zawsze robi różne rzeczy jednocześnie: sprząta, ustawia, wyciera kurze, robi porządki. Ciągłe jest podenerwowana i niespokojna. Zawsze taka była, ale to nie moja wina.

– Wszystko będzie w porządku – powtórzyła kilka razy do słuchawki, a ja niewiele mówiłam, wolałam wsłuchiwać się w jej jasny głos. – Wszystko będzie w porządku. Nie ma powodu do niepokoju, wszystko będzie dobrze.

Sander próbował mi wyjaśnić, co się będzie działo podczas rozprawy i czego powinnam się spodziewać. W areszcie pokazano mi film propagandowy, w którym dwaj wiejskiej klasy aktorzy grali role facetów, którzy pobili się w lokalu. Sąd uznał oskarżonego za winnego, ale uwolnił go od części zarzutów. Po filmie Sander spytał, czy mam jakieś pytania.

– Nie – odparłam.

Z rozprawy sądowej, na którą poszliśmy z klasą, najbardziej zapadła mi w pamięć cisza. Wszyscy wypowiadali się ściszym głosem i dlatego inne dźwięki rozbrzmiewały ze zdwojoną siłą: chrząkanie, trzaskanie drzwiami,

szuranie krzeseł po podłodze. Gdyby ktoś z nas zapomniał wyciszyć komórkę i nagle przyszedłby esemes, miałby on taką siłę jak dźwięk emitowany przez wielokanałowy system Dolby Surround w zaciemnionym pomieszczeniu. Publiczność siedziała na sali rozpraw w ciszy, a oskarżony odgarniał z czoła tłustą grzywkę. Kiedy prokurator odczytywał akt oskarżenia, oszust spojrzął na swojego adwokata obrażonym wzrokiem i zachnął się z oburzeniem. Pomyślałam wtedy, że to zwykły głupek. Po co udaje oburzonego? Prokurator i adwokat wypowiedzieli się w jego sprawie, odczytali jakieś dokumenty i dwa albo trzy razy powtórzyli to samo. No... może zbyt często chrząkali. Cała ta sytuacja wydała mi się chora, ale nie dlatego, że wszystko było inaczej niż na filmie, tylko dlatego, że uczestnicy procesu wydawali się znudzeni. Nawet oskarżony zachowywał się tak, jak gdyby miał problemy z koncentracją. W prawdziwym życiu wszyscy oni też byli kiepskimi aktorami, którzy nie nauczyli się swoich ról.

Samir uważał, że nie ma się z czego śmiać. Pochylił się na niewygodnym krześle, oparł łokcie o kolana i zmarszczył czoło. To była jego najlepsza poza: w ten sposób chciał pokazać, że do poważnych spraw ma równie poważne podejście. Ubranych w poliester gogusiów uważał za najbardziej fascynujących mówców, jakich słyszał w całym swoim życiu. Christer był zachwycony opiniami i powagą Samira. I Samir rzadko musiał otwierać usta, żeby lizać mu tyłek. Później razem z Amandą drażniłyśmy się z nim z tego powodu. Lubiłyśmy to robić. Za to Labbe poklepał go po ramieniu, jak gdyby Samir był jego najmłodszym synem, który strzelił decydującego gola w meczu.

– Samir wszystko zrozumiał – powiedział Labbe, a Samir szeroko się uśmiechnął. – Absolutnie wszystko.

Kiedy chodziłam do drugiej klasy liceum, w domu też czułam się dobrze. Z mamą ciągle jeszcze rozmawiałam o sprawach, które nie miały nic wspólnego z tym, o której godzinie powinnam jej zdaniem wracać do domu.

Była ze mnie dumna, a przynajmniej z tego, jak mnie wychowała. Chwaliła się swoimi skutecznymi metodami, żeby mnie zachęcić do robienia tego, co było konieczne, aby jej życie stało się prostsze. Opowiadała mi na przykład o tym, jak w wieku czterech miesięcy przesypiałam całą noc, nie byłam niejadkiem, a łyżkę potrafiłam utrzymać już za pierwszym razem, gdy dała mi do zjedzenia coś innego niż płynną papkę; że chciałam iść do szkoły o rok wcześniej, bo twierdziłam, że w przedszkolu jest nudno; że do szkoły chciałam chodzić sama jeszcze przed ukończeniem ósmego roku życia i że uwielbiałam zostawać w domu bez opiekunki. Twierdziła, że zanim wsiadłam na zwykły rower dwukołowy, kupiła mi trójkołowca, dzięki czemu nie musiała przytrzymywać go za bagażnik, tylko szła obok mnie i głośno – acz nie za głośno – się śmiała. Uważała, że to dzięki temu błyskawicznie nauczyłam się jeździć.

Nigdy mi nie wyjaśniła, co zrobiła, żeby to moje życie stało się prostsze, ale w tamtym okresie wyrażała przekonanie, że prostym i bezproblemowym dzieckiem byłam tylko dlatego, iż zrobiła wszystko, aby mnie wychować we właściwy sposób.

Dzisiaj na sali też panuje cisza, tyle że inna niż wtedy. Atmosfera jest gęsta, jakby naelektryzowana energią ważnych osób, które tylko czekają, aż wydarzy się coś niezwykłego. Prokurator i adwokaci prawie się pocą ze strachu, żeby się nie skompromitować. Nawet Sander jest zdenerwowany, chociaż ktoś, kto go nie zna, zupełnie tego nie dostrzega.

Sander i jego ekipa chcą pokazać, do jakiego rozstrzygnięcia dążą. Kiedy Naleśnik wyjaśniał mi, jak jego zdaniem wszystko będzie przebiegać, wspominał o „losie” i o „naszych szansach”. Zrobił to w taki sposób, jak gdyby był trenerem naszej drużyny koszykówki, w której grałam na pozycji środkowego. Widać było, że Naleśnik chce wygrać. Umilkł dopiero wtedy, kiedy Sander strzelił palcami.

Dzisiejsza rozprawa zaczyna się od swego rodzaju apelu, który chce wygłosić

sędzia. Chrząka do mikrofonu i wszyscy od razu przestają szeptać. Sprawdza, czy wszystkie osoby stały się w sali. Nie muszę podnosić ręki i potwierdzać, ale sędzia wskazuje na mnie i wyczytuje moje nazwisko. Potem daje znak adwokatom i wyczytuje ich nazwiska. Mówi rozwlekłym, ale nieusypiającym tonem. Brzmi tak poważnie, że jeszcze trochę, a pęknie w szwach swojego brzydkiego ubrania.

Sędzia wita się z nami, ale mu nie odpowiadam. Nie mówię: „Cieszę się, że tu jestem”, bo przecież nie chodzi o to, żebym cokolwiek mówiła. Uważam, że dobrze sobie radzę, że wyglądam mniej więcej tak, jak powinnam. Nie uśmiecham się, nie płaczę, nie dłubię w uszach ani w nosie. Siedzę wyprostowana i pilnuję, żeby mi się nie pourywały guziki od bluzki.

Sędzia prosi panią prokurator, żeby zaczęła swoje wystąpienie. Lena Pärsson jest tak naładowana energią, że prawie zrywa się z krzesła. Przysuwa je bliżej stolika, pochyla się nad małym mikrofonem, zapina guzik i chrząka. Wygląda na to, że zaraz zacznie.

Zanim weszła do sali rozpraw, była w pokoju dla adwokatów. Naleśnik powiedział, że ludzie stali w kolejce, żeby się tu dostać. „Jak na koncert”, stwierdził prawie z dumą. Sander zrobił taką minę, jak gdyby chciał mu przywalić.

Ale rozprawa w niczym nie przypomina koncertu. Nie jestem gwiazdą rocka i nie otacza mnie tłum groupies. Są za to medialne hieny – dziennikarze. Faszują pierwsze strony swoich gazet odorem śmierci, który jeszcze bardziej ich podnieca.

Sander chciał, żeby proces był otwarty dla wszystkich. Domagał się, aby mimo mojego młodego wieku wpuścić na salę rozpraw media i publiczność. Nie po to jednak, żeby wprawić Naleśnika w stan uniesienia. Zależało mu, aby pani prokurator nie mogła zmonopolizować przekazu. Oznacza to, że będzie chciał uwydatnić swój udział w procesie albo że doszedł do wniosku, iż ci, co

to mnie nienawidzą, zmieniają zdanie. Wystarczy, że wysłuchają mojej wersji. Według mnie Sander się myli. To nie będzie miało żadnego znaczenia.

Oni wszyscy kochają mnie nienawidzić. Nienawidzą wszystkiego, co się ze mną wiąże. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić, że Naleśnik mógłby się zachwycać innym rodzajem muzyki niż ta, która należy do kategorii „I wszyscy razem, śpiewamy” i grywana jest w sztokholmskim Skansenie. Moim skromnym zdaniem Naleśnik słucha wyłącznie złotych przebojów i podśpiewuje sobie w takt filmików reklamowych, żeby obraz rodziny był idealny.

Przed dziewięcioma miesiącami, tydzień po tym, co się wydarzyło, w Djursholmie doszło do zamieszek. Grupa chłopaków pojechała metrem do centrum handlowego Mörby, przesiadła się do autobusu linii 606, przejechała nim osiem przystanków i wysiadła na placu w Djursholmie. Zamierzali „dać nauczkę tym gnojkom”, to znaczy „pieprzonym snobom”, jak to ładnie określili. Do rozruchów na przedmieściach dochodzi zazwyczaj w podejrzanych dzielnicach rządzonych przez gangi, wśród ekologicznych budowli i kółek zainteresowań dla młodzieży i facetów po detoksie na motocyklach, którzy robią za młodzieżowych przywódców i administratorów dzielnic, ponieważ żaden normalny przedsiębiorca nie przyjmie ich do pracy. Kiedy czytamy w gazetach, że płonęło przedmieście, zazwyczaj chodzi o jakiś wypasiony wrak z zawieszka o sosnowym zapachu, o leasingowany wóz z niepełnym ubezpieczeniem, który należy do jakiejś firmy i idzie do wymiany zaraz po tym, jak ktoś uszkodzi boczne lusterko.

Tym razem było inaczej.

Przez trzy dni i nocę na rynku i pod domem Sebastiana na Strandvägen toczyła się prawdziwa wojna. Drugiego wieczoru w starciach uczestniczyło pięćdziesiąt kilka osób. Sander, który mi o wszystkim opowiedział, pokazywał mi nawet artykuły w gazetach.

Tłum rozbił na rynku witryny sklepów ze starociami. Co zwędzili? Bluzki wiązane w kokardę pod szyję, koce w szkocką kratę i kryształowe karafki do wina? Dokąd ruszyli, gdy policja przegoniła ich spod willi Fagermana? W kierunku naszego domu? Czy tam dotarli? Jeśli dla mojej mamy ważne jest to, aby grzecznie pozdrowić i okazać szacunek pierwszemu lepszemu żebrakowi, który siadywał z kubkiem w ręce na zasikany kocu przed sklepem Coop Konsum na Vendevägen, to co tam robiła z kijem bejsbolowym i koktajlem Mołotowa? „Cześć, cześć. Miłego dnia. Przyjemnego weekendu”? Zastanawiałam się, co mama powiedziała członkom oddziałów specjalnych, które przez trzy dni pomagały zaprowadzić porządek przed naszym domem: „Czy u was wszystko w porządku?”.

W gazetach, które przyniósł mi Sander, pojawiły się pewne teorie na temat przyczyn rozruchów. Na przykład, że miały one jakiś związek z tym, co z Sebastianem „symbolizowaliśmy”, czego „byliśmy wyrazem” i „jaki był skutek tego”, co zrobiliśmy. Czy do zamieszek doszło dlatego, że nasze czyny były aż tak obrzydliwe? Czy uczestnicy rozróby wpadli we wściekłość, bo my byliśmy bogaci, a oni nie? A może chodziło o to, że grupka drobnych bandytów szukała pretekstu do bójki (szwedzka ekstraklasa piłkarska ma w czerwcu przerwę)? Teraz to już nieistotne, bo i tak nie zdołali się przedrzeć do naszego domu.

Większość osób w sali rozpraw to dziennikarze. Niektórzy z nich piszą coś w laptopach. Nie robią zdjęć, bo sędzia tego zabronił. Podobno przed wejściem musieli oddać do depozytu swoje telefony komórkowe. Część dziennikarzy ma zwykłe notesy i długopisy.

Jeden z nich zabawia się w rysownika. Można by pomyśleć, że występuję tu w roli któregoś z bohaterów książek Dickensa, na przykład drobnego złodziejaska z domu sierot, który ryzykuje szubienicę, albo Elviry Madigan z taniej powieści za szylinga. „Dzieją się smutne rzeczy, zapewne także

w naszych czasach”. Śpiewaliśmy tę piosenkę pod koniec podstawówki. Amanda od razu się rozplakała. Najładniejsza jest wówczas, gdy płacze, chociaż wcale nie jest jej smutno (staje się wtedy wprost czarująca i zachwycająca). Przy okazji zwróciła na siebie jeszcze większą uwagę niż zazwyczaj.

Piszą o niej jak o mojej najlepszej przyjaciółce. W gazetach, w telewizji, w aktach śledztwa. Nawet mój adwokat nazywa ją moją najlepszą przyjaciółką.

Czy to z nią spędzałam najwięcej czasu? Oczywiście oprócz Sebastiana? Tak. Czy to z nią – oprócz Sebastiana – najczęściej rozmawiałam? Tak. Czy to ona stoi obok mnie na dwustu sześćdziesięciu zdjęciach na Facebooku? Czy to prawda, że gdy policja sprawdziła moje połączenia z czterech spośród sześciu miesięcy, okazało się, że rozmawiałam z nią na czacie średnio dwie godziny dziennie? Czy tagowała mnie na ponad stu postach na Instagramie? Tak, tak i jeszcze raz tak.

Czy kocham Amandę? Czy jest moją najlepszą przyjaciółką? Tego nie wiem.

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

3.

Tak czy inaczej, lubiłam przebywać w jej towarzystwie. Większość czasu spędzałyśmy razem. Siedziałyśmy obok siebie w klasie i w stołówce, uczyłyśmy się i chodziłyśmy na wagary. Obgadywałyśmy dziewczyny, które nam w czymś zawiniły (nie po to, żeby zachować się wobec nich paskudnie, ale...), a na elektrycznych bieżniach w fitness klubie wydeptywałyśmy kilometry ścieżek prowadzących donikąd. Razem robiłyśmy makijaż i chodziłyśmy na zakupy, godzinami ze sobą gadałyśmy, spędzałyśmy mnóstwo czasu na czacie i śmiałyśmy się z różnych rzeczy. Śpiewałyśmy do szczoteczki do zębów udającej mikrofon i, strojąc miny, naśladowałyśmy głupi wyraz twarzy tej czy innej dziewczyny ze szkoły.

Na imprezy też chodziłyśmy razem. Amanda szybko się upijała i zawsze wszystko przebiegało według tego samego schematu: chichotała, śmiała się, tańczyła, przewracała na podłogę, znowu się śmiała, kładła się na kanapę i rzewnie płakała, a łzy płynęły jej po szyi. Potem wymiotowała, aż w końcu wracała do domu. To ja się nią zawsze opiekowałam, nigdy odwrotnie.

Lubiłam spędzać z nią czas, bo było fajnie i potrafiłam się przy niej całkowicie zrelaksować. Było dla nas rzeczą oczywistą, że życie należy spędzać jak najprzyjemniej. Kiedy Amanda udawała głupią blondynkę, naprawdę potrafiła mnie rozbawić. Jeśli ktoś ją pytał o pogodę, odpowiadała „flip flop” albo „będzie 40 denierów”. Kiedy robiło się naprawdę zimno, przychodziła do szkoły w legginsach na podpince, butach marki Moon Boots i puchowej kurtce z kołnierzem ze skóry królika.

Twierdzenie, że Amanda była powierzchowna i płytką, byłoby zbyt proste.

Owszem, nie umiałyby napisać wstępniaka dla jakiejś poważnej gazety, uważała, że ucisk to straszna rzecz i że rasizm też jest straszny, ale najstraszniejsza jest bieda. Była tak zwanym pozytywnym jakałą, który podwaja słowa będące oceną jakiegoś stanu albo zjawiska. Mówiła na przykład „bardzo, bardzo dobrze”, „super, superuroczo” albo „mało, maciupko maciupęńko” (to ostatnie określenie było chyba potrójnym wzmocnieniem?). Swoje poglądy na kwestię równouprawnienia lub na każdą inną sprawę polityczną, która nie podlega wyborowi, zbudowała na niespełna czterech odcinkach telewizyjnego programu śledczego *Uppdrag granskning*, na którym za każdym razem płakała. A gdy na YouTube oglądała nagranie poświęcone najgrubszemu człowiekowi świata, który po trzydziestu latach pierwszy raz wyszedł z domu, powiedziała: „Nie przeszkadzaj mi teraz! Oglądam wiadomości!”.

Amanda najbardziej lubiła rozmawiać o swoim strachu. Pochylała się wtedy i szeptała mi, jakie ma kłopoty z układem trawiennym i bezsennością („naprawdę bardzo, ale to bardzo duże kłopoty”). Kiedyś oświadczyła, że musi unikać koloru zielonego i cyfry dziewięć, omijać krawężniki („to znaczy ja ich nie wybieram, ale muszę to robić, bo chyba bym umarła, umarła naprawdę, naprawdę umarła”). Czasem, gdy zabrakło spodziewanej reakcji, podkreślała atmosferę. Udawała, że znamię, którego nabawiła się podczas wspólnego smażenia naleśników na podwieczorek, to blizna po czymś innym, o czym najchętniej wolałaby nie mówić. Zależało jej, aby wszyscy uwierzyli, że to efekt próby samobójczej. I nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłabym komuś zdradzić prawdę.

Problem polegał jednak nie tylko na tym, że Amanda kłamała. Uważała, że życie bywa trudne, że strach to uczucie, kiedy spóźnia się na autobus, i że cierpi na bulimię, bo zrobiło jej się niedobrze, gdy w niecałe dziesięć minut zjadła dwieście gramów czekolady z orzechami.

Amanda była niezwykle rozpieszczona przez mamę, tatę, terapeutę i stajennego, który zajmował się jej koniem. Nie chodziło jednak o ubrania i błyskotki, tylko o coś innego. Amanda miała taki sam stosunek do rodziców i nauczycieli – to znaczy do uznanych autorytetów, w tym także Boga – jak do pracowników punktów usługowych, na przykład recepcjonistek w luksusowych hotelach. Oczekiwała, że każdy udzieli jej pomocy w tak różnych sprawach jak pryszcz na czubku nosa, odnalezienie zagubionego kolczyka czy choroba bądź kwestia wiecznego życia. Nie interesowało jej, czy Bóg istnieje, ale było dla niej całkiem oczywiste, że powinien pomóc jej choremu na raka kuzynowi, ponieważ bardzo, ale to bardzo jest jej go żal, a przecież kuzyn jest taki bardzo, bardzo miutki, chociaż ma łysą głowę. Użała się nad ludźmi mającymi kłopoty, lecz nie mogła się pogodzić z faktem, że ludzie nie użalali się nad nią.

Poza tym Amanda była zajęta sobą. Swoim sięgającym do pasa włosom poświęcała tyle czasu, zupełnie jakby chodziło o jej umierającą babcię. Ludzie uważali, że jest miłą osobą. Ale to nie do końca prawda. Zawsze dwa razy pytała, czy ktoś chce mleczko do kawy („Na pewno?”), a czyjś wygląd komentowała tak zgryźliwym tonem, że człowiek czuł się przy niej jak grubas. Mawiała na przykład: „Tak bardzo chciałabym umieć podchodzić do swojego wyglądu jak ty, na pełnym luzie” albo „Jesteś naprawdę niezwykle fotogeniczna” i oczekiwała, że za takie stwierdzenia należą jej się podziękowania. Do głowy by jej nie przyszło, że inni mogą uznać jej słowa za obraźliwe.

O polityce mawiała, że jest super, superważna. Nie była jednak zaangażowana politycznie aż w takim stopniu jak inni ludzie, którzy zapisują się do organizacji młodzieżowych, jeżdżą na obozy i strzelają z łuku. Nigdy nie pofarbowałaby sobie włosów na czarno, nie podpaliłaby farmy norek i nie byłaby w stanie przebrnąć przez raport o dziurze ozonowej albo o kurczącej

się rafie koralowej. Jej zaangażowanie nie przypominało też zaangażowania ojca Samira, który kiedyś siedział w więzieniu i był torturowany za swoje poglądy polityczne.

Amanda uważała, że polityka polega na tym, iż budżet państwa powinien jej zwrócić koszty operacji wszczepienia bajpasu, której zamierzała się poddać w sytuacji, gdyby kiedykolwiek przekroczyła granicę powiedzmy... sześćdziesięciu kilogramów. Byłoby to, jej zdaniem, co najmniej słuszne, a to ze względu na podatki, które płacimy. Kiedy mówiła „my”, nie miała na myśli swojej mamy, bo jedyne pieniądze, którymi jej mama mogła swobodnie dysponować, pochodziły z kasy w sklepie ICA, gdy po zrobieniu zakupów dostawała resztę. Wpłacała je na swoje konto w banku, które nazywała żartobliwie kontem obuwniczym i traktowała jako coś w rodzaju symbolu niezależności finansowej – od męża, do którego te pieniądze tak naprawdę należały. Na samą myśl o tym koncie Amanda wznosiła oczy do nieba. Gardziła nim, a opowiadała mi to tylko dlatego, że uważała swoją mamę za postać żalospną. Nie dlatego jednak, że na okres listopadowych ferii szkolnych jej mama potrafiła spontanicznie zamówić dla całej rodziny wycieczkę z przelotem w klasie biznes i noclegami w luksusowym hotelu w Dubaju, ale dlatego, że musiała podbierać drobne kwoty, aby móc sobie kupić nowe dżinsy, nie pytając męża o pozwolenie.

Nigdy nie udało mi się ustalić, jakim sposobem Amanda, jej tata i jego pieniądze stali się nagle częścią „nas”, i dlaczego uważała, że ona też wspiera narodową gospodarkę.

Kilka miesięcy przed tym, co się wydarzyło, wdaliśmy się z Christerem w dyskusję o polityce. Rozmowa zesłała na Che Guevarę.

– Uważam, że zabijanie dzieci jest odrażające – stwierdziła Amanda – chociaż nie za bardzo się orientuję, o co im tam chodzi na Bliskim Wschodzie.

Samir siedział w klasie po skosie od niej i dlatego dopiero po dłuższej

chwili zorientował się, że Amanda skierowała te słowa do niego.

– Domyślam się, że nienawidzisz Amerykanów? – spytała, gdy w końcu udało jej się przyciągnąć jego wzrok.

Nie pamiętam, co odpowiedział Christer, ale Samir popatrzył wtedy na mnie. Właśnie na mnie, nie na nią. Pewnie uważał, że to przeze mnie Amanda nie wie, kim był Che Guevara, nie potrafi odróżnić Ameryki Łacińskiej od Izraela i Palestyny, a na dodatek wbiła sobie do głowy, że Samir jest z zasady wrogo nastawiony do Stanów Zjednoczonych.

To prawda, Amanda była zaangażowana politycznie w ten naiwny, a nawet dziecinny sposób. Czasem nawet nie można było o niej powiedzieć, że jest aż tak super, superrozbrajająca. O polityce rozmawialiśmy rzadko. Bolała mnie od tego głowa, a Amanda traciła humor – dobrze wiedziała, że wszyscy widzą, jak się miota i nie bardzo wie, o czym mówi.

Gdy tak leżałam w jej pokoju na dywanie i słuchałam, jak swoim pełnym entuzjazmu głosem oznajmia, że od tej chwili występujemy w cudownym filmie młodzieżowym, w którym wszyscy wskakują do swoich kabrioletów, nie otwierając przy tym drzwi, często dochodziłam do wniosku, że tak bardzo się od siebie różniłyśmy, aż w końcu się do siebie upodobniłyśmy. Amanda udawała, że jest czymś zaabsorbowana, a ja, że mnie to nie obchodzi. W tym udawaniu byliśmy tak dobre, że zdołałyśmy oszukać wszystkich – w tym także siebie.

Czy Amanda była szurnięta? W aktach śledztwa znajduje się treść esemesa, który na cztery dni przed śmiercią wysłała Sebastianowi. Brzmiał on następująco: „Nie smuć się. Już wkrótce ta wiosna będzie tylko wspomnieniem”.

Pani prokurator na razie nie wspomniała o Amandzie. Postanowiła zachować ten wątek do czasu, aż wygłosi swoje *crescendo*. Tymczasem skupiła uwagę na Sebastianie.

Sebastian, Sebastian, Sebastian... Będzie o nim mówiła przez kilka dni. Zresztą nie tylko ona – wszyscy będą to robić. Przez cały czas. Sebastian zaczyna przypominać pod tym względem gwiazdę rocka. Sander pokazał mi fotografie, które wygrzebała, a potem opublikowała prasa. Czarno-białe zdjęcie Sebastiana trafiło przynajmniej na dwadzieścia okładek na całym świecie, w tym na pierwszą stronę magazynu „Rolling Stone”. Ale były też inne zdjęcia: na jednym z nich Sebastian leży z papierosem w ustach, jest pijany i spocony; na drugim stoi na rufie swojej łodzi, którą płynęliśmy kanałem Djurgårdsbrunn w drodze na wyspy Fjäderholmarna, a ja siedzę z głową opartą o jego ramię. Na innym zdjęciu, zrobionym na tej samej imprezie, siedzi przy mnie Samir, patrzy jednak w inną stronę niż my. Ma taką minę, jakbyśmy mu kazali tam usiąść, żeby od samego przebywania w naszym towarzystwie nabawił się choroby morskiej. Amanda siedzi po mojej drugiej stronie. Ma białe zęby, opalone nogi, niebieskie oczy i bujne włosy, które falują na wietrze. Na zdjęciu nie ma oczywiście Dennisa, ale jego fotografie są w aktach śledztwa. Sebastian miał ich trochę w swojej komórce – lubił fotografować Dennisa, gdy ten był pijany. Nie wiem, dlaczego nikt ich nie zabezpieczył. Faktem jest, że istnieją fotografie, na których Dennis i Sebastian są razem, tak samo pijani, głośni i szaleni. Na każdej z nich Sebastian jest strasznie przystojny, a Dennis wygląda... jak Dennis.

Pani prokurator będzie opowiadać bardziej o tym, co zrobił Sebastian, niż o innych sprawach. Uznała bowiem, że wszystko robiliśmy wspólnie. Nie wiem, czy zniosę jej gadaninę, ale nie wolno mi się zdekoncentrować. To niebezpieczne, bo w takich chwilach pojawiają się dźwięki.

Jeden z nich usłyszałam w klasie, gdy mnie z niej wynosili; drugi – gdy Sebastian upadł na podłogę i uderzył o nią głową. Dźwięki huczą we mnie i jeśli się nie pilnuję, wracają. Wbijam paznokcie w skórę, próbuję przed nimi uciec, lecz nic nie pomaga. Nie umiem się ich pozbyć. Mój umysł za każdym

razem każe mi wrócić do tej cholерnej klasy.

Czasem śni mi się Sebastian. Zanim usłyszę te dźwięki, bardzo dokładnie wszystko widzę. Sebastian leży na moich kolanach, a ja z całej siły zaciskam ranę. Niestety, bez względu na to, jak bardzo się staram, nie mogę zatamować krwi. To tak, jakbym próbowała zatkać szczeliny w ogrodowym wężu, przez które tryska woda. Czy ktoś z was wiedział, że krew może tryskać i że nie da się jej zatamować rękami? Kiedy Sebastian leżał tak na moich kolanach, robił się coraz zimniejszy – jeszcze teraz każdej nocy czuję chłód jego dłoni. W snach pojawia się też Christer, który wydaje z siebie ostatnie tchnienie. Brzmi to tak, jak gdyby ktoś wlał do zlewu sodę kaustyczną. Nie wiedziałam, że można śnić o tym, jaka jest w dotyku czyjaś skóra i jak brzmią różne dźwięki. Najwidoczniej jest to możliwe, bo ja tego doświadczam przez cały czas.

Staram się nie patrzeć na publiczność, która przyszła na salę rozpraw, żeby się na mnie gapić. Nie spojrzałam nawet na tatę, gdy się zjawił. Za to gdy przechodziłam koło mamy, chwyciła mnie za rękę. W jej oczach dostrzegłam coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej. Uśmiechnęła się do mnie, odrzuciła głowę w bok i uniosła kąciki ust, jakby chciała mi przypomnieć o tym, co mi powiedziała poprzedniego dnia przez telefon. Był to jeden z jej typowych uśmiechów, jak gdyby chciała mnie pocieszyć: „Jakoś to będzie”. Zanim jednak odwróciłam wzrok, zauważyłam, że mama zadrżała. Zrobiła to jedną tysięczną sekundy za wcześnie, jakby coś chciała z siebie strzepnąć.

Zanim doszło do strzelaniny, najważniejszym wyzwaniem było dla niej powstrzymanie się od węglowodanów. Mama przybierała i traciła na wadze w tak szybkim tempie, jakby to był jej zawód. Jeśli umiała kontrolować to, co jadła, odczuwała prawdziwą dumę. Teraz siedzi w sali rozpraw.

W aktach śledztwa można znaleźć wiele faktów i to nie tylko tych, które odnoszą się do tamtego dnia. Są też wzmianki o naszych imprezach, o tym, co

robił Sebastian i co robiłam ja. No i trochę o Amandzie. Moja mama ją uwielbiała. Sebastiana zresztą także, przynajmniej na początku, ale teraz już się do tego nie przyzna.

Ciekawe, czy mama wierzy albo czy postanowiła uwierzyć w moją wersję. Ani razu o tym nie wspomniała, a ja nie pytałam. Po co? Nie widziałam się z rodzicami od dnia, gdy przed dziewięcioma miesiącami trafiłam do aresztu. Poza tym nasze rozmowy telefonicznie nie były zbyt szczere i pełne zaufania.

Czy to nie dziwne? Ostatni raz byłam na tej sali z rodzicami dziewięć miesięcy temu. Ale wtedy też z nimi nie rozmawiałam. Widziałam ich tylko przez szybę między salą rozpraw w areszcie, która była wielkości klasy, a rzędami ławek dla publiczności, która siedziała tam mniej więcej przez kwadrans, po czym sędzia oświadczył, że posiedzenie w sprawie decyzji o umieszczeniu mnie w areszcie będzie się toczyć za zamkniętymi drzwiami, i wszystkich, w tym moich rodziców, wyprosił na korytarz.

Podczas tamtego posiedzenia płakałam tak rzewnymi łzami, że nie mogłam się powstrzymać. Płakałam już wówczas, gdy wchodziliśmy do sali. Czułam się jak gęś tuczona na wątróbki. Mniej więcej. Zrobiło mi się niedobrze, a moi rodzice wyglądali na śmiertelnie przerażonych.

Mama włożyła na tamtą rozprawę nową bluzkę, której nigdy przedtem nie widziałam. Ciekawe, po co się tak wystroiła. Przecież nic wtedy jeszcze nie wiedziała. Mój los nadal był niepewny, bo sędzia nie podjął jeszcze decyzji w sprawie. Pewnie wam się wydaje, że zrobiła się na matkę, która wie – na pewno wie – że cała ta sprawa jest jednym wielkim nieporozumieniem, a jej córka jest niewinna. Moim zdaniem było inaczej: chciała wyglądać jak matka, której za nic nie wolno obwiniać, bez względu na to, co się wydarzyło.

Tamta rozprawa odbyła się trzy dni po tym, jak trafiłam do aresztu śledczego. Dziś żałuję, że tak wtedy ryczałam. Powinnam była raczej rozbić tamtą szybę, żeby spytać mamę o sprawy, które nie miały znaczenia.

Chciałam ją spytać, czy po tym, jak poszłam do Sebastiana, pościeliła moje łóżko? Tanja nie pracuje przecież w piątki. Czy łóżko stało nieruszone do czasu, aż zjawiała się policja? Co było potem? Co wydarzyło się później? Czy Tanja posprzątała pokój? A może rodzice zabronili jej tam wchodzić? Rodzice czasem tak robią, gdy ich dziecko nagle umiera: przez trzydzieści lat starają się zachować dziecięcy pokój w nienaruszonym stanie, żeby ciągle wyglądał tak jak w dniu, w którym ich syn albo córka odeszli z tego świata.

Szkoda, że moi rodzice tego nie zrobili. Chciałam usłyszeć, że wszystko wygląda dokładnie tak samo jak w dniu, w którym odeszłam, że policja nic w nim nie zmieniła, a moje wcześniejsze życie zostało zamrożone, zakonserwowane, owinięte grubą warstwą bandaży, jakimi owija się mumie. Jeśli przez to wszystko przejdę i wolno mi będzie wrócić do domu, chciałabym się tam poczuć jak dawniej.

Ale o tym nie mogli mi oczywiście powiedzieć. Prawdopodobnie nie miało to żadnego znaczenia, czy mama to łóżko pościeliła, czy nie. I tak wiedziałam, że policja przeszukała cały dom, bo śledczy powiedzieli mi o tym podczas przesłuchania. Zabrali komputer, a do szpitala przynieśli mój telefon komórkowy. Musiałam im podać moje hasła i kody dostępu na każde forum dyskusyjne i każdą stronę, na jakiej byłam. Kiedy ich spytałam, co jeszcze mi zabrali, odparli: „Większość rzeczy... iPoda, różne papiery... książki, pościel i twoje ubranie z imprezy”. „Jakie ubranie?”, spytałam, a oni odpowiedzieli mi takim tonem, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz na świecie: „Twoją sukienkę, biustonosz i majtki”.

No proszę, wzięli nawet moje brudne majtki. Po co? Miałam ochotę roztrzaskać szybę i zażądać, żeby mama się przede mną wytłumaczyła. O nic nie chciałam pytać Sandera. „Mamo, dlaczego wzięli moje majtki?”. Właśnie o to chciałam ją spytać. Nie wypadało mi pytać Sandera o bieliznę, na której znajdowały się ślady po moich upławach.

A co rodzice zrobili z rzeczami, które policja zostawiła na miejscu? Tego też się chciałam dowiedzieć. Ciekawe, czy Tanja musiała wyprać moje ubrania, żeby pozbyć się z nich mojego zapachu. Zawsze mi się wydawało, że lubi rozwieszać pranie, wygładzać zmarszczki, prostować szwy, równać do brzegu, a koszule i swetry wieszać rękawami w dół, jak w gościu rozpaczy, gdy ktoś chce się poddać. No i skarpetki – każdą parę przy użyciu jednej klamerki, żeby potem łatwiej je było układać.

Ciekawe, czy kazali jej po mnie posprzątać. Albo czy mama patrzyła każdego ranka na nóż do masła, który zawsze zostawiam na wierzchu, i myślała sobie: „Jeszcze niedawno tu była, a teraz jej nie ma”.

– Mamo! – Miałam ochotę krzyknąć. – Co tu się dzieje?

Niestety, rozdzielała nas tamta szyba. Zresztą ledwo zdążyłam zająć miejsce, sędzia wyprosił wszystkich z sali. Nikt nie odpowiedział mi na żadne pytanie. Zamiast tego zostałam aresztowana.

Dawno temu, jeszcze zanim do tego wszystkiego doszło, spytałam mamę, dlaczego nigdy nie pyta mnie o ważne sprawy.

– A chcesz, żebym cię o nie pytała?

Nawet nie próbowała zgadnąć.

Dzisiaj moim rodzicom wolno zostać w sali. Mają zarezerwowane miejsca – najlepsze, jak sądzę, na samym przedzie, niedaleko ode mnie (choć dzieli nas kilka metrów). Widzę, że mama przytyła. Tym razem ubrana jest jak matka, która wprawdzie nie popełniła żadnego błędu, ale dla poprawienia humoru trochę podjadała. Objadała się pysznym makaronem z masłem, serem i keczupem, obżerała się węglowodanami. Zważywszy na to, co zrobiłam, na wszystko ma wytłumaczenie, nawet na to, że przytyła. Wszyscy ją rozumieją i nie będą nią gardzić, bez względu na to, czy jest, czy nie jest szczupła.

Kiedy coś ją zdenerwuje, na szyi wykwitają jej plamy. Denerwuje się zawsze, gdy musi komuś wyjaśnić, co ma na myśli. Trudno jej się skupić na

tym, co mówi, bo każdy odruchowo gapi się na te plamy na szyi. Podobno właśnie dlatego tak rzadko nam mówi, co myśli. To dla niej zbyt ryzykowne. Ogranicza się więc tylko do tego, że o zdanie pyta tatę. Jeśli tata jest akurat w dobrym humorze, łaskawie jej odpowiada, a wtedy może upłynąć nawet cały wieczór, a ona nie odezwie się ani słowem.

To niepojęte, że martwi ją to, iż ktoś z nią za mało rozmawia, a jednocześnie brakuje jej odwagi, by spytać, jak ten ktoś się czuje. Za to nigdy nie czułam do niej niechęci z powodu niewłaściwego nadzoru, jaki nade mną sprawowała. Nienawidzę jej, bo ona sama tego chce, a najbardziej nienawidzę jej wtedy, kiedy próbuje mi wmawiać, że wie, co czuję. W takiej sytuacji mówi na przykład: „Wiem, że jesteś niespokojna” albo „Wiem, jak bardzo się boisz” czy „Wiem, co czujesz”.

Moja mama to idiotka.

– Chciałabym być na miejscu Mai.

Czy to ona wypowiedziała te słowa?

W każdym razie nie skierowała ich do mnie.

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

4.

Prokurator Lena Pärsson gada i gada. Boże, kiedy ona wreszcie skończy? Wspomagają ją dwaj policjanci, którzy brali udział w śledztwie. Obok nich siedzą adwokaci rodzin ofiar, którzy będą się domagać odszkodowania. Na stole przed nimi leży stos segregatorów, który przypomina małą biblioteczkę. Na ścianach wiszą dwa wielkoformatowe ekrany – jeden za mną, drugi za nimi. Na razie widać na nich mnóstwo ikon i nieporządek. Wygląda to jak źle przygotowany wykład z wiedzy o społeczeństwie.

Rodzicom Amandy nie wolno siedzieć przy stoliku pani prokurator. To samo dotyczy pozostałych krewnych, którzy zajęli miejsca wśród publiczności. Tak mi się przynajmniej wydaje. A może siedzą w sali obok, gdzie rozprawę można obserwować na wielkim ekranie? Chyba nie chcą przebywać w tym samym pomieszczeniu co ja.

Sander wyjaśnił mi, że zadanie pani prokurator polega na tym, aby wyjaśnić, dlaczego tu jesteśmy.

– Ze względu na twój wiek nie powinni cię skazać na więcej niż dziesięć lat.

Zgodnie z prawem osoby, która nie ma ukończonych dwudziestu jeden lat, nie wolno skazać na dożywocie. Ale jak mi dadzą czternaście, w dniu wyjścia na wolność będę miała trzydzieści dwa lata. Należnik wspominał o ludziach, którzy dzwonią i piszą do niego i do Sander (po jego głosie znać było, że jest dumny, iż listy dostaje nie tylko Sander, ale i on). Opowiadał mi też o ludziach, którzy nocami podchodzą pod nasz dom i brudzą ekskrementami drzwi wejściowe. I potem rodzice, zanim rano wyjdą do pracy, muszą to

czyścić przy użyciu myjki ciśnieniowej. Naleśnik zdradził mi to, gdy nie było przy nas Sandera...

Ja i tak swoje wiem. Wszyscy podatnicy, którzy składają się na pensję dla pani prokurator – to znaczy ogólnie rzecz biorąc wszyscy, z wyjątkiem Sandera i być może moich rodziców – uważają, że dziesięć albo czternaście lat to nie jest sprawiedliwy wyrok. Myślę, że nawet dożywocie uznaliby za niewystarczające. Nie zadowolili ich, że zniszczą mi życie. Oni chcą mojej śmierci.

Sander powiedział, że dzisiaj niewiele się zdarzy. Kiedy jednak pani prokurator wyczytuje nazwiska ofiar, słyszę czyjś płacz.

Nie jestem na to przygotowana. Płacz słyhać na długo przed końcem jej wystąpienia. Płacz przechodzi stopniowo w wycie. Czy to mama Amandy? Chyba nie, to nie jej głos. Może znaleźli mamę albo babkę Dennisa? Może ją tu przywieźli, żeby siedziała jak jakaś Queen Latifah na Gali Noblowskiej?

Ton głosu pani prokurator przypomina lament zawodowych płaczek – wariatek w czarnym szalu na głowie, które na wieść o tym, że ktoś wysadził się w powietrze w autobusie pełnym dzieci, wyrzucają ręce w górę i wznoszą wzrok do nieba, a potem ustawiają się przed kamerą telewizyjną i wykrzykują do obiektywu jakieś słowa. Czy to jedna z takich kobiet? Jak to możliwe, że przeszła przez kontrolę bezpieczeństwa?

Jedna rzecz jest pewna: dziennikarze sprzedadzą ten płacz swoim redakcjom już w czasie najbliższej przerwy. Poinformują o nim na czacie albo na Twitterze. W stu czterdziestu znakach opiszą, jak wygląda i brzmi. Potem wszystkie moje szkolne koleżanki prześlą ten news przez swoje tweety, być może dodadzą własny komentarz i emotikon symbolizujący płacz, aby pokazać, że ta sprawa ma dla nich – właśnie dla nich – bardzo osobisty charakter. Ciekawe, ile spośród osób zgromadzonych na sali czekało godzinami w kolejce, żeby zdobyć miejsce i uporządkować wspomnienia o tym, co nie

przytrafiło się im.

Nie chcę tego teraz słuchać, ale nie mam innego wyjścia. Siedzę i przyciskam dłonie do blatu stołu. Pani prokurator ciągle gada. Mam nadzieję, że wreszcie skończy. Wspomina o Amandzie, o Samirze, Dennisie, Christerze, Sebastianie i jego ojcu. Sędzia wygląda na podenerwowanego, dotyka dłońią młotka leżącego na stole i wbija swój świdrujący wzrok w jednego ze strażników.

Mimo płaczu dobiegającego z sali pani prokurator nie przestaje mówić. Klika w klawiaturę i wyświetla na ekranach szkolne zdjęcia. Tymczasem wycie przechodzi w inny rodzaj dźwięku. Widocznie strażnik powiedział kobiecie, żeby się uciszyła. Czuję drapanie w gardle, przykładam dłoń do ust, żeby czegoś nagle nie palnąć. Pani prokurator powinna się nauczyć bardziej stanowczych i ostrych form wystąpienia. Na razie nie wypowiedziała ani jednego zdania, które byłoby na tyle krótkie, żeby można je było zacytować na Twitterze. Jej mowa to zaledwie skrócona wersja tego, za co jej zdaniem powinnam zostać ukarana. Proces potrwa prawdopodobnie trzy tygodnie. Kiedy Sander mi o tym powiedział, pomyślałam, że to cholernie długo. Jednak biorąc pod uwagę fakt, jak długie jest owo krótkie streszczenie, może się okazać, że trzy tygodnie to i tak za mało.

Nadal siedzę ze spuszczonego wzrokiem, tyłem do publiczności. Myślę, że dziennikarze też o tym poinformują. Napiszą, że wysłuchałam imion i nazwisk zabitych i rannych osób, że słyszałam tamten pieprzony płacz i nie okazałam żadnych uczuć. Dla nich to dobrze, że jestem taka lodowato zimna i nieludzka.

Prawda jest taka, że nie tylko dlatego stanowią problem dla moich adwokatów. Nie chodzi też o to, że zdaniem Naleśnika wyglądam na starszą, niż jestem w rzeczywistości. Jego zdaniem jestem za wysoka i za mocna, mam zbyt duży biust, zbyt długie włosy i zdrowe zęby, a na dodatek noszę drogie dzinsy. Krótko mówiąc: nie jestem już dzieckiem.

Na dzisiejszą rozprawę nie zabrałam ani zegarka, ani biżuterii. Zresztą wcale ich nie potrzebuję. Ślady tego, kim byłam, zanim trafiłam do aresztu, są tak samo widoczne jak białe obwódki wokół oczu na opalonej twarzy po tygodniu spędzonym w Alpach. Kiedy pani prokurator zakończy swoje wystąpienie? Przydałaby się przerwa, bo muszę się przebrać. Powinnam włożyć coś innego niż tę zbyt ciasną bluzkę. Sander powiedział, że będzie wnioskował przynajmniej o jedną przerwę co dwie godziny. Chyba już pora. Chciałabym pójść do jakiegoś pokoju, w którym będzie tylko nasza czwórka, a Ferdinand spyta, czy mam ochotę napić się kawy. Zawsze ta kawa. Jestem już na tyle dorosła, że przyprowadzono mnie do tej sali, a przecież wszyscy dorośli piją kawę. Oczywiście z wyjątkiem Naleśnika. Jest jedyną znaną mi osobą w wieku powyżej piętnastu lat, która pije ciepłą czekoladę – nawet tę z automatu w areszcie śledczym. Naleśnik cmoka i siorbie napój swoimi czerwonymi wargami, a potem grzebie palcem na dnie kubka, gdzie zostały resztki czekoladowego osadu.

Muszę stąd jak najprędzej wyjść. W głowie mam pustkę.

Przypomina mi się moje ostatnie śniadanie w domu. Staram się myśleć o czymkolwiek, żeby tylko niczego nie słyszeć. Tamtego dnia zeszłam jak zwykle do kuchni. Rodzice już tam byli. Tata czytał gazetę, mama popijała na stojąco zieloną breję, którą się odżywia. Wyciska sok z zielonej kapusty, szpinaku i zielonych jabłek i miesza z awokado. Robi to w specjalnym blenderze do świeżo wyciskanego soku za prawie dziewięć tysięcy koron. Zanim zainteresowała się tą mieszanką, przyrządzała sobie pewien gatunek herbaty, który kupowała w internetowym sklepie należącym do jakiejś amerykańskiej firmy handlującej zdrową żywnością. Każdego ranka piła ją do omleta z czterech białek. Żółtka – dwadzieścia osiem sztuk tygodniowo – Tanja wrzucała do zamrażalnika, żeby tam stężały.

– Nie jestem w stanie ich przełknąć – mawiała żartobliwie mama

i wybuchła śmiechem, zupełnie jakby Tanja ją rozumiała. – Tanju, a może ty je zjesz?

Kiedy mama z nią rozmawia, za każdym razem używa tej samej barwy głosu. Przemawia w sposób rozwlekły, jak do upartego dziecka. Z tą tylko różnicą, że na pewno nie rozmawiałaby w ten sposób z moją młodszą siostrą Liną ani z żadnym innym dzieckiem. Inaczej rozmawia się z dziećmi, inaczej z pomocą domową. Tak niewinna rzecz jak zbiorowe morderstwo nie powinna zmienić w tym względzie zbyt wiele. Głowa do góry, nogi w dół. Wańka-wstańka z ołowianą kulką od spodu. Właśnie taka jest moja mama.

Udaje, że Tanja jest jej dobrą przyjaciółką, a przynajmniej koleżanką. To pewnie dlatego przez cały czas ją pyta, czy nie ma ochoty czegoś zjeść. Nigdy nie widziałam, żeby Tanja coś jadła. A jak już piła, to tylko pół szklanki wody. Wypijała ją jednym haustem oparta o zlewozmywak. Nigdy też nie wdziałam, żeby szła do toalety. Może się załatwia na nasze grządki albo sika do zielonego soku, który pije mama? Może się wstrzymuje i robi to dopiero po powrocie do siebie? Ciekawe, czy mama wie, co Tanja robi z tymi żółtkami. Może je pochłania jak Rocky przed ważną walką bokserską? Albo zabiera je do domu i przygotowuje z nich kogel-mogel dla swoich cherlawych dzieciaków? Nigdy ich nie widziałam, za to mama nauczyła się ich imion na pamięć. Zrobiła to z tej samej przyczyny, dla której pozdrawia żebraków. „Co słychać u Elwiry? Jak Sasza radzi sobie w szkole?”.

Tamtego ranka na kuchennym stole obok szklanki wyciśniętego soku (tym razem z pomarańczy) leżały ser, masło, plasterki pomidora i ogórek. Pachniało kawą i chyba jajecznicą. Wprawdzie jej nie widziałam, ale to chyba była jajecznica. Nasze śniadanie przypominało jakąś rytualną czynność, na przykład ofiarowanie. Tata wyciągał z radia kabel i kładł go na zlewozmywaku. Kabel leżał tam obok deski do krojenia jak odcięta kończyzna. Oznaczało to, że szykuje się jakaś poważna rozmowa. „Czyżby ktoś do nich dzwonił

i o wszystkim opowiedział? Czy ktoś zadzwonił na policję?”. Nie chciałam z nimi rozmawiać. Mama spojrzała na mnie bez słowa, a ja odwróciłam w milczeniu wzrok. W tym momencie zadzwonił mój telefon. Sebastian.

Wcześniej mu obiecałam, że pójdziemy razem do szkoły. Bardzo na to nalegał. Odpowiedziałam mu, że nie chcę. To samo powtórzyłam, gdy zadzwonił. Ale w domu też już nie chciałam dłużej czekać. Kto to wszystko zje, pomyślałam, męcząc się z butami. Wzięłam klucze leżące na stoliku w przedpokoju. Może Tanja owinie resztę jedzenia w folię i włoży je do zamrażalnika? Ale przecież ona nie pracuje w piątki, tego dnia ma wolne. Policja zdążyła przeszukać dom, zanim Tanja wróciła do pracy.

– Jestem spóźniona – zawołałam do rodziców. – Porozmawiamy wieczorem.

Wcale nie miałam takiego zamiaru. Nigdy więcej. I tak by niczego nie zrozumieli. Na to było już za późno.

Prokurator Lena Pärsson bez przerwy gada, ja zaś jeszcze ani razu się nie odwróciłam, żeby spojrzeć na publiczność. Wolę nie ryzykować, a nuż zobaczę mamę Amandy albo kogoś, kto chętnie by mnie skazał na dożywocie, a najlepiej na śmierć, albo przynajmniej chciałby mnie zamknąć na klucz i potem go wyrzucić. Z jakiej racji miałby ich zainteresować wywód Sandera w sprawie dowodów, przebiegu zdarzeń, strzelaniny, działania z premedytacją i całej reszty? Nawet mnie to nie interesuje.

Nie chcę też patrzeć na dziennikarzy. Rozumiem, po co tu przyszli: zamierzają opisać moje czyny, pokazać, że coś było tak albo tak, rozpisywać się o moim dzieciństwie i stosunkach z rodzicami, informować o tym, że było mi źle, za dużo piłam, paliłam nie te papierosy, co trzeba, słuchałam niewłaściwej muzyki, przebywałam w towarzystwie niewłaściwych ludzi i nie byłam zwykłą dziewczyną. Jedne rzeczy sobie wmawiałam, innych nie rozumiałam.

Nie interesuje ich, co się wydarzyło, bo chcą mnie zmieścić w jak najwęższych ramach. Dzięki temu łatwiej im będzie mnie potępić. Chcą być pewni, że nic ich ze mną nie łączy, bo tylko wtedy będą mogli spokojnie spać po nocach z nadzieją, że to, co mi się zdarzyło, nigdy, ale to nigdy nie zdarzy się im.

Pani prokurator („Mów mi Lena”, zaproponowała na jednym z przesłuchań) ze swoimi tandetnymi kolczykami (oryginalne egzemplarze sprzedawane są w obecności uzbrojonych ochroniarzy), nierówną grzywką i brwiami, które sobie chyba dorysowuje kredką, ciągle gada. Nagle zaczyna mi szumieć w głowie, więc znowu przykładam dłoń do ust. Swędzi mnie pod pachami, ciekawe, czy widać, że mam tam kółka od potu. Pärsson klika nerwowo na któryś plik i wyświetla na ekranie kolejny dokument. Koordynacja czynności, dzięki którym obraz ukaże się na ekranie, wydaje się dla niej ponadludzkim wysiłkiem. W końcu udaje jej się ustawić kursor na jednym ze zdjęć i prosi mnie, żebym na nie spojrzała.

Sander nie wspominał, że będą mi pokazywać jakieś zdjęcia. Pani prokurator wyświetla je już teraz, chociaż wygłasza dopiero mowę wstępną. Jak długo trwa taka mowa? Czy nigdy się nie skończy? Muszę się stąd jak najszybciej wydostać. Zerkam na Sandera, ale on na mnie nie patrzy. Pani prokurator otwiera kolejny plik, który zawiera mapę szkoły. Prawdziwy labirynt korytarzy i klas, a do tego jeszcze aula i wyjścia ewakuacyjne. Na mapie nie widać, jak niskie są szkolne korytarze. Nie widać też, jak bardzo jest na nich ciemno, nawet w słoneczny ranek pod koniec maja.

Pani prokurator wyświetla zdjęcie mojej szkolnej szafki, w której policja znalazła jedną z toreb Sebastiana. Pokazuje drzwi, przez które wychodzi się z klasy na dziedziniec szkolny. Tamtego dnia były zamknięte na klucz. Pani prokurator robi to chyba tylko po to, żeby wytłumaczyć, dlaczego policjanci nie skorzystali z tego wejścia (skrytykowały ich za to media), chociaż to i tak

nie miałyby żadnego znaczenia. W chwili gdy ktoś zadzwonił na policję, było już po wszystkim. Pani prokurator wskazuje drzwi prowadzące na szkolny korytarz. One też były zamknięte, ale nie na klucz. Mimo to otworzono je dopiero wówczas, gdy na jakąkolwiek interwencję było już za późno. Czy mógł to zrobić ktokolwiek inny niż policja? Niby kto? Na ekranie widać plan klasy. Zamykam oczy. Jak długo trwa to wystąpienie? Wydaje mi się, że od wielu godzin.

Pani prokurator nie pomija żadnego szczegółu. Zapoznałam się z aktami śledztwa, przynajmniej z dużą ich częścią, i doszłam do wniosku, że starała się mnie zdyskredytować. Pocięła mnie na kawałki, rozebrała na części, wyrwała mi wnętrzności i zajrzała nawet do odbytnicy, żeby powąchać, jak tam śmierdzi. Od miesięcy zwołuje konferencje prasowe. Ich główną bohaterką jestem ja. Robi to co tydzień, czasem kilka razy. Kazała nawet oddać do ekspertyzy moje majtki.

Pani prokurator „Mów mi Lena” Pärsson jest absolutnie pewna, że poznała mnie dogłębnie. Słyszę to w jej głosie. Każde jej słowo to oszlifowany klejnot – wyciąga je jeden za drugim na światło dzienne. Jest sobą wprost zachwycona, przekonana o tym, że wie o mnie wszystko: kim jestem, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, i tak dalej. Nie pokazuje mnie palcem, bo nie musi. Popatrzcie tylko wszyscy na Maję Norberg! To morderczyni i potwór, siedzi tam!

Ale wszyscy i tak już na mnie patrzą.

Sam akt oskarżenia, w którym opisała moje czyny i podała, jakiej kary się dla mnie domaga, liczy jedenaście stron i zawiera bardzo szczegółowe uzasadnienie. Są też załączniki z informacjami o ofiarach: kim są, jakich doznały obrażeń, kogo zastrzeliłam ja, kto padł z ręki Sebastiana. Na koniec stwierdziła, że to wszystko moja wina. Są zdjęcia, ekspertyzy i protokoły przesłuchań świadków, którzy twierdzili, że mnie znają, coś o mnie wiedzą

i chętnie pomogą wyjaśnić. Pani prokurator naprawdę się postarała. Jej wystąpienie od samego początku trzyma się kupy i dlatego wszyscy już z góry wiedzą, że zawiera prawdę, chociaż jeszcze się nie skończyło.

Zastanawiam się, co mama miała na myśli, mówiąc, że wszystko będzie dobrze.

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

5.

Wystąpienie pani prokurator dobiega wreszcie końca. Teraz głos zabiorą adwokaci reprezentujący rodziny ofiar. Pierwszy domaga się ode mnie zadośćuczynienia, ale żądana kwota nie powala na ziemię. Tylko jeden z nich przemawia dłużej niż dwie minuty. Po ich wystąpieniach Sander prosi o przerwę. Sędzia robi taką minę, jak gdyby poczuł jeszcze większą ulgę niż ja. Wychodzimy z sali razem – ja w środku, Ferdinand i Naleśnik po obu moich bokach. Sander idzie przed nami.

Wchodzimy do przydzielonego nam pokoju i zamykamy za sobą drzwi, na których wisi kartka z napisem „POZWANY”. Czy oni mają zamiar mnie jakoś nazwać? To dziwne, że sąd, czyli miejsce, w którym powinna być wszechobecna prawda, ma kłopot z nazywaniem pewnych spraw po imieniu.

– Czegoś ci trzeba? – pyta Ferdinand, a ja nie odpowiadam, czekam, co jeszcze powie. – Może kawy?

Kręcę przecząco głową. A może bukiet białych lilii – przechodzi mi przez myśl. Gdybym to powiedziała głośno, Ferdinand od razu by zemdlął, bo jest pozbawiona poczucia humoru. A ja lubię lilie. Ale nic nie mówię.

Sander przez całą przerwę stoi i milczy. Przy naszym pokoju jest toaleta. Myślę, że właśnie dlatego nas tu skierowano, bo na co dzień pokój pełni chyba inną funkcję. Dzięki temu nie będziemy musieli chodzić za potrzebą do ogólnie dostępnych toalet. Korzystamy z niej kolejno. Kiedy przychodzi moja kolej, deska klozetowa jest już ciepła.

W pokoju panuje całkowita cisza. Nikt nie poprosił o kawę. Ferdinand

popija wodę z butelki. Rozprawa ciągnie się już ponad dwie godziny. Wystąpienie pani prokurator trwało godzinę i czterdzieści siedem minut.

Po dwunastu minutach wracamy na salę rozpraw. Naleśnik znowu trzaska drzwiami z taką siłą, że kurtka, która na nich wisi, spada na podłogę. Ferdinand wiesza ją na swoje miejsce.

Zapomniałam się przebrać.

Po zajęciu miejsc słyszę chrząkanie taty. Dokładnie w tym samym momencie Sander rozpoczyna swoje wystąpienie. Zmuszam się, żeby nie patrzeć na tatę, i skupiam się na adwokacie. Siedzimy obok siebie. Sander dał mi notatnik i długopis i kazał zapisywać wszystko to, co wyda mi się dziwne albo o co będę chciała go zapytać.

– To bardzo ważne, byś była przekonana, że tak jest dla ciebie najlepiej.

Sander powtórzył to zdanie kilka razy.

Lubię go, ale nie zawsze rozumiem, co do mnie mówi. To znaczy rozumiem zdania i słowa, lecz nie ich znaczenie.

„Że tak jest dla ciebie najlepiej”. Może chodzi o to, żebym była zadowolona? Spytałam go, co miał na myśli, ale chyba niepotrzebnie, bo w odpowiedzi usłyszałam jakiś bełkot w stylu, że reprezentuje mnie w sądzie, więc jeśli powie cokolwiek, co nie zgadza się z moją wizją przebiegu wydarzeń, powinnam mu zwrócić na to uwagę.

Po chwili chyba do niego dotarło, że jego słowa zabrzmiały idiotycznie, bo spojrzał na mnie i powiedział:

– Jeśli powiem coś, co cię rozzłości, przestraszy, zirytuje albo wywoła podobną reakcję, musisz mi to zasygnalizować. Ale nie wtedy, kiedy będę o tym mówił, bo usłyszysz cię sędzia i prokurator. Zapisz to sobie i pomówimy o tym później.

Są też inne rzeczy, których ni w ząb nie rozumiem. Sprawy, o których Sander chce mówić („podjąć je”) podczas procesu. Denerwuje mnie, że

rozmawia o nich bez mojego udziału albo planuje taktykę z Ferdinandem, Naleśnikiem i innymi prawnikami, których prawie nie rozróżniam, bo wszyscy oni tak są do siebie podobni. Siedzą w swojej kancelarii przy długim stole i rozważają różne strategie. I podejrzewam, że podczas takich rozmów zajadają chińszczyznę z kartoników.

– Maja Norberg przyznaje się do części opisanych czynów, ale nie przyznaje się do popełnienia morderstwa – oznajmia Sander.

Ciekawe, czy ktoś naprawdę uwierzy w moją niewinność i czy uda nam się kogokolwiek przekonać, że nie popełniłam zbrodni. Zastanawiam się, jak zapisać te moje wątpliwości w notesie, żeby Sander mi je później odpowiednio wyjaśnił.

Sander mówi, że powinnam mu zaufać i że jest na mnie całkowicie otwarty. Czy mam inne wyjście? I tak nie wiem, co jest, a co nie jest słuszne.

Sander patrzy na ludzi w różny sposób. Na przykład gdy patrzy wprost na swojego rozmówcę, wzrok ma skoncentrowany, choć znudzony, i widać, że nic nie jest w stanie go zadziwić ani nikt nie jest w stanie powiedzieć czegokolwiek, czego on by nie przewidział. W taki sposób spoglądał na policjantów, którzy mnie przesłuchiwali. Czasem sobie wyobrażam, jakim wzrokiem patrzy na dziennikarzy, gdy zadają mu pytania, na które nie wolno mu odpowiadać („obowiązuje mnie zakaz ujawniania szczegółów”). Teraz, gdy wygłasza swoją mowę, patrzy na sędziego i na panią prokurator właśnie w taki sposób. Wzrok ma uprzejmy, ale zmęczony.

Spojrzenie, którym obdarza Naleśnika, jest znacznie gorsze. Kiedy Naleśnik mówi rzeczy w stylu „Jeśli ktoś chce sobie usmażyć omlet, musi najpierw rozbić jajka” albo „Nawet zepsuty zegar pokazuje prawidłową godzinę dwa razy na dobę”, Sander patrzy na niego z politowaniem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Uważasz, że to zabawne?”. W takim momencie człowiek marzy tylko o tym, by zapaść się pod ziemię.

Najbezpieczniej jest wtedy, kiedy Sander nie mlaska językiem i coś mówi.

Większość ludzi, przynajmniej co jakiś czas, Sander obdarza spojrzeniem, które mówi, że jest bardzo rozczarowany, bo spodziewał się czegoś więcej, ale jakoś sobie z tym poradzi, bo przecież nie ma innego wyboru. Czasem patrzy z zadowoleniem na Ferdinanda, ale jego wzrok i tak jest wtedy prawie obraźliwy, jak gdyby był zdumiony faktem, że Ferdinand nie jest idiotką. Za to nie zauważa, jak ona patrzy na niego. Może ma to po prostu w nosie?

Podoba mi się sposób, w jaki Sander patrzy na mnie. Nie chce, żebym się śmiała z jego dowcipów ani pytała, jaką przyjął taktykę albo jaki ma pogląd na daną sprawę. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby zerkać ukradkiem na moje piersi. Interesuje go wyłącznie to, co mówię, i stara się jak najlepiej wykonać swoją robotę. I kropka.

Nie muszę się obawiać, że usłyszę od niego, iż to, co mówię, jest zbyt skomplikowane. Nie muszę się niepokoić, że go czymś urażę czy wprawię w zakłopotanie. Patrzy na mnie jak na osobę dorosłą albo taką, która zasługuje, aby ją tak traktować. Myślę, że tak właśnie patrzy na swoich klientów. Być może właśnie z tego powodu uważany jest za celebrytę.

Jestem z niego „zadowolona”.

Gdybym spytała tatę, dlaczego go wybrał, odparłby, że „Sander uważany jest za najlepszego adwokata”. Czy jest drogi? Zapewne droższy, niż mogę to sobie wyobrazić, ale tata nigdy mi tego nie zdradzi, bo nie robi takich rzeczy. Tata przestrzega wszystkich zasad mówiących o tym, co wolno, a czego nie.

To nie jest po prostu tak, że mama reprezentuje stare pieniądze, a tata jest nuworyszem. Żadne z nich nie jest symbolem tego, co uważają za eleganckie. Mama wychowywała się w bogatej rodzinie. Dziadek zarobił mnóstwo pieniędzy na sprzedaży narzędzi chirurgicznych używanych do operacji kolan. Opatentował je, gdy jeszcze studiował medycynę i zanim przemysł medyczny zdążył się połapać, że jego wynalazki to nie jakieś tam błyskotki, tylko

instrumenty, których używa się na co dzień. Po dwóch latach okazało się, że bez narzędzi wymyślonych przez dziadka „nie można się obejść” (słowa mamy). „Wszyscy” ich używali, „na całym świecie” (słowa mamy). Dziadek stał się „obrzydliwie bogaty” (to na pewno nie słowa mamy; za to dziadek powtarza je tak często, jak tylko może).

Dziadek ma do swoich pieniędzy taki sam stosunek jak do pogody. Istnieją, używa ich, ale bez względu na to, ile ich wyda, nigdy mu się nie kończą. Co za szczęście: nic, tylko używać! Być może właśnie takie nastawienie dziadka do pieniędzy było powodem tego, że mama niechętnie o nich mówiła. Mówiąc „niechętnie”, mam na myśli to, że najważniejsze było dla niej coś innego: zależało jej, aby wszyscy myśleli, iż jest bogatsza, niż to po niej widać. I próbowała to osiągnąć, udając, że pieniądze są dla niej najmniej ważne.

Mama powiada, że wszystkie antyki w naszym domu odziedziczyła po swojej rodzinie. Na przykład zegar w kuchni. Nie bardzo wie, jaki jest: ładny czy groteskowo brzydki, więc gdy ktoś o nim wspomni albo rzuci na niego okiem, mama śmieje się przez nos i mówi: „Rodzina!”, a następnie wznosi wzrok do nieba, jak gdyby zegar był tą częścią masy spadkowej, z którą musi żyć, bo inaczej jej przodkowie będą się przewracać z oburzenia w grobach.

Mama nigdy się nie przyzna, że nasze meble pochodzą z aukcji, na których sprzedawane są rzeczy należące do bankrutów. To dziadek wylicytował je u Bukowskiego, a potem się nimi znudził i oddał je nam. Mamie nie chodzi o to, żeby kogoś oszukać, bo nikomu nigdy by nie przyszło do głowy posądzać ją o to, że udaje kogoś, kim nie jest. A jednak mama ciągle udaje. Większość ludzi traktuje ją uprzejmie i nie pozbawia złudzeń.

Pieniądze taty są znacznie „młodsze” od jej pieniędzy. Tata nie ma jednak na tyle dużo, żeby jakoś zrekompensować jej tę różnicę. Kiedy uczęszczał do liceum w Uppsali, przez ostatni rok mieszkał w internacie, bo w tym samym czasie jego nudni, porządni i należący do klasy średniej rodzice przebywali

w północnej Afryce, gdzie w ramach specjalnego projektu zajmowali się nawadnianiem ziemi. To wtedy tata zrozumiał, czego mu potrzeba i jak ma się „dopasować”, żeby ludzie z wyższych sfer uznali go za godnego siebie. Oczywiście nie miał racji.

Teraz pewnie się boi, że zaczną go uważać za takiego, jaki faktycznie jest. W gazetach nazywają go maklerem finansowym. Być może ludziom to imponuje, ale czy słusznie? Wszyscy, którzy choć trochę się liczą, wiedzą, że makler to zawód, który można wykonywać najwyżej do trzydziestego piątego roku życia, a potem trzeba puścić w obrót swoje własne pieniądze, bo inaczej taki człowiek staje się równie żałosny jak kelnerka z żyłakami i obwisłym biustem. Kiedyś tata przedstawił się komuś jako doradca, przy czym na twarzy miał taki uśmiech, jakby chciał poinformować swojego rozmówcę, że sprawa jest zbyt skomplikowana, aby się w nią bardziej zagłębiać. Na jego wizytówce widnieją słowa „zarządzający funduszami”. To nie to samo co makler giełdowy, ale prawie.

Zawsze słyszałam, że wdałam się w tatę. Mama mi to mówi, kiedy się złości. Za to kiedy dostaję dobre stopnie w szkole, przypomina mi o tym tata. Wydarzenia z sali rozpraw wskazują na razie na to, że kiedy proces dobiegnie końca, mój tata stanie się „tym znanym maklerem giełdowym, ojcem tej zabójczyni, Mai”. Gratulacje!

Zastanawiam się, czego najbardziej boi się mama. Tego, co się ze mną stanie, czy raczej tego, co już się stało. Mam to w nosie, ale martwię się o Linę. Na samą myśl o tym, że mogłoby się to na niej jakoś odbić, czuję się równie fatalnie jak wtedy, kiedy myślę o tym, co wydarzyło się w klasie.

Dawniej, gdy nie mogłam zasnąć, przynosiłam ją do mojego łóżka. Kiedy leżała obok mnie, czułam się trochę lepiej, również w ciągu ostatnich tygodni. Włosy przyklejały się jej do karku, ale zawsze ładnie pachniały, nawet gdy były brudne. Czasem ją straszyłam, że przyśni jej się koszmar, a wtedy ona

przychodziła do mnie. Czasem jej mówiłam: „Śniło ci się coś straszego, pamiętasz, co to było?”, a wtedy ona patrzyła na mnie zmieszanym wzrokiem i zaczynała opowiadać o koszmarze. Najczęściej były to jakieś ponure, nieskładne historie z mamą i naszym domem w głównej roli, czasem pojawiała się w nich nowa zabawka, rozetka albo piesek. Lina bardzo marzyła o psie. Mam nadzieję, że kiedyś rodzice go kupią i pozwolą mu spać z nią w łóżku. Najbardziej bym jednak chciała, żeby Lina spała w moim łóżku. Może dzięki temu poczuje się lepiej niż przedtem.

Próbuję sobie wmawiać, że Lina nie rozumie tego, co się dzieje. To dobrze, że nie ma jej na sali, ale i tak nie wszystko jest w porządku. Przecież nie mogę sobie wmawiać, że jeśli ktoś nie rozumie, co się dzieje, to boi się mniej. Wiem, że jest dokładnie odwrotnie.

– Maja nie przyznaje się do postawionych jej zarzutów. Nie uczyniła nic, co mogłoby skutkować odpowiedzialnością karną. Maja nie wiedziała o planach Sebastiana Fagermana i nikt jej o nich nie mówił. Nie można jej też stawiać zarzutu o podżeganie, o zaniechanie, które skutkuje odpowiedzialnością prawną, ani o działanie z premedytacją. O działaniu z premedytacją nie może też być mowy w przypadku oskarżenia o zaniechanie. Maja przyznaje się, że we wskazanym miejscu wystrzeliła z broni, która wymieniona jest w opisie czynu, ale uczyniła to w samoobronie. Dlatego nie można jej skazać za współudział w żadnym z tych przestępstw.

Skutkowanie, podżeganie, zaniechanie, premedytacja... te słowa huczą mi w głowie. Kiedy Sander wypowiada je głośno, ogarnia mnie śmiertelny strach, bo zdaję sobie sprawę, że używamy prawnych formułek i dziwnych słów, byle tylko nie mówić prawdy.

A ja właśnie chcę ją powiedzieć. I mam gdzieś konsekwencje. To, co najgorsze, już się zdarzyło. Ciekawe, czy Sander będzie mówił tak samo długo

jak pani prokurator. Nie sędzę. Minęło dopiero jedenaście minut, a on już chyba kończy. Nie wiem, czy to źle, czy dobrze, choć tego też się boję. A jeśli ktoś uzna, że Sander mówił tak krótko tylko dlatego, że nie ma nic do powiedzenia? Przesuwam dłonią po notesie, przyciskam długopis do kartki, ale nie piszę. Trzy minuty później Sander kończy swoje wystąpienie.

Od chwili, gdy zamknęłam drzwi naszej klasy, do momentu, kiedy oddałam strzały, nie upłynęło więcej niż trzy minuty. Policja wpadła do środka dziewiętnaście minut po tym, jak wszystko się zaczęło.

Ile osób weszło wtedy do klasy? Personel karetki pogotowia i policjanci, mnóstwo policjantów. Byli uzbrojeni po zęby, mieli ciężkie buty i noktowizory na hełmach. Jeden z nich stanął mi na rękę, drugi kopnął mnie w ramię, trzeci podniósł mnie z podłogi, odrzucił karabin. W sali panowało zamieszanie, wszędzie było mnóstwo ludzi. Czy krzyczeli? Chyba tak. Ale nie pamiętam, czy coś powiedziałam. Zanim zabrali się do mnie, odciągnęli ode mnie Sebastiana. Broń zostawili tam, gdzie leżała, o sekundę dłużej, niż pozwolili Sebastianowi leżeć przy mnie. Nadal się zastanawiam dlaczego.

Położyli mnie na noszach, ktoś okrył mnie kocem. Nie wiem, czy wynieśli mnie stamtąd jako pierwszą. Chyba nie.

Cała strzelanina trwała minutę, może półtorej. Tak napisano w aktach śledztwa, zresztą nie muszę tego pamiętać. Nadal mam mętlik w głowie. Czasem, kiedy wracam myślami do tamtych wydarzeń, wydaje mi się, że już dziesięć sekund po oddaniu pierwszego strzału było po wszystkim. Czasem znów myślę, że trwało to latami. Trochę mi to przypomina Narnię: jeśli ktoś tam trafił, bo otworzył nie te drzwi szafy, co trzeba, i po długiej wojnie przeciwko Białej Czarownicy wrócił do swojego świata, okazywało się, że nie minęła w nim nawet jedna minuta.

Od chwili, gdy zamknęłam drzwi do klasy, do momentu, kiedy znowu je otworzono, upłynęło dziewiętnaście minut. Wyliczenia na pewno się zgadzają.

Policja i pani prokurator twierdzą, że zaplanowaliśmy to razem z Sebastianem, bo rosło w nas poczucie złości i wyobcowania. Czynnikiem, który przelał czarę goryczy, była impreza w wieczór poprzedzający strzelaninę, jak również ostatnia kłótnia. Ci, którzy stoją przed salą rozpraw i ciskają kamieniami, bo nienawidzą mnie i tego, co ich zdaniem symbolizuję, powinni raczej wołać, że wszystko zaczęło się od kapitalizmu, monarchii, rządu koalicyjnego, a może nawet od dnia, w którym porzuciliśmy wiarę w naszych dawnych bogów – Asów – albo od czegoś zupełnie absurdalnego, czego nawet oni nie potrafiliby logicznie wytłumaczyć.

Tylko ja znam prawdę. Wiem, że wszystko zaczęło się od Sebastiana i że wszystko się na nim skończyło.

Jedno z moich pierwszych wspomnień i to nie tylko spośród tych, które związane są z nim, ale i z całym moim życiem, dotyczy dnia, w którym zobaczyłam Sebastiana na drzewie. Kiedyś, gdy wracałam z mamą z przedszkola, przechodziłyśmy obok posiadłości Fagermanów. Sebastian miał wtedy pięć lat i wszyscy go kochali. Miał falujące, niezbyt długie włosy, które na czole układały mu się w loczki. Sebastian zadawał pytania wprost i trzeba było na nie odpowiedzieć. Na niczym nie umiał się skoncentrować, ale zawsze dawał z siebie wszystko. Na tysiąc procent. To z nim chcieli się bawić wszyscy chłopcy, to o nim szeptały wszystkie dziewczyny. Nawet nasze przedszkolanki przyglądały się zazdrosnym wzrokiem tym, którzy po zajęciach czy tuż przed pójściem do domu zapinali mu guziki kurtki, poprawiali szalik i wyciągali z szafy parę eleganckich spodni. Sebastian wybierał sobie na dany dzień tę przedszkolankę, na którą akurat miał ochotę. „Anneli mi pomoże, a Laylah zdejmie mi skarpetki”.

Tamtego dnia, gdy siedział na drzewie, zawołał mnie po imieniu. Zrobiło to na mnie tak wielkie wrażenie, że po prostu zaniemówiłam. Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Mama coś mu odpowiedziała, a potem szepnęła do

mnie podekscytowanym głosem: „To chyba Sebastian Fagerman, prawda? Czy w przedszkolu jesteście w tej samej grupie?”. Jakby tego nie wiedziała. Zapamiętałam jednak, że na samą myśl o tym, iż Sebastian wymienił moje imię, przeszedł mnie dreszcz.

„Maja”. Było to bardziej stwierdzenie niż pozdrowienie. Nie odpowiedziałam, za to zareagowała moja mama. „Witaj, Sebastianie”, powiedziała. A potem chyba dodała: „Uważaj, żebyś nie spadł” albo coś w tym stylu. Puściłam jej rękę, bo nie chciałam, żeby się mieszała w nasze sprawy. Nie powinno jej to obchodzić. Nie chciałam, żeby coś popsukała.

Niecały tydzień później, gdy razem bawiliśmy się w przedszkolu, daliśmy sobie po całusie. Często zastanawiam się nad tym, że tak naprawdę to my się nigdy nie bawiliśmy, nawet w przedszkolu. My się po prostu macaliśmy. Z chłopakami Sebastian robił to, co robią inni chłopcy: grał w piłkę, coś tam z nimi budował... na przykład domy z klocków, które potem można zburzyć. Ze mną było inaczej. Sebastian miał ze mną kontakt „fizyczny”: dotykał mnie, głaskał, wachał moje włosy, dotykał moich rąk, przykrywał nas kocem, kładł się obok mnie i oddychał mi prosto w twarz. Ponieważ pod kocem było ciepło i brakowało tlenu, kręciło mi się w głowie. Nawet w przedszkolu zabawy z dziewczynkami sprawiały mu kłopot. Pięcioletni Sebastian dobierał się do mnie. Ponownie zwrócił na mnie uwagę dopiero wówczas, gdy miałam piętnaście lat.

Czy brakowało mi tego, że przez te wszystkie lata bawił się z innymi dziećmi, chodził do starszej klasy i tylko ja wiedziałam, kim naprawdę jest? Tak, brakowało.

– Nie możesz decydować o tym, co inni pomyślą o Sebastianie – powtarzał mi często Sander. Nawet nie wiem jak często. – Nie musisz się martwić o to, jak go zapamiętają. Musimy się skupić na tobie, sprawić, żeby ten proces toczył się jedynie w sprawie tych oskarżeń, które dotyczą ciebie. Niczego

więcej.

„Jedynie w sprawie tych oskarżeń, które dotyczą ciebie”. Jak gdyby nie miało to nic wspólnego z tym, co zrobił Sebastian, jak gdyby jedno można było oddzielić od drugiego. Pani prokurator jest na pewno innego zdania, bo według jej opinii wszystko to się ze sobą wiąże. Może więc powinnam zapisać w moim notesie, że to ona ma rację?

Pierwszy tydzień procesu — poniedziałek

6.

Kiedy rozprawa dobiega końca, w garażu czeka na mnie Susse, strażniczka z aresztu. Ubrana jest w coś, co przypomina mundur. Uśmiecha się i to szerzej, niż powinna, a zęby ma tak białe, że aż prawie jasnoniebieskie. Na tle opalonej twarzy wyglądają tak, jakby wstawiono je w nieprawidłowy sposób i teraz tylko czekały na okazję, żeby wypaść. Susse pyta, jak się czuję, ale nie jestem w stanie jej odpowiedzieć. Wsiadam do samochodu i zamykam oczy.

Susse pozwala mi zabrać mój notes. Nie zapisałam w nim ani jednego słowa, za to narysowałam mnóstwo kółek: małych i dużych, jedne na drugich, obok siebie.

Susse zajmuje miejsce obok mnie na tylnym siedzeniu. Zerka na mnie z boku, ale nie odzywa się. Zostawia mnie w spokoju.

Jak do tego doszło?

Kiedy Sander opowiadał o mojej klasie, nie słuchałam go zbyt uważnie. Ocknęłam się dopiero wtedy, kiedy zaczął mówić o mnie. Osoby zamieszane wymieniał zarówno z imienia, jak i z nazwiska. Za to gdy mówił o mnie, posługiwał się tylko moim imieniem. Maja. Bez nazwiska, za każdym razem tylko Maja, chociaż na chrzcie dali mi Maria. Kobieta o imieniu Maria może być politykiem, pisarką, lekarką, a nawet morderczynią. Natomiast „Maja” jest fajniutka i niewinna. Taka Maja Śmietanka z książki o Filonku Bezogonku. Z kolei pani prokurator zwraca się do mnie per oskarżona, a co jakiś czas wymienia mnie z imienia i nazwiska: Maria Norberg. Nigdy Maja, chociaż tak się do mnie zwracała w czasie przesłuchań.

– Ważne jest to – stwierdził Sander (w jego świecie wiele rzeczy jest ważnych) – żeby sąd poznał Maję Norberg, a nie Marię Norberg.

Nie bardzo wiem, jakim sposobem pomysły Sandera mogą doprowadzić do wyroku innego niż ten, którego się wszyscy spodziewamy. On zresztą też nie wie. W swoim krótkim wystąpieniu składającym się głównie z prawniczego żargonu zdążył wspomnieć o moich rodzicach i o szkole; stwierdził, że świat dorosłych mnie rozczarował, że od czasu, gdy w moim życiu pojawił się Sebastian, nie mogłam sobie z niczym poradzić, że znalazłam się w sytuacji, z której nie umiałam się wyzwolić, i że w dniu, w którym doszło do opisywanych wydarzeń, miałam dopiero osiemnaście lat, i to „od niedawna”.

Sander twierdził, że przedwcześnie dojrzałam i jestem inteligentna, choć niezbyt pewna siebie, a do tego łatwo mną manipulować. Kazał mi zrobić test na inteligencję i poprosił dwóch psychologów, aby przeprowadzili ze mną wywiad. Ma całą teczkę opinii na temat tego, kim jestem, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, i dlaczego nie uczyniłam wielu innych rzeczy, które zdaniem pani prokurator powinnam była uczynić.

Kiedy wyjeżdżamy na autostradę, Susse bierze mnie za rękę, a ja opieram się o jej ramię. W szkole wszyscy wiedzą, że jestem zdolna, więc gdy się zgłaszam do odpowiedzi, nauczyciele tylko się uśmiechają. Prawie nigdy mnie nie wywołują, bo ja już nie muszę niczego udowadniać. Na tle innych uczniów naszej klasy po prostu błyszczę. Od pierwszego dnia szkoły, gdy w czasie niezapowiedzianego sprawdzianu z ortografii odpowiedziałam prawidłowo na wszystkie pytania, otacza mnie niezwykła aura; od czasu gdy zaczęłam pracować nad charakterem pisma, chociaż nie było to wymagane; od sprawdzianu, na którym poprosiłam o dodatkowe kartki, bo zabrakło mi tych, które dostaliśmy od nauczycielki.

Jestem zdolna, a nauczyciele myślą, że to ich zasługa. Należę do grupy tych uczennic, dla których nauczyciele – jak sami twierdzą – żyją i pracują. Bo

przecież nie chodzi im o pieniądze.

Właściwie to powinnam powiedzieć, że taką uczennicą „byłam” i już nie „jestem”. Obecnie stanowią wyłącznie skrajny dowód świadczący o ostatecznym upadku szkoły. Sander może sobie przez cały tydzień gadać o tym, jaka jestem zdolna, a i tak nic to nie zmieni. Z tego „przedmiotu” i tak nie dostanę szóстки.

Bycie zdolną ma pewne znaczenie, zwłaszcza jeśli ktoś twierdzi, że całkiem przypadkiem znalazł się w klasie pełnej martwych ludzi i za to, co zrobił, nie ponosi odpowiedzialności. Kiedy Sander poinformował mnie o bardzo dobrym wyniku testu na inteligencję, wyczułam w jego głosie jakiś żal. A przecież wiedziałam, że to zła wiadomość – sama od lat próbowałam udawać, że jestem kimś innym, niż faktycznie byłam.

Zachowywałam się dokładnie tak, jak wszystkie inne dziewczyny: skarżyłam się na wszystko, co miało jakikolwiek związek ze mną, udawałam, że się denerwuję przed sprawdzianami, a potem udawałam, że jestem zawiedziona tym, co napisałam. „O rany, nie zdążyłam odpowiedzieć na ostatnie pytanie, na pewno poszło mi fatalnie”. Wobec koleżanek, nauczycieli i innych dorosłych osób udawałam naiwną i głupszą, niż byłam, a wszystko to robiłam tylko z jednego powodu: żeby nie wyglądać na zarozumiałą egoistkę, której się wydaje, że jest kimś więcej, niż jest. Rozum mi podpowiadał, iż bycie „mądralą” nie jest w cenie, nic nie znaczy, a na dodatek stanowi problem.

Podczas dzisiejszej rozprawy Sander nawet nie wspomniał o teście na inteligencję. Skupił się na tym, jak zostałam zmanipulowana, na co byłam narażona i jak to na mnie wpłynęło. Nie omieszkał też wspomnieć, że „Maja nie była w stanie przewidzieć konsekwencji swoich czynów” i dlatego winą za to, co się stało, należy „obciążyć osoby, które ponoszą za to faktyczną odpowiedzialność”. Jeszcze ważniejsze jest to – stwierdził Sander – abyśmy

pamiętali, że dyskutujemy tu o odpowiedzialności prawnej. Na końcu zwolnił tempo wystąpienia i zaczął mówić trochę cichszym głosem, żeby zachęcić publiczność do słuchania.

– Nie dajcie się państwo oszukać – powiedział.

W tym momencie głos mu lekko zadrżał, bo adwokat Peder Sander chciał wszystkim pokazać, jak bardzo zaangażowany jest w tę sprawę pod względem emocjonalnym. Dziennikarzom wyznał, że będzie to jego ostatnia, a zarazem najważniejsza sprawa, i mówił prawdę. Sander nie zmyślał. Drżącym głosem dodał, że nie jestem dla niego pierwszą lepszą klientką, tylko „niewinnie oskarżoną Mają”. Potem podniósł głos i wypluł z siebie z odcieniem złości i obrzydzenia następujące zdanie: „Prawną odpowiedzialność za to, co się stało, ponosi tylko jedna osoba: Sebastian Fagerman”.

Potem zrobił pauzę, położył mi dłoń na ramieniu i poczekał, aż wszyscy ławnicy spojrzą w naszą stronę. Jeszcze teraz, siedząc obok Susse, czuję ciężar jego ręki.

– Chcemy pociągnąć kogoś do odpowiedzialności za tę tragedię. Szukanie wyjaśnień jest rzeczą ludzką. Nie mamy jednak podstaw, aby oskarżać Maję. Winę za to ponosi Sebastian Fagerman, a on nie żyje.

W tym momencie mój tata znowu chrząknął. Mama płakała, a ja nabrałam powietrza. Cała nasza trójka świetnie wyczuła dramaturgię chwili, bo Sander mówił tylko o tym, co mieściło się w paragrafach.

Kiedy skręciliśmy w stronę aresztu, a przed bramą wjazdową samochód zwolnił, żeby Susse mogła pokazać na portierni swoją legitymację służbową i przepustkę, poczułam, że ból głowy przemieścił się do czoła. Przełknęłam ślinę, wyprostowałam plecy i otworzyłam oczy.

– Dobrze – odpowiadam na pytanie, które wcześniej zadała mi Susse. Idziemy korytarzem aresztu i mijamy kolejne drzwi. – Całkiem dobrze.

Karetka pogotowia, szpital

7.

Policjanci otoczyli cały teren. Kiedy wynosili mnie na noszach z klasy do karetki pogotowia, w pewnej odległości od szkoły zauważyłam grupę gapiów i niebiesko-białą taśmę policyjną, która powiewała wzdłuż całej drogi prowadzącej do budynku. Oczywiście wyobraźni ujrzałam barierki ustawione między pastwiskiem dla krów a polem kukurydzy.

Kiedy wsuwali mnie do karetki, usłyszałam kolejną syrenę. Zastanawiałam się, czy ambulans jechał do szkoły, czy już z niej wracał.

Nie wiem, którą drogą jechaliśmy do szpitala, bo nic nie widziałam. Leżałam na noszach przykryta kocem i marzyłam o powrocie do domu. Wmawiałam sobie, że karetka jedzie określoną trasą, że wkrótce zatrzyma się przed naszym domem w Altorp z wygrabionymi alejkami i żółtymi, włączanymi na noc lampami („No proszę, są takie praktyczne”; to słowa mamy), że będziemy przejeżdżać koło kortów tenisowych („zaraz za rogiem, jakie to praktyczne”; to także słowa mamy) i koło Framnäsvisken, zatoki z cumującymi w niej łodziami, które niedawno, przed wypłynięciem między szkiery, zostały odświeżone i zwodowane. „Sąsiadujemy z rajem” (to też słowa mamy).

Sebastian zwodował swoją łódź przed trzema tygodniami. Spędziliśmy na niej święto Walpurgii. On spał, a ja leżałam obok i wpatrywałam się w zamgloną poświatę nieba. To było tak niedawno...

Już się domyśliłam, że karetka nie zabierze mnie do mojego domu. Mimo to akurat w tym momencie bardziej niż kiedykolwiek chciałam zobaczyć to, co znałam: korty tenisowe w hali sportowej w Norrängsgården, alejkę prowadzącą do Sammis, która była zbyt stroma, żeby dojechać tam rowerem;

Vasaskolan, kamienne ścieżki na Ekudden, wąską plażę przy klubie Barracuda, drzewa rosnące wzdłuż Slottsbacken i hamak, który tata kupił przed tygodniem. Nic by się przecież nie stało, gdybym mogła to wszystko jeszcze raz zobaczyć. Niestety, w karetce nie było okien, a my pędziliśmy coraz dalej i dalej.

Czy władze zamkną teraz wszystkie szkoły? Co ze studniówkami? Czy trzeba je będzie przełożyć na inny termin? Co z imprezą u Amandy? Miała ją zorganizować jako ostatnia z naszej paczki. Wymogła na mnie, żebym wygłosiła mowę. „Musisz, musisz, musisz!”. Co teraz będzie z jej imprezą? Przecież Amanda na pewno nie żyje. Słyszałam, jak umierała, słyszałam, jak oni wszyscy umierali. Po kolei. Widziałam, że nie żyją. Jestem tego pewna. Obserwowałam, jak umierali. Wszyscy oprócz mnie są martwi, chociaż nie tak dawno żyli.

Która godzina? Czy to możliwe, że od chwili gdy skończyła się impreza, a ja poszłam z Sebastianem na rynek w Djursholmie, upłynęło zaledwie kilka godzin? Podczas tamtego spaceru wszystko sobie wyjaśniliśmy i później nie było już o czym rozmawiać. Sebastian szedł przede mną, bo nie chciał iść obok. Zauważyłam, że tablica reklamowa przed piekarnią przewróciła się na ziemię. Czy właściciele zostawili ją tu na noc? Noc była ciepła, podobnie jak ta wiosna, prawie taka jak lato. Za tydzień będzie nam się wydawać, że całe to ciepło się marnuje i nie wystarczy go do letnich wakacji. Podczas tamtego spaceru z Sebastianem bolały mnie stopy i dlatego szłam po asfalcie boso. Pantofle niosłam w ręce, trzymając je za paski wiązane nad kostkami. Chciałam dotknąć Sebastiana, ale odtrącił moją rękę. Mimo to ciągle miałam nadzieję, że w końcu się uspokoił, że nie jest na mnie zły. Faktycznie, wydawał się spokojniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Czy to wszystko wydarzyło się zaledwie kilka godzin temu? Czy on naprawdę nie żyje?

Podczas tamtego spaceru szliśmy aleją Henrika Palmego. Ulica była

zupełnie pusta, a wokół nas było jasno jak za dnia. Zaraz potem mieliśmy wrócić do szkoły, żeby spotkać się z Dennisem, Samirem i całą resztą. Ale podczas spaceru byliśmy zupełnie sami. Nikt nie szedł ani za nami, ani przed nami. Domy stały na swoich miejscach, samochody w garażach, drzwi domów były zamknięte na klucz, systemy alarmowe włączone.

Cały Djursholm sprawiał wrażenie wyludnionego. Nie słyszałam śpiewu ptaków ani innych porannych dźwięków. Wokół nas panowała zupełna cisza. Pomyślałam, że to cisza przed śmiercią, jakby chwilę po wybuchu bomby atomowej. Dlaczego pomyślałam wtedy o bombie? A może wcale tego nie zrobiłam, tylko bomba przyszła mi na myśl dopiero teraz, gdy jest już po wszystkim?

Przez całą drogę ze szkoły do szpitala leżałam na noszach, słyszałam różne dźwięki, ale nic nie widziałam. Po pewnym czasie usłyszałam kolejną syrenę. Pomyślałam sobie, że może to oznaczać, iż komuś bardzo się śpieszy i że to jeszcze nie koniec, że ktoś przeżył.

– Czy wszyscy zginęli? – spytałam siedzącego obok policjanta.

To chyba on wyniósł mnie z klasy.

Nie odpowiedział. Nawet na mnie nie spojrzał. On już mnie nienawidził.

Pracownicy szpitala, którzy mnie rozbierali, mieli na rękach gumowe rękawiczki. Moje ubrania powkładali do różnych toreb. Umyć mogłam się dopiero po kilku godzinach. Zanim weszłam pod prysznic, obejrzelni mnie trzej lekarze i cztery pielęgniarki. Odkręciłam ciepłą wodę i po prostu stałam. Strumień wody osiągnął stopniowo temperaturę wrzenia, ale prawie wcale tego nie czułam. A jednak nie udało mi się pozbyć zapachu krwi. Drzwi do pomieszczenia z prysznicami zostawiono otwarte, a w środku nie było żadnej zasłony, dzięki czemu policjantka, która stała oparta o futrynę drzwi, mogła mnie przez cały czas obserwować. Lekarze poddali mnie wielu różnym testom: coś ze mnie zdrapywali, pobierali próbki spod paznokci i z wnętrza ciała.

Robili to metalowymi narzędziami, które miały nienaturalnej wielkości czubki. W końcu kazali mi zostać na noc w szpitalu, chociaż nic groźnego nie stwierdzili.

Dopiero później zrozumiałam, że policjanci, którzy przyszedli ze mną porozmawiać, po prostu mnie przesłuchiwali. Znacznie później pojęłam też, dlaczego pozwolono mi rozmawiać tylko z nimi, podczas gdy lekarze i pielęgniarki za każdym razem powtarzali: „Nie wolno nam z tobą o tym rozmawiać”, a słowa te wypowiadali tonem, który jasno wskazywał, iż nawet nie próbują udawać współczucia. Po długim czasie zrozumiałam, dlaczego z rodzicami pozwolono mi się spotkać dopiero po wielu godzinach.

Przy moim łóżku siedziała nowa policjantka z dłonią zaciśniętą na pałce. Kiedy mnie rozebrano i położono do łóżka, spytałam, czy moi rodzice żyją. Sama nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Zauważyłam jednak, że moje pytanie zrobiło na niej wrażenie. Wzięła telefon i zadzwoniła do kogoś. Chwilę później przyszła tamta pierwsza policjantka, która miała chłopięce biodra i trwała ondulację w stylu lat osiemdziesiątych. Przyniosła ze sobą dyktafon. Zmrużyła oczy i spytała, dlaczego chcę wiedzieć, czy moi rodzice żyją. Dlaczego, dlaczego, dlaczego... Nie mogłam zrozumieć, czemu moje pytanie ją tak dziwi. Zrozumiałam to dopiero później.

W szpitalu pilnowały mnie na zmianę dwie policjantki. Rodzice wpadli do mnie na pięć minut... późnym wieczorem albo nocą... do sali weszli w obecności dodatkowego policjanta. Razem ze mną leżało w niej sześć osób. Mama usiadła na samym końcu mojego łóżka. Nie odzywała się i nie pytała „Co się stało?” ani „Coś ty zrobiła?”. Nie spytała nawet, jak się czuję. Nie powiedziała, że wszystko się jakoś ułoży, ani nie spytała, co zamierzam zrobić, żeby nie umrzeć, chociaż tak się właśnie wyraziłam... że umrę... albo że chciałabym umrzeć. Mama tylko siedziała i przez cały czas płakała. Wcześniej często widywałam, jak płacze, ale nigdy nie robiła tego w taki

sposób. Tego dnia była zupełnie innym człowiekiem. Wyglądała na załamana i śmiertelnie przerażoną. Myślę, że najbardziej bała się mnie. Nie chciała mnie o cokolwiek pytać, bo bała się tego, co może usłyszeć.

Całkiem możliwe, że to policjanci albo Sander zabronili moim rodzicom zadawać mi jakiegokolwiek pytania czy rozmawiać ze mną o tym, co się ze mną stanie. Ale moja mama i tak nigdy mi nie mówi, co mam robić. Jeśli coś się zdarzy, zazwyczaj marszczy swoje sztywne czoło i „rezonuje”. Najczęściej wybiera postawę Czułej Matki, która chce pokazać swojej córce, że rozumie, iż jest ona na tyle dorosła, że może odpowiadać za swoje czyny. Nie dlatego, że mama naprawdę w to wierzy, tylko dlatego, że zależy jej, by ludzie w to uwierzyli. Myślę, że to jednak nie najważniejszy moment, by udowodnić córce, jaką ma świetną mamę. Szansa na to, iż zdoła to zrobić tam i wtedy, była niewielka. Tata stał za nią i też płakał. Nigdy wcześniej nie widziałam go płaczącego, nawet na pogrzebie babci.

– Dzwoniłem do Pedera Sandera – powiedział.

Dobrze wiedziałam, kim jest adwokat Sander. Chyba wszyscy to wiedzą. Piszą o nim w gazetach i pokazują w wiadomościach telewizyjnych, gdy broni jakiegoś pedofila albo gwałciciela. Tabloidy piszą o nim, gdy pojawia się na premierze nowej sztuki albo na bankiecie u króla i to nie tylko z okazji rozdania nagród przez Komitet Noblowski, ale także wówczas, gdy król sam dobiera swoich gości. Sander występuje w wielu programach telewizyjnych. Pełni w nich funkcję eksperta i opowiada o wygranych przez siebie procesach sądowych.

Byłoby to dość zabawne, gdyby się okazało, że jedyny adwokat, o jakim w ogóle słyszałam, który nie woła w telewizji albo na filmie „Sprzeciw, wysoki sędzie”, spotyka się nawet z królem, najbardziej fikcyjną postacią w Szwecji.

Skinęłam tylko głową.

Mama też to zrobiła. Wytarła nos i skinęła głową. Wykonała już chyba z milion takich histerycznych skinieć. Może coś wzięła, żeby być w formie albo przynajmniej trzymać język za zębami? Bałam się, że gdy bez zastanowienia otworzę usta, wydam z siebie krzyk, który nigdy się nie skończy. Wolałam się więc nie odzywać i tylko potakiwałam albo kręciłam głową. Głównie jednak potakiwałam.

Pomyślałam sobie, że tego się będę trzymać. *Buzia na kłódkę. Ani mru-mru.*

Tata cofnął się o pół kroku i nagle przyszło mi do głowy, że zaraz mnie poprosi, abym mu podziękowała. Tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem, a on ściszał głos o pół tonu i pytał: „Co się mówi, Maju?”.

Ale tata tego nie zrobił. Po prostu się odwrócił i wyszedł.

Wydaje mi się, że rodzicom pozwolono zostać dłużej. Policja chciała pewnie posłuchać poufnej rozmowy w trójkącie mama–tata–córka. Nic z tego jednak nie wyszło, bo rodzice wyszli z pokoju. Chyba nie chcieli u mnie zbyt długo zostać.

Zanim mama wstała, objęła mnie. Przy okazji wbiła mi paznokcie w skórę. Pochyliłam się, żeby też ją objąć, ale zrobiłam to trochę za późno. Gdybym nie była od niej wyższa, pewnie by mnie pogłaskała po czole albo wykonała inny matczyzny gest. Ale tu nie wypadało tego robić. Kiedy się od niej odsunęłam, zobaczyłam, że oczy ma zaczerwienione jak szczur z laboratorium. Rozmazała sobie makijaż. I nawet go nie poprawiła. Miało to świadczyć o tym, że bardzo głęboko przeżywa całą tę sytuację.

Po wyjściu rodziców zjawiała się pielęgniarka, która przyniosła mi dwie tabletki w plastikowym kubeczku. Wsunęłam je do ust i popiłam wodą z innego, trochę większego kubka. Potem pielęgniarka wyszła, ale drzwi zostawiła otwarte. Przy moim łóżku nadal dyżurował umundurowany policjant. Drugi siedział na korytarzu.

Pewnie myśleli, że zamierzam popełnić samobójstwo, że z powodu tego, co zrobiłam, nie będę umiała dalej żyć. Domyśliłam się tego dopiero po kilku dniach.

– Dziękuję – wydukałam, chociaż bardziej by pasowało słowo „przepraszam”.

Powinłam była umrzeć, ale żyję. Przepraszam. Jest mi przykro. Wcale tego nie chciałam.

Chcę umrzeć, naprawdę.

Nie pamiętam, czy wtedy zasnęłam. Chyba nie. Za to udało mi się utrzymać buzię na kłódkę. Nie zaczęłam krzyczeć.

Następnego dnia rano zjawiała się policjantka (ta z ondulacją) w towarzystwie policjanta. Lekarze zdążyli mnie już przebadać, a ja nie uroniłam przy tym ani jednej łzy. Policjant, który towarzyszył policjantce, szedł o pół kroku za nią i wpatrywał się we mnie świdrującym wzrokiem. Czy to on siedział na korytarzu przy drzwiach? Wyglądał na zaciekawionego, ciągle spoglądał to na mnie, to na swoją koleżankę. Oględziny zakończył na mnie. Zastanawiałam się, czy nie obdarzyć go takim samym spojrzeniem, żeby go zmusić do opuszczenia wzroku, ale nie byłam w stanie. Czułam się przemęczona, jakbym za chwilę miała zasnąć.

Policjanci nie wyglądali na podenerwowanych, lecz i tak nie chcieli usiąść. Przyszedł lekarz i dał policjantce do podpisania jakiś dokument. Nie musiałam się nawet przebierać, bo pozwolili mi jechać w szpitalnej piżamie. Powiedzieli, że ubranie będę mogła zmienić, gdy dotrzemy na miejsce. Dostanę tam moje własne ciuchy, telefon komórkowy, komputer, iPod, klucze od domu i do szafki w szkole. Wszystko to, co mi wcześniej zabrali.

Poprosiłam, żeby pozwolili mi iść do toalety umyć zęby. Nie sprzeciwili się, ale Trwała Ondulacja poszła ze mną. Kiedy zsuwałam majtki, żeby się wysikać, odwróciła się. Kiedy się podcierałam, zauważyłam, że obserwuje

mnie w lustrze.

Nie pytałam, jak długo mnie nie będzie. Przed wyjściem z pokoju policjant założył mi kajdanki. Zanim je zatrzasnął, wsunął palec między metal a skórę, żeby się upewnić, czy nie za bardzo mnie uciskają. Potem założyli mi pas wokół bioder i przyczepili do niego kajdanki. To wtedy doszłam do wniosku, że raczej nie zawiozą mnie do domu. I dopiero wtedy zrozumiałam, dokąd pojedziemy, choć tak naprawdę najbardziej zszokowana byłam tymi kajdankami.

– Czy naprawdę musicie to robić? – spytałam. – Jestem tylko...

Chciałam powiedzieć, że jestem tylko dzieckiem, nastolatką, ale ugryzłam się w język.

Przed szpitalem czekali na nas dziennikarze: czterech mężczyzn z kamerami i cztery kobiety z telefonami komórkowymi przyczepionymi do dłoni. Trochę dalej stały dwie albo trzy inne.

Kiedy wyszłam z budynku, wszyscy odwrócili się w naszą stronę. Mój dziadek ma wyżła. Kiedy pies widzi, że dziadek wkłada kalosze, unosi nos i zaczyna skomleć. Ja byłam dla dziennikarzy takimi właśnie kaloszami. Z miejsca, w którym stali, dobiegał do nas słaby szum kamer. Na początku pomyślałam, że dzieląca nas odległość to przejaw „należnego szacunku”. Stali w miejscu, w którym nie musiałam ich widzieć.

Czekając, aż ubrana po cywilnemu policjantka otworzy drzwi szarego radiowozu, jeden z dziennikarzy spytał mnie, jak się czuję. Zadał mi to pytanie ściszone głosem. Nie zauważyłam, że stoi tak blisko mnie, i aż się wzdrygnęłam.

– Dziękuję, dobrze – odparłam.

Zupełnie zapomniałam, że miałam się nie odzywać, i na dodatek powiedziałam coś, co było o wiele gorsze, niż gdybym nagle zaczęła krzyczeć. Od razu poczułam, że to niewłaściwe słowa.

– A właściwie... – chciałam coś dodać, ale spojrzałam dziennikarzowi w oczy i zobaczyłam, że wcale mnie nie żałuje.

Policjantka wzięła mnie za rękę. Nie chciała dopuścić do dalszej rozmowy.

– Twój koleżdy i koleżanki nie żyją... – zaczął ten sam dziennikarz, ale nie dokończył.

– Jak się pan natychmiast nie zamknie i nie przestanie zadawać tych głupich pytań, oskarżę pana o utrudnianie śledztwa – przerwała mu Trwała Ondulacja z taką miną, jak gdyby chciała mu przyłożyć. – Mam to zrobić?

Potem się dowiedziałam, że Trwała Ondulacja po prostu się bała, iż dziennikarz zdradzi mi jakieś szczegóły, których wtedy jeszcze nie znałam. Policjanci chcieli zobaczyć, jak zareaguję, gdy sami mi o wszystkim opowiedzą. Jednak wtedy wydawało mi się, że policjantka jest na mnie po prostu zła i dlatego po jej słowach poczerwieniałam na twarzy. Nie mam rzadkiej urody, nie muszę sobie poprawiać cery kremami, nie umiem się „czarująco” zarumienić. Mam trudności z oddychaniem, a gdy się pocę, na ubraniu pojawiają się plamy z wyraźnie zaznaczonymi obwódkami od soli. Udałam jednak, że nic się nie stało, i wyprostowałam plecy.

Podczas gdy Trwała Ondulacja z wąskimi biodrami i kanciastymi paznokciami szukała po kieszeniach kluczyków od samochodu, dziennikarze próbowali zrozumieć to, co przed chwilą od niej usłyszeli. Wiatr rozwiewał mi włosy, kurtka, którą Ondulacja okryła mi dłonie i kajdanki, spadła na ziemię. Byłam wtedy ubrana w zbyt dużą szpitalną piżamę, bez biustonosza, i tkwiłam tak w miejscu z sutkami skierowanymi w stronę najbliższej mnie stojącego fotoreportera. Gdyby nie kajdanki, pewnie pomachałabym mu ręką. Wykonałabym gest oszalałych ze szczęścia sportowców, gdy przebiegną sto metrów w czasie lepszym niż rekord świata. Stałabym tak z wyprostowaną ręką i rozłożonymi palcami skierowanymi w stronę milczącego tłumu złożonego z grupki – oględnie rzecz ujmując – zdumionych dziennikarzy

z nieumytymi zębami i w wymiętych ubraniach.

Kiedy wsiadłam do samochodu, poczułam, że boli mnie całe ciało. Ubranie parzyło mi skórę, oblewał mnie parzący pot. Meduzy, pokrzywy, oparzenia trzeciego stopnia, pęcherze wypełnione surowicznym płynem... Boże, ależ to był ból. Cała się chyba trzęsłam. Wpiłam się palcami w pas bezpieczeństwa i odwróciłam tyłem do Ondulacji, a oddychać zaczęłam dopiero wówczas, gdy po wyjeździe z parkingu wjechaliśmy na autostradę.

Towarzyszyły nam trzy samochody, które jechały w pewnej odległości za nami. Wprawdzie nie widziałam, jak siedzący w nich dziennikarze wydzwanianą gorączkowo do swoich redakcji i stukają palcami w klawiatury telefonów, aby jak najszybciej wysłać zdjęcia, które mi zrobili, ale wiedziałam, że właśnie to teraz robią.

Mają zdjęcia Mai Norberg, rozpieszczonej dziwki z Djursholmu, wariatki i morderczyni, która straciła kontakt z rzeczywistością. Uważali ją za szaloną zabójczynię, bo z jakich innych powodów policja miałaby przewozić nastolatkę skutą kajdankami? Za kilka minut w mediach pojawi się moja twarz sfotografowana w czternastu różnych ujęciach i tylko główny motyw będzie za każdym razem ten sam.

Ondulacja szybko się uspokoiła. Sprawiała wrażenie, że wcale się nie przejmuje jadącymi za nami samochodami. Włożyła pod wargę porcję snusu i przesunęła ją językiem dalej. W pewnej chwili spojrzała na mnie i w pytającym geście uniosła pudełeczko z tytoniem. Pokręciłam odmownie głową.

Boże, pomyślałam. Czy to znaczy, że mam się z nią zaprzyjaźnić? Mimo tego, co nas dzieli? Szkoda, że przed odjazdem nie poprosiłam jej o tabletkę od bólu głowy albo nie zjadłam śniadania. Nagle poczułam silny głód. Kiedy ostatni raz coś jadłam? Chyba wczoraj. Zapamiętałam tylko tyle, że razem z jednym z policjantów paliłam papierosa na balkonie. Najpierw nikt nie

zareagował na moją prośbę i dopiero po pewnym czasie wybrali balkon i pozwolili mi zapalić. I nawet zdobyli dla mnie papierosa. Poza tym uznali, że wszystko jest w porządku. Jak widać, jedynym warunkiem, jaki należy spełnić, aby nie musieć się kryć z paleniem, jest dokonanie masowego zabójstwa.

Czy jadłam dzisiaj jakieś śniadanie? Nie. Czy wczoraj jadłam lunch? Też nie. Kolację? Chyba nie.

Oparłam czoło o szybę w samochodzie i zamknęłam oczy. Żałowałam, że mimo kajdanek na rękach nie pomachałam dziennikarzom. Dzięki temu przyjaciel króla mógłby się powołać na chorobę psychiczną.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Pierwszy tydzień procesu — wtorek

8.

Wszystkie procesy sądowe toczą się według tego samego schematu. Istnieje zbiór zasad mówiących o tym, kto ma zabierać głos i w jakiej kolejności. Sander mi to dokładnie wyjaśnił. Uważnie go słuchałam, bo nie chcę zostać zaskoczona. Lepiej być na wszystko przygotowanym.

Kiedy drugiego dnia procesu spotykamy się w sali, nie ma jeszcze wpół do dziewiątej. Mimo to jeden z pracowników zatrudnionych w kancelarii Sandera przyniósł ze sobą lunch kupiony w hali targowej na Östermalmie. Jedzenie jest zimne, ale i tak wygląda milion razy smaczniej niż wszystko to, co jadłam przez ostatnie dziewięć miesięcy. Na stole między termosem z kawą a talerzykami z mleczkiem do kawy w trójkątnych pudełeczkach i cukrem w kostkach leży stos miętowych czekoladek. Wprawdzie śniadanie jadłam niecałe dwie godziny wcześniej, lecz teraz zajadam czekoladki, a sreberka zwijam w kulki i robię z nich minipiramidę. Nikogo nie częstuję, ale za to pytam, czy wolno mi będzie zapalić. Sander prosi, żebym z tego „zrezygnowała” (typowe dla niego słowo), bo jeśli wyjdziemy z pokoju, wpadniemy w łapy dziennikarzy. Poza tym jest to „wątpliwe ze względów bezpieczeństwa”.

Ferdinand pyta, czy zamiast papierosa nie wolałabym porcji tradycyjnego szwedzkiego snusu, który ona zażywa. Podejrzewam, że się też nie goli. W areszcie poznałam kilka strażniczek, które uważają, że snus i bogate owłosienie łonowe to kolejny krok w walce o prawa kobiet, a zapach potu jest oznaką naturalnej urody. Ferdinand trochę mi je przypomina, chociaż w bardziej namacalny, konkretny sposób. Dlatego wcale mnie nie dziwi, że

w pudełeczku, które mi podaje, snus jest w formie luźnej, nie w porcjowanej.

– Nie, dziękuję – odpowiadam.

W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy kobiety w areszcie częstowały mnie tyle razy, że snusu wystarczyłoby mi na całe życie.

– Nie wiesz, że palenie papierosów jest groźne dla zdrowia? – pyta Naleśnik. – Można od tego przedwcześnie umrzeć.

Nie potrafię ocenić, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Pani prokurator będzie dziś poruszać temat mojej śmierci, a ściślej mówiąc tego, że powinnam nie żyć.

Jej teza jest następująca: ja i Sebastian postanowiliśmy się zemścić na tych, którzy nas zawiedli. Pojechaliśmy do szkoły z bombą w jednej i bronią w drugiej torbie, żeby zabić tyle osób, ile się tylko da. Skończyło się na tym, że Sebastian też zginął. Mnie również powinno to spotkać, tyle że nadal żyję, chociaż strzelaniny w szkołach wyglądają, a przynajmniej powinny wyglądać, inaczej niż ta nasza. Zazwyczaj bywa tak, że jakiś samotny szaleniec albo kilku wariatów postanawiają się zemścić na swoich kolegach; strzelają do wszystkiego, co się rusza, dopóki nie skończy im się amunicja albo nie przyjedzie policja; wtedy przestają strzelać albo wystawiają się na kule policjantów, żeby zginąć z ich rąk. Pod warunkiem że nie stchórzą, bo tylko tchórze wychodzą z tego cało. I właśnie tak jest ze mną: żyję, a teraz siedzę w sądzie rejonowym przed salą rozpraw numer jeden. Tchórz, bo tak należy interpretować słowa pani prokurator.

Nie komentuję tego, co Naleśnik powiedział o paleniu. Zjawia się ochroniarz, który otwiera nam drzwi i mówi, że możemy wejść do środka. Podczas gdy Sander zbiera swoje rzeczy, ja ponownie buduję piramidę ze srebrnych kulek. Ferdinand znowu mnie pyta, czy mam ochotę zażyć snusu. Kręcę głową. Pewnie wyglądam jak ktoś, kto faktycznie chciałby zapalić.

– Guma antynikotynowa! – woła nagle Ferdinand.

Jest wprost uszczęśliwiona, że wpadła na tak genialny pomysł. Zaczyna grzebać w swojej torbie, ale Sander od razu zaczyna mlaskać językiem. Nigdy w życiu by się nie zgodził, żebym podczas rozprawy żuła gumę.

Wchodzimy do środka i zajmujemy miejsca.

Pani prokurator ma zaróżowione policzki. Możliwe, że swój dzień rozpoczęła od konferencji prasowej na schodach przed wejściem do budynku. Mamy dziś ładny, słoneczny, choć chłodny dzień. Mogłabym się założyć o każdą sumę, że pani prokurator uwielbia konferencje prasowe na schodach przed sądem. Jest wtedy Bardzo Ważną Bohaterką Bardzo Ciekawego Filmu. A może po prostu przyszła do pracy piechotą, bo uznała, że codzienny ruch to też ważna sprawa? Na pewno woli wchodzić po schodach, zamiast jechać windą, bo uważa, że dzięki temu będzie mogła zjeść w przerwie na kawę dwie bułeczki wiedeńskie albo paczkę oblaną marcepanem ciasteczek firmy Delicato. I to codziennie. Pani prokurator przypomina mi kogoś, kto kupuje obligacje państwowe, dodatkowe ubezpieczenie na życie i kończy prawo, nie biorąc pożyczki na studia (bo przecież ktoś, kto wziął taką pożyczkę, nie jest wolny!). Nie muszę się nawet wysilać, żeby sobie wyobrazić, jak wygląda wnętrze jej szeregowca: sosnowa boazeria w salonie, łapacze snów zawieszona nad dziecięcym łóżeczkiem i największa w Szwecji kolekcja porcelanowych żab w oszklonym kredensie. Za chwilę znowu wygłosi swoją mowę. Zaczynam jej nienawidzić.

Po dziewięciu miesiącach wypełnionych artykułami prasowymi i programami telewizyjnymi, w których wszyscy – z wyjątkiem mnie – mieli okazję się wypowiedzieć, wszyscy – z wyjątkiem mnie – dostali szansę, żeby wypłakać się w najlepszym czasie antenowym, i wszyscy – z wyjątkiem mnie – mogli zorganizować swoją własną konferencję prasową na schodach przed wejściem do sądu, podczas gdy mój adwokat i moja rodzina mieli zakaz wypowiadania się w mojej sprawie, kolejne wystąpienie pani prokurator staje

się prawdziwą wisienką na torcie. Lena Pärsson zamierza opowiedzieć historię masowej zabójczyni, która powinna była odebrać sobie życie, tyle że zabrakło jej odwagi. Jest tchórzem, który nie chce ponieść konsekwencji swojego czynu i ma nadzieję, że się wywinie od kary. Chodzi oczywiście o mnie.

Sander może mi tłumaczyć setki razy, dlaczego to ona ma zacząć, lecz ja i tak nie zrozumieję. Pani prokurator będzie mnie tak obgadywać dzień albo dwa. Po wystąpieniu Sandera sędzia znowu udzieli jej głosu i będzie mogła wezwać po kolei swoich świadków, których łączy tylko jedno: są przekonani, że jestem potworem.

Dzisiejszy dzień Lena Pärsson ma wyłącznie dla siebie. Tak, ten dzień należy całkowicie do niej. Moja mama jest tak blada, jakby nałożyła na twarz specjalny makijaż. Tacie błyszczy się czoło. Sander jest całkiem rozluźniony, jak gdyby siedział w swoim salonie i rozmawiał z zaproszonymi gośćmi. Niestety, ja nie zostałam zaproszona na jego koktajl, bo leżę rozciągnięta na stole. To mnie mają zjeść, we mnie mają wbić łopatkę do tortu.

Najpierw wysłuchamy pani prokurator, potem zapoznamy się z protokołami i obejrzymy zdjęcia, rysunki i broń. Prokurator zacytuje treść moich mejli i esemesów i pokaże, co pisałam na Facebooku. Prześledzi dokładnie historię moich rozmów telefonicznych wraz z długością ich trwania, opowie o zawartości mojego komputera i o tym, co trzymałam w szkolnej szafce. Odczyta też treść notatki, jaką zrobiłam na wewnętrznej stronie okładki jednego ze szkolnych podręczników. Jest to cytat z wiersza Karin Boye pod tytułem *Gwiazdy*: „Gdy nie ma już na co czekać dłużej i nie ma też niczego, by to nieść”. Prokurator twierdzi, że sens tego cytatu świadczy o pragnieniu śmierci. W przyszłym tygodniu pani Pärsson wezwie na rozprawę swoich świadków i ekspertów, którzy opowiedzą o mnie „wszystko”. Gdyby to ona mogła decydować, pewnie puściłaby po sali moje majtki, żeby każdy mógł je

z bliska obejrzeć i powąchać.

Do sali wchodzę jako ostatnia i siadam na swoim miejscu ze wzrokiem wbitym w stół. Nadal mam zakaz rozmów z rodzicami. Ale im też nie wolno mnie objąć, wziąć za rękę, poprawić mi włosów. Naleśnik byłby zachwycony, gdyby taki zakaz zniesiono, bo wie, że dziennikarze uważnie mnie obserwują. Nic przeciwko nim nie ma, choć wolałby sam decydować o tym, co im można pokazać. Byłby szczęśliwy, gdyby mama mogła mi odgarnąć grzywkę z czoła i zaczesać włosy za uszy.

Mama robi to od niepamiętnych czasów. Gdyby ktoś fotografował nas za każdym razem, gdy to robiła, powstałaby z tego typowa sekwencja zdjęć, jakich wiele można znaleźć na YouTube. Fotografie tego samego motywu robione przez trzydzieści lat, filmy o topniejących lodowcach albo o tym, jak młoda, piękna dziewczyna zamienia się w starą, brzydką, bezzębną babę, bo przez dwa lata brała oczyszczoną metamfetaminę. Cała seria zdjęć, zatytułowana „Maja i jej włosy”. Najpierw krótkie i puszyste jak u niemowlaka; potem kręcona fryzura dziewczynki i grzywka, którą osobiście obciąłam w dniu, w którym robiono nam w przedszkolu grupowe zdjęcie; pasemka, które sobie zafundowałam, nie pytając mamy o zgodę; uroczystość konfirmacji, gdy ją poprosiłam, żeby mi zakręciła włosy. Fryzura na noc świętojańską i na Dzień Świętej Łucji; warkocze, z których zsunęły się gumki, i bardzo długie, niepodcinane od jedenastu miesięcy włosy myte więziennym szamponem.

Dziennikarze uważnie by się przyglądali, czy mama się ze mną ceregieli, a Naleśnik narobiłby ze szczęścia w gacie. Tymczasem ja nadal siedzę na swoim miejscu i na nikogo się nie gapię.

Pani prokurator przyczepia sobie mikrofon i w głośnikach słychać trzaski.

– Witam – zaczyna sędzia takim tonem, jak gdyby chciał wyrazić swoje ubolewanie z tego powodu.

Potem oddaje głos pani prokurator, która nadal ma zaróżowione policzki.

– Swoim zachowaniem w dni i godziny poprzedzające pamiętny ranek oskarżona uczyniła się winną podżegania do zabójstwa na... jej zachowanie skłoniło Sebastiana Fagermana do...

Po co ona czyta z kartki? Czy ta baba naprawdę ma kłopot z zapamiętaniem tego, o co mnie oskarża? A może jest po prostu głupia?

– Pierwsza zbrodnia stanowiła wstęp do wspólnego planu Fagermana i Norberg przed atakiem na publiczne liceum w Djursholmie, w sali numer czterysta dwanaście.

Pani prokurator odkłada wreszcie kartkę, a nawet zdejmuje okulary.

– Zamierzam udowodnić, że oskarżona brała aktywny udział zarówno w przygotowaniu, jak i w dokonaniu zbrodni – dodaje.

– My zabierzemy głos na końcu. Tak będzie dla nas lepiej – przekonywała mnie Ferdinand.

Ale ja wiem, że nie ma racji. Po wystąpieniu pani prokurator nikt nie będzie nas słuchał. Nikt nawet na mnie nie spojrzy, co dopiero mówić o składaniu zeznań. Czy mogę coś na to poradzić? Nic.

To, co powiemy, nie ma żadnego znaczenia, bo i tak nikt nie zrozumie moich wyjaśnień i nie uwierzy, że co prawda braliśmy udział w tej samej grze, ale każde z nas odgrywało w niej własną rolę. Sander przedstawi moją wersję wydarzeń, tyle że na cokolwiek będzie już za późno, bo sąd będzie już miał wyrobione zdanie.

Prokurator bredzi, że działałam wspólnie z Sebastianem i że on był moim chłopakiem. Twierdzi, że go kochałam i że moja miłość do niego wzięła górę nad innymi uczuciami. Że byłam gotowa zrobić dla niego wszystko. Dla niego i dla naszej miłości.

Lena Pärsson wyjaśnia, w jaki sposób chce udowodnić swoją tezę. „Zamierzam wezwać następujących świadków... Tematem przesłuchań... bla,

bla, bla... Dowody... bla, bla, bla”.

Ferdinand udaje współczucie, zerka na mnie z boku. *Przestań się tak gapić. Naleśnik przekłada dwa segregatory na inne miejsce. Siedź cicho!*

Zastanawiam się, po co tu przyszli. Są tacy beznadziejni. Ferdinand – moje nieszczęsne, ciemnoskóre alibi. Kiedyś nie mogłam już wytrzymać i spytałam ją, dlaczego mnie broni. Moje pytanie tak ją zdenerwowało, że niemal ją zatkało. Potem zaczęła coś bąkać w stylu „To wyjątkowa okazja...”, „Byłam zaszczycona okazaniem mi zaufaniem...”, „Miałam nadzieję, że wesprę was swoim doświadczeniem...”.

Co za brednie! Przecież Ferdinand nienawidzi wszystkiego, co wiąże się ze mną i z tym procesem. Nie potrafi się pogodzić z faktem, że z braku odpowiedniego doświadczenia nie może być moim adwokatem, a mimo to wolno jej zasiadać w sali rozpraw. Nienawidzi tego, że „pasuje” do mojej sprawy, to bowiem oznacza, że w obecności dziennikarzy i zazdrosnych kolegów ze swojej kancelarii będzie musiała dać z siebie wszystko. Ma wyglądać jak muzułmańskie alibi Samira z przedmieścia, chociaż urodziła się w Sundsvall i została ochrzczona w religii luterańskiej. Nigdy jednak nie powie głośno tego, co naprawdę myśli, a mianowicie, że jedyną rzeczą, jaka jej się w tym wszystkim podoba, jest to, iż my ten proces przegramy.

Lena Pärsson kontynuuje swoje wystąpienie.

– Według opinii sporządzonej przez lekarza medycyny sądowej, załączniki numer dziewiętnaście i dwadzieścia, śmierć Amandy Steen spowodowały dwa pierwsze strzały, które oskarżona Maria Norberg oddała z broni numer dwa. Kilka sekund później oskarżona znowu strzelała z tej samej broni. Według opinii lekarza medycyny sądowej, załączniki numer siedemnaście i osiemnaście, śmierć Sebastiana Fagermana spowodowały trzy strzały.

Uzgodniliśmy z Sanderem, że przyznam się do tej części przebiegu zdarzeń. Będzie to oznaczało, że jest zgodny z prawdą. Tak, zabiłam Amandę

i Sebastiana. Ale nie z miłości. Różnie można to nazwać, ale prawda jest taka, że to zrobiłam.

Pierwszy tydzień procesu — wtorek

9.

Nigdy bym się z nikim nie założyła o żadne pieniądze, że pani prokurator zdąży zakończyć swoje wystąpienie przed lunchem, a tu proszę – udało się. Po obiedzie (Ferdinand podgrzała mi jedzenie) przyszła kolej na prezentację dowodów pisemnych. Składa się na nie miliard protokołów z obdukcji, oficjalnych dokumentów i notatek policyjnych, dziwnych „map” i wielu innych protokołów, wyników testów laboratoryjnych, wyciągów i opinii. Nie jestem w stanie tego wszystkiego ogarnąć, dlatego łatwo mi się od tego oderwać. Lena Pärsson czyta z kartki ostrym, na końcu prawie ochrypłym głosem. Przedtem chrząkała, teraz już tego nie robi.

Sam akt oskarżenia liczy jedenaście stron, ale prokurator zachowuje się tak, jakby ich było jedenaście tysięcy. Zresztą kompletny materiał jest równie obszerny, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę to, co zebrano w trakcie śledztwa.

Przez cały dzień nie pozwolono mi nie tylko wypowiedzieć choćby jednego słowa, ale także opuścić sali rozpraw. Muszę tu tkwić i wszystko znosić. Staram się jednak nie słuchać tego, o czym mówi brzydka Lena.

Teraz odczytuje na głos esemesy, zarówno te, które wysłałam Amandzie, Sebastianowi i Samirowi, jak i te, które od nich dostałam. Ich treść wyświetlana jest na dużym ekranie, żeby wszyscy mogli się z nią zapoznać. Pani prokurator wydaje się niezwykle zadowolona z tego, w jaki sposób udało jej się to wszystko poukładać. Pedagogika.

Amanda pokazała mi kiedyś list, który jej babcia napisała przed śmiercią. Były w nim wskazówki dotyczące ubrania do trumny i muzyki wybranej do

kościół. Chodziło o jakiś klasyczny kawałek, który miał być śpiewany przez specjalnie dobrany, czteroosobowy chór męski. Ani ja, ani Amanda nigdy wcześniej nie słyszałyśmy ani tego utworu, ani tego chóru. Amanda opowiadała, że kiedy zmarła jedna z przyjaciółek babci, na pogrzebie grano ten sam utwór. Babcia musiała więc wybrać coś innego, bo nie chciała nikogo naśladować. Woląca wymyślić coś własnego. Wprawdzie w chwili, gdy utwór miał być grany, babcia byłaby już martwa, podobnie jak jej przyjaciółka, jednak nade wszystko pragnęła być oryginalna.

To niesamowite, że ludzie chcą się odróżniać od innych nawet po śmierci. Żeby nie odejść do wieczności w sposób banalny, należy zatrudnić jakiegoś nieszczęśnika, który zaśpiewa na pogrzebie *Tears in Heaven* z akompaniamentem gitary klasycznej. Tak jak to bywa na wszystkich innych, „zwykłych” pogrzebach.

Ludzie są patetyczni aż do śmierci, ale nie są unikalni.

Amanda nie żyje, podobnie jak Sebastian i cała reszta. Niestety, nie pozwolono mi pójść na żaden z pogrzebów. Fakt, iż nie udzielono mi zgody, nie był oczywiście najważniejszą przeszkodą. Mimo to chciałam wiedzieć, kiedy każdy z nich się odbył. Sander zdobył dla mnie niezbędne informacje. Nie umiał mi tylko powiedzieć niczego o pogrzebie Sebastiana, bo urządzono go w tajemnicy przed wszystkimi.

Ciekawe, czy Sebastian powiedział komukolwiek, jak powinien wyglądać jego pogrzeb. Raczej nie. On tylko mówił o śmierci, ale nigdy o tym, co miało się zdarzyć później. Za to Amanda miałaby na pewno mnóstwo pomysłów dotyczących jej pożegnania. Tylko po co miałaby coś takiego planować?

Organizacja pogrzebu Sebastiana byłaby prawdziwym wyzwaniem. Rodzina postanowiłaby nie wysyłać zaproszeń na ceremonię i zrezygnowałaby z nekrologów w prasie. „Prosimy nie przynosić kwiatów, a zaoszczędzone środki przeznaczyć na potrzeby Lekarzy bez Granic”.

Ale przecież jakoś ta ceremonia wyglądała? Na pewno przebiegała w ciszy, z udziałem najbliższej rodziny, bez względu na to, kogo na nią zaproszono. Ani ja, ani tata nie mogliśmy tam pójść. Ciekawe, jaką puszczała muzykę? Może jakiś ulubiony kawałek jego ojca? Coś, czego słuchał najczęściej? Na przykład:

Preacher takes the school.

One boy breaks a rule.

Silly boy blue

Silly boy blue ¹.

Ciekawe, jak Sebastian był ubrany do trumny. Pozostałym ofiarom włożono pewnie ich ulubione T-shirty, bo przecież każdy nastolatek ma swój ulubiony T-shirt.

Jeśli chodzi o Sebastiana, to myślę, że ubrali go w garnitur. Pewnie kupiła go Majlis, sekretarka Claesa. Drogi, w dyskretnym kolorze. Świetnie się nadawał, żeby w nim skremować masowego mordercę.

Jeśli słusznie się domyślam, to najpierw odbyła się oficjalna ceremonia w kościele, a potem uroczystość złożenia urny do grobu. A może Lukas wolał rozrzucić jego prochy nad jakimś morzem w obawie przed tym, że jak zamówi nagrobek, to zniszczy go jakiś wandal i potem będą o tym pisać w gazetach?

Ciekawe, czy na pogrzeb przyjechała mama Sebastiana. Jej syn czuł się coraz gorzej, a ona przebywała w klinice w Szwajcarii, na misji charytatywnej w Afryce albo w jakimś innym zakątku świata.

Widzę ją oczyma wyobraźni: ogromne okulary słoneczne, ogolona, nawoskowana i poddana laserowym zabiegom skóra, która stała się przez to lśniąca i przezroczysta jak meduza. Czy na wieku trumny położyła pomarańczowo-czerwoną piwonie? Na pewno nie przyniosłaby róż, bo na

pogrzebie wyglądałyby zbyt banalnie. Ciekawe, że okulary, w których wygląda jak mucha plujka, uważa za supermodne.

Kiedy pani prokurator pokazuje zdjęcia zrobione w klasie, mój tata wierci się na krześle. Domyślam się, że akurat jemu trudno jest usiedzieć w miejscu. Kiedy jednak prokurator puszcza nagranie z kamer monitoringu zamontowanych przy podjeździe przed domem Sebastiana, na którym zarejestrowano, jak przenoszę torbę z jego domu do samochodu, a potem zajmuję miejsce obok kierowcy, w sali zapada kompletna cisza. Na nagraniu widać, że torba jest dla mnie za ciężka (faktycznie była). Policja znalazła ją później w mojej szafce. Ale bomba nie wybuchła, ponieważ według opinii ekspertów ładunek był kiepskiej jakości. Pani prokurator tej opinii nie cytuje, bo stoi ona w sprzeczności z nakreślonym przez nią wizerunkiem dwóch potworów dysponujących nieograniczonymi środkami.

Tamtego ranka, kiedy wychodziłam z domu, nie pożegnałam się z moją siostrą, bo jeszcze nie wstała. Prawdopodobnie chciała sobie dłużej pospać. Dzisiaj żałuję, że nie weszłam do jej pokoju i przynajmniej na nią nie spojrziałam. Uwielbiam ją obserwować, jak śpi (zawsze leży na brzuchu, z zaciśniętymi piąstkami na poduszce). Próbowałam sobie przypomnieć, kiedy widziałam ją po raz ostatni, kiedy ze sobą rozmawiałyśmy, w co była ubrana, jak wyglądała... ale nic nie pamiętam.

Tata musiał wziąć w pracy urlop, żeby przez trzy tygodnie śledzić przebieg procesu. Ciekawe, czy kiedy przechodzi przez bramkę bezpieczeństwa, musi wyjąć telefon komórkowy. Ciekawe, co robi Lina, gdy moi rodzice przychodzą do sądu. Jedzie do dziadka? Ciekawe, co on o tym wszystkim myśli. Czy rozmawia z Liną o tym, gdzie jestem? Kiedy babcia jeszcze żyła, łączyła ich szczególna więź. Polegało to na tym, że kiedy dziadek coś opowiadał, babcia zadawała mu mnóstwo pytań. Chciała, żeby dziadek wszystko jej dokładnie opisał. Nie po to jednak, żeby dowiedzieć się czegoś więcej albo żeby było

jej to do czegoś potrzebne, tylko z zupełnie innego powodu: po prostu dziadek wprost uwielbiał wyjaśniać. Kiedy babcia zmarła, dziadek jakby stracił orientację, trochę się pogubił. Zaczęliśmy więc zadawać mu mnóstwo niepotrzebnych pytań, ale to już nie było to samo. Po śmierci babci szybko się postarzał, już w dniu pogrzebu chodził przygarbiony. Dzisiaj jest staruszkciem (ma wodniste oczy i słabe kolana), nigdy nie wychodzi na długie spacery ze spuszczoneymi psami i nie pokazuje roślin, żeby określić ich gatunek. Nie wiem, czy potrafi odpowiadać na pytania, które mnie dotyczą. Nie wiem też, czy Lina ma odwagę o mnie pytać.

Najbardziej tęsknię właśnie za Liną. Śni mi się, że kładzie swoją lekką jak listek brzozy dłoń na mojej ręce, patrzy na mnie i zastanawia się dlaczego. Chcę jej odpowiedzieć, że nie wiem, ale nie ma takich pytań, które Lina mogłaby mi zadać i na które ja umiałabym odpowiedzieć. Nie chcę jej już nigdy więcej spotkać.

Pani prokurator wygłasza swoją mowę, a mnie zaczyna boleć kark. To od ciągłego trzymania głowy w pozycji wyprostowanej. Kiedy przytacza treść mojej korespondencji z Sebastianem tamtej nocy, gdy czuliśmy, jak gdyby przed chwilą skończyła się wojna atomowa, mam ochotę krzyknąć na cały głos: „Tak! Słyszę, o czym mówisz, ty pieprzona babo-pedagogu. Zamknij gębę!”

Pani prokurator znowu czyta coś z kartki. „Prokuratura wnioskuje o uznanie oskarżonej za winną następujących... podżeganie do zabójstwa... bla, bla, bla... morderstwo, zabójstwo lub nieumyślne spowodowanie śmierci... bla, bla, bla”.

Lena Pärsson przez kwadrans wymienia wszystkie przestępstwa, za które powinnam zostać skazana. Tak to przynajmniej odbieram.

Uważam, że pogrzeb Sebastiana miał nietypowy przebieg. Jestem też absolutnie pewna, że na pogrzebie Amandy puszczono *Tears in Heaven*.

1. David Bowie, *Silly Boy Blue* z albumu o tym samym tytule z 1967 r. (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Pierwsze dni w areszcie

10.

Pierwszy raz spotkałam się z Sanderem zaraz po tym, jak osadzono mnie w areszcie śledczym. Weszłam do pokoju widzeń, Sander zjawił się kilka minut później. Siedziałam na jednym z czterech krzeseł i gapiłam się na kącik zabaw dla dzieci w rogu pokoju. Stał tam miniaturowy stolik, zepsuty wózek dla lalek, plastikowy serwis do kawy i kilka podniszczonych książek w stylu *Lotta z ulicy Awanturników* czy *Muminki*. Lina nigdy mnie nie odwiedziła w areszcie i dlatego nie mogła się pobawić w kąciku dla dzieci.

Kiedy spotykamy się z Sanderem, podajemy sobie ręce. Robimy to od samego początku. Za pierwszym razem wyglądało to tak, jakby Sander był moim gościem, a ja nie za bardzo wiedziałam, czym go poczęstować. Nalałam mu wody do szklanki i podałam. Ręce mi się trzęsły, ale nie uroniłam ani kropli.

Na tym pierwszym spotkaniu mówił głównie on. Spytał mnie, „jak się odnoszę do oskarżeń”, chociaż ja nawet nie wiedziałam, o jakie oskarżenia chodzi. Policja na pewno mnie o nich poinformowała, choć nie pamiętam, czy odbyło się to we właściwy sposób.

– Jesteś podejrzana o współudział w... – zaczął Sander.

Był trochę zdziwiony, gdy zauważył, że nie bardzo się w tym wszystkim orientuję. Próbowałam mu to wyjaśnić, lecz nie do końca wiedziałam jak.

Sander skinął głową i zaproponował, żebym ułożyła sobie sprawy po kolei, nie wszystko naraz, że wszystko się wyjaśni w ciągu dnia albo „w trakcie” i że powinniśmy chyba zacząć słuchać tego, co policja ma nam do powiedzenia.

– Jesteś podejrzana między innymi o popełnienie zbrodni – powiedział potem całkiem normalnym głosem. – Po dzisiejszym dniu będą cię

podejrzewać jeszcze bardziej – wyjaśnił, jakbym miała się stać od tego mądrzejsza.

Tuż przed wyjściem dał mi torbę z ubraniami. Pewnie ją dostał od mojej mamy. Kiedy wyszedł, wybuchnęłam płaczem.

Gdy wróciłam do pokoju, czekała na mnie taca z zimnym jedzeniem. Torbę z ubraniami postawiłam na podłodze, a jedzenia nawet nie ruszyłam. Nie zgodziłam się też, gdy mi ktoś zaproponował, że je podgrzeje. Położyłam się na wznak na łóżku i przez nieokreśloną liczbę półgodzin (z obawy, że mogę popełnić samobójstwo, strażnicy zaglądali do mnie co pół godziny) gapiłam się w sufit. W pewnej chwili jeden ze strażników wszedł do celi i powiedział, że zabiera mnie na przesłuchanie. Miała mi towarzyszyć Trwała Ondulacja, która przywiozła mnie rano ze szpitala. Razem z nią przyjechał jakiś nowy policjant i Sander w towarzystwie Ferdinanda. Miała spocone ręce i wyschnięte usta. Ferdinand przedstawiła się jako Evin, ale to chyba nie jej nazwisko. Ondulacja miała na sobie nowe ubranie, które wyglądało, jakby wyprała je w niewłaściwej temperaturze. Wszyscy czekali na mnie w specjalnym pomieszczeniu do przesłuchiwania aresztantów.

Pozwolono mi się zapoznać z wydrukami wszystkich przesłuchań, chociaż nie musiałam tego robić, bo i tak je szczegółowo znałam. Przez wszystkie minione dni i miesiące, gdy miałam wrażenie, że tylko kiwam albo kręcę głową, chyba niewiele rozumiałam. Za to teraz wszystko sobie przypominałam.

Pokój przesłuchań w areszcie dla młodzieży znajdował się na tym samym piętrze co mój „pokój”. Szyby w oknach były zrobione z mlecznego szkła, przez które nic nie było widać. Za oknem unosiła się mgiełka wielu barw. Czy to różne odcienie szwedzkiego listopadowego wieczoru? Ale przecież wkrótce zacznie się czerwiec? Zastanawiałam się, dlaczego nie widać słońca. Czy przesłuchania mogą się odbywać nocą? Spytałam, która godzina.

– Jesteś głodna? – zapytał policjant towarzyszący Ondulacji.

Przez cały czas gadają o jedzeniu. Jeść, jeść i jeszcze raz jeść. Wszyscy przestępcy w Szwecji są pewnie otyli.

Pokręciłam głową.

Policjant odparł, że jest piąta. Chciałam go spytać, czy piąta rano, ale nie zrobiłam tego. Tak czy inaczej, na dworze powinno być widno. A może nadal jest lato?

Policjant powiedział, że po przesłuchaniu przyniosą mi kolację. A więc mamy wieczór. Nie byłam głodna i nie wyobrażałam sobie, że będę w stanie wziąć cokolwiek do ust.

Posadzili mnie na czymś, co przypominało fotel. Sander, Ferdinand i policjant zajęli miejsca obok mnie. Siedzieli na zwykłych krzesłach przy zwykłym stole. Policjant nie był umundurowany, za to miał na sobie spodnie, które przypominały niewyprasowaną pizamę. Przedstawił się z imienia i nazwiska, tyle że od razu zapomniałam, jak się nazywa. Czy poprzedniego dnia widziałam go w szpitalu? Nie pamiętam. Czy powinnam go zapamiętać? Włosów nie czesał pewnie od tygodnia, więc, teoretycznie, powinnam je pamiętać. Jego chrząkanie wwiercało się w korę mózgową wszystkich, którzy je słyszeli. Ktoś w pokoju pachniał wczorajszymi papierosami... pewnie on. Spytałam go, jak się nazywa. Chrząknął i jeszcze raz się przedstawił, a ja znowu zapomniałam. To i tak bez znaczenia, pomyślałam i skinęłam mu głową.

Ondulacja poinformowała mnie, że przesłuchanie będzie nagrywane. Wskazała przy tym na kamerę nad drzwiami, a potem na drugą, która wisiała naprzeciw niej. Ondulacja miała bardziej ożywiony głos niż tamten policjant i chociaż ubrana była w zwykłe dżinsy, jakie można kupić na każdej stacji benzynowej, zachowywała się jak ktoś, kto stoi na czele ekipy dochodzeniowej. Skinęłam jej głową i w tym samym momencie zauważyłam zaschnięte smarki przyklejone do szczeliny między oparciem fotela

a poduszką. Fotel był niewygodny i źle mi się na nim siedziało. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego kazali mi na wół leżeć. Nie mogłam się oprzeć, bo w takiej pozycji trudno mi było oddychać, ale dałam sobie spokój. Po chwili czułam się tak, jak gdyby zrobił mi się podwójny podbródek, więc znowu się wyprostowałam. Musiałabym usiąść w poprzek fotela, żeby nie zsunąć się na podłogę.

Ondulacja często zwracała się do mnie po imieniu, jak konsultant telefoniczny.

– Dzień dobry, Maju. Czy zmieniłaś swoje stanowisko w kwestii winy? Nie?

Co jakiś czas robiła pełną współczucia minę. Używała wtedy innego tonu, jak wówczas, gdy policjant prosi ofiarę, aby zademonstrowała na manekinie, w którym miejscu sprawca ją dotykał. „Maju, czy mogłabyś mi powiedzieć... wyjaśnić, jak się w to wszystko wplątałaś? Maju, jak sądzisz, dlaczego tu jesteś? Mam nadzieję, Maju, że rozumiesz, iż musimy...”.

I znowu ten głos konsultanta telefonicznego. „Jak się czujesz, Maju? Może chciałabyś się czegoś napić, Maju? Jak sądzisz, Maju, czy możemy już zacząć? Maju, czy możesz... Maju... Maju... Maju?”.

Kilka razy pokręciłam przecząco głową, a gdy widziałam, że Ondulacja wygląda na zagubioną, kiwałam głową potakująco, aż udało jej się wrócić do przerwanej wątku. Położyła przed sobą czyste kartki i tępy ołówek. Tego już naprawdę nie mogłam zrozumieć. To dla mnie? Mam spisać odpowiedzi? Czy ona sobie wyobraża, że jestem głuchoniema?

Nie wykonałam żadnego ruchu, więc Ondulacja zaczęła rysować coś na kartce. Najpierw prostokąt, czyli naszą klasę, a w nim kolejne prostokąty, tyle że mniejsze: podest dla nauczyciela i ławki. Zaznaczyła okna i drzwi na korytarz, i cały czas zadawała mi pytania. Po pewnym czasie przestała wypytywać o klasę i próbowała mnie nakłonić do zwierzeń na temat tego, co

robiłam przedtem. „Co jadłaś na śniadanie, Maju? Jak dostałaś się do szkoły, Maju? Czy to mama cię podwiozła?”. Kręcę przecząco głową. „Pojechałaś autobusem?”. Kręcę przecząco głową. „Czy towarzyszył ci Sebastian?”. Tak. Podejrzewam, że te pytania były czymś w rodzaju rozgrzewki, rozmową o niczym.

Po pewnym czasie Ondulacja zrezygnowała i z takich pytań.

– Sebastian był twoim chłopakiem, Maju – powiedziała nagle.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie, na które nie byłam przygotowana. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że nie powinna mnie o to pytać. Było to zbyt banalne. Czy zamierza pokazać mi zdjęcia zabitych, tak jak to się dzieje w serialach telewizyjnych? Doszłam do wniosku, że zaraz zacznie rozkładać je na stole, jak pasjansa, albo uzupełni rysunek, nanosząc na niego zarysy ciał Amandy, Samira, Sebastiana, Christera i Dennisa.

Zamknęłam oczy i ujrzałam Sebastiana. Przewiercał mnie wzrokiem, unosił dłonie, których nigdy nie zapomnę... tak jak nie zapomnę jego ciała i tego, co było w nim takie szorstkie i łagodne, twarde i ostre... I ten jego zapach, ten dotyk, gdy we mnie wchodził, ciężar jego ciała na moim. Najbardziej właśnie to: jego ciało na moim. Do chwili gdy wynieśli mnie z klasy i mi go zabrali. Zabrali mi jego ciało.

Zmusiłam się, żeby o nim myśleć. Ondulacja chciała, żebym o nim opowiedziała. Nic więcej. Nie, pomyślałam. Skinę tylko głową. Nie powiem ani słowa.

– Mhm.

—

Keep your `lectric eye on me, baby

Put your ray gun to my head

Press your space face close to mine, love.

Nic nie mówić. W głowie mam jeden wielki wrzask. Obejmuję ją rękami, żeby nie pękła.

Sebastian często słuchał ulubionej muzyki swojego ojca, a gdy całowaliśmy się pierwszy raz (nie wtedy w przedszkolu, tylko gdy po raz pierwszy całował mnie tak naprawdę), nazwał mnie Sweet Mary Jane. Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam, ale ta Mary Jane też była wzięta z jednego z ulubionych przebojów jego ojca. Wsiadłam na skuter i założyłam kask, a wtedy Sebastian tak mnie nazwał i podał mi skręta, którego trzymał w ustach. Dolna warga błyszczała mu od śliny. Pokręciłam głową, bo podejrzewałam, że rodzice stoją w oknie i podglądają nas przez firanki. Do dzisiaj nie wiem, jak Sebastian mógł się odważyć. Odmówiłam, a wtedy on mnie pocałował: pochylił się w moją stronę, rozsunął mi wargi językiem, a potem lekko go cofnął i wsunął mi skręta do ust. „Maju”, szepnął, a ja się zaciągnęłam i nawet się nie zakrztusiłam. Zrobiłam to trzy razy, a on znowu mnie pocałował. Tak właśnie było: Sebastian mnie całował, a ja kilka metrów od domu paliłam trawkę.

Mogłabym właściwie potwierdzić, że Sebastian był moim chłopakiem, ale równie dobrze mogłabym zaprzeczyć i powiedzieć, że wszystko było między nami skończone. I tak by nie zrozumieli.

Sebastian zakładał mi czasem swoje słuchawki, puszczał ulubione przeboje taty, a przy okazji mnie całował i głaskał dłonią po skórze. Brał mnie w objęcia i nie chciał puścić. Po prostu nie pozwalał mi odejść.

Czy był moim chłopakiem? Takie pytanie nie zasługuje na odpowiedź.

– Powiedziałam mu, że dłużej tego nie wytrzymam – szepnęłam. Nie wiem, czy Ondulacja mnie usłyszała. – Że to się musi skończyć.

Czy ja naprawdę mu to powiedziałam na ostatnim spacerze? A może tylko chciałam? *Would you carry a razor, in case, just in case of depression?*

Nie pamiętam, czy w tym momencie Ondulacja na mnie spojrzała, ale zapamiętałam, że zaczęła mówić wolniej.

– Wiesz co? – zaczęła. – Powinnaś zrozumieć, że zanim zastosowaliśmy wobec ciebie określone środki... niedawno skończyłaś osiemnaście lat, prawda?

Skinęłam głową, chociaż nie musiałam. Przecież wiedziała, ile mam lat.

– Rzadko się zdarza, że młode osoby trafiają do aresztu, że stosuje się wobec nich zaostrożony rygor i że tak jak ty są izolowane od innych. Chyba rozumiesz, że jeśli coś takiego ma miejsce, to chodzi o coś więcej niż tylko o to, że byłaś albo jesteś z jakimś chłopakiem, który coś zrobił... z Sebastianem... Są jeszcze inne sprawy...

Skinęłam głową. Sander się wyprostował.

– O co pani chodzi? – spytał.

– Wrócę do tego później i wyjaśnię dokładnie, gdy skończymy omawiać przygotowany przez nas materiał. Mamy go więcej i dlatego apeluję do ciebie, żebyś o wszystkim nam od razu opowiedziała. Zrób to dla swojego dobra. Jestem pewna, że mogłabyś nam opowiedzieć o wiele więcej niż to, o czym opowiedziałaś do tej pory.

Skinęłam automatycznie głową, niepotrzebnie, więc od razu pokręciłam nią przecząco. Sander siedział jak na szpilkach.

– Muszę cię poinformować o kolejnym podejrzeniu popełnienia przestępstwa.

Każde słowo wydawało się coraz ważniejsze, jeszcze zanim Ondulacja je wypowiedziała.

– Mam na myśli zdarzenie, do którego doszło przed waszym wyjazdem z domu Sebastiana do szkoły. Chodzi mi o sprawę z jego ojcem.

Nie odezwałam się, więc Ondulacja kontynuowała swoją wypowiedź.

– Jak myślisz, Maju, czy chciałabyś porozmawiać przez kilka minut ze swoim adwokatem?

– Nie – odparłam.

O czym miałabym z nim rozmawiać?

Ondulacja opowiedziała nam o tym, co Sebastian zrobił na mniej więcej godzinę przed moim powrotem do jego willi, jeszcze zanim pojechaliśmy stamtąd do szkoły. Opowiadała, pytała, wyjaśniała. Stale mnie o coś wypytywała.

A ja się w ogóle nie odzywałam, tylko za każdym razem otwierałam usta. W końcu stało się to, co musiało się stać: zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam tak długo, że nie mogłam przestać.

11.

Krzyczałam tak długo, aż zaczęło mnie drapać w gardle, a organizm odmówił posłuszeństwa. W końcu zasnęłam – trzydzieści dwie godziny po tym, jak wyniesiono mnie z klasy. Okazało się, że potrzebowałam ataku hysterii, lekarza w fartuchu i zastrzyku w rękę. Kiedy się obudziłam, łupało mnie w głowie. Słyszałam strzępy muzyki, jakieś zdania, choć nawet nie wiedziałam, skąd pochodzą.

To nie tu przywieźli mnie na początku. Nie byłam w moim „pokoju”, tylko w izolatce. Wprawdzie nigdy wcześniej takiej celi nie widziałam, ale nie miałam żadnych wątpliwości, w jakim miejscu się znajduję. W izolatce aresztant jest pod stałym nadzorem. Nie ma tu okien, jest tylko plastikowy materac, który leży na podłodze obok studzienki odpływowej wielkości deski klozetowej. Pewnie się bali, że będę wymiotować. Całą długą ścianę zakrywało zamglone lustro.

Staralam się na nie nie patrzeć, bo wiedziałam, że po drugiej stronie ktoś siedzi i obserwuje mnie jak rybkę w akwarium. Leżałam więc i gapiłam się w sufit. Czekałam, aż na mnie runie albo się rozpuści, podzieli, pęknie jak nabrzmiała rana i nagle w szczelinie ukaze się ręka, która mnie porwie i zabierze jak najdalej od tego miejsca. Niestety, moim rodzicom nigdy by nie przyszło do głowy, żeby coś takiego zrobić. Po ich minach w szpitalu widziałam, że się o mnie bali. Ba, byli śmiertelnie przerażeni. Ich córka jest morderczynią, w pełni zasłużyła na takie określenie. Powinna właściwie nie żyć... Dlaczego więc też nie zginęła?

Czy rodzice żyją? Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego policjant zrobił taką dziwną minę, gdy go o to spytałam.

Często mi się zdarza płakać. Na przykład w kinie, gdy lecą reklamy z niemowlakami, albo podczas programu *Mam talent!*, gdy uczestnik konkursu śpiewa tak cudownie, że członkowie jury otwierają oczy ze zdumienia, zrywają się z krzeseł i wołają: „Teraz! Właśnie teraz zaczynasz nowe życie!”. Płaczę, gdy ktoś jest miły, chociaż nie musi, albo gdy wpadam w złość i nie potrafię wyjaśnić dlaczego. Brak happy endu w filmie? Płaczę. Szczęśliwe zakończenie? Płaczę. Taka właśnie jestem. Ale teraz nie płakałam, bo nie miałam powodu. Złe zakończenie zdarza się tylko wówczas, gdy istnieje inne – alternatywne – rozwiązanie, a tamto jest niesprawiedliwe, acz nieuniknione. Wtedy nie ma sensu płakać.

Nie byłam pewna, czy zasnę. Myślałam, że będę tak leżeć na materacu i czekać całą wieczność. Jak rybka akwariowa wyrzucona na ląd. Nagle poczułam, że zaczynam się pocić; miałam mokre włosy i czułam wilgoć między nogami. Tak bardzo zmarzłam, że rozboleły mnie dłonie. Nie mogłam się ruszać, bo wstrząsały mną dreszcze. W celi nie było koca, więc trzęsłam się coraz bardziej. Swędziały mnie dłonie i skóra na głowie.

Dlatego mimo wszystko przejrzałam się w lustrze. Wiedziałam, że są za nim ludzie. Domyślałam się, że się tam poruszają, patrzą na mnie, a ja tego nie widzę. Stali wokół szklanej misy, w której pływałam brzuchem do góry. Na lekcji religii dyskutowaliśmy o zwariowanym duńskim rzeźbiarzu, który w jakimś muzeum wystawił sokowirówki ze złotymi rybkami. W każdej z nich pływało ich po dziesięć. Gdyby zwiedzający muzeum tylko chcieli, mogliby nacisnąć guzik i każdą z nich uruchomić. Wrrrrrr... Wystarczy sekunda i z rybek zrobi się miazga. Czy nagrywają mnie kamerą? Oczywiście. Czy powinni mnie uprzedzić, że jestem pod obserwacją? Nie. Nie musieli mnie pytać o zgodę, gdy mnie rozebrali, robili mi zastrzyk czy podawali lekarstwo, o które nie prosiłam. Stałam więc przed lustrem z otwartymi oczami. Przedemną byli ludzie, których nie widziałam. Co jakiś czas, chyba często, będą

otwierać drzwi... zapomnę o nich... przypomnę sobie... co pewien czas ktoś wejdzie i będzie mnie dotykał... już czuję te dłonie ślizgające się po mojej skórze. Wrrrrrr...

Jak tu zasnąć? Czy mała biała tabletką leżąca na tacy pomoże mi się odprężyć? A może zastrzyk? Nigdy! Nie będę ryzykować. Jeśli zamknę oczy, tamto wróci.

Policja chce, żebym o wszystkim opowiedziała, od samego początku. Potem się dowiaduję, że Claes nie żyje. Sebastian zabił go w pierwszej kolejności. Kiedy tamtego ranka do niego przyszedłam, Claes Fagerman już nie żył. Leżał martwy w kuchni.

– Maju, co sądzisz o Claesie?

– Maju, co on ci zrobił?

– Maju, co o tym myślałaś? To znaczy, co myślałaś, gdy Claes to zrobił?

– Maju, czy powiesz nam, co powiedziałaś Sebastianowi o jego tacie?

– Wyjaśnij nam, co napisałaś Sebastianowi, gdy wyszłaś od niego z willi?

Już wiedzą i dlatego pytają. Twierdzą, że razem z Sebastianem uzgodniliśmy, iż jego tata powinien umrzeć. Podobnie jak inni.

– Maju, a dlaczego oni musieli umrzeć?

Twierdzą, że postanowiliśmy umrzeć razem, że taki miał być nasz koniec, ale w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Wy tłumaczyli mi, że strach przed śmiercią to całkiem naturalny stan.

– Czy wtedy, kiedy rozumiałaś, czym jest śmierć, i uświadomiłaś sobie, że wszystko kończy się w sposób nieodwracalny, poczułaś strach?

A przecież ja nawet nie wiedziałam, co było początkiem. Teraz leżę w celi, ktoś się na mnie gapi, a ja go nie widzę. Nic się jeszcze nie skończyło.

Na początku tego, co potem zostanie nazwane „początkiem”, chodziliśmy z Sebastianem na pływalnię w lewym skrzydle willi. Gościnny pokój

przylegający do basenu stał zawsze wolny, a pościel w podwójnym łóżku była świeża i chłodna. Wszędzie były głośniki: na suficie, przy podłodze, w każdym rogu. Na basenie muzyka brzmiała najlepiej, przy okazji zagłuszała cichy szum agregatora. Tamte słowa, melodie, najszlachetniejsze przeboje... jego... moje... nasze... zawładnęły nami, położyły się przy nas, omotały nas.

Byłam tak rozpalona, że zaczęłam się zastanawiać, co mi wstrzyknęli. Szumiało mi w głowie, jak gdybym przesuwiała potencjometrem po radiowej skali, wsłuchiwała się przez pięć sekund w każdą stację i przeskakiwała na następną. Trzaski między częstotliwościami albo normalny dźwięk, gdy strzałka trafiała na jakiś kanał. Szumy. Dźwięki. Szumy. Dźwięki.

Claes powiedział nam kiedyś, że gardzi narkomanami. Był to jeden z wielu powodów, dla których znienawidził Sebastiana.

Leżałam na materacu, pocierałam dłoń o szorstką ścianę celi i przyszło mi na myśl, że wszystko wydarzyło się dawno temu. Upłynęła chyba cała wieczność. A może to się zdarzyło całkiem niedawno? Faktycznie, w wieczór poprzedzający tamte zdarzenia coś wzięłam, byłam na wysokich obrotach, podenerwowana, głośna i przestraszona. Claes był wstrętny, nie znosiłam go. Zachowywał się wobec mnie okropnie, ale jeszcze gorzej traktował Sebastiana. Ktoś w końcu musiał powiedzieć Sebastianowi, że z jego ojcem jest coś nie w porządku, że chyba jest nienormalny, i to ja mu to powiedziałam, a on zrobił to, co zrobił.

Usiadłam na materacu i zauważyłam, że mam bose stopy. Podłoga była chłodna, prawie miękka. Kiedy mnie tu przyjmowali, obuwie szpitalne zamienili mi na parę butów przypominających sandały, tyle że bez sznurowadeł. Ale i te mi zabrali. Niedaleko willi, która stoi przy rondzie na Vendevägen i jest siedzibą Organizacji Wyzwolenia Palestyny, na drutach sieci energetycznej wisiała zwykle para tenisówek związanych sznurowadłami. Kiedyś słyszałam, że jeśli ktoś zobaczy w Nowym Jorku buty wiszące na

ulicznej latarni, oznacza to, że w tym miejscu można kupić herę. W Djursholmie nie trzeba marznąć na ulicy, bo od razu podchodzi ktoś z prochami. Moi rodzice mieli w domu gotowe skręty. Trzymali je w bibliotece, w zamkniętej na klucz szafce, w pudełku po cygarach. Niestety, były tak stare i suche, że miałam spore wątpliwości, czy nadają się jeszcze do palenia. Za to dla rodziców sama świadomość faktu, że trzymają takie skręty w ukryciu, musiała być podniecająca. Mieli je na wszelki wypadek... Jak gdyby oboje zaliczali się do kategorii ludzi, którym takie sytuacje się zdarzają. To wtedy pada hasło „Zapalmy trawkę! A co, nie wolno?!”. Ciekawe, czy policjanci znaleźli tę skrytkę, gdy przeszukiwali mieszkanie. Może mama zdążyła te skręty wyrzucić? Może rodzice zeznali, że to moja własność? Tyle że ja wolałabym zapalić łąjno królika niż to, co rodzice ukrywali w swoim patetycznym schowku.

Położyłam się na podłodze z głową tuż przy studziencie odpływowej. Prochów nie biorę od dawna. Skończyłam z tym. Czy na pewno? No, w każdym razie prawie. To między innymi dlatego Sebastian był na mnie stale zły: bo mu odmawiałam. Hm... czy na pewno z tym skończyłam?

Szumiało mi w głowie, było mi niedobrze.

Sebastian znał kiedyś pewnego chłopaka. Dzwonił do niego, żeby „zamówić taksówkę”, „pizzę” albo „czyszczenie basenu”. Zależy, czego akurat potrzebował. Prawdziwego znaczenia poszczególnych haseł łatwo się było domyślić. „Zamawiam dwie włoskie pizze z dodatkową porcją sera, krążki cebulowe i butelkę fanty. Jest nas czwórka”. Potem Sebastian poznał Dennisa i „chłopak od pizzy” przestał mu być potrzebny.

Bo jeśli chodzi o prochy, Dennis był niezwykle pomysłowy.

Czy o tym też mam im opowiedzieć? Czy policję interesuje, skąd Sebastian brał narkotyki? Czy mam powiedzieć, że to one były wszystkiemu winne? Jeszcze pomyślą, że to prawda. A co jeśli się okaże, że one faktycznie są

wszystkiemu winne? Czy Sander chciałby, żebym to zeznała i opowiedziała o imprezach organizowanych przez Sebastiana? One naprawdę były fantastyczne, wprost legendarne. Fantazja innych kończyła się na najlepszych rocznikach win przechowywanych przez ich rodziców w piwniczkach albo na koktajlu Bellini na bazie Dom Pérignon. Myśleli, że wystarczy zamówić kilka dziewczyn z dziewiątej klasy i zapłacić im, żeby usługiwały w bikini na dorocznych męskich imprezach. Sebastian był inny. Wynajmował sprzęt muzyczny, zawodowych didżejów, łodzie, artystów cyrkowych, kucharzy z programów telewizyjnych, specjalistów od pizzy z Neapolu. Kiedyś ściągnął samolotem jakiegoś faceta z Nowego Jorku, którego znalazł na YouTube, żeby imprezował razem z nami. Facet był zbyt pijany, żeby można go było zrozumieć, ale zdążył się przespać z jedną z koleżanek Amandy ze stadniny. Dwa tygodnie po tym, jak nagranie z imprezy wstawił na YouTube i nazwał „The Party with Swedes”, klip miał ponad dwa miliony odsłon.

Sebastian nie znał granic. Wprost kochał wszelkiego rodzaju imprezy. Tak samo wszyscy kochali jego i to, co się z nim wiązało. Przynajmniej na początku. Każdy chciał się z nim trzymać, ale nikt nie zbliżył się do niego bardziej niż ja. Sebastian chciał przebywać w moim towarzystwie bardziej niż z kimkolwiek innym. „Maju, on sobie bez ciebie nie poradzi”.

Od stołu wstawaliśmy, zanim reszta gości skończyła jeść kolację; z parkietu schodziliśmy, zanim zeszyły z niego inne pary, i szliśmy na basen. Zamykaliśmy się od środka na klucz i zapominaliśmy o całym towarzystwie. Kiedy chcieliśmy, żeby sobie poszli, Sebastian wyłączał prąd. Zapadała cisza i większość gości szła do domu. My leżeliśmy nago przy basenie i wsłuchiwaliliśmy się w szum agregatora, który pracował na okrągło, bo Sebastian nigdy go nie wyłączał. Urządzenie było zasilane z dodatkowego źródła prądu.

Sebastian wybrał mnie. Było to dla mnie niezrozumiałe i nigdy nie mogłam

pojąć, dlaczego to zrobił. Ktoś taki jak on powinien sobie znaleźć inną, ładniejszą ode mnie dziewczynę. Ale gdy mnie już wybrał, stałam się kimś specjalnym. Rodzice byli tak uszczęśliwieni, że nie wiedzieli, co powiedzieć. Sebastian! Nie mogli w to uwierzyć.

Na początku naprawdę się cieszyli, że się z nim spotykam. Czy o tym też mam opowiedzieć? Czy policja rzeczywiście chce wiedzieć, jak bardzo go wszyscy kochali? Sebastian nie przestał mnie kochać nawet po tym, jak go zdradziłam. Znowu wybrał mnie, bo kochał mnie bardziej niż ktokolwiek inny. A ja kochałam jego. Za to nie znosiłam jego ojca. Nienawidziłam go z całego serca. I życzyłam mu śmierci.

12.

Przyszła noc, a ja odmierzałam upływające minuty. Po pewnym czasie (po godzinie? po dwóch?) spędzonym z głową przy studziencie odpływowej wróciłam na materac. Czy zasnęłam? Czy krzyczałam? Po jak długim czasie się obudziłam? Nie wiem, ale w głowie miałam coś innego, a ściany wydawały mi się twardsze. Skuliłam się, wyszeptałam jego imię. Na początku miało słodki smak, ale potem stanęło mi w gardle, wypełniając usta gorzką żółcią, podobnie jak wtedy, kiedy cukier waniliowy roztopia się na języku. Zwymiotowałam, ale zrobiłam to w pewnej odległości od praktycznej studzienki w podłodze. Ktoś wszedł do celi i posprzątał po mnie. Dał mi szklankę wody, wytarł twarz i wyszedł.

Kiedy równowagę odzyskałam na tyle, że można mnie już było przenieść z powrotem do mojego „pokoju” z oknem i łóżkiem (siedziałam tam izolowana od innych osób), zaczęła się kolejna runda przesłuchań prowadzonych przez Ondulację. Na początku to ona zadawała mi pytania, natomiast inne policjantki robiły to sporadycznie. Siedziały w rogu pokoju, piłowały paznokcie i co jakiś czas się wymieniały.

Najwidoczniej ktoś uznał, że to właśnie Ondulacja najlepiej się nadaje do przesłuchiwania „młodej kobiety”. Moim zdaniem zachowywała się zbyt patetycznie.

Na początku każdego przesłuchania była rześka, energiczna i stale powtarzała moje imię. Zachowywała się jak ci, co prowadzą programy telewizyjne dla dzieci. Za to pod koniec przesłuchań robiła się zmęczona i coraz bardziej podenerwowana. Poziom głosu spadał jej o oktawę i gadała

jak lektor w źle przetłumaczonym serialu telewizyjnym.

– Naprawdę? W takim razie jak wyjaśnisz te esemesy?

– Słyszę, co mówisz, Maju. Bardzo dobrze słyszę. Trudno mi jednak zrozumieć, po co miałybyś je wysyłać, skoro nie myślałaś tego, co w nich pisałaś. Czy często ci się zdarza, że mówisz jedną rzecz, choć myślisz coś zupełnie innego?

Ondulacja przypominała mi pod pewnymi względami psychologa, do którego mama zabrała mnie po urodzeniu Liny (doszła bowiem do wniosku, że to dla mnie jakiś problem, iż urodziła ją, będąc w tak późnym wieku). Psycholog wyczytał w jakimś podręczniku (takie abecadło psychologii), że powinnam się otworzyć, swobodnie wypowiedzieć, wyrzucić z siebie to, co zamierałam przed nim ukryć, żeby w pokoju nie zaległa kłopotliwa cisza.

Ondulacja posługiwała się często tą samą taktyką. W efekcie siedzieliśmy w milczeniu. Podczas moich rozmów z psychologiem zdarzało się, że nie zamieniliśmy słowa nawet przez dziesięć minut. Czasem interweniował Sander („Nie możecie państwo oczekiwać, że moja klientka sama się domyśli, o co chcecie ją zapytać, jeśli nie zaczniecie jej zadawać pytań”), a czasem robił taką minę, jak gdyby bawiła go niezręczność sytuacji, w której policjantka siedzi ze wzrokiem wbitym w plastikowe kubki z zimną kawą. On też siedział niekiedy w milczeniu, opierał się o niewygodne krzesło, splatał dłonie, zamykał oczy i zachowywał się, jakby zasnął albo medytował, podczas gdy zegar odmierzał kolejne godziny powiększające jego honorarium.

Jeśli w końcu odpowiadałam na jakieś pytanie dotyczące na przykład imprezy w willi Fagermanów, kłótni z Claesem, moich esemesów albo treści rozmów telefonicznych przed naszym wspólnym wyjściem do szkoły, lub też wyjaśniałam, o czym rozmawialiśmy podczas spaceru bądź kilka godzin przed moim powrotem do domu, po kilku minutach Ondulacja zadawała mi dokładnie to samo pytanie.

- Już na nie odpowiadałam.
- Chętnie posłucham jeszcze raz.

W takich sytuacjach Sander głośno wzdychał.

Ondulacja denerwowała się i robiła skrzywioną minę, ale nigdy na mnie nie krzyczała i nie traciła nad sobą kontroli. Za każdym razem spoglądała tym samym wilgotnym wzrokiem: nie był zły ani grzeczny, pusty ani jałowy. Innym policjantom przychodziło to z większym trudem. Jeśli któraś zaczynała mówić podniesionym głosem, Ondulacja od razu wyrzucała ją z pokoju i nawet nie musiała mówić jej tego wprost. Prosiła na przykład, żeby jej coś przyniosła: papier, wodę, chipsy albo coś ciepłego do picia. Policjantki starały się więc kontrolować ton swoich wypowiedzi, żeby wolno im było zostać w pokoju.

Najgorszy był pewien policjant w wieku około dwudziestu pięciu lat. Pojawił się pod koniec pierwszego tygodnia mojego pobytu w areszcie i natychmiast znienawidził mnie bardziej niż inne kobiety, które pewnie od razu go spławiały, bo już sam jego wygląd sugerował, że jest kiepski w łóżku. Starał się jednak nie okazywać mi niechęci. Gdyby to zrobił, Ondulacja pewnie by go od razu wyprosiła z pokoju albo przeniosła do innych obowiązków, choćby do drogówki.

Skąd wiem, że facet mnie nie znosił? Bo przypominał mi pewną sytuację, gdy zabrałam Sebastiana na jedno z polowań organizowanych przez mojego dziadka. Towarzyszyło nam jego siedmiu dobrze sytuowanych, zadowolonych z życia dyrektorów, którzy prawie zasypiali w lesie, alkohol pili przed lunchem i twierdzili, że wcale nie postrzelili zwierzęcia, tylko fatalnie chybili. Kłamali, bo nie chciało im się iść tropem zranionej ofiary z psem, który pędził tak szybko, że już po dziesięciu metrach zaczynało im brakować tchu. Na tamtym polowaniu miałam zostać na stanowisku razem z Sebastianem, chociaż wolałam iść w nagonce.

To ja zaproponowałam mu udział w polowaniu. Sebastian polował czasem ze swoim ojcem, więc przydzielono mu dość dobre stanowisko, chociaż był chyba za młody, żeby stać na nim w pojedynkę. Dziadek ucieszył się na nasz widok, przywitał się z Sebastianem jak z dorosłym, a przewieszając strzelbę przez ramię, spojrzął na niego spod zmrużonych powiek. Dopóki staliśmy przy prowadzącym polowanie i słuchaliśmy jego instrukcji, Sebastian zachowywał się spokojniej niż zazwyczaj. Kiedy ruszyliśmy na wskazane nam stanowisko, szedł jak w transie, jak gdyby był sam. Kiedy jednak czekaliśmy, aż nagonka podejdzie do naszego stanowiska, zaczął się zachowywać jak nienormalny. Krew prawie burzyła mu się w żyłach. Siedziałam tuż obok niego i mogłabym go uderzyć z całej siły w ramię, a on i tak by nie zauważył mojej obecności. Cały jego umysł był przekierowany na las i zwierzęta, które wkrótce miał zabić. W pewnym momencie wyszedł przed nas jeleni. Poruszał się jak w zwolnionym tempie, odwrócił głowę w naszą stronę. Sebastian pochylił się do przodu i uniósł broń. Przez kilka sekund miałam wrażenie, że za chwilę rzuci się przed siebie i przytknie lufę do szyi zwierzęcia, ale on tylko strzelił. Oddał dwa szybkie strzały, po których jeleni padł na ziemię, jeszcze zanim nas zauważył. Kiedy Sebastian do niego podszedł i przykucnął, pomyślałam, że zaraz wyjmie z kieszeni nóż i wbije mu go w szyję, żeby krew z rany oblała mu dłonie i żeby mógł z bliska poczuć, jak zwierzę umiera. Ale on tego nie zrobił, tylko krótko dyszał i był tak spocony, że włosy przykleiły mu się do czoła. Później inni myśliwi go chwalili, a dziadek uśmiechnął się do mnie, jak gdyby to wszystko było moją zasługą. Wróciłam do domu i jeszcze przed kolacją poszłam do łóżka, bo rozbolał mnie brzuch.

Kiedy więc tamten policjant patrzył na mnie, gdy Ondulacja tego nie widziała, przypomniało mi się tamto polowanie z Sebastianem. To, że siedziałam w areszcie pod kluczem, i tak nie miało dla niego znaczenia, bo żeby ukoić swoją wzburzoną krew, musiałby mnie po prostu zabić. Chciałam

mu powiedzieć, że przypomina mi Sebastiana, i zobaczyć jego reakcję, ale nie zrobiłam tego.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Pierwszy tydzień procesu — piątek

13.

Podnoszę się z mojego szerokiego na osiemdziesiąt centymetrów łóżka w celi i naciskam dzwonek. Łóżko dzieli od drzwi półtora metra. Kiedy byłam mała, chciałam czasem zachorować, bo mogłam wtedy poleżeć w łóżku, jeść, co chciałam (na przykład biały smażony chleb z marmoladą), czytać książki (*Harry'ego Pottera*), korzystać do woli z telefonu komórkowego, oglądać filmy i słuchać muzyki.

Nie chcę jechać do sądu. Czy jeśli powiem, że jestem chora, pozwolą mi tu zostać? W moim „pokoju”?

Dwa miesiące spędziłam w areszcie dla kobiet. Przedtem przez siedem miesięcy trzymali mnie w areszcie dla młodocianych. Szczególne względy prawne („gdy nie musimy przestrzegać naszych zasad”) sprawiły, że musiałam tam zostać, chociaż w normalnych okolicznościach jest to miejsce przeznaczone wyłącznie dla chłopaków. Facetów pod kluczem należy za wszelką cenę izolować od kobiet. W moim przypadku zrobiono wyjątek, a uzasadniano go na wiele sposobów: areszt dla kobiet jest przepełniony... i tak mam siedzieć w izolatce... nie będę miała okazji kontaktować się z innymi aresztantami... „w takich sytuacjach jak ta” w areszcie dla młodocianych stosowane są lepsze metody... i tak dalej. Przede wszystkim jednak chodziło o pokazanie opinii publicznej, że nie jestem traktowana w jedwabnych rękawiczkach. Jak widać, istniały uzasadnione względy, aby traktować mnie w sposób szczególny i uspokoić społeczeństwo, że nie korzystam z żadnych przywilejów.

Po pewnym czasie przeniesiono mnie do innego aresztu. Powodem było

zachowanie osadzonego z sąsiedniej celi, który aż dwadzieścia cztery razy (liczyłam!) wykrzyczał na spacerunku „Ty pierdolona pizdo!”. Nie widziałam jego twarzy, ale pod koniec zupełnie ochrypł. Może przenieśli mnie przez niego?

Dla mnie to i tak bez różnicy. Pomieszczenia wyglądają tu prawie tak samo jak tam. Różnią się tylko bązgrołami na ścianie toalety, za to stalowa płyta nad stalową umywalką jest identyczna. W toalecie jest sedes (też ze stali), ale bez deski do opuszczania. Są w niej za to takie same sosnowe meble. Faceci też tu są, tyle że na innym oddziale. Nie widuję ich.

Siadam na łóżku i czekam, aż mnie wypuszczą. Gdyby w drodze ze szpitala do aresztu ktoś mi powiedział, że spędzę tu przynajmniej dziewięć miesięcy, na pewno bym nie uwierzyła. Po przyjeździe do aresztu zdjęto mi kajdanki, odebrano szpitalne ubranie i kazano włożyć parę zielonych, sztywnych spodni, zieloną i sztywną koszulę, białe majtki i biały biustonosz. Zachowywałam się dokładnie tak jak na początku: czekałam na powrót do domu.

Ciągle jeszcze wierzyłam, że za kilka godzin pozwolą mi wrócić do domu, więc nawet nie wkładałam ubrania, które się nosi w areszcie. Tyle że sztywny materiał nie chciał się dopasować do kształtu mojego ciała. W końcu włożyłam to, co dostałam, chociaż Sander przywiózł mi moją własną odzież.

– Moje ubranie to moja tożsamość – mawiała Amanda tonem, który sugerował, że ma cholerną rację (choć to nie ona była autorką tego powiedzenia).

Kiedy tu trafiłam, uświadomiłam sobie, że się nie myliła. Na moje własne ubranie nie chciałam nawet patrzeć, o wiele bardziej logiczne było włożenie zbyt ciasnego biustonosza i majtek, które rozeschły się w kroku, a gdy je wkładałam, prawie rozpadły mi się w rękach. Dzięki temu ubraniu nie musiałam być sobą. Było to niezwykle piękne uczucie. Zaleta numer jeden.

A mój „pokój”? Koc pachnie kurzem i bezwonnymi środkami piorącymi.

Pewnie nikt ich nigdy nie płucze. Nie są zbyt przyjemne w dotyku, lecz dzięki temu naczelnik aresztu nigdy nie stanie się negatywnym bohaterem programu o roztrwanianych pieniądzach podatników.

Raz na dwa tygodnie dostaję nową szczoteczkę do zębów, niewielkie mydło i minipastę do zębów w papierowej torebce. Raz na dwa tygodnie pytają mnie, czy potrzebuję nowych podpasek higienicznych. Są grube na dwa centymetry i zbyt krótkie. Za każdym razem potwierdzam i dziękuję. Przechowuję je w mojej szafce bez drzwi. Pokój jest minimalnie większy niż garderoba w moim domu. Za każdym razem, gdy strażnicy otwierają drzwi mojej celi, widzę po ich minach, co o mnie myślą. „Nieszczęsna, bogata dziewczyna”. *Schadenfreude*, gdy doznaję załamania nerwowego i zapada decyzja o całodobowej obserwacji. „To oczywiste, że dla dziewczyny, która nigdy nie nocowała na łonie natury bez poduszki z pierzem i telefonu komórkowego, areszt jest gorszy od tortur wodnych. Dziwne, że takie załamania nie zdarzają się częściej”.

W jednym z górnych rogów celi, koło mojego łóżka, znajdują się końcówki kabli do telewizora. Nie wolno nam mieć prywatnych odbiorników. Przy szafce nocnej znajduje się przytwierdzone do ściany gniazdko elektryczne, ale brakuje radia z budzikiem. Żeby nie utrudniać śledztwa, orzeczono wobec mnie zaostrzony rygor. Po zakończeniu dochodzenia trochę go złagodzano, ale większość decyzji podtrzymano. Sander twierdzi, że do orzeczenia wyroku będą się tu na mnie wyżywać i nic na to nie można poradzić. „Uzasadnione powody”. Wszystko, co ze mną robią, wynika z „uzasadnionych powodów”. Nigdy mi nie wyjaśniono, w jaki sposób zegarek, który zabrali mi w szpitalu, mógłby utrudnić śledztwo. Do dzisiaj tego nie wiem. Nie ma jednak sensu wyklócać się z tego powodu.

– Sama wybierz, z kim chcesz walczyć – mawia Sander i brzmi to jak porada specjalisty od spraw małżeńskich w którymś z programów telewizji

śniadaniowej.

Muszę wytrwać do czasu, aż przeniosą mnie tam, gdzie będę odsiadywać wyrok. „Sama jesteś sobie winna, pierdolona cipo”. Żeby się dowiedzieć, która jest godzina, muszę nacisnąć dzwonek i spytać o to któregoś ze strażników.

Wstaję i jeszcze raz naciskam dzwonek. Tym razem robię to dłużej niż zwykle. Jeśli dojdą do wniosku, że robię się upierdliwa, może oddadzą mi zegarek albo podłączą do prądu to pieprzone radio z budzikiem? Czym ryzykują, jeśli będę mogła obserwować, jak wolno upływa czas?

Od niedawna mogę przynajmniej czytać gazety. Najwidoczniej Sander uznał, że warto o to powalczyć. Przyniósł mi też te, których nie czytałam podczas śledztwa, bo uważa, że powinnam wiedzieć, co o mnie piszą („Oskarżają cię o więcej przestępstw niż prokurator, a ona temu nie zaprzecza”). Niestety, dostałam zgodę tylko na prasę. Nie wolno mi korzystać z internetu, więc nie mogę śledzić tego, co piszą o mnie na Twitterze. Nie ma mowy o Facebooku, Google’u czy hasztagu #maja#morderczyni#masakrawdjursholmie, nie wolno mi też odbierać ze Snapchatu anonimowych wiadomości typu „Umrzesz”. Zaleta numer dwa.

Naciskam dzwonek trzeci raz, a potem kładę się na łóżko i czekam, aż ktoś się zjawi. W takiej pozycji mogę dosięgnąć krawędzi stołu po drugiej stronie pokoju. Mogłabym nawet rozłożyć ręce, oprzeć się o ściany i utrzymać w takiej pozycji. To nie jest mój dom. Nie muszę oglądać naszego brzydkiego domu. Zaleta numer trzy.

Nasza rodzina mieszka w nowym domu na działce otoczonej bogatymi willami z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Dom udaje coś, czym nie jest. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, pomyślałam, że aby sprawdzić, jak wygląda naprawdę, będę potrzebowała okularów do obrazu 3D. W przedpokoju stała minifontanna. Przez cztery tygodnie bulgotała w niej

woda, aż przyszli czterej polscy robotnicy, zdemontowali ją i położyli nową podłogę, i to nie tylko w przedpokoju. Tata wyjaśnił nam, że poprzedni właściciel posiadłości był człowiekiem z branży didżejskiej i należał do grupy muzyków, którzy nie grają na żadnym instrumencie ani nie piszą własnych przebojów.

Ów „muzyk” poszerzył podjazd na tyle, żeby mógł podjechać swoim hummerem pod samo wejście. Zapomniał jednak o placyku do zawracania. „Pewnie dlatego pozbył się domu – stwierdził tata. – Nie pomieszkał w nim ani jednego dnia. W Ameryce, żeby dostać prawo jazdy, nie trzeba na egzaminie zdawać testu z cofania”.

To jedna z ulubionych historyjek taty – opowiadał nam ją niezliczoną ilość razy. Na dodatek za każdym razem sam się z niej śmieje. Cała ta historia świadczy o tym, że na świecie żyją gorsi nuworysze od niego. A może tata jest po prostu zazdrosny, bo nigdy by się nie odważył prowadzić hummera? Wolałby udawać bezczelnego snoba w garniturze i T-shircie, w pantoflach na gołych stopach, kogoś w rodzaju muzyka albo milionera z branży IT. Tacie nie wstyd, że podobają mu się seriale filmowe o Miami z lat osiemdziesiątych. Bardzo się pilnuje, żeby nie złapać przeziębienia, bo mogłoby mu to przeszkodzić w treningach do maratonu. Nosi długie do kolan skarpety z wełny merynosów przetykane srebrnymi, antypotowymi nićmi, i wkłada je nawet do garnituru. Raz na tydzień, w piątki, tuż po lunchu, zdejmuje krawat; wiesza go na oparciu biurowego fotela i zabiera się do dalszej pracy. Na tym kończy się jego bezpretensjonalność i odwaga.

Nadal mam szlaban na odwiedziny. Nie wolno mi się spotykać z rodzicami. Zaleta numer cztery.

Już czwarty raz wstaję z łóżka i przez pięć sekund naciskam dzwonek. Liczę na głoś, żeby nie stchórzyć i nie przestać zbyt szybko: jeden pilzner, dwa pilznerzy, trzy pilznerzy... Właśnie tak liczyła babcia w czasie burzy, między błyskawicą

a grzmotem. W celi nie słysząc dzwonka, ale wiem, że słyszy go strażnik. Jestem pewna, że jego głośny dźwięk musi być dla niego irytujący. Nie jestem chora i nie wiem, jak mogłabym kogokolwiek przekonać, że coś mi dolega, więc nie mam innego wyjścia, jak tylko w ten sposób zwrócić na siebie uwagę.

Wczoraj wieczorem Susse obiecała mi, że pójde pod prysznic przed innymi. Przed śniadaniem. „Jak tylko się obudzisz”. Jestem już całkiem dobra w rozstrzygnięciu, czy noc się skończyła i zaczął się dzień. I teraz jest chyba piąta rano. Muszę przekonać strażnika, że na prysznic nie jest za wcześnie.

Już wkrótce będę mogła przedstawić „moje” spojrzenie na sprawę.

Nie dzisiaj, może w poniedziałek.

Sander poinformował mnie, że dzisiaj nie zapadną żadne rozstrzygnięcia w mojej sprawie. Pani prokurator dokończy swoje wystąpienie i przedstawi dowody. Jej mowa trwała dłużej, niż planowano, i dlatego mamy opóźnienie. Dopiero gdy Pärsson skończy, Sander zaprezentuje naszą wersję zdarzeń. Ale nawet jeśli zdąży dojść do głosu, ja mam tylko siedzieć i słuchać. Myślę, że do aresztu wrócę dość wcześnie, ponieważ i sędziowie, i adwokaci chcieliby spędzić piątkowe popołudnie i wieczór z rodziną. Sander obiecał, że ja też będę miała spokojny weekend. Wyśpię się i wypocznę i nie będę musiała przychodzić do sądu, żeby wysłuchiwać tego, co mówi Lena Pärsson, Naleśnik czy ktokolwiek inny.

Tak naprawdę to chorą powinnam udawać nie dzisiaj, tylko dopiero po wystąpieniu Sandera, gdy przyjdzie pora na „moje sprawozdanie”. Wygłoszę je w poniedziałek albo wtorek, środę albo czwartek, w zależności od tego, ile zdążymy zrobić dzisiaj. Sander wyjaśnił mi, że zostanę na swoim miejscu. W sali rozpraw nie ma wyodrębnionego miejsca dla świadków, z którego można obserwować publiczność. Sander zapewnił mnie też, że nie muszę przysięgać na Biblię. On będzie mi zadawał pytania, nad którymi

pracowaliśmy milion razy, ja będę odpowiadać do mikrofonu. Cała moja wypowiedź zostanie nagrana, a zgromadzona publiczność będzie mogła jej wysłuchać na żywo.

Kiedy dzwonię, strażnik zjawia się zazwyczaj po pewnym czasie. Rzadko jednak czekam aż tak długo. Wciskam dzwonek jeszcze trzy razy, chociaż wiem, że strażnicy strasznie się wkurzają, kiedy ktoś tak ciągle dzwoni. A jeśli on zasnął? Albo jeszcze nie ma piątej i jest dopiero czwarta? Jeśli nie ma jeszcze kwadransa po trzeciej, nie będę mogła iść pod prysznic. Najwidoczniej tak ich zdenerwowałam, że postanowili kazać mi czekać.

Jeśli dziś zachoruję, cała rozprawa zostanie przełożona o jeden dzień. Tym samym sąd przełoży o jeden dzień moje wystąpienie. Może więc powinnam zachorować już teraz, chociaż nikt nie częstuje mnie kanapką z marmoladą? Nie chcę tu siedzieć przez cały weekend ze świadomością, że już w poniedziałek będę musiała wystąpić przed sądem. Niestety, nie umiem udawać chorej. Nie ma szans, żeby zostawili mnie w celi z termometrem, bo to niebezpieczny przedmiot. Mogłabym go stłuc i połknąć jego zawartość, żeby uniknąć zeznań na sali. Dwa tygodnie temu dziewczyna z sąsiedniej celi połknęła ołówek i przyjechała po nią karetka. Na korytarzu zrobiło się zamieszanie, wszyscy się gapili, nawet ci, co siedzieli w celach. Zmusiłam Susse, żeby mi opowiedziała, co się stało. Była tak zszokowana, że w końcu to zrobiła.

Przez pierwsze tygodnie pobytu w areszcie byłam pod stałą obserwacją strażników, którzy pilnowali, żebym nie popełniła samobójstwa. Kiedy siedziałam w celi, co jakiś czas zjawiał się strażnik i pytał, jak się czuję. Jeden przynosił mi lunch, inny odbierał tacę i puste naczynia. Otwierali drzwi, gapili się na mnie przez kilka sekund i znowu je zamykali. Nie dawali mi spokoju. Zaglądali do mnie przez całą dobę. Nie pukali, tylko chrzęścili kluczami w zamku, otwierali drzwi, przez chwilę mnie obserwowali i znowu

je zamykali.

Na początku mnie to denerwowało, bo miałam wrażenie, że mnie sprawdzają co pięć minut. Czasem znów mi się wydawało, że między poszczególnymi inspekcjami minęło kilka godzin. Dlatego za każdym razem, gdy zjawiał się strażnik, pytałam o godzinę. Robiłam to dla samej wiedzy. Bałam się, że nawet nie zauważę, kiedy zapadnie noc. Próbowałam sobie wmawiać, że jak zrobi się ciemno, zobaczę to przez okno, ale ponieważ na początku nie mogłam sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio spałam (Może przespałam kilka nocy i zupełnie o tym zapomniałam? Może jeszcze wczoraj mieszkałam w moim domu?), pytałam o godzinę i za każdym razem zapisywałam ją w notesie, który dostałam od jednego ze strażników razem z bardzo krótkim ołówkiem (z nieznanego mi powodu strażnicy uznali, że go nie połknę albo że jest tak mały, że nawet jeśli to zrobię, nic wielkiego mi nie grozi).

Trzeciego albo czwartego dnia przynieśli mi plik tygodników sprzed roku. Dla panów. Były w nich artykuły o gospodarce, wojnach, oponach i mnóstwo zdjęć nagich kobiet. Czasem taka fotografia była uzupełnieniem tekstu. Dzień później dostałam trzy wystrzępione książki w wydaniu kieszonkowym i trochę komiksów, których głównym bohaterem był Beetle Bailey, w Szwecji znany jako Knasen. Przejrzałam wszystkie strony, ale żadnej nie przeczytałam.

Dopiero po kilku tygodniach przestałam się zachowywać jak więzień, który odsiaduje dożywotni wyrok w średniowiecznym więzieniu (taki, co to nie czesze włosów i zakrwawionymi paznokciami rzeźbi w cementowej ścianie celi kolejne kreski oznaczające upływające dni). Już po miesiącu czytałam wszystkie ogłoszenia w sprawie składek emerytalnych, piwa i kosmetyków do pielęgnacji włosów, i zaczęłam je nawet rozumieć. Notatnik sobie zostawiłam. Zabrałam go ze sobą, gdy przenieśli mnie do aresztu dla kobiet. Miał mi przypominać, że czuję się normalniej i że wszystko można robić według

ustalonych reguł. Głównie jednak był dla mnie dowodem na to, że strażnicy przychodzili co pół godziny. Żeby więc popełnić samobójstwo, miałam mnóstwo czasu, a mówiąc ściślej: dwadzieścia dziewięć minut. Świadomość tego faktu bardzo mnie uspokajała, chociaż nie wiedziałam, w jaki sposób miałabym odebrać sobie życie. Nie mogłam rozbić stalowej płyty („lustra”) nad umywalką, żeby odłamkami „szkła” przeciąć sobie nadgarstki. Koc na łóżku (drugi leżał na półce) zrobiony był z dziwnego, puszystego materiału, a poszwa kołdry z papieru. Zero szans, żeby je pociąć na paski i się powiesić. Pasek torby, którą dał mi Sander, odciął i zabrał ze sobą strażnik. Być może zdążyłabym zrobić coś z T-shirtu albo spodni, ale nie miałabym na czym tego zawiesić. Drzwi od mojej strony nie miały klamki, w celi nie było też haków – ani na ścianach, ani na suficie. Nigdy nie zamierzałam popełnić samobójstwa i dlatego nigdy się nie zastanawiałam, jak to się robi. Za to strażnicy byli pewnie święcie przekonani, że chcę umrzeć. Najwidoczniej mieli rację.

Zanim kolejny raz wcisnę dzwonek, zjawia się strażnik. Tak jak przypuszczałam, jest poirytowany. Dochodzi wpół do szóstej. Spałam dłużej, niż przypuszczałam. Tak, mogę iść pod prysznic i zabrać ze sobą mydło i szampon, które kupiłam w kiosku w areszcie.

Mama chciała mi wysłać całą torbę kosmetyków, ale Sander nie dostał na to zgody. Czy się bali, że mama chce przemycić w kremie do przedłużania rzęs narkotyki albo słowa otuchy? Sama nie wiem. Za to nikt nie skomentował słów mojej mamy, która stwierdziła, że jej oskarżona o zbrodnię córka dba o rzęsy, bo to dla niej ważne.

Dostałam listę przedmiotów, które strażnicy mi odebrali. Mogłabym zaskarżyć ich decyzję, ale mam to w nosie. Nie będę się wdawać w kolejną kłótnię.

Mądra, bogata dziewczynka.

Pierwszy tydzień procesu — piątek

14.

Po powrocie spod prysznic ubieram się. Strażnik przynosi mi tacę ze śniadaniem. Jest na niej kanapka z margaryną i żółtym serem, która smakuje jak plastik, a do tego herbata z octem winnym, której nigdy nie piję. Stoję przed stalową płytą udającą lustro i próbuję zrobić jak najlepszy makijaż. Do pokoju wchodzi Susse. Siada na brzegu łóżka i obserwuje, jak nakładam maskarę od mamy. Susse ma mi towarzyszyć w drodze na rozprawę.

Rzadko pracuje na rannej zmianie, późnym wieczorem albo w weekendy. W piątki po południu wychodzi do domu wcześniej. Dzisiaj musi mnie zawieźć do sądu i dlatego włożyła mundur. Czasem przed wyjściem do domu przychodzi się ze mną pożegnać. Jest wtedy ubrana w cywilne łachy: podkoszulek i postrzępione dzinsy. Na powiekach ma różowe cienie, gęste brwi pomalowane na smolisty, czarny kolor. Susse należy do tych osób, które żeby załapać się na czarter do Tajlandii, decydują się na chwilówkę, a pół roku później, z piękną opalenizną na całym ciele, występują w *Lyxfällan* (to taki program na kanale TV3, w którym różnym ludziom albo wręcz całym rodzinom mającym kłopoty finansowe dwaj eksperci doradzają, jak się tych problemów pozbyć). Osoby te są krytykowane w programie za to, że całą pensję wydały na buty na Zalando. Susse ma córkę i „faceta, który dźwiga złom” (to jej słowa). Córka ma na imię Vilda, Engla albo coś w tym stylu. Susse wytatuowała je sobie w kilku kolorach na łopatce, ale kiedy wkłada koszulę z długimi rękawami, tatuażu nie widać. W pracy zawsze nosi coś z długim rękawem.

Susse przynosi mi często do celi różne rzeczy, żebym miała się czym zająć. Dzisiaj ma dla mnie torbę słodczy i płytę DVD, która nie jest dla mnie niebezpieczna. Zresztą zawsze dostaję przedmioty, które nie stanowią dla mnie zagrożenia. Na okładce płyty jest dziewczyna, która kręci tyłkiem i wydyma usta. W ręce trzyma czternaście psich smyczy. W moim pokoju nadal nie ma telewizora, ale Susse namówiła wieczorną zmianę, żeby przynieśli mi aparat bezprzewodowy na wózk. Susse uważa, że po powrocie z sądu powinnam obejrzeć ten film z DVD. „Chodzi o to, żebyś mogła zająć myśli czym innym”.

– Maju, jeśli nie zaśniesz do dziesiątej, weź tabletkę nasenną – mówi Susse, a gdy nie odpowiadam, dodaje: – I obiecaj mi, że w sobotę i niedzielę wyjdiesz na spacerki.

Susse to dla mnie ktoś w rodzaju pani przedszkolanki. Najważniejsze są dla niej poranne czynności i świeże powietrze („Nie ma brzydkiej pogody, jest tylko źle dobrane ubranie!”). No, może jeszcze ćwiczenia z ciężarkami i napoje z proteinami w czteropakach.

Czasem Susse na mnie krzyczy. Każe mi się umówić na zajęcia (nazywa je lekcjami czytania, chociaż nie mam do odrobienia żadnych lekcji czytania), trenować na siłowni (siłownia to pokój bez okien z ruchomą bieżnią, dwoma stanowiskami do podnoszenia ciężarów i zwiniętą na podłodze śmierdzącą matą do jogi). Jej zdaniem powinnam się też umówić na rozmowę z księdzem, psychologiem, lekarzem i wszystkimi możliwymi albo niemożliwymi osobami (każda z nich mi doradzi, jak walczyć z tym, co mnie gnębi). Czasem się zgadzam, żeby tylko przestała zrzędzić.

– Tak, mamo – odpowiadam, a ona wtedy wybucha śmiechem, bo bardzo jej się takie określenie podoba.

Żeby być moją mamą, musiałyby zajść w ciążę w wieku osiemnastu lat, ale i tak lubi czuć się dojrzała i lepsza ode mnie. Susse nigdy nie mówi, że jest strażniczką więzienną, bo musiałyby się przyznać, że mnie pilnuje albo że

podoba jej się to, iż ponosi tak dużą odpowiedzialność za moje kiepskie samopoczucie.

Rzadko mam ochotę protestować. Teraz też tylko kiwam głową, chociaż nie wiem po co. Bo wspomniała o filmie, słodyczach, tabletkach nasennych albo o spacerniku? A może o wszystkim razem? Jestem dziś naprawdę zmęczona. Zmęczona, ale nie chora. Niestety.

– W takim razie zapiszę cię na spacernik na jutro rano – decyduje Susse.

Super! Wczesnie wstanę i będę się rozkoszować spacernikiem w mroczny lutowy poranek.

Uśmiecham się do niej najszerzej, jak umiem. Susse wstaje, żeby wyjść. Nie bierze mnie na pożegnanie w objęcia, ale widzę, że chciałaby to zrobić. Mimo ubrań, jakie nosi, nie wygląda na osobę, która bez zastanowienia decyduje się na wzięcie szybkiej pożyczki, ale za to na pewno bierze w objęcia zabójców i zakochuje się w niewłaściwych facetach – założę się o każde pieniądze, że ojciec jej córki siedzi w kiciu, ona pracowała jako jego opiekunka/strażniczka/mama, a ich związek już nie istnieje (bo jej dziecko musi być zawsze na pierwszym miejscu). Susse na pewno uwielbia beznadziejne przypadki i dlatego trafiła na mnie. Na weekend załatwiła mi słodycze i telewizor na wózku, bo uważa, że wymagam opieki, a ona czuje się moją mamą.

Nagle zaczynam myśleć o mojej prawdziwej mamie. Nie mogę się przed tym powstrzymać. Przypominam sobie jej niemądre napomnienia: „Kiedy chodzisz po mieszkaniu z nożyczkami, obejmuj ostrza dłonią”, „Nigdy nie wkładaj noży do zmywarki ostrym końcem w dół”, „Zanim przejdiesz przez ulicę, spójrz w obie strony”, „Wyślij mi esemes, jak będziesz na miejscu”, „Nie słuchaj muzyki, kiedy biegasz po lesie”, „Nie wchodź do parku po zapadnięciu zmroku”, „Nocą nie wracaj do domu sama”... Nigdy to... nigdy tamto... Niech to szlag!

Myślę o mamie, bo nie mogę się opanować, i jeszcze zanim Susse wyjdzie z celi, wybucham płaczem. Łzy ciekną mi po policzkach i od razu robię się zła, bo będę musiała poprawić makijaż. Susse bierze mnie w objęcia... Boże, ona naprawdę to robi. Pod byle pretekstem zaczyna mnie obłapiać. Staje tuż przy mnie – zbyt blisko! – żeby pokazać, jak jej na mnie zależy. Po chwili mnie puszcza, bierze moją twarz w dłonie i wyciera mi łzy kciukami. Zrobiło się późno, chociaż pod prysznic poszłam wcześniej, a potem miałam się tylko ubrać i pojechać. Nie byłam przygotowana na rozmowę, a zwłaszcza na to, że ktoś będzie mnie obejmował.

Pewnego razu, gdy miałam sześć albo siedem lat, leciałam z mamą samolotem i wpadliśmy w silne turbulencje. Chwyciłam ją za rękę i zaczęłam płakać. Mama szepnęła mi do ucha: „Nic się nie bój” i zaczęła mnie pocieszać. Była całkiem spokojna, podczas gdy ja myślałam, że zaraz umrzemy.

Teraz nie chcę o niej myśleć.

Kiedy Susse w końcu sobie poszła, sprawdziłam, co mi przyniosła. W ogromnej torbie znalazłam mieszankę słodczy Gott och blandat.

Sander próbował mi wyjaśnić, co będzie dalej, ale w niczym mi to nie pomaga. Poza tą celą nie mamy nad niczym kontroli. Kiedy przestaję nad sobą panować i zaczynam myśleć o tym, co jest zakazane, nie mogę się poruszyć. Paraliżuje mnie strach i umieram. Jeśli ktoś choruje na raka, ale przez sześć lat nie ma symptomów, zostaje uznany za zdrowego. Mnie nigdy nie uznają za zdrową. Nigdy!

Nie ma znaczenia, czy dostanę dożywocie, czy trafię do poprawczaka. Wyprostowane plecy Sandera albo jego na wpół znudzony wzrok w niczym mi nie pomogą. Rozprawa skończy się dla mnie wyrokiem skazującym. W esemesie, który wysłałam Sebastianowi, napisałam, że jego ojciec nie zasługuje na to, aby żyć. Zrobiłam to, żeby zrozumiał, jak mi na nim zależy.

Chciałam mu uświadomić, że jego ojciec jest nienormalny. Napisałam mu, że życzę jego ojcu śmierci, bo wierzyłam, że jak odejdzie, Sebastian stanie się lepszy i odżyje.

Tak sobie myślę, że gdy proces dobiegnie końca, nie będę musiała odpowiadać na dalsze pytania. Wiem jednak, że to tylko pobożne życzenie. Nigdy nie uniknę pytań, a ludzi nie będą interesować moje odpowiedzi, bo już zdecydowali, kim w ich oczach jestem.

Nie znoszę mieszanki Gott och blandat. Wrzucam torbę do przymocowanego na ścianie kosza na śmieci i znowu wybucham płaczem.

15.

Kiedy dojeżdżamy do sądu, jestem już spokojna. Ferdinand proponuje mi krople na moje zaczerwienione oczy. Słyszając to, Naleśnik wpada w szal. Uważa to za wspaniałe, to, że po mnie widać, iż płakałam (Naleśnik nawet nie chce słyszeć o makijażu; twierdzi, że bez niego wyglądam na młodszą). Mimo jego protestów Ferdinand próbuje mi podać buteleczkę. Przez chwilę mi się wydaje, że zaraz zaczną się ze sobą bić. W pewnym momencie Sander po prostu bierze krople i podaje mi je. Mam jeszcze na tyle czasu, żeby zrobić na twarzy kilka kresek wodoodporną, czarną jak smoła maskarą. Jestem w pokoju dla adwokatów, Sander i jego świta poszli już do sali rozpraw. Wychodzę na korytarz i widzę mężczyznę i kobietę. Stoją przed drugą salą rozpraw tyłem do siebie i rozmawiają przez komórki. Kiedy obok nich przechodzę, kobieta unosi wzrok i przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Widzę, że po sekundzie do niej dociera, kim jestem („Tak, to ona!”), więc odwracam wzrok. Zostawiam ją za sobą i po chwili słyszę jej podekscytowany głos. Kobieta rozmawia po hiszpańsku.

Moi rodzice siedzą już na swoich miejscach, podobnie jak sędzia, ławnicy i adwokaci. Wszyscy już tam są. Mama wygląda jak rozlazła baba, która przez pół nocy chlała wodę i przed pójściem spać zapomniała zmyć makijaż. Ale mama nie „chleje wody”. Nigdy. Ona pije „tylko wino”. Razem z tatą chodzi na wspólne imprezy ze znajomymi, którzy mają po czterdzieści pięć lat. Chodzą też na imprezy tematyczne (np. James Bond albo Hollywood), na których kobiety ubierają się w stroje z lat osiemdziesiątych (na przykład w kuse spódniczki, które kupiły podczas ostatniego wyjazdu do Nowego

Jorku) i tańczą „kaczuchy” albo w rytmie disco. Nie odmawiają sobie drinków, a w czasie kolacji wygłaszają przemówienia i śmieją się z rzeczy, które robiły jako nastolatki, gdy chodziły do tej samej klasy. Mężczyźni obejmują w talii cudze żony i mówią do innych mężczyzn „bracie”.

Wydaje mi się, że rodzice są pokłóceni. Kiedyś kłócili się o takie drobiazgi jak to, że tata nie opuścił deski klozetowej. Nigdy nie robią tego w obecności obcych osób, na przykład w czasie wspólnej kolacji ze znajomymi, gdy kobiety rozpoczynają tradycyjną dyskusję „o naszych niemądrych facetach”. Mama pozwala sobie wtedy na żarty w stylu: „To nie mnie boli głowa... hi, hi...”, na co tata jej się odcina, mówiąc: „Akurat teraz mnie nie boli... co wy na to, drodzy przyjaciele... Nie czas wracać do domu? I to jak najszybciej?”.

Rodzice chętnie żartują na temat swoich perypetii z seksem, że niby mama zawsze ma tak wielką ochotę, aż tata musi się przed nią bronić. Kiedy jednak kolacja dobiega końca, gdy już zjedzony zostaje ostatni okruszek chleba na zakwasie i francuskie sery, gdy ze stołu uprzątnięto oliwę z oliwek („Dostaliśmy ją od naszych dobrych znajomych, mają dom pod Florencją, tłoczą tę oliwę z własnych upraw”), a porcelana z pchlego targu trafiła do zmywarki (tak naprawdę kupili ją w Harrodsie), przechodzi im ochota na seks i wracają do powszedniego życia.

„Pijesz za dużo, pracujesz za dużo... Jossan przez cały wieczór się ciebie czepiała, dlaczego jej na to pozwalasz?... Opuść w końcu tę pieprzoną deskę klozetową... Czy to takie trudne?”.

Ciekawe, o co pokłócili się dziś rano. Czy Lina była świadkiem ich kłótni? Czy w drodze do sądu zawieźli ją do przedszkola? Próbuję się do nich uśmiechać, a oni odwzajemniają mój uśmiech.

Najwidoczniej problem z deską klozetową zszedł na dalszy plan, a na dodatek nikt ich ostatnio nie zaprosił na żadną imprezę tematyczną. Tak to bywa, gdy ktoś ma córkę oskarżoną o morderstwo. Człowiek odchodzi wtedy

od kliszowatych zachowań i staje się naprawdę unikalny.

Za chwilę Sander zacznie opowiadać po kolei o każdej z ofiar. Potem pokaże, gdzie i w którym momencie się dokładnie znajdowałam. Opowie o tym powoli, swoim niskim głosem. Zrobi to, jeśli będzie chciał, żeby sąd uważnie go wysłuchał. Jeśli będzie mu zależało, żeby zamieszać obecnym w głowie, na pewno mu się uda. Ja przez cały ten czas będę siedzieć obok niego i wszyscy będą się na mnie gapić.

Każdy chce patrzeć, ale nikt nie chce słuchać. Publiczność czeka na potwierdzenie tego, co jej zdaniem wszyscy i tak już wiedzą. Podobno dzieci wierzą w to, w co chcą wierzyć, ale prawda jest taka, że nie da się ich oszukać. Za to dorośli wolą wybrać tę wersję, która im najbardziej odpowiada. Nikogo nie interesuje, co mówią albo myślą inni ludzie, przez co przeszli i do jakich doszli wniosków. Ludzi interesuje tylko to, co ich zdaniem i tak wiedzą.

Przyszło mi to do głowy dopiero w trakcie policyjnych przesłuchań. Ale i przedtem było to oczywiste. Najgorsza ze wszystkich była Ondulacja. Jeśli przypadkiem powiedziałam coś, na co czekała, mrużyła oczy, które mimo to w dziwny sposób stawały się większe. Ondulacja nie zachowywała się zbyt dyskretnie. Przez cały czas wierciła się na krześle, bo chciało jej się sikać. Nie rozumiała, że takim zachowaniem jeszcze bardziej pokazuje, jak jest podekscytowana.

Sander jest jej całkowitym przeciwieństwem. Nigdy nie wiem, co chciałby ode mnie usłyszeć.

– Ty nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to śledztwo – stwierdził na samym początku.

Odpowiedzialność za śledztwo? O co mu chodzi? Żebym trzymała język za zębami? Albo kłamała? Żebym nie współpracowała z policją?

Sander poprosił mnie, żebym mu o wszystkim opowiedziała, zanim zeznam

to na policji. Nigdy mi jednak tak do końca nie wyjaśnił – prosto i bez owijania w bawełnę – czy miałam to zrobić po to, żeby potem mógł ze mną ustalić, czego absolutnie nie wolno mi na policji zeznać. Nigdy mi też nie zaproponował, żebym kłamała, cokolwiek ukrywała czy zatajała. Jednocześnie zwykł mawiać: „Odpowiadaj tylko na pytania, które ci zadają”. Było to dla mnie niezrozumiałe. Na jakie inne miałabym odpowiadać?

Czy Sander dążył do czegoś, o czym nie wiedziałam? Nie mam pojęcia. Nie wiedziałam nawet, czy faktycznie do czegoś dążył.

Dzięki niemu łatwiej mi było rozmawiać z policją. Domyślałam się, że śledczy mają prosty plan: chcieli mnie wsadzić za kraty. Wiedziałam, że im szybciej zrozumiem, na czym ten plan polega, tym szybciej się ich pozbędę i nie będę musiała więcej z nimi rozmawiać. Zależało mi tylko na tym, żeby znaleźć się w swoim łóżku, w pokoju, w ciszy.

Po dwóch tygodniach miejsce Ondulacji zajął jakiś zarozumialec, który chciał mnie złamać. Ciemnoblonde włosy, wiek około trzydziestu pięciu lat. Miał zakasane rękawy koszuli, siedział z rozstawionymi nogami i pytał aksamitnym głosem: „Maju, jak się czujesz?”.

Pomyślałam, że facet mógłby się podobać dziewczynom z jakiegoś Jönköping, Linköping, Enköping czy tylu innych zapyziałych miasteczek. Domyśliłam się, że jego plan polegał na tym, abym ja też się w nim zakochała i o wszystkim mu opowiedziała. Tyle że nic z tego nie wyszło, bo zrobił na mnie żałosne wrażenie. Najdziwniejsze było jednak to, że chociaż wiedziałam, jakiej reakcji się po mnie spodziewał, i tak miałam ochotę o wszystkim opowiedzieć. Kiedy zapewnił, że rozumie, iż nie znosiłam Claesa Fagermana i tylko chciałam pomóc Sebastianowi, bo byłam „fajną kumpelą”, a potem dodał, że on też by się wkurzył, gdyby znalazł się w mojej sytuacji, poczułam się, jakby wcisnął jakiś ukryty guzik, i natychmiast się rozplakałam. I przyszło mi to o wiele łatwiej niż na filmie z kiepskim happy endem.

Kiedy pozwoliłam mu się mną zająć, było to we mnie jakby zaprogramowane. Miałam ochotę powiedzieć: „Tak! Powiedziałam mojemu chłopakowi, żeby zabił swojego ojca, postanowiliśmy, że się zemścimy i ze wszystkim skończymy”, bo chciałam, żeby mu było mnie żal (Tak! Czuję się fatalnie!). Wyobrażałam sobie, że wtedy on powie, jak bardzo jest mu przykro, a potem sobie pójdzie; policja dostanie to, na czym jej tak zależy, i zostawi mnie w spokoju.

Dopiero teraz rozumiem, że Sander chciał mi pomóc. Na początku uważałam, że jest dziwny. Na przykład wtedy, kiedy w trakcie przesłuchania prosił o zrobienie przerwy. I nie chodziło o to, że przerywał mnie albo komuś z policji... Nie, on mi tylko co pewien czas przypominał, kim jestem. Żebym o tym nie zapomniała.

– Tak... – cedzi sędzia do mikrofonu. – Wznawiam rozprawę...

I gada dalej.

Po jego wystąpieniu Sander prosi o zgodę na zabranie głosu w sprawie harmonogramu posiedzeń. Sędzia, poirytowany, kiwa głową, na co Sander oświadcza, że ze względu na mój stan zdrowia jest rzeczą niezwykle ważną, abyśmy zakończyli dzisiejszą rozprawę najpóźniej o godzinie trzeciej. Informuje sędziego, że musi coś załatwić, nawiązuje też do mojego wieku i wspomina o wyjątkowo długim areszcie, który musiałam znieść. Poirytowany sędzia znowu kiwa głową. Wyraźnie widać, że nie lubi, gdy ktoś mu przypomina o takich sprawach. Kiedy Sander kończy swoje wystąpienie, sędzia informuje o porządku dzisiejszej rozprawy.

Przedtem wydawało mi się rzeczą dość dziwną, że Sander stale porusza kwestię harmonogramu i nie dąży do zakończenia procesu w jak najszybszym czasie, tylko stale narzeka, że akurat w tym albo w tamtym tygodniu jest zajęty. Proces został już raz przełożony, ponieważ sędzia zażądał, aby rozprawa toczyła się ciurkiem. Tymczasem dla mnie rozwiązaniem najbardziej

korzystnym byłby proces ciągnący się przez kilka tygodni. Mogliby go podzielić na przykład w taki sposób, żeby w pierwszym tygodniu odbyły się cztery rozprawy, w drugim trzy, a w trzecim żeby zabrał tylko dwa i pół dnia, bo im bardziej proces się rwie, tym większa jest szansa, że sędzia i ławnicy zapomną, o czym była mowa na poprzednim posiedzeniu. A sytuacja, w której sędzia i ławnicy nie o wszystkim pamiętają, jest dla mnie najlepsza. Jeśli uznają, że coś jest niejasne i zagmatwane, tym lepiej dla mnie. Jeśli sprawa nie okaże się krystalicznie jasna, pani prokurator będzie bezsilna. Bo nawet jeśli Sander nie widzi szans na zwycięstwo, możemy trzymać kciuki za to, by prokurator tę sprawę przegrała.

Ostatecznie plan Sander'a polegający na tym, aby proces podzielić na małe kawałeczki, legł w gruzach. Rozprawy będą się toczyć codziennie, przez cały dzień, do samego końca. A jednak Sander nadal dyskutuje na temat harmonogramu. Robi to przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Potem głos zabiera pani prokurator, która zamierza omówić dwa protokoły. Sędzia zaczyna zadawać pytania. Całe mnóstwo pytań. Rozprawa się przeciąga. Nikt nie próbuje nawet ukryć, jak bardzo jest to denerwujące.

Kiedy prokurator kończy swoje wystąpienia, do głosu dochodzą adwokaci rodzin ofiar zbrodni. Zaczynają od omówienia dokumentów, które mają pokazać, dlaczego żądają ode mnie wypłaty zadośćuczynienia. Twierdzą, że wyrządziłam nieodwracalną szkodę. Za dziesięć dwunasta, między wystąpieniami dwóch kolejnych adwokatów, Sander prosi o przerwę na lunch. Wprawdzie zazwyczaj robi to trochę wcześniej, ale wygląda na to, że jego zdaniem jest to jak najbardziej konieczne.

Dochodzę do wniosku, że Sander postanowił wyhamować. Po prostu uznał, że dzisiaj nie musi się aż tak bardzo produkować przed sądem. Chce przełożyć swoje wystąpienie na inny dzień.

Sędzia proponuje, aby przerwę na lunch zrobić o trzynastej, bo dzięki temu

adwokaci zdążą zakończyć swoje wystąpienia w sprawie odszkodowań. Sander robi niezadowoloną minę, wprost tryska oburzeniem. Czy nikt nie rozumie, że jestem jeszcze na tyle młoda, iż takie przeżycia mogą mi podwyższyć poziom cukru we krwi?

Po przedyskutowaniu wszystkich aspektów wniosku Sandera, co trwa dobre piętnaście minut, sędzia zgadza się na naszą propozycję. Mamy wrócić na salę o trzynastej.

Myślę, że kiedy głos zabierze Sander, rozprawa będzie przebiegać sprawniej. Kiedy przemawia, nigdy nie okazuje zdenerwowania i nie musi się zastanawiać nad tym, co chce powiedzieć.

Już w mowie wstępnej wspomniał o tym, co wiedziałam, a czego nie wiedziałam, co zrobiłam, a zwłaszcza czego nie zrobiłam. Sander woli mówić o tym, czego nie zrobiłam.

Na przykład o tym, co się działo, zanim razem z Sebastianem pojechaliśmy do szkoły, gdy po nocy spędzonej w moim pokoju przyszedł do jego willi, w której przebywałam jedenaście minut. Przy podjeździe wisi kamera monitoringu, za to żadnych kamer nie ma w domu. Dlatego nikt nie jest w stanie ustalić, co się stało, gdy stałam w przedpokoju i czekałam na Sebastiana.

Czekałam? Czy na pewno? Jak to możliwe? Pani prokurator twierdziła, że nie tylko czekałam, ale też robiłam mnóstwo innych rzeczy, na co Sander odparł, że niczego tam nie robiłam. Jedenaście minut to długi czas, można powiedzieć, że cała wieczność. Czy moim zdaniem to był długi czas? Czy siedziałam w przedpokoju z założonymi rękami i rzeczywiście nic nie robiłam? Nie korzystałam nawet z mojego telefonu komórkowego? Nie zajrzałam na Facebooka, Instagram albo Snapchat? Nie dodałam nigdzie choćby jednego emotikona, nic nie zalajkowałam? Nie rzucałam krzemowych kamyczków albo okruszków chleba, jak to robili Jaś i Małgosia, gdy rodzice

zostawili ich w lesie, aby zabłądzili i umarli z głodu? Czy istnieje jakikolwiek dowód na to, że zrobiłam wszystkie te rzeczy, o których mówiła pani prokurator?

Takiego dowodu nie ma, bo takich rzeczy nie umieszcza się na Instagramie.

Pierwszy tydzień procesu — piątek

16.

Po lunchu i po wystąpieniach adwokatów reprezentujących rodziny ofiar, którzy przedstawili własną argumentację, używając takich sformułowań jak: „a więc...”, „jakkolwiek...”, „uzasadniony...”, „stosowny...”, „celowy...” czy „z premedytacją...”, do zakończenia rozprawy pozostało jeszcze pięćdziesiąt minut. Potem przyjdzie wreszcie pora na obiecany uroczy piątkowy wieczór. Sander jest oburzony, jeszcze nigdy go nie widziałam w takim stanie.

– To nie do zaakceptowania – mówi kwaśnym tonem. – To wykluczone, abyśmy zdążyli przedstawić naszą sprawę w tak krótkim czasie.

Przez chwilę mi się wydaje, że sędzia zaprotestuje, ale nic takiego się nie dzieje. Mówi tylko „Rozumiem” i kończy posiedzenie. Pani prokurator też nie ma zastrzeżeń. Zbieramy więc nasze segregatory, długopisy i papiery i wkładamy do toreb wcześniej, niż to było zaplanowane. A potem wychodzimy z sali, bo na nasze wystąpienie pozostało za mało czasu.

Dalszy ciąg rozprawy w poniedziałek, ale teraz muszę poczekać, aż mnie odwiozą do aresztu. Siedzimy w naszym pokoju we czwórkę: ja, Sander, Ferdinand i Naleśnik. Wszyscy chcą już wracać do domu, ale ani Ferdinand, ani Naleśnik nie mają na tyle odwagi, żeby poprosić o to Sandera, który przechadza się po pokoju. W końcu zatrzymuje się i patrzy na Ferdinanda.

– Sprawdź, jak wyglądają negocjacje między rodziną Dennisa Oryemy a adwokatami Fagermana.

Ferdinand potwierdza skinieniem głowy.

Kiedy weszliśmy do klasy, Sebastian zastrzelił najpierw Dennisa.

W gazetach zrobili z tego wielkie halo – że niby najpierw zginął czarny. Ale Sebastian nie był rasistą. Nie chodziło mu o kolor skóry Dennisa. I chociaż niektórzy dziennikarze próbowali podciągnąć to zabójstwo pod kategorię zbrodni na tle rasowym, bo mieszkańcy Djursholmu jakoby nie akceptują tych, którzy nie wyglądają tak samo jak oni, to jednak rodzice uczniów nie robią problemu z tego, że do miejscowej szkoły chodzi młodzież z innej okolicy. W pewnym sensie jest nawet odwrotnie. Ciemnoskórzy chłopcy, którzy są tak zdolni jak Samir, pasują do reklamowanego na Instagramie publicznego liceum w Djursholmie w taki sam sposób, jak kolorowe zdjęcie zrobione na targu w Marrakeszu pasuje do poprawnych politycznie bredni, w które wierzy moja mama. Tacy uczniowie stanowią dowód na to, że szkoła realizuje bogaty program tolerancyjnej, wielokulturowej i pozbawionej uprzedzeń edukacji.

Ale Dennis to inna historia. Nie był typem przystojniaka z Södermalmu o skórze w kolorze café latte ani owocem romansu głupiutkiej blondynki ze studentem z zachodniej Afryki, który przyjechał do Szwecji na stypendium. Dennis nie dostał na chrzcie imienia po jakimś piosenkarzu muzyki soul i nie miał na tyle jasnej skóry, żeby wpasować go w jakiś intrygujący wzorzec. Dennis mlaskał podczas jedzenia, zadawał dziwne pytania zbyt wysokim głosem i śmiał się nie w tych miejscach, w których śmiać się należało. Kiedy wchodził schodami na piętro, dostawał takiej zadyszki, że przez kilka następnych minut stał wsparty swoimi długimi rękami o uda, pochylony do przodu, z podciągniętymi ramionami, i świzzczał. Być może cierpiał na astmę, ale przede wszystkim miał słabą kondycję, bo żywił się keczupem i tłuszczami trans. Razem z trzema kumplami z profilu zawodowego przychodził na stołówkę jako pierwszy i wychodził z niej jako ostatni. Nasza szkoła nigdy się nie chwaliła, że prowadzi taki profil. Zajęcia odbywały się w aneksie budynku, w którym uczyli się inni. O tym, jak jeden z uczniów uczęszczających na te zajęcia ma na imię, wiedzieliśmy tylko z jednego powodu – u Dennisa

zawsze można było kupić narkotyki.

Sander marszczy czoło. Bruzda jest tak głęboka, że widać ją z boku. Odwraca się do Naleśnika.

– Musimy się spotkać w niedzielę po południu, żeby ustalić, jak zwrócić uwagę sądu na inne aspekty życia Oryemy.

Pani prokurator zrobiła wielką hecę z tego, jak bardzo jest jej przykro z powodu śmierci Dennisa, który dostał się do Szwecji z Afryki. Mieszkał w schronisku, groziła mu deportacja i miał wiele innych kłopotów. Wydaje mi się, że Sander nie bardzo wiedział, jak przekonać sąd, że nam też jest go szkoda (bo jesteśmy porządnymi ludźmi), że odczuwamy sympatię wobec zmarłego, ale przy okazji warto wszystkim przypomnieć, kim Dennis tak naprawdę był (tłustym dostawcą prochów dla Sebastiana). Musimy to zrobić w jakiś mądry sposób, bo inaczej sąd uzna, że kierują nami uprzedzenia rasowe.

Prawda jest taka, że wszyscy mają wobec niego jakieś uprzedzenia. Każdy politycznie poprawny dziennikarz, każdy urzędnik państwowy, każdy prawnik, niezależnie od tego, kogo reprezentuje i co myśli o Dennisie – wszyscy oni są rasistami w tak oczywisty sposób, że mogliby sobie śmiało wytatuować swastyki na czole. Dennis nie był niczym kumplem i nie był „cool” (nawet Christer by tak o nim nie powiedział). Miał za to „problemy z koncentracją” (określenie używane przez nauczycieli, którzy codziennie rano musieli go odbierać z autobusu, żeby w ogóle zjawił się na lekcjach). Język szwedzki znał na tak żenującym poziomie, że nierzadko wywoływał salwy śmiechu. Rozmawiając z dziewczynami, nigdy nie patrzył im w oczy. Nie umiał tańczyć, tylko machał nogami jak na siłowni. Nie był też uzdolniony pod względem muzycznym. Pewnie jakiś słoń nadepnął mu na ucho, i to z całych sił.

Wydawało mu się, że modne jest woskowanie włosów. Dlatego gładził je z równą namiętnością, z jaką drapał się w krocze. Dziewczyny, z którymi

spotykał się na głównej stacji metra albo w centrum Täby, miały rozpuszczone włosy, rozczapierzone rzęsy i wałki na brzuchu, które wylewały im się z dzinsów. Miały niezrozumiałe tatuaże na łopatkach i w zagłębieniu między końcem pleców a pośladkami, żuły gumę z otwartymi ustami i były przekonane, że frytki to warzywo. Kiedy robiły imprezę i nagle się okazywało, że zamówiły zbyt mało kebabowej pizzy z sosem bearneskim, pewnie brały frytkownicę i smażyły w niej kiełbaski i snickersy. „Siostry” Dennisa (właśnie tak się do siebie zwracały) i jego „bracia” pozdrawiali się słowami „Cześć, człowieku” albo „Yo, man” i głośno się śmiali z dowcipów bez puenty. Z palca wskazującego i z kciuka „robili pistolet” i celowali do siebie z powodów, których nikt inny oprócz nich nie znał. Nie mieliśmy złudzeń, że gdy Dennis dorośnie, zostanie układnym, w miarę liberalnym politykiem.

Z jego śmiercią nie mam nic wspólnego. To nie ja go zabiłam. Sander nie omieszka tego podkreślić. Będzie chciał przekonać sąd, że nie miałam powodów, aby chcieć jego śmierci.

Z wyjątkiem ostatniego wieczoru Dennis nigdy wcześniej nie dostarczał mi kokainy, haszu ani innych prochów. Sebastian dawał mi ich tyle, ile potrzebowałam. Dennisa nie znałam i nie chciałam go poznać. On też się do tego nie kwapił. Kiedy w mojej obecności rozmawiał z Sebastianem, skubał ubranie i starał się nie gapić na mój biust. Nigdy ze mną nie rozmawiał, bo twierdził, że nie gada z laskami innych chłopaków. Uważał, że „laski” zasługują na szacunek jedynie wtedy, kiedy mają „faceta”, który też zasługuje na szacunek. Ostatniego wieczoru, gdy Claes go wyrzucił, Dennis płakał jak bóbr. Z nosa ściekały mu przezroczyste gile, a on ich nawet nie wycierał, więc mu tak po prostu zwisały. Płakał, bo stracił prochy, które przyniósł wtedy na sprzedaż. Niestety, nie należały do niego. Gdyby Sebastian nie zabił go kilka godzin później, zabiliby go z pewnością ci, którzy mu te prochy dali na sprzedaż.

Twierdzenie, jakobym chciała jego śmierci, jest absurdalne. Twierdzenie, jakobym musiała przekonywać Sebastiana, żeby go zabił, brzmi jeszcze bardziej absurdalnie.

Kiedy było już po wszystkim i policja otworzyła szafkę Dennisa, znalazła w niej nienabity pistolet. Wiem, że Sander zamierza zrobić z tego dużą sprawę. Wprawdzie nie wie, dlaczego Dennis miał broń, ale wykorzysta tę okoliczność, aby wszystkich przekonać, że Dennis prowadził niebezpieczne życie. Prawie tak niebezpieczne jak Sebastian albo nawet bardziej, zależy jak na to spojrzeć.

Dziennikarze twierdzą, że traktowaliśmy Dennisa jak zwierzę domowe. Nie napisali jednak, że to nie my byliśmy dla niego najgorsi. Przykład? Proszę bardzo: gdyby ktoś ubrał Dennisa w koszulę od Ralphi Lauren, niecałe dziesięć minut później dyrekcja szkoły kazałaby mu otworzyć szafkę, żeby ją przeszukać i znaleźć resztę skradzionego łupu. Dennis zarabiał dzięki Sebastianowi mnóstwo forsy. Co tydzień kupował coraz droższe dzinsy, a między wałkami tłuszczu na szyi zawieszał coraz droższe i grubsze łańcuchy ze złota. Wystarczyło na niego spojrzeć, żeby to dostrzec. Nauczyciele i sąsiedzi myśleli, że ta biżuteria jest sztuczna, i nie mieli pojęcia, że Dennis nosił drogie tenisówki. Wszyscy mieli jednak w nosie to, skąd Dennis bierze pieniądze, byle tylko nie okradał innych uczniów. Za kilka miesięcy i tak zamierzał się ulotnić, żeby uniknąć deportacji, bo w jego sfałszowanym świadectwie urodzenia było napisane, że ma osiemnaście lat. Gdyby zniknął, władze miałyby kłopot z głową – z nim i ze wszystkim, co robił. Czy nauczyciele byli oburzeni faktem, że Dennis zostanie deportowany? Tylko udawali, bo w rzeczywistości uważali, że to świetny pomysł.

Nikt nie wierzył, że Dennis dorośnie i ułoży sobie życie, bo on w ogóle nie miał pojęcia, co to znaczy. Nie potrafił nawet przeliterować słów „nowe życie”, a w jego telefonie komórkowym na kartę nie było odpowiedniej

aplikacji, która by mu pomogła takie określenie przeliterować.

Pani prokurator i dziennikarze mogą sobie zedrzeć gardła, opowiadając o tym, przez co Dennis musiał przejść. To chyba najlepszy dowód na to, że nikomu nie zależało na nim aż tak bardzo, żeby mu pomóc. Wszyscy traktowali go tak, jakby jeszcze za życia był skazany na śmierć. Sebastian mu przynajmniej płacił.

Ja go nie zabiłam, nie oceniałam go też gorzej niż inni. Myślę, że Sander chce o tym wszystkim opowiedzieć, ale jeszcze nie wie, jak ma to zrobić.

Kilka dni temu pani prokurator odczytała na głos esemesy, które wysłałam Amandzie. Jeden z nich dotyczył Dennisa i brzmiał następująco: „To wariat i chyba niedługo umrze”. Inny, trochę dłuższy, wysłałam Sebastianowi. Zawierał między innymi takie zdanie: „On musi zniknąć z twojego życia”.

– Musimy naświetlić kwestię tych esemesów w odpowiedni sposób – stwierdził Sander. – Chcę to zrobić, abstrahując od treści innych esemesów. Nic ich ze sobą nie wiąże. To będzie nasza główna linia obrony: nie mieszać ich ze sobą.

Sander nadal stoi odwrócony do mnie plecami. Patrzy na Ferdinanda i Naleśnika. Myślę, że po każdej rozprawie spotykają się na odprawie, żeby omówić „co się wydarzyło i co powinniśmy zrobić”. Zazwyczaj czekają z tym do momentu, aż wrócę do aresztu.

Ferdinand i Naleśnik robią taką minę, jak gdyby chcieli pokazać, że Sander bredzi.

– Nie powinniśmy mieć większych problemów ze skomentowaniem esemesów dotyczących Dennisa – mówi Sander, a Ferdinand przytakuje mu obojętnie głową. – Nikt nie będzie mieć Mai za złe, że chciała przekonać Sebastiana, aby przestał się z nim zadawać.

Naleśnik kręci głową bez zbytniego entuzjazmu. Podobne słowa słyszeli od Sandera tysiące razy. Widzieli, jak ze sobą rozmawia, i to częściej, niż można

by zliczyć.

Myślę, że Sander ma rację. Za to nikt nie może autorytatywnie stwierdzić, że gdyby zginął tylko Dennis, nigdy by mnie nie aresztowano. Żaden rodzic by się nie przyznał, że wolałby go zabić, niż pozwolić mu przyjaźnić się ze swoim dzieckiem. Takie stwierdzenie mogłoby mieć rasistowski wydźwięk. Jednak ja uważam, że Dennis wcale nie uważał się za domowe zwierzę. Miał w nosie to, jak go traktujemy, bo zależało mu tylko na tym, aby przed wyjazdem ze Szwecji zarobić jak największą kasę.

– Będę musiał wprowadzić ós czasową, a zwłaszcza zaprezentować nasze stanowisko w sprawie nocnych wydarzeń – powiedział Sander, który nadal rozmawiał sam ze sobą. Ferdinand i Naleśnik udawali, że go słuchają. – Kiedy omówię inne ofiary, zajmę się Dennisem i Christerem. To najmniej problematyczne postacie.

Zabójstwo Christera wiąże się z powszechnym przekonaniem, że pomagałam Sebastianowi w zrobieniu tego, co zrobił. Jeśli sąd w to uwierzy, zostanę uznana za winną współudziału w zabójstwie Christera. Jeśli nie, sąd uniewinni mnie od tego konkretnego zarzutu.

Christer zginął „przypadkowo”. Tylko czy na pewno? Może wszyscy dorośli, którzy próbowali mówić Sebastianowi, jak ma żyć, zasłużyli na śmierć? Sander powiedział mi, że nie chce wdawać się w spekulacje na temat tego, co Sebastian chciał, a czego nie chciał zrobić. Pani prokurator też nie wie, dlaczego Sebastian zabił Christera. Może znajdował się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze? Może Sebastianowi było obojętne, kto zginie? Może uznał, że im więcej ofiar, tym lepiej? To, co policja znalazła w mojej szafce, może świadczyć o tym, że chciał zabić więcej osób... Pani prokurator twierdziła, że ja i Sebastian chcieliśmy wybić połowę szkoły.

Wcześniej, kiedy prokurator opowiadała o Samirze, rozplakałam się. Stało się tak wbrew mojej woli, chociaż wiedziałam, że właśnie tego oczekuje ode

mnie Naleśnik. Niestety, nie mogłam się powstrzymać. Chciałam powiedzieć, żeby przestali słuchać pani prokurator, ale ponieważ głos będę mogła zabrać dopiero wówczas, gdy przyjdzie moja kolej, po prostu się rozplakałam.

Pani prokurator twierdziła, że nawet jeśli Sebastian nie powiedział mi, iż zabił ojca, i nawet jeśli nie widziałam zwłok Claesa Fagermana podczas tamtej porannej, trwającej jedenaście minut wizyty w ich willi, to i tak powinnam się była domyślić, że Claes nie żyje, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę to, co Sebastian napisał mi w esemesach wysłanych nocą i raniem. Nie płakałam, kiedy powiedziała, że razem to zaplanowaliśmy, razem chcieliśmy zabić i razem umrzeć. Siedziałam wyprostowana, ze wzrokiem wbitym przed siebie, i nie reagowałam. Pani prokurator twierdziła, że nawet gdybym się nie domyśliła, iż Sebastian mówił poważnie, i nawet gdybym była na tyle głupia, żeby się nie domyślić, iż w torbach znajduje się broń i materiały wybuchowe, to i tak powinnam na to wpaść i jakoś zareagować, a ponieważ tego nie zrobiłam, jestem winna współdziału w zbrodni. Jestem winna przestępstw, o które zostałam oskarżona, bo są na to dowody rzeczowe. Przy czym słowa „dowody rzeczowe” prokurator celowo zaakcentowała. Dało się zauważyć, że je wprost uwielbia. Wypowiadała się tak podekscytowanym tonem, że aż głos jej się łamał. Za to ja zachowywałam całkowity spokój.

Kiedy opowiadała o Amandzie, Ferdinand położyła mi na ramieniu swoją wąską i szczupłą dłoń. Zagryzłam wargi, żeby nie krzyknąć.

Nikomui nie przeszkadza, że zabiłam Sebastiana. Ludzie uważają, że powinnam to zrobić wcześniej. Ale tego, że zabiłam Amandę, nie da się usprawiedliwić.

– To była samoobrona.

Tak właśnie Sander nazwał to, co zrobiłam. Potem użył jeszcze innych określeń: „brak należytej ostrożności”, „nieumyślne spowodowanie śmierci”,

„obrona konieczna”.

Sander użyje wielu różnych słów, żeby wyjaśnić, iż był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Stwierdził, że nie wolno mnie o nic oskarżać, bo działałam w celu odparcia większego niebezpieczeństwa.

Ja i tak wiem, że nie próbowałam się bronić w jakiś przemyślany sposób. Nie pomyślałam: „Pomóż sobie” albo „Muszę zabić Sebastiana, bo inaczej on zabije mnie”. Strachu, który odczuwałam, nie da się opisać. Coś się działo z moim ciałem, podczas gdy dusza szykowała się do śmierci.

Przez ostatni tydzień często płakałam, ale nie dlatego, że tego oczekiwał ode mnie Naleśnik. I wcale nie wierzę, że mi to w czymkolwiek pomoże.

Ktoś wchodzi do pokoju i mówi, że przyjechał samochód, którym pojedę do aresztu. Naleśnik proponuje, że pojedzie ze mną i ze strażniczką. Po wejściu do windy i zjechaniu do garażu okazuje się, że czeka tam na mnie tłum dziennikarzy. Jestem zmęczona, a oni fotografują mnie swoimi wielkimi aparatami. Słyszę trzask fleszy i szum kamer, przypomina to grzechot karabinów maszynowych z nałożonymi na lufy tłumikami. W pewnej chwili podchodzi do nas Susse, staje przede mną i obejmuje mnie ramieniem. Odwracam twarz do jej szyi. Susse jest tak wysoka, że wygląda przy mnie wprost groteskowo. A może jak troskliwa matka?

Naleśnik jest zachwycony, że dziennikarze fotografują nas w tej „matczynej” pozie. Dzięki temu wyglądam młodziej i smutniej, bardziej dziewczęco. Niewykluczone, że to on zdradził dziennikarzom, gdzie będzie czekał nasz samochód, i zasugerował, gdzie powinni się ustawić, żeby zrobić dobre zdjęcia.

– Maju! – woła jeden z nich. – Jak oceniasz dzisiejszą rozprawę?

Nie odpowiadam, tylko wsiadam do samochodu i zajmuję miejsce na tylnym siedzeniu. Chcę być jak najdalej od kamer i aparatów. Szyby są zaciemnione, ale i tak widzę, jak Naleśnik podchodzi do dziennikarza, który

zadał pytanie. To dziwne, że zszedł ze mną aż do garażu. Zazwyczaj towarzyszy mi tylko strażniczka. Nie przypominam sobie, żebyśmy mieli dokończyć jakąś rozmowę. Poza tym Naleśnik powinien być teraz na odprawie u Sandera, żeby omówić sytuację i dotychczasowy przebieg rozprawy. Co on tu robi? Pewnie chce się upewnić, czy dam sobie radę. Czemu jednak miałyby się o mnie martwić, gdyby nie wiedział, że w wilgotnym garażu czekają na nas media?

Naleśnik wyjaśnia, że media interesuje moja osobowość. Twierdzi, że powinnam ją uzewnętrznić, stać się człowiekiem. Uważa, że cała linia naszej obrony zależy od tego, kim jestem.

Jasne.

Kiedy tylko uzyskaliśmy dostęp do akt śledztwa, Sander zlecił milion własnych ekspertyz. Chciał ponownie sprawdzić wnioski, do jakich doszli śledczy i technicy laboratoryjni. Tymczasem Naleśnik zachowuje się tak, jak gdyby mu zależało, żeby „oni” mnie zrozumieli. Nie bardzo wiem, kogo ma na myśli, bo chyba nie sędziego i ławników? W każdym razie nie tylko ich.

Susse poklepuje mnie po ramieniu. Nie protestuję, kiedy bierze mnie za rękę. W tym momencie nikt z zewnątrz mnie nie widzi. Wprawdzie drzwi od strony kierowcy nadal są otwarte, ale fotoreporterzy chyba tego nie widzą. Słyszę, jak Naleśnik z nimi rozmawia. Głos ma cichy, ale wyraźny.

– Nie możemy teraz rozmawiać, chyba to państwo rozumieją. To był dla nas długi dzień – mówi głosem o wiele bardziej zmęczonym niż przed chwilą w windzie. – Mai jest przykro, cała ta sytuacja jest dla niej trudna. Ona jest taka młoda... – Naleśnik znowu bredzi. Ciekawe, czy dziennikarze też tak to postrzegają. – ...rzadko się zdarza, żeby dziewczyna w jej wieku przebywała w celi aż tyle miesięcy. Czas, który spędziła w areszcie, był dla niej wyjątkowo stresujący.

Jestem już tak zmęczona, że próbuję zasnąć w samochodzie. Naleśnik, który

okazuje mi tyle empatii, świetnie to rozumie. Myli się jednak co do innej rzeczy. Siedzenie w areszcie nie jest dla mnie przesadnie stresujące. I nie dlatego, że cela jest przyjemnym miejscem albo że jedzenie jest smaczne, tylko dlatego, że dzięki izolacji nie jestem narażona na wiele różnych rzeczy.

Każdy kolejny dzień w celi to kopia poprzedniego, zwłaszcza po tym, jak przestali mnie przesłuchiwać. Dla mnie to bardzo przyjemne uczucie. Żadnych niespodzianek ani nowych twarzy. Jedzenie smakuje tak samo, niezależnie od tego, czy jem klopsiki mięsne, dorsza czy jajecznicę. Zjadam śniadanie, obiad i kolację. Godzinę spędzam na spacerunku, godzinę w siłowni (tylko udaję, że trenuję). Potem lekcje, dziesięć minut na prysznic. Leżę na łóżku albo na podłodze, korzystam z toalety, wsłuchuję się w kroki na korytarzu, słucham muzyki, śpię dłużej niż w całym dotychczasowym życiu. Odwiedza mnie tylko Sander, w weekendy mam zupełny spokój. Nikt ze mną nie rozmawia, nikt mnie niczym nie zaskakuje ani nie zmusza mnie do myślenia.

Dzisiaj nie zdążyliśmy przedstawić naszej wersji wydarzeń, ale po weekendzie opowiem o wszystkim: o miłości i nienawiści, o mnie i o Sebastianie, i o tym, jak go zdradziłam.

Ja i Sebastian

17.

Zaczęliśmy ze sobą chodzić w lato poprzedzające zbrodnię. W Sztokholmie zrobiło się strasznie gorąco, ale już po trzech tygodniach ludzie przestali o tym nawet rozmawiać. Skarżyli się na zepsute systemy wentylacyjne, na lód, który smakował jak stare skarpetki, i na ziarniste lody sprzedawane w 7-Eleven. Przestali się skarżyć na upał, bo stał się czymś stałym i wszechobecnym. Trudno było sobie wyobrazić, że któregoś dnia pogoda może się zmienić.

Sebastian zjawił się w hotelu przy Stureplan, gdzie pracowałam latem, na moim ostatnim nocnym dyżurze. Przez trzy tygodnie, od dziesiątej wieczorem do siódmej rano, odbierałam telefony, rezerwowałam pokoje, anulowałam rezerwacje, dzwoniłam do sprzątaczek i room service'u, wysłuchiwałam tekstów serwowanych przez pijanych Finów („*Where are the nice girls?*”), którzy pytali, czy chciałabym przyjść z wódką do ich pokoju („*Be a nice girl, will you, ha, ha*”). Pod blatem w recepcji miałam przycisk alarmowy, ale na szczęście nigdy nie musiałam go użyć. Czasem ktoś zwymiotował – najczęściej w swoim pokoju – ale sprzątania nie miałam w zakresie obowiązków. Kiedyś pewien facet podciął sobie żyły, lecz zanim to zrobił, z odpowiednim wyprzedzeniem napisał o tym na Twitterze, a potem wysłał wiadomość policji.

W drodze do pracy spotykałam zmęczonych turystów, którzy wchodzili do tanich restauracji albo wychodzili w nich po śniadaniu, rodziców z dziećmi w wózkach odwróconych tyłem do słońca oraz rozlazłych Niemców w sandałach i z pomiętymi mapami w rękach. Praca w hotelu nie była ani stresująca, ani trudna, za to nieźle płatna. Dawała też „pewne doświadczenia” (słowa taty). Tata był zdecydowanie za pomysłem pójścia do pracy, bo uważał, że nad tym zamysłem unosi się „sympatyczny duch Kamprada

i Młodego Przedsiębiorcy”. Mama chciała, żebym po każdej nocnej zmianie wracała do domu taksówką, pomysł jednak upadł, bo tata nie mógł sobie tego odpisać od podatku.

Sebastian bawił się wtedy w jednym z pobliskich klubów. Do hotelu przyszedł tylko po to, żeby skorzystać z toalety. W pracy byłam sama, bo moja koleżanka z recepcji skończyła wcześniej – tego dnia miała urodziny syna. W hotelu zabraniano nam udostępniać toaletę osobom, które nie były naszymi gośćmi, ale Sebastianowi nigdy bym nie odmówiła. Nie udało mi się ustalić, skąd wiedział, że pracowałam właśnie w tym hotelu. Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle sobie mnie przypomina. Przecież do przedszkola chodziliśmy przed wielu laty. Sebastian był ode mnie starszy o rok. Gdyby nie musiał repetować, maturę miałby już za sobą. Tymczasem od nowego semestru mieliśmy chodzić do tej samej klasy. Wszyscy wiedzieli, że musi powtarzać rok. I nagle zjawił się w hotelu, gdzie pracowałam.

– Maju – powiedział pewnym siebie głosem i nawet się nie zdziwił na mój widok.

Serce zabiło mi szybszym rytmem, tak jak wtedy, kiedy chodziliśmy do przedszkola. Sebastian został do końca mojej zmiany, a potem poszliśmy na spacer. Miasto było jeszcze puste, a upał nie doskwierał nam tak jak poprzedniego ranka. Szliśmy obok siebie przez Humlegården, w górę Engelbrektskatan, aż do Östra Station, gdzie wsiedliśmy w pociąg jadący do Ösby. Sebastian usiadł obok mnie, a gdy dojechaliśmy do stacji przy Uniwersytecie, położył mi głowę na kolanach i zasnął. Kiedy przed naszym przystankiem pociąg zwolnił, pogłaskałam go po czole, żeby go obudzić, a gdy otworzył oczy, spojrzał na mnie, uniósł rękę i przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze. Nic więcej.

Tego samego popołudnia wyjechałam z mamą, tatą i Liną na wakacje. Mama postanowiła, że przejedziemy samochodem przez całą Europę.

Najpierw jednak poleciliśmy do Genewy, gdzie wynajęliśmy samochód. Jeździliśmy nim od hotelu do hotelu. Mama znajdowała je na stronie internetowej oferującej „tanie” i „specjalne” oferty.

Prowadził tata. Zawsze to robi, kiedy jadą razem z mamą (z wyjątkiem sytuacji, gdy wybierają się na imprezę). Pokonywaliśmy kilometr za kilometrem, a kanały w radiu zmienialiśmy dopiero wówczas, gdy zaczynało trzeszczeć. W każdym nowym kraju słuchaliśmy tej samej muzyki, spikerzy radiowi wygłaszali prawie takie same komentarze, słyszeliśmy ten sam radosny śmiech. Prowadzący programy mówili różnymi językami, we Włoszech grano więcej włoskich, a we Francji więcej francuskich przebojów, ale, ogólnie rzecz biorąc, wszędzie było podobnie. Za to ja nadal byłam w szoku. Sebastian wprost eksplodował w mojej głowie, a ja tymczasem przebywałam w niewłaściwym miejscu wśród niewłaściwych ludzi. Siedziałam z tyłu obok Liny i jej torebki na wymioty i surfowałam po internecie. Miałam w nosie, jak zareagują rodzice, gdy przyjdzie rachunek za roaming. Sebastiana szukałam wszędzie, ale nie udało mi się ustalić, gdzie akurat przebywał. Nie miałam odwagi spytać o to kogoś, kto go znał, ani dodać go do książki adresowej, skoro on nie dodał mnie. Siedziałam więc w samochodzie i na samą myśl o tym, że Sebastian wymknie mi się z rąk, wpadałam w coraz większą rozpacz i panikę. Sebastian leżał u moich stóp, a ja go zostawiłam. Czy można zrobić coś głupszego?

Zadzwonił po dziewięciu dniach, gdy razem z rodzicami dotarliśmy w końcu do miejscowości Villefranche-sur-Mer koło Nicei. Okazało się, że dzwonił z zastrzeżonego numeru i przebywa w tym samym mieście co my. Do hotelu przyjechał po mnie skuterem. Tata zrobił zdziwioną minę, a mama była co najmniej w szoku. Sebastian spotkał się z nami w hotelowym lobby i zaprosił nas wszystkich na kolację na jachcie. Zaproszenie obejmowało też Linę, „to oczywiste”. Jacht należał do jego ojca i stał zacumowany na

wysokości portu w Nicei. Mama wpadła w lekką panikę, bo nie wiedziała, czy zdąży sobie kupić nową sukienkę. Tymczasem tacie zakręciło się w głowie, bo ojciec Sebastiana był kimś znacznie ważniejszym niż tylko potencjalnym klientem. Claes Fagerman dawał szansę na nowe życie.

Sebastian udawał, że niczego nie dostrzega. Patrzył tylko na mnie.

O tym, gdzie może nas znaleźć, powiedziała mu Amanda, a on jeszcze tego samego dnia postanowił tam pojechać. Cała ta sprawa wydawała mi się nierzeczywista, na granicy surrealizmu. Wsiadłam na jego skuter i objęłam go w pasie. Jechaliśmy wąskimi drogami wzdłuż wybrzeża i mijaliśmy strome klify. Potem kochałam się z nim dwa razy w jego owalnym, podwójnym łóżku na jachcie (pod białą kołdrą). Wieczorem zjawili się moi rodzice z Liną, żeby pod niebem rozświetlonym miliardem gwiazd zjeść z nami i tatą Sebastiana kolację.

Jacht miał prawie sześćdziesiąt metrów długości. Pokład był miękki jak aksamit i pomalowany na kolor syropu. Wszystkie elementy były pokryte mosiądzem, srebrem, złotem i białym marmurem. Kiedy na stole pojawiły się zakąski, słońce zaszło już za horyzont. Siedzieliśmy na górnym pokładzie. Jacht był oświetlony aż po linię wody, a pokład, na którym stał stół, otulała aksamitnie czarna noc. Obsługiwało nas więcej kelnerów, niż mogłabym zliczyć, a rodzice spoglądali na mnie częściej niż zazwyczaj. Lina chciała usiąść Sebastianowi na kolanach.

– Właściwie to już straciłem nadzieję, że się tu zjawi – powiedział z szerokim uśmiechem tata Sebastiana. – Rozumiem, że to zasługa Mai, iż zdecydował się zaszczyścić nas swoją obecnością.

Podczas tamtej kolacji nie mogłam wprost oderwać wzroku od Claesa Fagermana. Był wspaniałym gawędziarzem i magicznym zabawiaczem, a w towarzystwie błyszczał chyba bardziej niż w mediach. Mama była nim tak zachwycona, że przez cały czas szczebiotała jak papużka. Na tę okazję kupiła

sobie nową sukienkę, a we włosy wpięła coś, co przypominało laurowy wieniec obsypany płatkami ze sztucznego złota. Oczywiście złoto było prawdziwe, bo mama nigdy by nie włożyła na siebie czegoś, co pachniało tanioczą.

Sebastian mnie objął, a jego tata opowiadał nam o ludziach, o których nigdy wcześniej nie słyszeliśmy. Mój tata śmiał się coraz głośniej. Claes potrafił sprawić, że inni czuli się w jego towarzystwie rozluźnieni, i nigdy się nie obawiał niezręcznych sytuacji w stylu tych, gdy ludzie spotykają się po raz pierwszy. Nie był zakłopotany przerwami w konwersacji, chrząknięciami czy niezbyt ciekawymi tematami rozmów. Uśmiechał się tylko i kontynuował dyskusję, a wszyscy śmiali się z ulgą z jego żartów. Tamtego wieczoru jeszcze niczego nie zauważyłam, ba, nawet nie przeczuwałam, jakim naprawdę jest człowiekiem. Mama tak się upiła, że zjadła cały deser, a Lina zasnęła na kanapie. Ktoś z obsługi okrył ją cienkim kocem, chociaż powietrze nadal było letnie i łagodne.

W pewnej chwili Claes powiedział do mnie: „Jestem bogaty, chyba rozumiesz”. Nie zrobił tego, żeby się pochwalić, tylko pokazać, skąd pochodzi. Claes Fagerman był bogaty w sposób właściwy tylko dla niego. Mieszkał jak gdyby we własnym państwie, przy czym nie chodziło tu o geografię, bo ci Szwedzi, którzy są naprawdę bogaci, bardziej przypominają naprawdę bogatych Japończyków, Włochów czy Arabów, niż przypomina ich jakikolwiek inny Szwed. Mój tata go podziwiał, ponieważ uważał, że tę przynależność państwową Claes sobie wypracował. Nie odziedziczył pieniędzy ani przywilejów, posiadłości w Södermanlandzie, lasów w Norrlandzie ani stoczni w Göteborgu. Nie należał też do bliskiego kręgu osób, z którymi król Szwecji jeździ na polowania.

Mój tata nie znosił głupców stosujących zasady fideikomisu i ich bezmyślnego inwestycyjnego hobby. Wracał z pracy do domu i opowiadał nam

o ich zamierzeniach.

– Jeśli kapitału wysokiego ryzyka potrzebujesz tylko po to, żeby opracować jakąś aplikację, która będzie cię informować o cenie litra mleka, znajdziesz mnóstwo dwudziestolatków, którzy są właścicielami podupadłych posiadłości, posiadają prastare tytuły szlacheckie i spółki inwestycyjne o niewielkim stażu. Wydaje im się, że zwykli ludzie potrzebują takich aplikacji, aby sprawdzić cenę za litr mleka, ponieważ ci chłoptasie nigdy nie musieli wiedzieć, że cenę za każdy produkt można sprawdzić w sklepie na półce.

Fagerman dodał, że idioci od fideikomisu nie są bogaci w dosłownym tego słowa znaczeniu, choć jest pewna rzecz, którą udało im się osiągnąć własnymi staraniami: nigdy nie stali się naprawdę bogaci.

– To przykre – odpowiada w takich sytuacjach mama (to określenie taty, mama posługuje się nim tylko wtedy, kiedy ze sobą rozmawiają). – Naprawdę przykre.

Po czym opowiada o jednej ze swoich koleżanek, która przestała pracować.

– Mąż kupi jej chyba sklep z artykułami wyposażenia wnętrz – wyjaśniła, bo w takim samym stopniu jak tata nie lubi ludzi, którzy swój majątek odziedziczyli, ona nie znosi kobiet w jej wieku, które zrobiły to, o czym ona tylko marzyła: dały sobie spokój.

Mama jest prawnikiem w spółce notowanej na giełdzie i zarabia mniej więcej połowę tego co tata. Kiedy urodziła Linę, ograniczyła czas pracy, żeby się pod nią nie ugiąć, ale ani myślała, żeby całkowicie z niej zrezygnować. Udaje, że wszystko jest w porządku i że nadal jest przepracowana. Tyle że nikt w to nie wierzy, zwłaszcza tata.

– Lepiej wydawaj pieniądze na lotka – powiada. – Szansa na dywidendę dla nas wszystkich od razu wzrośnie.

(Tata mówi tylko o swoich sprawach, podczas gdy mama rozmawia o czymś zupełnie innym; ich najlepsze dyskusje zawsze tak wyglądają).

Niestety, przy panu Fagermanie moi rodzice przypominali raczej zaślepione groupies, które jeżdżą wszędzie za ulubioną kapelą. Kilka miesięcy po tym, jak zaczęłam chodzić z Sebastianem, mój tata nadal jeszcze mówił o Fagermanie. Robił to za każdym razem, gdy byliśmy sami. Opowiadał mi, jak to Fagerman zamienił odziedziczony przez siebie i pogrążony w kryzysie koncern w jedną z największych w Szwecji fortun. Udało mu się, bo nie zadowolił się karczowaniem lasu czy wypłukiwaniem ziarenek złota w jakimś norrlandzkim strumieniu, tylko zaczął inwestować w branżę wysoko rozwiniętych technologii (na przykład kable albo mikroczipy; nigdy nie potrafiłam się w tym połapać). Tata tak bardzo podziwiał Fagermana, że nawet nie umiał mu zazdrościć.

– Jedyną rzeczą, która nie czyni go kimś unikalnym w skali światowej, jest to, że ożenił się z kobietą, która zajęła trzecie miejsce w konkursie Miss Szwecji – powiedział kiedyś tata. – Fagerman to jedna z największych postaci w dziejach naszego kraju. Kiedyś przejdzie do historii.

Tamtego wieczoru, gdy jedliśmy kolację na jachcie, ja też myślałam o Fagermanie. Czułam się przy nim jak ktoś niezwykły. Kiedy żartował, robiło się zabawnie, choćby przez to, że śmiałam się we właściwym momencie.

Kiedy opowiadał o swoim drugim synu – Lukas studiował na Harvardzie i był bardzo zdolny – pomyślałam, jakie to przyjemne uczucie, że jest z niego dumny. A gdy stwierdził, że dla niego „zawsze było sprawą oczywistą, iż Lukas daleko zajdzie”, poczułam się tak, jak gdyby dopuszczono mnie do rodzinnych tajemnic, o których Fagerman opowiadał tylko nielicznym. Uważałam, że ojciec, który chwali się swoim starszym synem, jest też dumny z młodszego. Wtedy jeszcze nie zauważyłam, że jego ojcowska miłość była czymś uwarunkowana, bo żeby nie zasłużyć sobie na jego pogardę, trzeba było mieć na koncie jakieś osiągnięcia.

O północy ja i Sebastian pożegnaliśmy się z całym towarzystwem.

– Wpadliśmy na pomysł, żeby się wykąpać.

– Pójdziemy pospacerować po plaży.

Mama ujęła mnie dłońmi za policzki, jak gdyby nadal wierzyła, że jestem dziewczicą i że właśnie nadeszła moja noc poślubna, a tata spojrział na mnie wzrokiem, w którym kryła się prawdziwa duma.

– Moja mała dziewczynka – powiedziała mama.

– Tylko zachowujcie się porządnie – powiedział tata, uśmiechnął się szeroko do Sebastiana i dodał: – Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Taka zawsze mówi takie rzeczy.

– Wyłumacz mi, co ty w nim widzisz – powiedział nagle Fagerman. – Powinnaś wiedzieć, że Sebastian stale się kłóci ze swoją mamą.

Wszyscy, łącznie ze mną, wybuchnęliśmy śmiechem. Dopiero później zrozumiałam, że kiedy Fagerman wyraża się o Sebastianie w tak złośliwy sposób, nigdy nie żartuje.

Oprócz komentarza na temat kobiety, która zajęła trzecie miejsce w konkursie Miss Szwecji, więcej o niej nie rozmawialiśmy. Ani tamtego wieczoru, ani nigdy później. Fagerman nie wymienił jej na młodszy egzemplarz, ona po prostu przestała dla niego istnieć. Czy dlatego, że była nieważna? Kto kogo zostawił: ona jego czy on ją? W porównaniu ze swoim mężem była tak mało ważna, że nigdy o niej nie myślałam, nawet o tym, że jej nie ma.

Zanim zaczęłam chodzić z Sebastianem, spotykałam się z czterema chłopakami. Pierwszy miał na imię Nils. Mieliśmy po dwanaście, prawie trzynaście lat i spiknęliśmy się ze sobą na imprezie, na którą zaprosiła mnie jego siostra bliźniaczka. Z głośników leciała piosenka Christiny Aguilery, wokół nas było ciemno. Nagle Nils mnie pocałował, szybko i mocno, a potem położyliśmy się na kanapie i tak długo się pieściliśmy, aż spuchły mi wargi i zrobiło mi się mokro w majtkach. Nils trzymał mnie za piersi i było to

najwspanialsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doznałam. Nigdy nie poszliśmy ze sobą do łóżka, nawet by nam to nie przyszło do głowy. Po trzech tygodniach nasz związek dobiegł końca, ale do mnie dotarło to dopiero dwa miesiące później. Zaczęły się letnie wakacje, a ja przez dziewięć tygodni wpatrywałam się w jego zdjęcie i wysyłałam mu widokówki („Jestem na wsi u dziadków, pada deszcz, oglądałam amerykański horror *Martwe zło*”). Nils ani razu nie odpisał. Kiedy zaczął się rok szkolny, nawet się do mnie nie odezwał. I tak się to skończyło.

Mojego drugiego chłopaka poznałam pół roku później. Był o rok starszy (miał skończone czternaście lat!). Na rozkładzie jazdy wywieszonym na przystanku autobusowym koło szkoły napisał, że jestem ładna. Sześć albo osiem minut potem należałam do niego, chociaż nie byłam na tyle głupia, by sobie wyobrazić, że to najwspanialsza rzecz, jaka zdarzyła mi się w moim dotychczasowym życiu. Anton miał grube wargi i jasne, kręcone włosy. Chodziliśmy ze sobą siedem tygodni – trwało to tak długo, że w końcu zaczęto nas uważać za małżeństwo. Jednak pewnego wieczoru, w czasie imprezy we Fribergaskolan – pamiętam, że to był piątek – Anton upił się jakąś mieszanką różnych alkoholi, którą przechowywał w starej butelce po szamponie, i oznajmił mi, że „jestem zbyt młoda i powinniśmy się rozstać” (tak właśnie powiedział). Zrobiło mi się wstyd, ale nawet nie było mi przykro. W naszym związku nic mnie nie pociągało: ani Anton, ani jego pocałunki, którymi ślinił mi dolną część twarzy, ani sam fakt chodzenia z nim.

Potem przechodziłam okres, gdy kochałam się w znacznie starszych chłopakach. Nie mieli pojęcia o moim istnieniu, bo albo nigdy się nie spotkaliśmy, albo gdy już do spotkania doszło, to oglądałam tylko ich karki w autobusie jakieś sześć siedzeń przede mną. Dziś nawet nie pamiętam, jak mieli na imię.

Ale kiedy miałam piętnaście lat, poznałam Markusa.

Był ode mnie starszy o rok, palił haszysz, grał na gitarze basowej, pisał wiersze, a Richard Avedon robił jego mamie zdjęcia. Markus chodził do liceum Östra Real i dosłownie wszyscy go znali. Kiedy pewnego dnia weszłyśmy z Amandą do mieszkania na drugim piętrze budynku stojącego niedaleko Karlaplan, Markus i jego kapela grali na jednym z górnych pięter jakieś trudne do określenia kawałki. Impreza trwała już od kilku godzin, każda z nas dostała po kawałku czekoladowego tortu i śmietankowy napój o smaku waniliowym. Przyniósł nam to wszystko ospowaty chłopak z paznokciami pomalowanymi lakierem. Tańczyłam w opróżnionym z mebli pokoju, cała się spociłam i nawet przez myśl mi nie przeszło, jak to musi głupio wyglądać, gdy ludzie unoszą ramiona i potrząsają głowami. Potem wysiadł prąd, przyjechała straż pożarna i usłyszeliśmy, że nastąpiła przerwa w dostawie dla całego Östermalmu. „Istnieją powody, dla których należy wystąpić o zgodę na organizację koncertów”. Po odjeździe strażaków zjawili się dwaj umundurowani policjanci. W tym momencie poczułam, że pierwszy raz w życiu mam w czubie. Zamknęłyśmy się z Amandą w łazience i próbowałyśmy nad sobą zapanować, żeby nie umrzeć ze śmiechu. Nie miałyśmy pojęcia, co nas wprowadziło w taki stan: ciastko, napój waniliowy czy obie te rzeczy naraz. Siedziałyśmy tam tak długo, aż policjanci sobie poszli. Do drzwi zapukał Markus. Był nagi, w ręce trzymał świecznik z pięcioma świecami. Napuścił wody do wanny i spytał, czy chciałabym się z nim wykąpać. Rozebrałam się i weszłam do wanny, a Amanda zasnęła na ręczniku rozłożonym na podłodze.

Markus miał długą grzywkę i dlatego nigdy nie patrzył nikomu w oczy. Któregoś popołudnia, jeszcze w tym samym tygodniu, pozbawił mnie dziewictwa. Nie było źle i nie bolało, a ja poczułam niesamowitą ulgę, bo Markus nie zauważył, że był „tym pierwszym”. Kiedy później dzwoniłam na jego numer stacjonarny (komórki nigdy nie odbierał, a gdy twierdził, że akurat

ją wyłączył, ślepo mu wierzyłam), udawał, że nie ma go w domu. W słuchawce słyszałam głos jego mamy, poirytowanej takim zachowaniem, a mimo to nadal dzwoniłam i to zarówno na komórkę, jak i na numer stacjonarny. Nie chciałam się pogodzić z faktem, że Markus przestał mnie lubić... Spaliśmy ze sobą jeszcze cztery razy (zawsze zaczynało się od wspólnej kąpieli w wannie, Markus robił to na wszystkich imprezach), a za każdym razem gdy twierdził, że mnie kocha, udawałam, że mu wierzę. Ostatnim razem gdy się kochaliśmy, na zaścielonym łóżku (nigdy nie robiliśmy tego pod kołdrą), dochodziła dziesiąta wieczorem. Markus zaczął mi wycierać brzuch moim własnym T-shirtem i nagle oznajmił, że chodzi z Teresą, którą wszyscy nazywali Tessie. Dlatego – stwierdził – nie będziemy już mogli tego dalej ciągnąć.

Dwie i pół godziny później zobaczyłam dziewczynę z tym psim imieniem, jak wychodzi z Markusem z łazienki. Cocker spanielka Tessie miała na sobie szlafrok, Markus jak zwykle był nagi. Zrobiło mi się przykro, ale nie dałam tego po sobie poznać. Po prostu stamtąd wyszłam.

Z następnym chłopakiem sama zerwałam. Miał na imię Oliver i już po czterech dniach oznajmił, że kocha nie tylko moje piersi, ale i mnie. Gdy mu odpowiedziałam, że jest fajny i go lubię, tyle że nie pasujemy do siebie (byłam już wtedy prawdziwą profesjonalistką w dziedzinie miłości i wiedziałam, co i kiedy należy powiedzieć), zaczął do mnie codziennie wydzwaniać. Robił to nawet wtedy, kiedy nie był pijany. Każdego wieczoru przysyłał mi na dobranoc esemes.

Mimo to sypialiśmy ze sobą jeszcze przez jakieś dwa miesiące. A potem w hotelu, gdzie pracowałam, zjawił się Sebastian. Od tego momentu wszystko to, co robiłam przedtem i co nie było związane z nim, przestało się liczyć. Wszystko było nowe, chociaż nie twierdzę, że to był mój nowy start. Sebastian był moim początkiem.

Dziś już nie pamiętam, czy poprosiłam rodziców o zgodę na wyjazd z Sebastianem. Wiem tylko, że nie chciałam im towarzyszyć w dalszej podróży po Europie. Chyba jednak to zrobiłam, bo na kolację przynieśli mi nową torbę, podobno najdroższy model, jaki mamie udało się znaleźć. Były w niej moje rzeczy.

Pierwszego ranka obudziłam się przed Sebastianem. Zawsze źle sypiam w nowych miejscach. Sebastian był pogrążony w głębokim śnie, nie chciałam go budzić. Kiedy wyszłam na pokład, Claes jadł śniadanie i czytał szwedzką gazetę.

– Usiądź ze mną. Co będziesz jadła? – spytał, nie unosząc wzroku znad gazety.

Kiedy wypiałam kawę i zjadłam croissanta (typowy zestaw na jachcie na Morzu Śródziemnym), Claes odłożył gazetę i spojrzał na mnie przyjaznym wzrokiem. Nie pamiętam, o co mnie spytał i czy w ogóle zadawał mi jakieś pytania, ale o czymś rozmawialiśmy, a ja czułam, jak stopniowo opuszcza mnie zdenerwowanie. Claes został przy stoliku do czasu, aż zjawił się tam Sebastian i usiadł obok mnie. Miał nieuczesane włosy, ubrany był w slipki i biały T-shirt. Claes wstał od stołu, zabrał gazetę i zostawił nas samych. Nawet się z nim nie przywitał.

Do rozpoczęcia roku szkolnego zostało siedemnaście dni. Sebastian miał chodzić do naszej klasy. Na jachcie spędziliśmy w sumie piętnaście dni i nocy. Następnego ranka odpłynęliśmy na Capri. Morze miało lazurowy kolor, wiał ciepły wiatr, wszystkie wieczory też były ciepłe. Czasem zatrzymywaliśmy się na morzu, żeby spuścić motorówkę i ponurkować albo pojeździć na nartach wodnych. Pewnego razu na pokładzie naszej łodzi wylądował helikopter, który zabrał nas na zawody Formuły 1 w Monako. Staliśmy tuż przy linii mety i uśmiechaliśmy się przy huku silników. Nie zdążyłam zapamiętać imion załogi jachtu, chociaż bardzo się starałam. Kapitana Sandro zasypywałam tysiącami

pytań na temat miejsc, obok których przepływaliśmy, a kucharz Luigi zawsze pamiętał o tym, że piję czarną kawę, lubię cytrynę *pressé* i grecki jogurt, owoce melona i croissanty na śniadanie, kurczaka albo sałatkę z fetą na obiad. W kajutach, w których było SPA, na tym samym poziomie, na którym znajdowała się sala kinowa, obok siłowni, leciała nastrojowa muzyka, a kobieta o imieniu Zoe robiła mi manikiur i pedikiur, masowała mnie i smarowała olejkami pachnącymi miętą i wanilią. Chodziła na bosaka i nigdy nie widziałam jej w innej części łodzi.

Zakochałam się w tym jachcie, polubiłam całą obsługę. Za każdym razem, gdy ich spotykałam, mieli takie radosne twarze. Byłam zafascynowana faktem, że tak szybko się do wszystkiego przyzwyczaiłam, że wszystko to było dla mnie takie naturalne. Nawet nie odczuwałam upływającego czasu. Kolacje jedliśmy zawsze z Claesem. Wydaje mi się, że nasza obecność przy stole była dla niego ważna, chociaż nigdy nie jadał z nami więcej niż tylko jedno ciepłe danie. Zadawał nam od trzech do pięciu pytań i zostawiał nas, ale chociaż spędzaliśmy z nim tylko niecałą godzinę, jego stosunek do nas ulegał stopniowemu ociepleniu. Przysłuchiwał się naszym rozmowom, kiwał głową. Pewnego wieczoru był w tak dobrym humorze, że zaczął z nami rozmawiać o sprawach, które uważał za ważne.

Piątego albo szóstego dnia rejsu Claes zabrał nas do restauracji na kolację. Był umówiony z pewnym biznesmenem i zaproponował, żebyśmy mu towarzyszyli. Nie spytaliśmy dlaczego, ale sądzę, że chciał, żebyśmy się trochę rozerwali.

Restauracja znajdowała się na skalnej półce w górskiej wiosce w pobliżu miejscowości Bonifacio. Ostatni odcinek pokonaliśmy piechotą. Zrobiło się ciemno, mrok przykrył wszystkie kolory. W porcie stał wóz meblowy, nad kontenerem unosił się brezent poruszany porywami wiatru. Było jeszcze ciepło, chociaż słońce już zaszło. W powietrzu śmierdziało śmieciami. Jak się

okazało, włoski biznesmen znał angielski, choć mówił nieco przez nos i z silnym akcentem. Upił się już na jachcie.

– Pomóż mi – powiedział do Sebastiana i wyciągnął do niego dłoń z krótkimi palcami.

Sebastian puścił mnie i wziął faceta pod ramię. W wiosce z trudem szłam w moich butach po brukowanym chodniku i przez całą drogę marzyłam, żebyśmy zwolnili. Włoch bez ustanku przeklinał. Spocony, wspierał się na Sebastianie i co dwadzieścia kroków stawał, żeby nabrać powietrza. Kiedy w końcu dotarliśmy do restauracji, pocałował Sebastiana – prawie w usta – co bardzo mnie zdziwiło. Sebastian aż się wzdrygnął. Claes otworzył drzwi, odwrócił się do Włocha i dał mu ręką znak, żeby wszedł pierwszy.

– Nie zrobiłbym bez ciebie jednego kroku – powiedział Włoch i w końcu puścił Sebastiana.

– Miło mi słyszeć, że się przydał – odparł Claes. – To dla nas coś nowego.

Nie wiedziałam, dlaczego jest w tak złym humorze, ale widać było, że coś go naprawdę wkurzyło.

To wtedy wszystko, co wcześniej kojarzyłam z Claesem, przestało być aktualne. Od zejścia z jachtu nie zainicjował rozmowy na żaden temat, a gdy coś mówiłam, zachowywał się tak, jak gdyby mnie nie słyszał. Odwracał głowę i szedł przed nami, a gdy któreś z nas się do niego zwracało, odpowiadał półsłówkami. Dostałam skurczów żołądka. Sebastian szedł ze wzrokiem wbitym w ciemność i w ogóle na mnie nie patrzył. I tylko Włoch zachowywał się jak człowiek pozbawiony wszelkich trosk.

Kelner posadził nas przy oknie. Restauracja stała tak blisko krawędzi skały, że sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła się zsunąć w przepaść. Widzieliśmy rozświetlony port, a u wejścia do portu, gdzie zacumowaliśmy jacht, stała latarnia morska. Claes złożył zamówienie, ale nawet nas nie spytał, co chcielibyśmy zjeść. Włoch śmiał się tak głośno, że zwracał uwagę innych

gości. Z przerażeniem obserwowaliśmy, jak zmienia zamówienie. Nie było już mowy o ciepłym daniu, potem mówił coś o Korsykanach i ośmiornicach, chociaż wszyscy znali te historie. Claes milczał. Skinął dyskretnie na kelnera, a gdy na stole pojawiła się lista win, podał ją Włochowi i pozostawił mu wolny wybór. Ostatecznie Claes nic nie wypił, a swoje danie zostawił prawie nietknięte.

Zanim przyniesiono nam jedzenie, wyszłam do toalety. Kiedy wróciłam, Włoch siedział na moim miejscu. Widząc mnie, skinął ręką w geście zapraszającym, bym usiadła na jego krzesło. Sebastian nie protestował. W pewnej chwili wstał z krzesła, żeby do mnie podejść.

– Siadaj, do cholery – powiedział do niego po szwedzku Claes. – Chyba potrafisz wysiedzieć w miejscu i trzymać język za zębami?

Sebastian usiadł. Nie spojrzał na mnie, tylko bez słowa się uśmiechnął. Sztucznie, mechanicznie.

W przerwach, gdy Włoch nie prosił Sebastiana, żeby mu zaśpiewał jakieś szwedzkie piosenki, rozmawiali o interesach. Zrozumiałam tylko tyle, że miał do sprzedania firmę. W miarę jak się ożywiało, my pograżaliśmy się w coraz głębszym milczeniu. Zastanawiałam się, czy Włoch upije się do tego stopnia, że straci nad sobą całkowitą kontrolę, gdy nagle Claes wyjął telefon, żeby zadzwonić. Przez chwilę z kimś rozmawiał, a potem podał aparat Sebastianowi. Kiedy Sebastian się rozłączył, Claes uniósł kieliszek i stuknął się z Włochem. Ulga, jaką w tym momencie poczułam, była tak silna, że prawie zrobiło mi się niedobrze.

Zjedliśmy cztery dania, deskę serów i dwa desery, wypiliśmy kawę, do której podano tackę czekoladowych pralinek, beziki i ciasteczka z marmoladą. W końcu postanowiliśmy wrócić na jacht. Claes jakimś cudem załatwił wózek na kółkach. Posadziliśmy na nim Włocha, a jeden z członków załogi zawiózł go do portu. Zanim wózek wjechał na pokład, Włoch się obudził, po czym

oznajmił, że chce iść na spacer (*I am making a walk*). Ja i Sebastian poszliśmy spać. Około czwartej nad ranem obudziły nas hałasy dobiegające z dziobu. Usiadłam w łóżku, ale Sebastian kazał mi leżeć.

– Zostań – powiedział. – To nie nasza sprawa.

Śniadanie zjedliśmy we dwoje.

– Pan Fagerman wyjechał – poinformował mnie ubrany na biało członek załogi, którego imienia znowu nie mogłam sobie przypomnieć. Na te słowa Sebastian skinął tylko głową, nie wyglądał na zaskoczonego. – Powiedział, że możecie zająć jego kajutę. Zaraz będzie gotowa.

Kiedy Włoch wyszedł na pokład, akurat się opalaliśmy. Twarz miał zaczerwienioną, prawą rękę na temblaku albo w gipsie. Stał trzy metry od nas, ale nie podszedł bliżej.

– Boże! – zawołałam, zrywając się z leżaka. – Co się stało?

Włoch pokiwał głową.

– Nie chodźcie na plażę późnym wieczorem – odparł i krzywo się do nas uśmiechnął. – Czy twój ojciec jest na łodzi? – spytał Sebastiana, który pociągnął mnie z powrotem na leżak.

– Nie – odparł Sebastian, nawet nie otwierając oczu.

– A czy mógłbyś... – ciągnął Włoch.

– Nie – przerwał mu Sebastian.

Włoch nas opuścił, a my wprowadziliśmy się do kabiny Claesa. Teraz mieliśmy do dyspozycji dwie łazienki zamiast jednej i widok na morze, chyba taki sam jak ten, który roztaczał się z mostka kapitańskiego. W jednej z łazienek można było otworzyć dach nad wanną. Postanowiliśmy, że zjemy tam kolację. Sami.

– Czy to twój tata pobił tego Włocha? – spytałam wieczorem, gdy leżeliśmy przy odkrytym basenie na górnym pokładzie. – Za to, że facet z tobą flirtował?

Sebastian nawet się nie rozzłościł.

– Nie – odparł krótko. – Oczywiście, że on tego nie zrobił.

Roześmiałam się z ulgą, udając, że to był żart. Ale Sebastianowi nie było do śmiechu. Uniósł ręce, pochylił się nad brzegiem basenu i spojrzął w czarne niebo.

– Kiedyś, gdy mama odeszła, spytałem go, co jej zrobił... dlaczego ona... jak on ją... żeby się wyprowadziła...

Sebastian umilkł.

– I co odpowiedział?

– ...że nasza rodzina nie musi zbierać śmieci, bo są ludzie, którzy robią to za nas.

Chciałam go spytać, co to znaczy i jak to się stało, że Claes wyrzucił jego mamę z domu, i dlaczego Włoch został pobity przez kogoś, kto pracuje dla Claesa... Ale nie zrobiłam tego, bo Sebastian nagle się rozplakał. Nie szlochał, nie mazał się, tylko po prostu płakał. Nie wiedziałam, co powiedzieć, co zrobić. Wzięłam w dłonie jego twarz i pocałowałam go, mocniej i dłużej niż zwykle, a on oddał mi pocałunek. Trwało to tak długo, aż zapragnęłam, żeby we mnie wszedł. Zrobił to, a ja prawie natychmiast przeżyłam orgazm. Zawsze dochodziłam szybciej i częściej niż on, a do tego bardziej intensywnie.

Dziewięć dni później odlecieliśmy z Neapolu do Szwecji. W samolocie byliśmy sami. Poprzedniego wieczoru słyszałam, jak Sebastian rozmawiał przez telefon z ojcem. Claes uznał, że nie ma potrzeby, abyśmy lecieli samolotem firmowym, bo możemy wrócić do kraju rejsowym. Kiedy jednak przyjechaliśmy na lotnisko, okazało się, że firmowy już na nas czeka. Samochód podwiózł nas aż pod schodki i nawet nie musieliśmy przechodzić kontroli.

Łódź popłynęła dalej bez nas. Załoga przebywała na pokładzie przez okrągły rok. Kapitan powiedział, że za tydzień opuszczą Morze Śródziemne.

Cała ta wprost nierzeczywista przygoda... ta przestrzeń pełna obrazków wziętych żywcem z widokówek przedstawiających lazuruwe morze i skrzącą się od słońca wodę... stała się realna dopiero wówczas, gdy nad Inverness samolot dokonał zwrotu i mój świat zaczął wyglądać dokładnie tak jak wtedy, kiedy niecały miesiąc wcześniej wylatywałam ze Szwecji. Dokładnie tak samo, a przecież wszystko się zmieniło.

Wylądowaliśmy na lotnisku w Brommie, gdzie czekał na nas samochód. Jeden z członków załogi zaniósł nasze walizki do wozu. Sebastian wyglądał na zmęczonego. Chyba się nie spodziewał, że będziemy kontynuowali nasz związek po rozpoczęciu zajęć szkolnych. Z jakichś powodów trudno mi było uwierzyć, że będzie chciał być ze mną na co dzień, bez względu na to, jak ten jego powszedni dzień wyglądał. Wydawało mi się, że po prostu przeżyliśmy zwykły wakacyjny romans. Uznałam to za rzecz całkiem naturalną. Dla niego była to przygoda, jedna z wielu, natomiast dla mnie najpiękniejszy tydzień w życiu. Kierowca podwiózł mnie pod sam dom, a ja nie wiedziałam, jak się z Sebastianem pożegnać i za wszystko mu podziękować. Tymczasem on odprowadził mnie do drzwi i przywitał się z moim tatą (który zrobił przy tym taką minę, jaką dorośli zwykli robić w sytuacji, gdy chcą pokazać swoją obojętność, choć tak naprawdę zżera ich ciekawość). Potem pocałował mnie w policzek, powiedział, że jutro się spotkamy, i tyle go widziałam.

Następnego dnia zaczynały się zajęcia w szkole. O wpół do ósmej Sebastian wysłał mi esemes (wieczorem i nocą nawet się nie odezwał) z prośbą, abyśmy się spotkali na skrzyżowaniu koło mojego domu, bo chce mnie stamtąd zabrać. Podejrzewałam, że chce ze mną zerwać, zanim pojawimy się w szkole. W połowie drogi zaczęłam płakać. Musiałam się zmusić do płaczu, na wypadek gdyby Sebastian rzeczywiście postanowił ze mną zerwać. Kiedy zobaczył, że płaczę, zjechał na pobocze, wyłączył silnik, odsunął mój fotel do tyłu i usiadł na mnie okrakiem. Wsadził mi dłonie pod koszulę, gładził

mnie po plecach i całował. Potem przyciągnął mnie i wtedy poczułam jego twardego członka. W tym momencie doznałam wielkiej ulgi. Sama się dziwiłam, skąd mi przyszło do głowy, że Sebastian mnie zostawi.

Z parkingu do szkoły przeszliśmy razem. Czułam się dokładnie tak jak w amerykańskim filmie, którego akcja rozgrywa się w szkole średniej: najbardziej pożądany chłopak zjawia się nagle z nową dziewczyną u boku. Kiedyś nosiła brzydkie okulary i miała dziwną fryzurę, ale pewnego dnia poszła do kosmetyczki i z brzyduli zamieniła się w prawdziwą piękność. Nie chcę przez to powiedzieć, że kiedyś byłam taką brzydulą, a Sebastian członkiem drużyny futbolowej, z wiecznym uśmiechem na twarzy, który robi zawrotną karierę sportową, ale cała ta sytuacja, nasze wspólne wejście do szkoły, przypominało obrazek namalowany pastelowymi farbami.

Amanda już oczywiście wiedziała, że jesteśmy parą. Podeszła do nas w palarni, przywitała się ze mną i objęła Sebastiana za szyję. Przez chwilę wisiała na nim jak bombka choinkowa, aż w końcu Sebastian uwolnił się z jej uścisku i weszliśmy do budynku.

Sebastian miał coś do załatwienia przed pierwszą lekcją, więc rozstaliśmy się przy szafkach. Pocałował mnie w policzek, a ja znowu poczułam się jak w filmie... może nawet bardziej niż przed chwilą. Amanda uniosła oczy, bo tak właśnie powinna się zachować zgodnie z rolą, jaka jej przypadła (nie miała niestety na sobie stroju czirliderki; wtedy wszystko byłoby idealnie). Tak bardzo zachwycał ją fakt, że od tej chwili będzie odgrywać w życiu Sebastiana jedną z głównych ról, że cała aż się zatraciła. No przecież Sebastian stał się też częścią jej życia, naszego życia. Towarzystwo, w którym się obracał w poprzednim roku, odeszło ze szkoły. Jedni poszli na studia, inni na praktyki w firmach swoich ojców, jeszcze inni wyjechali uczyć się angielskiego w Stanach. Teraz przyszła kolej na nas. Amanda była uszczęśliwiona. Oczywiście tego mi nie powiedziała, tylko wydusiła z siebie

coś w stylu, że ja i Sebastian powinniśmy „wynająć pokój”. W tym momencie odrzuciłam głowę i głośno się roześmiałam, dokładnie tak jak w filmie.

W czasie wycieczki po Morzu Śródziemnym zrobiliśmy sobie z Sebastianem mnóstwo zdjęć. Wyglądam na nich na szczęśliwą, pozbawioną problemów dziewczynę, która głośno piszczy i śmieje się, gdy jej chłopak ochlapuje ją wodą, zanim jeszcze sama do niej wejdzie. Uśmiecham się, oczy mi się błyszczą. Wyglądam na szczęśliwą, chociaż potem nie będę mogła sobie przypomnieć, czy rzeczywiście tak było. Może szczęście przypomina nieszczęście w tym sensie, że po pewnym czasie niektóre uczucia się zacierają? Na początku człowiek nic nie czuje, świadomość pojawia się dopiero później, czasem dopiero wówczas, gdy źródło tego szczęścia przestaje istnieć, znika, odchodzi.

Dopiero teraz, kiedy jest już po wszystkim, uświadamiam sobie, że Sebastian nigdy nie wyglądał na szczęśliwego. Nawet na naszych pierwszych zdjęciach.

18.

Pierwsze tygodnie w szkole były dla nas wszystkich naprawdę cudowne. Zwłaszcza pierwszy dzień. To, że do naszej klasy miał uczęszczać syn Claesa Fagermana, było najfajniejszą rzeczą, jaka mogła się przytrafić, i to nie tylko Amandzie. Cała nasza klasa mówiła o tym już w poprzednim semestrze, gdy pojawiły się pogłoski, że Sebastian będzie musiał powtarzać rok. Teraz plotki stały się faktem, a ja znalazłam się w samym centrum wydarzeń.

Tuż przed pierwszą lekcją Sebastiana nadal nie było. Weszliśmy z Amandą do sali i zajęliśmy nasze stare miejsca. Christer nie pytał nas, jak spędziliśmy wakacje, bo szkolny regulamin zabraniał zadawania takich pytań. Nie wolno też było zadawać uczniom do domu wypracowania pod tytułem „Moje letnie wakacje”, ponieważ ci, których nie stać było na wyjazd, mogliby się poczuć wyobcowani. A według dyrekcji szkoły i zdaniem rodziców bycie wyobcowanym (to znaczy innym) jest najgorszą rzeczą pod słońcem... z wyjątkiem automatów z napojami w szkolnej stołówce. Szkoła i rodzice uwielbiają takie bezsensowne zakazy, bo dzięki nim mogą uchodzić za wrażliwych. Jak gdyby sam zakaz zadawania pytań mógł coś zmienić. Każdy z nas i tak wiedział, jak kto spędzał wakacje. Wiedzieliśmy też, że niektórzy zostali w domu.

Christer dwoił się i troił, żeby znaleźć inny temat rozmów. Nie komentował opalenizny Amandy w stylu lat osiemdziesiątych, nie oceniał maleńkich warkoczyków Alice („Boże... mama mnie zmusiła... rany, zlikwiduję je wieczorem”) ani złamanej ręki Jakoba (efekt jazdy na nartach wodnych; wszyscy o tym wiedzieli, Christer chyba też). Nasz wychowawca nie wypowiadał się też na temat Sofii, która od zakończenia poprzedniego

semestru schudła przez dwa miesiące ze dwadzieścia kilogramów (Christer był tak zszokowany jej widokiem, że dopiero po kilku sekundach odzyskał mowę). Wolał więc rozmawiać z nami o innych sprawach.

Spytał na przykład, czy przeczytaliśmy jakąś ciekawą książkę. Spośród chłopaków tylko Samir podniósł rękę i wyrecytował z pamięci tytuły trzech książek. Christer udawał, że wie, o które książki chodzi, ale nie zadał mu żadnych dodatkowych pytań, sądząc więc, że po prostu nie miał o niczym pojęcia.

– Przeczytałeś latem tylko trzy książki? – spytałam.

Samir się uśmiechnął, ale tylko jednym kącikiem ust. Robił to zazwyczaj, gdy zadawałam mu takie właśnie pytania, po czym zanurzał dłoń w swoich gęstych włosach. Czasem, kiedy nad czymś rozmyślał, owijał kosmyki wokół wskazującego palca. Ja też się do niego uśmiechnęłam. Był to swego rodzaju rytuał, od pierwszej klasy. Kłóciliśmy się, dyskutowaliśmy, przierzucaliśmy się argumentami, ale nigdy nie stwarzaliśmy pozorów, że któreś z nas ma rację albo powiedziało coś zabawnego. Bardzo się ucieszyłam, że podczas wakacji nic się w tym względzie nie zmieniło.

– Oczywiście, że nie – odparł Samir. – Wymieniłem tylko trzy najlepsze, żeby zostawić trochę czasu na twoje...

Samir się zawahał, więc wpadłam mu w słowo.

– Nie czytałam książek ani o koniach, ani o menstruacji.

– A podobała ci się historia nastolatków, którzy zakochują się w sobie i umierają na raka?

Amanda, która stała przy mnie, aż się wzdrygnęła, jak gdyby ktoś ją popchnął albo uderzył.

– Tak – odparła uszczęśliwionym głosem. – Cała ta historia jest cholernie smutna. Nigdy w życiu tak nie płakałam.

Samir spojrzał na mnie i oboje pomyśleliśmy to samo: Amanda nie czytała

książki, tylko oglądała film. Nie skomentowaliśmy tego. W tym samym momencie do klasy wszedł Sebastian. Czy ktoś z nas zauważył, że spóźnił się na lekcje już pierwszego dnia szkoły? Być może. Kilka tygodni później zwróciliśmy uwagę, gdy przestał się spóźniać.

– Przepraszam – powiedział.

Christer skinął mu lekko głową.

Sebastian usiadł obok mnie, a Amanda przesiadła się do innej ławki, chociaż wcale jej o to nie prosił. Idąc na swoje nowe miejsce, wzniosła oczy do nieba i wykonała ruch, jakby grała na skrzypcach.

Tamtego dnia czułam, że prawda o mnie i Sebastianie dociera stopniowo do całej klasy. Widziałam to po ich twarzach – od pierwszego rzędu ławek, w którym po jednej stronie siedziałam ja, a po drugiej Samir, aż do ostatniego, w którym siedziała Mela z kolczykiem w nosie i z pomalowanymi na czarno paznokciami. Wszyscy już wiedzieli, że jesteśmy parą, i dlatego chłonili atmosferę, jaka otaczała Sebastiana – mieszankę podziwu i ciekawości. Po raz pierwszy chodziło też o mnie – przynajmniej w połowie.

Kiedyś czytałam o pewnej aktorce, która w młodości co rok się przeprowadzała. Powiedziała, że za każdym razem, gdy zaczynała naukę w nowej klasie, odnajdywała w niej ten sam zestaw postaci: kogoś, kto był powszechnie znany (takie osoby są zazwyczaj niezbyt miłe), najlepszego przyjaciela bądź przyjaciółkę tejże najbardziej popularnej osoby, kujona, najgorszego ucznia w szkole i kogoś, kto nie miał żadnych kolegów. Można powiedzieć, że w każdej klasie istnieje klasyczny zestaw ról do obsadzenia. Wspomniana aktorka musiała po przeprowadzce na nowe miejsce zrobić tylko jedną rzecz: ustalić, jaka rola pozostała jeszcze nieobsadzona, bo właśnie ją zamierzała odgrywać przez kolejny rok.

Ja odgrywałam zawsze tę samą rolę: byłam zdolna, niezbyt popularna (choć prawie), nikt mnie nie prześladował i ja też nikogo nie

prześladowałam; należałam do najfajniejszych osób w klasie, ale nigdy nie byłam „najfajniejsza”. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że mogłabym wystąpić w nowej roli, tyle że tak się właśnie stało. W porównaniu ze mną Sofia i jej dwadzieścia zrzuconych kilogramów mogły się schować.

Sebastian wziął mnie pod ławką za rękę, a ja zaczerwieniłam się na twarzy.

Christer zadał nam kolejne pytanie, ale jego sens w ogóle do mnie nie dotarł. Spojrzał na mnie, czekając na odpowiedź, więc odwróciłam się do Samira. Może on mi pomoże, rzuci jakiś ironiczny komentarz, który sprawi, że się domyślę, o co chodzi albo co powinnam powiedzieć? Ale on nie patrzył na mnie. Siedział w ławce z ręką zgiętą tak, jakby coś pisał, i spoglądał na swój zeszyt. Oprócz niego nikt inny nie robił w pierwszy dzień szkoły żadnych notatek. Samir pisał grubym wiecznym piórem z nabojami na czarny atrament. Palce zacisnął tak mocno, że aż kostki mu zbieleły. Widziałam jednak, że tylko udaje, że coś pisze. Musiałam odwrócić się z powrotem do Christera.

– Przepraszam, ale nie dosłyszałam pytania...

Christer się roześmiał. Pewnie poczuł ulgę, bo zdaje się, że w końcu zrozumiał, jakie było najważniejsze wydarzenie tego lata. Ulgę, że nie musi mnie o nic pytać.

– Sebastianie – spytał. – A może ty czytałeś latem coś ciekawego?

W tym momencie rozległ się śmiech. Śmiał się nie tylko Samir, tyle że ja usłyszałam wyłącznie jego. Brzmiało to tak, jak gdyby Samir uważał, że nie ma się z czego śmiać.

19.

Samir wcale nie uważał, że fakt, iż Sebastian przeszedł do naszej klasy, jest powodem do radości. Jakoś do siebie nie pasowali. Stało się to jasne już w momencie, gdy Christer przedstawił nam Sebastiana jako naszego nowego kolegę. Sebastian zrobił taką minę, jak gdyby nie wiedział, kim jest Samir. Być może z zemsty za jego głośny śmiech, choć nie można też wykluczyć, że naprawdę go nie znał. Kiedy jednak Samir zaczął udawać, że nie zna Sebastiana, zrobiło się śmiesznie, bo przecież cała szkoła wiedziała, kim jest syn Fagermana.

Samir był jedynym uczniem niezadowolonym z przejścia Sebastiana do naszej klasy. Wszyscy inni wyglądali na szczęśliwych. Nawet nauczyciele zachowywali się tak, jakby ich ten fakt ucieszył. Gdyby ktoś spytał wtedy Christera, jaka jest jego opinia o Sebastianie, na pewno odpowiedziałby coś w stylu, że zasługuje on na nową szansę. Przez pierwsze dwa tygodnie pozwolono mu się spóźniać na zajęcia, zjawiać się, kiedy sam uznał to za stosowne, wchodzić do sali w trakcie lekcji i nie martwić się o uwagi ze strony nauczycieli, bo ci i tak nie komentowali jego zachowania. Jeśli zapominał zabrać coś do szkoły, oddawali mu swój laptop albo proponowali, żeby „zwrócił się o pomoc do Mai”.

Christer nigdy by się nie przyznał, że już wtedy wiedział, iż Sebastian nie zda matury. „Wszyscy zasługują na nową szansę”. Za to Samir nie dał mu nawet pierwszej.

Sebastian zorganizował dla nas pierwszą imprezę już po dziewięciu dniach. Claes wyjechał w interesach, a Lukas wrócił do Bostonu. Ja i Amanda

zjawiłyśmy się jako pierwsze. Zaoferowałam Sebastianowi pomoc, ale już na podjeździe zorientowałam się, że to zupełnie inny rodzaj imprezy. Sebastian nigdy nie potrzebował przy nich niczyjej pomocy.

– Nie bierz tego do siebie! Każdy może jeść, na co ma ochotę. Ale jakoś nie umiem się zmusić.

Amanda wzięła ze stołu hamburgera z cypryjskim serem halloumi. Trzymała go w palcach i dokładnie sprawdzała z każdej strony, gdzie w nim jest najmniej kalorii. Na moje mięso spojrzała takim wzrokiem, jak gdyby to była rozdeptana, nafaszerowana antybiotykami wieprzowina pozyskana z maciory hodowanej w ciasnym betonowym boksie. Wytarłam kąciki ust z dressingu, skinęłam jej głową i zjadłam swoją porcję.

Zachodziło słońce, wszyscy zdążyli się najeść, na stole zostały najwyżej trzy hamburgery. Wynajęty mistrz grilla przewracał bez entuzjazmu kawałki mięsa na drugą stronę, krople tłuszczu kapały na rozpalone węgle. Wąskie płomienie wystrzeliwały w górę i gasły. Kelner ubrany w krótkie spodnie w barwach amerykańskiej flagi chodził na bosaka po trawniku z tacą pełną torebek z frytkami. Sebastian wszedł do domu z kilkoma chłopakami, którzy towarzyszyli mu za każdym razem, gdy sobie tego życzył.

Usiadłyśmy z Amandą na schodkach przed kamienną altanką i spoglądałyśmy na jezioro.

– Gdzie jest Sibbe? – spytała Amanda, mając na myśli Sebastiana.

Wzruszyłam ramionami.

– Czy Labbe też tu jest?

Znowu wzruszyłam ramionami. Labbe przestał chodzić do naszej klasy, bo nie zdał i musiał zmienić szkołę. Tylko on, jako jedyny spośród nas, znał Sebastiana z dawnych czasów i pewnie dlatego Amanda ubzdurzyła sobie, że Labbe zostanie jej nowym chłopakiem. Ale Sebastian nie miał kumpli, tylko przyboczną świtę. Mniej więcej tydzień temu dołączył do nich Dennis.

Amanda westchnęła i odłożyła napoczętego hamburgera. Ja już zjadłam to, co sobie nałożyłam, i teraz pałaszowałam frytki. Poczęstowałam Amandę, ale ona tylko pokręciła głową i nawet nie zaszczyciła ich spojrzeniem.

Tafla wody, która rozciągała się przed naszymi oczami, miała kolor szary. Latarnie przy pomieszczeniu z basenem oświetlały pomost. Na dziobie jednej z dwóch łodzi, które zacumował w tym miejscu Claes, majaczyły zarysy kilku postaci. Dwie osoby huśtały się w koszach rozwieszonych między czterema drzewami w ogrodzie. Na jednym z tarasów siedziało z pół tuzina dziewczyn. Stał tam kamienny stolik wyłożony mozaiką i krzesła o dziwnych kształtach z kutego żelaza. Dziewczyny paliły papierosy, piły białe wino i pokazywały sobie coś na wyświetlaczach komórek. W pewnej chwili podszedł do mnie Sebastian. Wziął mnie za rękę, poderwał z ziemi i objął mnie ramieniem.

– Kurwa, ale nudna impreza – rzucił.

I nagle ruszył biegiem przed siebie. Po drodze zdarł z siebie ubranie, wbiegł na pomost i wskoczył do wody. Pobiegłam za nim, rozebrałam się do samych majtek i też wskoczyłam. Pływaliśmy krótko, bo woda nie była zbyt ciepła, ale gdy Sebastian do mnie podpłynął, poczułam, że ma wzwód. Rozchyliłam nogi i objęłam nimi jego biodra, a on prawie na oczach swoich gości stojących na brzegu wszedł we mnie. Nie musiałam nawet zdejmować majtek, bo Sebastian po prostu odsunął mi je pod wodą. Nie wiem, czy miał wytrysk, ale jak skończył, wyszliśmy na brzeg. Sebastian był tak zmarznięty, że wargi mu zsiniały i szczekał zębami. Amanda przyniosła płaszcze kąpielowe i podała je nam, gdy wychodziliśmy z wody. Sebastian wziął mnie za rękę i poszliśmy do sauny.

– Ta impreza jest martwa – powiedział.

Otuliłam się szczelniej szlafrokiem, chociaż w środku było bardzo ciepło, i usiadłam tuż przy drzwiach. Samir i Dennis siedzieli na górnej ławce. Dennis wzdrygnął się na słowa Sebastiana, jak gdyby to z jego winy impreza nie

przebiegała zgodnie z oczekiwaniami gospodarza.

Kiedy Sebastian zobaczył Samira, roześmiał się, zdziwiony. Jego obecność zdziwiła też inne osoby. Nigdy bym nie przypuszczała, że Samir się tu zjawi. Dziwne było też to, że trzymał się z Dennisem. Przecież się chyba nie znali?

Sebastian stał przez chwilę w milczeniu, a potem zdjął szlafrok i rzucił go na podłogę. Lał wodę na agregat, aż para unosiła się do sufitu. Potem usiadł, ale już po kilku minutach wyszedł z sauny i nawet się nie ubrał.

– Nudy na pudy. Kiepska impreza.

Dennis pobiegł za Sebastianem. Szedł mniej więcej pół kroku za nim ze wzrokiem wbitym w jego plecy. Nie mogłam go rozgryźć. Krążył obok Sebastiana, wokół niego, nad nim, przed nim i za nim. Zataczał dziwne kręgi i milczał. Bardziej przypominał nietoperza niż ulicznego kundla.

Zostałam w saunie z Samirem.

– Labbe też z tobą przyszedł? – spytałam.

Samir i Labbe kumplowali się od pierwszej klasy. Stale utrzymywali kontakt, chociaż Labbe przeniósł się do innej szkoły.

Samir skinął głową. Przez chwilę mi się przyglądał, a potem wstał i usiadł nade mną. Był inny niż zwykle, miał lekko napuchniętą twarz i widać było, że jest czymś poirytowany. Nigdy nie przepadałam za sauną, ale nie mogłam tak po prostu wyjść, bo Samir mógłby sobie pomyśleć, że się go wstydzę.

– Myślałam, że ty i Sebastian... – zaczęłam, ale Samir mi przerwał.

– Labbe prosił, żebym przyszedł.

Zapadła cisza. Samir nie musiał nic dodawać, bo doskonale go zrozumiałam. Osoby, które Sebastian do siebie zapraszał, natychmiast zapomniały o wszystkich paskudnych rzeczach, jakie wcześniej o nim wygadywały, i przyjmowały zaproszenie. Ci, którym stwarzał taką szansę, zazwyczaj z niej korzystali. Powód był prosty: chcieli się mieć czym pochwalić, gdyby ktoś spytał: „Co robiłeś w weekend?”. W takim momencie

można rzucić, jakby od niechcienia: „Kiedy byłem na imprezie u Sebastiana, tak, tak, Fagermana... syna Claesa Fagermana...”.

Ciekawe, dlaczego pomyślałam, że Samir jest inny. I dlaczego był aż tak poirytowany?

Wszyscy z wyjątkiem Labbego byli na imprezie u Sebastiana pierwszy raz. Zjawiły się też dwie inne osoby, z którymi Sebastian utrzymywał wcześniej kontakt. Większość jego dawnych znajomych skończyła szkołę.

Samir pochylił się w moją stronę. Już przedtem siedział za blisko, a teraz dotykał nogami mojego ramienia. Poczułam zapach jego potu. Dziwnie pachniał. Nie pasował do Samira prymusa w wyprasowanych dżinsach z dokładnie zawiązanymi tenisówkami. Samira, który zawsze siedzi w pierwszej ławce.

– Pomyślałem, że wpadnę i zobaczę, co słyhać. Twój narkotyczny chłopak ma rację: impreza jest cholernie nudna. – Samir pokręcił głową, przysunął się jeszcze bliżej i dodał: – Chyba że ktoś lubi wciągać prochy razem ze swoim „domowym niewolnikiem”.

Jego słowa mnie zszokowały. Samir nigdy wcześniej nie używał takiego języka ani wobec mnie, ani wobec innych. Wstałam, żeby wyjść. Przyszłam się tu rozerwać, a nie po to, żeby ktoś mnie oceniał. Samir stanął przede mną i zablokował drzwi.

– Czy Sebastian wciąga kreskę prosto z twojego brzucha? – spytał, a sauna zrobiła się jakby jeszcze bardziej ciasna. – Czy Dennis jest wtedy z wami? Bawi go to? A może to specjalna premia za to, że pozwala Sebastianowi testować najnowsze prochy?

– Skończyłeś?

To jakieś żarty? Nic na to nie wskazywało. Samir ściszył głos.

– Sama dobrze wiesz, że my, ludzie żyjący w prawdziwym świecie, nie utrzymujemy kontaktów z Dennisem, bo to wariat. Prochy sprzedawałby nawet

na porodówce, gdyby go tam wpuszczono.

Poczułam, jak serce mi mocniej zabiło. Nie wiedziałam, czy Samir zauważył, że byłam wstawiona, i dlatego był na mnie taki zły. W każdym razie chciałam stamtąd jak najszybciej wyjść.

– Nie rozumiesz? Sebastian jest nikim. Jest zerem. Jeśli pominiemy wszystko to... – i mówiąc to, zrobił zamasztysty ruch ręką dokoła sauny, jak gdyby drewniane ściany były Galerią Zwierciadlaną w Wersalu. – ...okaże się, że Sebastian jest równie interesujący jak para kapci.

Samir cofnął się w końcu o krok. Zrobił to jednak za szybko i w tym samym momencie obluzował mu się ręcznik, którym był owinięty w pasie. Chwycił go i przycisnął mocno do ciała.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że jest pijany. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Niestety, ten pierwszy raz zdarza się nawet klasowemu prymusowi. Poczułam tak wielką ulgę, że prawie się roześmiałam. *Samir nie wie, co mówi.* Pchnęłam drzwi i wyszłam. Nie ma sensu przejmować się tym, co gadają pijani faceci. Nie ma sensu z nimi dyskutować. Nagle zatrzymałam się i odwróciłam do niego.

– Rozumiem – odparłam. – Nie lubisz Dennisa, bo nikt go nie lubi. Ale kto w takim razie sprzedał ci alkohol? Jeśli przed przyjściem do Sebastiana imprezowałeś z Labbem, to jestem na sto procent przekonana, że za swoje pijaństwo możesz podziękować Dennisowi. Nie lubisz Sebastiana? W porządku. Nie znasz go? Też w porządku. Ale przychodzić na jego imprezę, siedzieć w jego saunie i wycierać się jego ręcznikiem to twoim zdaniem w porządku? Wtedy Sebastian jest super?

Odwróciłam się i wyszłam. W saunie zrobiło się tak gorąco, że nie było czym oddychać. Wychodząc, wytarłam nos w rękaw płaszcza.

Znad basenu dobiegało dudnienie muzyki. Trzy dziewczyny z równoległej klasy przybiegły znad jeziora, minęły mnie i znikły w saunie, z której ja przed

chwilą wyszłam. Odniosłam wrażenie, że od mojego przyjścia liczba gości na imprezie podwoiła się. Sebastian często zapraszał ludzi, których nie znał, zwłaszcza dziewczyny. Poznawał je na mieście, na przykład w sklepie, użalał się nad nimi albo nad ich otartymi stopami i zapraszał na którąś ze swoich imprez. Potem, znudzony ich przyciasnymi, kusymi spódniczkami i obciachowymi okularami z H&M, kończył znajomość i zapraszał nowe. Nigdy się nie bał, że sprawy wymkną mu się spod kontroli. Rzekomo dlatego, że nigdy nikogo nie zmuszał do „bycia gościem Fagermana”. Ochrona zachowywała się dyskretnie i nigdy nie wtrącała się w to, co robiliśmy. Mimo to wiedzieliśmy, że jest i nad wszystkim czuwa.

Amanda pomachała mi z parkietu. Miała na sobie bikini i tańczyła z rozpuszczonymi włosami. Jeszcze nie kąpała się w jeziorze. Trzy metry dalej stał Labbe. Miał rozpiętą koszulę i gapił się na Amandę.

– Chodź – zawołała Amanda, a ja poczułam na szyi jej oddech.

Już kiedyś to robiłyśmy. Amanda uwielbiała być w centrum uwagi, a ja byłam elementem składowym jednego z jej ulubionych numerów.

Muzyka nadal dudniła na cały regulator. Miałam na sobie płaszcz kąpielowy, ale Amanda zerwała go ze mnie i położyła dłoń na moich plecach. Odchyliła głowę i po chwili tańczyłyśmy tak blisko siebie, że dotykałyśmy się brzuchami. Byłyśmy boso, moje majtki nadal były wilgotne po niedawnej kąpieli, ale nie zwracałam na to uwagi, starałam się uspokoić puls i skoncentrować na samej muzyce. Opinie Samira były nieważne. Upił się i nie wiedział, co mówi.

Sebastian stał przy sprzęcie. Przez chwilę nas obserwował, a potem podszedł bliżej, jedną ręką objął Amandę, a drugą mnie. Uwielbiałam jego dłonie. Kiedy mnie ścisnął, trochę za mocno, poczułam się superatrakcyjna. Uniosłam jego dłoń, przesunęłam ją w górę pleców, a wtedy on puścił Amandę i popchnął ją tam, gdzie stał Labbe, który głośno się roześmiał i złapał ją

w ramiona. Sebastian chciał dotykać tylko mnie, nie ją.

Był spocony, tańczył ze wzrokiem wbitym w jakiś punkt. Spojrzałam na Amandę. Labbe stał przed nią, unosząc i opuszczając ręce w geście przypominającym malowanie ściany. Labbe nigdy nie tańczył „na poważnie”. Zawsze robił to z ironią i tylko po to, żeby sprawić przyjemność tym, którzy lubili to robić. Chciał w ten sposób pokazać, że nas nie ocenia, chociaż nie do końca wie, po co to właściwie robimy.

Podniosłam z podłogi szlafrok, podałam go Sebastianowi, a on mnie nim okrył. Nie mogłam znaleźć paska. Idąc przez salon do kuchni, minęłam Dennisa. Sebastian kazał mu przyjść z towarem do kuchni. Kiedy go mijałam, spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, ale pokręciłam głową i poszłam na drugie piętro, do pokoju Sebastiana. Ochroniarzom nie wolno było wchodzić do domu, chyba że ktoś im kazał. W środku nie było kamer monitoringu, bo Claes nie chciał, żeby nagrywały to, co dzieje się w jego domu. Ktoś mógłby te nagrania skopiować, opublikować albo go nimi szantażować. Weszłam do pokoju Sebastiana, włożyłam koszulę, jego bokserki i poszłam do łazienki. Wieczór dopiero się zaczął, a ja chciałam wysuszyć włosy. Puls nadal miałam lekko przyspieszony, ale przecież nie jestem narkomanką (co to w ogóle za słowo z lat pięćdziesiątych?). Dzisiaj trochę za szybko dałam sobie w gaz, nie byłam do tego przyzwyczajona, powinnam coś wypić, tak, przez resztę wieczoru powinnam tylko pić, ale najpierw powinnam obniżyć puls. Włączyłam suszarkę i zamknęłam oczy, chroniąc je przed falą ciepłego powietrza. Nie chciało mi się wracać do towarzystwa. Stałam z zamkniętymi oczami, oddychałam nosem i ustami. Kiedy włosy były już suche, usłyszałam głosy. Ktoś krzyczał... kilku chłopaków i chyba jakaś dziewczyna. Ktoś wyłączył muzykę i zrobiło się cicho.

Kiedy zeszłam do kuchni, dwaj ochroniarze trzymali Samira za ramiona. Dennis stał pod ścianą, z nosa leciała mu krew. Wyglądał na bardziej

zdumionego niż rozzłoszczonego.

– Puśćcie mnie – powiedział Samir nienaturalnie spokojnym głosem, jak wtedy, kiedy jest się pijanym i udaje się trzeźwego. Nie mówił zbyt głośno, ale wszyscy i tak go usłyszeli.

Jeden z ochroniarzy spojrział na Sebastiana. Ten skinął głową.

– Czas wracać do domu – powiedział ochroniarz do Samira.

– Nie zostałbym tu, nawet gdyby mi zapłacono – odparł Samir.

Sebastian odwrócił się do mnie. Stał w progu, plecami do Samira.

– Dopilnujcie, żeby ten drugi nie zabrudził całej kuchni. On też wraca do domu.

Samir popatrzył mi w oczy. Poruszył wargami, jak gdyby chciał mi coś powiedzieć albo poprosić, żebym z nim wyszła. A może tylko mruzczał coś w obcym języku? Po arabsku? Po persku? Nie mogłam sobie przypomnieć, jak się nazywa jego ojczysty język. Zresztą w ogóle mnie to nie obchodziło.

Wiedziałam, że mnie lubi. Ja też go lubiłam. Ale tutaj, w domu Sebastiana, przemienił się nagle w pijaną wersję strażnika moralności. Najwidoczniej wyznaczył sobie misję i zamierzał „sprowadzić mnie ze złej drogi”. Rycerz z uniesioną lancą.

Żałosny facet. Tak, uważałam, że był żałosny. Chciałam, żeby sobie poszedł i zabrał ze sobą te pełną wyższości minę i przekonanie w stylu „tylko ja biorę życie na poważnie”. Nie prosiłam go o ochronę, nie potrzebowałam jej. Nie byłam bezbronną księżniczką, która żyje u boku niechcianego księcia.

Któryś z chłopaków z klasy o profilu matematycznym szarpnął Sebastiana za rękę.

– Ale jak ja mam...

– Nie martw się – przerwał mu Sebastian. – Mamy tego tyle, że wystarczy.

Sebastian wziął mnie za rękę i poszliśmy w stronę basenu. Muzyka znowu zaczęła grać. Nic strasznego się nie stało. Dennisa wyproszone, Samir

pojechał do domu. Sebastian odsunął mi włosy z szyi. Wciągnęłam zapach jego ciała, który wprost uwielbiałam. Podobało mi się wszystko, co robił, żebym dobrze się przy nim czuła. I rzeczywiście, czułam się szczęśliwa. Było nam ze sobą naprawdę dobrze. Nie powinniśmy się wstydzić, jeśli jest nam z kimś dobrze. Sebastian szepnął mi do ucha:

– Widzisz? To katastrofa, nie impreza. Ale obiecuję, że zacznie się od nowa.

20.

Weekend po imprezie u Sebastiana upłynął mi w miarę szybko. W sobotę pojechaliśmy we czwórkę do miasta: ja, Sebastian, Amanda i Labbe. W niedzielę poszłam z rodzicami, dziadkiem i Liną do restauracji. Mama była niezadowolona, że jestem „zmęczona”, a tata krzywił się, że zabraliśmy do lokalu dziadka. O Samirze nie myślałam, w każdym razie niewiele. W poniedziałek rano Sebastian odwiózł mnie do szkoły. Sam miał „coś ważnego do załatwienia”. Nie wiedziałam, co to znaczy, ale było mi to obojętne. Takie sprawy zaczęły mnie niepokoić dużo później. Po lunchu miałam dwugodzinne okienko. Amanda była chora, a Sebastian nie odbierał moich telefonów.

W szkolnej bibliotece rzadko bywa tłoczno, zwłaszcza po tym, jak w komputerach zablokowano dostęp do internetu. Ale i tak nie byłam tam sama. Na przedzie siedziała Evy, która chodziła do równoległej klasy, miała wąski nos i nosiła kwieciste sukienki, a do butów, w tym także do balerinek, zawsze wkładała skarpetki. W zeszłym roku Evy wygrała szkolny konkurs zorganizowany przez Rotary Club na najlepsze wypracowanie, chociaż chodziła wtedy dopiero do drugiej klasy. Napisała o swoim upośledzonym bracie. Wszyscy myśleli, że to prawda, i pewnie dlatego wygrała. Kiedy się wydało, że w ogóle nie ma brata, tylko całkiem normalną siostrę, wszyscy poczuli się zawiedzeni. Wiele osób uznało, że Evy ich oszukała. Nikt nie zauważył, że dzięki temu kłamstwu wypracowanie stało się ciekawsze.

Na komplecie wypoczynkowym kilka metrów od nas siedziały dwie dziewczyny z pierwszej klasy. Przerzucały błyszczące kartki kolorowych magazynów i podjadały słodycze z torebki. Rozmawiały na tyle głośno, że

usłyszałam, jak przynajmniej jedno słowo w każdym zdaniu kończą na „sz”. To taka moda, wszyscy tak teraz mówią. Kiedy byliśmy z Amandą młodsze, też używałyśmy własnych słów i zwrotów. Jednak to, co docierało do moich uszu, przekraczało granice głupoty. W porównaniu z nimi zbójecki język Pippi Pończoszanki był iście wyrafinowany.

– Ależ Bubbisz... posłuchaj, co ci chcesz powiedzieć! Ja się po prostu na niego wściekłam! Ja już samasz nie wiem, czy on chce, czy nie chce ze mną chodzić?

Druga z dziewczyn skinęła głową, nie odrywając wzroku od gazety.

– Jest psychicznysz.

Kilka dni temu omawialiśmy na angielskim tak zwany test Bechdel. Służy on do sprawdzenia, czy jakiś film jest, czy nie jest feministyczny. Wystarczy zadać trzy kontrolne pytania, a mianowicie: czy wśród bohaterów filmu są przynajmniej dwie wymienione z imienia kobiety?; czy rozmawiają ze sobą bez obecności chłopaka bądź mężczyzny?; czy rozmawiają o czymś innym niż mężczyźni?

Nauczyciel przytoczył nazwy filmów, które chyba wszyscy znali, a my mieliśmy zgadnąć, czy spełniają podane wymagania. Okazało się, że nie (z grzeczności udawaliśmy, że nie rozumiemy, dlaczego tak jest, bo inaczej nauczyciel nie mógłby nas o to spytać). Ja też uważałam, że filmów nie wolno robić w taki sposób, bo to chore. Zrozumiałam też, dlaczego to takie ważne, żeby kobiety grające w filmach mówiły o czymś innym niż tylko o facetach. Niestety, prawda jest inna: dziewczyny i kobiety gadają tylko o facetach – zawsze i wszędzie. Nawet mama i jej przyjaciółki, gdy tylko mają ku temu okazję, rozmawiają o swoich mężach (jacy to są beznadziejni). Ubrane w kostium kobiety z klubów dyskusyjnych, które należą do Stowarzyszenia Młodych Ekonomistek, jeżdżące po kraju i opowiadające na wyższych uczelniach o swoich karierach; kobiety z kółek teatralnych wystawiających

francuskie sztuki; Bubbi i jej koleżanka, gdy rozmawiają ze sobą tym dziwnym żargonem... wszystkie te dziewczyny i kobiety łączy jedno: rozmawiają o facetach. Swoich i cudzych, tych, których chciałyby mieć, i tych, których dotyk sprawiłby im przyjemność. Faceci, bez przerwy faceci. Być może powinnam zauważyć, że nie ma się co skarżyć na to, jak ktoś jest pokazany w filmie, byleby tylko ów obraz zgadzał się ze stanem faktycznym.

Samir pchnął drzwi z taką siłą, że uderzyły w regał z broszurkami o Królewskiej Wyższej Szkole Technicznej w Sztokholmie, kursie dla prawników w Uppsali i kursach dokształcających z matematyki dla dorosłych. Nogi miał zbyt długie w stosunku do reszty ciała i zawsze sprawiał wrażenie, że dokądś biegnie. Zatrzymał się przy stanowisku informacyjnym i wyszarpnął słuchawki z uszu. Poruszał się gwałtownie, jak gdyby rozsadzała go energia, zawsze o krok przed innymi, z gotową odpowiedzią, jeszcze zanim inni zaczęli się w ogóle zastanawiać. Widać było, że jest czymś zestresowany, chociaż nigdy bym go o to nie podejrzewała. Jednak tym razem rzeczywiście tak wyglądał.

Chciałam udać, że go nie zauważyłam, ale było już za późno, bo on zauważył mnie. Prawie do mnie podbiegł.

– Czy mogę się na chwilę dosiąść?

Odwróciłam głowę w drugą stronę.

– Posłuchaj, Bubbisz... – szepnęła jedna z dziewczyn do drugiej, ale zrobiła to na tyle głośno, że razem z Samirem ją usłyszeliśmy. Była lekko zawstydzona. – Masz może zapasowe tamponysz? Zapomniałam zabrać swoich z domusz.

Miałam w torbie swoje tampony, więc mogłabym podejść do dziewczyn, powiedzieć: „Proszę bardzosh” i zignorować Samira. Wątpię, czy chciałby się włączyć do rozmowy na temat comiesięcznych krwawień. Na pewno czułby się niezręcznie. Czy rozmowa o menstruacji spełniała warunki testu Bechdel?

Prawdopodobnie tak. Czy menstruacja pozostałaby pojęciem feministycznym, gdyby do słowa „menstruacja” dodać końcówkę „sz”?

– Maju?

Samir stanął przede mną i próbował zajrzeć mi w oczy.

– Ja tu nie pracuję, zwróć się do obsługi – odparłam.

Samir spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Co takiego? A o co miałbym pytać?

– To nie ja decyduję o tym, kto gdzie siedzi. Jeśli jednak usiądziesz obok mnie, wstanę i wyjdę stąd.

Samir rozłożył ręce i chrząknął.

– Posuwasz się za daleko. Chciałem cię tylko przeprosić – powiedział i opuścił ręce. – Za piątek. Głupio się zachowałem. Sam nie wiem, dlaczego to wszystko powiedziałem. Byłem pewnie pijany.

Dziewczyny siedzące na kanapie umilkły. Udawały, że są pochłonięte lekturą artykułu w gazecie, którą jedna z nich rozłożyła na kolanach.

– Co takiego? Byłeś pijany? – spytałam.

Samir zrozumiał moją ironię i pochylił głowę. Dziewczyny przestały się w ogóle ruszać, nie chcąc uronić z naszej rozmowy nawet jednego słowa.

– Niepotrzebnie przyszedłem na tę imprezę, nie powinienem cię tak niegrzecznie potraktować. Nie lubię Sebastiana, ale nie powinienem był...

– A czy ty w ogóle pamiętasz, co do mnie mówiłeś?

Samir skinął głową.

– Niestety tak.

Grzywka opadła mu na czoło i miał taką minę, jak gdyby czekał, aż dam mu klapsa w tyłek. Ciekawe, czy wie, jaki jest przystojny? Pewnie tak. Czasem w jego sposobie bycia jest coś takiego... jak gdyby miał to wyćwiczone i zdawał sobie sprawę z tego, jak wygląda i jakie wywiera wrażenie. Przyjął taką postawę, jak wówczas, gdy chce za coś przeprosić. Nie byłam pierwszą

osobą, która oglądała jego zawstydzone spojrzenie. Z drugiej strony odniosłam wrażenie, że na imprezie nie tylko za dużo wypił i wpadł w złość, ale też naprawdę było mu przykro.

Odkryłam więc zupełnie nową stronę mojego kolegi z klasy. Zawsze wydaje się taki niewzruszony, jakby w ogóle nie interesował się mną, Amandą i naszym pozaszkolnym życiem. Trzyma się z Labbem, ale rzadko przychodzi na imprezy i nigdy nie pyta, co kto robił w weekend. Od dawna żyłam w przekonaniu, że w jego opinii wszyscy jesteśmy żalnymi głupkami. Nagle sobie uświadomiłam, że zawsze żałowałam, że nigdy nie chce porozmawiać ze mną – tylko ze mną – o sprawach niezwiązanych ze szkołą. Za to teraz, kiedy się w końcu zdecydował, chciał ze mną rozmawiać o Sebastianie.

Całe to gadanie o facetach, pomyślałam. Zawsze o nich. Wszyscy rozmawiają z dziewczynami o facetach, nawet oni sami. Ta myśl zrodziła się w mojej głowie tak szybko, że nie potrafiłam jej zatrzymać. Uśmiechnęłam się więc do niego w sposób całkiem niewymuszony. Chcę, żeby mówił o mnie. Ze mną. O czymś innym niż Sebastian. Samir też się do mnie uśmiechnął. Nie był to jednak jego typowy, złośliwy uśmiech, tylko inny, pełen ulgi.

Z głośników rozległ się nagle dzwonek. Obie dziewczyny zebrały swoje torby i gazety i pobiegly na lekcję. Samir przyciągnął krzesło, usiadł naprzeciwko mnie i zrobił taką minę, jak gdyby szykował się do zrobienia selfie.

– Sebastian to twój facet – stwierdził. – Kumam.

Nagle jakby zmienił tożsamość: położył rękę na oparciu krzesła, zsunął się lekko do przodu, rozchylił nogi i powiedział w zmyślonym żargonie ze sztokholmskich przedmieść:

– Seba to twój men, a ty jesteś jego laska. Nie ma sprawy, lasencjo. Nie będziemy się o to pruć, pełen szacun.

Roześmiałam się głośno, bo Samir był kiepskim aktorem i nie umiał

naśladować podmiejskich gangów. Był za to przystojny i dobrze o tym wiedział. Ale czy to miało jakieś znaczenie? Na jego twarz wrócił dawny, złośliwy uśmiech. Boże, tak bardzo mi go brakowało.

21.

Minęło trochę czasu. Sześć, może siedem tygodni. W połowie października postanowiliśmy pojechać do pewnej posiadłości na prowincji, której właścicielem była rodzina Labbego. On sam nazywał ją „gospodarstwem”, choć tak naprawdę był to stary pałac, który pozostawał w rodzinie jego ojca od czasów Gustawa III. Rodzina jego mamy miała podobną posiadłość kilkadziesiąt kilometrów dalej, ale nigdy tam nie byłam. Samir pojechał z nami.

Nie pamiętam, co wtedy o tym pomyślałam. Może tylko tyle, że będzie fajnie. Nie sądzę, żeby jego obecność jakoś mnie szczególnie zaniepokoiła albo że uznałam to za głupi pomysł. Oczywiście między Samirem a Sebastianem iskrzyło, ale akurat tym nie musieliśmy się martwić.

Razem z Amandą leżałyśmy na leżakach pod kocami, z telefonami w ręce. Przeleciał koło nas motyl cytrynek, jego skrzydła zamachały jak liście na wietrze, a potem osiadł na przystrzyżonej trawie koło jeziora. Już dawno powinien skończyć swój ziemski żywot, ale jesień tego roku była wyjątkowo ciepła.

– Gdybyś mogła wyrazić jakieś życzenie, to czego byś najbardziej na świecie chciała? – spytała w pewnej chwili Amanda, otworzyła oczy i spojrzała na mnie spod zmrużonych powiek.

Za plecami miałyśmy uchylone drzwi do kuchni. Mama Labbego, Margareta, słuchała opery i szykowała jedzenie. Świetnie sobie radziła bez naszej pomocy. Co pewien czas przychodziła do nas, stawiała z rękami założonymi na biodrach i lekko się do nas uśmiechała. Lubiła, kiedy do nich

przyjeżdżaliśmy. My też to lubiliśmy. I to bardzo.

– Nie wiem – odparłam.

Nie byłam w nastroju, żeby odpowiadać na jej pytania. Zresztą nie ma sensu rozmawiać o tym, co ktoś chciałby mieć, jeśli niczego już nie potrzebuje.

– Daj spokój – odparła Amanda. – Przecież coś chciałabyś mieć?

Amanda zadawała takie pytania, żeby skłonić swoich rozmówców do otwarcia się. Uwielbiała zadawać pytanie za pytaniem, tak że kolejne stawało się rozwinięciem odpowiedzi na to wcześniej zadane. Lubiła to prawie tak bardzo jak udzielanie odpowiedzi na pytania, które sama zadawała.

– Nie daj się prosić – nalegała Amanda. Uniosła jedną rękę w górę, a drugą przyłożyła do serca. – W takim razie ja zacznę – chrząknęła. – Chciałabym, aby na ziemi zapanował pokój i żeby wszystkie dzieci miały co jeść.

Po tych słowach zaczęła udawać, że poprawia sobie na głowie koronę Miss Świata. Roześmiałam się.

– A teraz poważnie – powiedziała, przysuwając się do mnie. –

W przyszłym semestrze zdajemy maturę. Będzie się działo. Lecę do Londynu na praktyki, kumasz? Spędzę tam sześć tygodni. Tata powiedział, że dadzą mi jakąś nocną pracę. Na pewno będę kopiować dokumenty, parzyć kawę i robić podobne rzeczy. Wiem, czego mogę się spodziewać. Zastanawiam się jednak, co będę czuła. Jak myślisz, czy to będzie poważna praca? Czy będzie to miało jakieś znaczenie? Przecież chodzi o to, żeby odcisnąć piętno... Człowiek zawsze chce zrobić coś dobrego dla innych ludzi, prawda?

Nie odpowiedziałam na żadne z tych pytań.

– To oczywiste, że tak jest. Wszyscy chcą to robić, no nie? – spytała z nerwowym uśmiechem Amanda. – A tak szczerze: najbardziej chciałabym wiedzieć, czego ja chcę. Albo dowiedzieć się, co to znaczy, że się chce coś zrobić. Mieć plan, jak gdyby. Rozumiesz, co mam na myśli?

Skinęłam głową. To była typowa dyskusja z udziałem Amandy. Zawsze

mówi o rzeczach oczywistych, a potem pyta, czy ją zrozumiałam. Na końcu traci pewność siebie, robi się sentymentalna i zbiera jej się na płacz.

– Rozumiesz, co mam na myśli?

Ostatnie pytanie mogło być sygnałem, że Amanda uważa mnie za idiotkę, która ma problemy ze zrozumieniem tego, co mówi. Jednak w rzeczywistości chciała się utwierdzić w przekonaniu, iż nie jest taka głupia, na jaką wygląda.

– Rozumiem – odparłam z uśmiechem.

Do ogrodu weszła Margareta.

– Nie wiem, czy mogę wam obiecać pokój na ziemi, ale za dziesięć minut jedzenie będzie gotowe. Czy mogłabys zawołać chłopców, kochanie?

Margareta zdjęła rękawice kuchenne i grzbietem dłoni pogłaskała Amandę po policzku. Labbe i Amanda chodzą ze sobą niecały miesiąc, a mimo to Amandzie udało się stworzyć coś, co przypominało związek teściowej z synową. Ja chodzę z Sebastianem dwa razy dłużej, a to, że jeszcze toleruję jego ojca, wynika głównie z faktu, że rzadko się widzimy.

Claes zjawił się w domu trzy dni wcześniej, niż planował, bo zadzwonili do niego ze szkoły. Wrócił więc w piątek, żeby porozmawiać z Sebastianem. Mnie kazał iść do domu, ale i tak się domyśliłam, o co chodzi. Sebastian prawie zupełnie przestał uczęszczać na zajęcia. Prawie każdego dnia jeździł ze mną do szkoły. Czasem nawet spędzał z Dennisem kilka godzin na szkolnym dziedzińcu, ale zazwyczaj wracał zaraz do domu. I chociaż Claesa nigdy o tej porze nie było w domu, na pewno o tym wiedział.

Posiłek jedliśmy w tak zwanej letniej kuchni, która przylegała bezpośrednio do ogrodu. Margareta postawiła na stole wyszczerbioną porcelanę z wymalowanymi na niej kwiatami. Na każdym talerzu, talerzyku i półmisku był inny wzór. Szkło z duraleksu było porysowane od wieloletniego mycia w zmywarce. Labbe podszedł do Amandy, która siedziała oparta

o jasnoniebieskie składane krzesło (no proszę, ma tu już własne miejsce), i pogłaskał ją po policzku. Amanda roześmiała się cicho. Zabrzmiało to tak, jak gdyby była absolutnie przekonana o sile swojego seksapilu. Labbe chyba też tak uważał, bo pochylił się pod dziwnym kątem i położył brodę na jej ramieniu. Wyglądali w tej pozie na zakochanych, i niezbyt mądrych.

Labbe zapuścił wąsy w stylu tych, jakie w latach osiemdziesiątych stały się modne w San Francisco. Podobne nosił Freddie Mercury i członkowie zespołu Village People. Labbe tak bardzo chciał wszystkich przekonać, że na pewno nie jest gejem, że nawet nie zauważył, iż dzięki wąsom przypominał typowego homoseksualistę. Amanda pociągnęła go za włoski nad górną wargą, odwróciła się do jego mamy i spytała:

– Jak sądzisz, Mags, czy Labbe długo będzie je nosił?

– No cóż... – odparła Margareta, patrząc na syna niezbyt zachwyconym wzrokiem. – Wolałabym się nie wypowiadać na ten temat.

W tym samym momencie poczułam na sobie dyskretne spojrzenie Samira. Pogładził palcem górną wargę, ściągnął kąciki ust i rozszerzył nozdrza, jak gdyby chciał powiedzieć: „To ja jestem panem tego zamku”. Spuściłam wzrok, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Samir, Labbe i Amanda siedzieli po tej samej stronie stołu. Samir miał z jednej strony Margarete, z drugiej Sebastiana i mnie. Naprzeciwko Margarety było przygotowane miejsce dla jej męża, Georga, który wszedł do kuchni w ostatniej chwili, gdy wszyscy siedzieliśmy już przy stole. Ubrany był w dżinsy, T-shirt z dziurą na ramieniu i drewniaki. Okulary do czytania miał podciągnięte na czoło. Zanim usiadł na swoim miejscu, podał Samirowi gazetę.

– Czytałeś, co Tirole pisze w dzisiejszym wydaniu „Financial Times”? – spytał.

Samir zaczął czytać wskazany artykuł, ale Margareta wyjęła mu delikatnie

gazetę z rąk i położyła ją na ławce.

– Nie czytamy przy stole.

Sebastian uniósł pusty kieliszek na wino i powiedział do Georga:

– Mam już osiemnaście lat.

– Należę ci wody mineralnej – odparła Margareta i prawie niezauważalnie dla innych zerknęła na męża. Na pewno wcześniej o tym rozmawiali. – Nawet jak ktoś ma osiemnaście lat, też może pić wodę mineralną.

Czy to Claes ich prosił, żeby nie częstowali Sebastiana alkoholem? Wiedział, że jego syn pije. Kilka razy musiałam go odwieźć do domu, chociaż nie mam prawa jazdy. Pewnego razu, kiedy parkowałam na podjeździe, czekał na nas Claes. Sebastian nie zdradził mi, co ojciec mu wtedy powiedział, a gdy go o to spytałam, odparł: „Spytaj mnie o coś, o czym miałbym ochotę porozmawiać, okej?”. Odpuściłam sobie. Może Claes nie zauważył, że to ja siedziałam za kierownicą? A może widział i podszedł do tego bardzo poważnie?

Razem z Amandą pomogłyśmy Margarecie przynieść jedzenie. Na pierwsze danie podała zupę cebulową z ziemniakami. Na osobnym półmisku leżał bekon z dziczyzny i jeszcze ciepły chleb.

– Myślałem, że jesteś wegetarianką – zauważył Sebastian, widząc, jak Amanda nakłada sobie na talerz porządną porcję mięsa.

– Tak, ale to nie dotyczy dziczyzny – odparła Amanda i lekko się zaczerwieniła.

W chwili gdy pierwszy raz pocałowała się z Labbem, natychmiast zapomniała o swoich wegetariańskich zasadach. W zeszłym tygodniu pojechała z nim i Sebastianem polować na łosie. Nie mogłam im towarzyszyć, bo mama kazała mi zostać na kolacji z okazji urodzin dziadka. Amanda stanęła na wyznaczonym stanowisku, pieściła się z Labbem na ambonie, pieprzyła się z nim w śpiworze i po raz pierwszy od dnia zakupu zmoczyła swoje

myśliwskie buty.

– Zamierzam przystąpić do egzaminu łowieckiego – oznajmiła, podając talerz z mięsem Samirowi, który od razu przekazał go Margarecie.

– Na pewno – mruknął trochę za głośno.

Zakryłam usta serwetką i uśmiechnęłam się. W tym momencie poczułam na sobie wzrok Sebastiana.

– Świetny pomysł – stwierdził kwaśnym głosem Georg. – Przyroda to nie miejsce, w którym ludzie mogą przebywać bez potrzeby.

Amanda zawsze i pod każdym względem potrafi być idealną panią domu. Pewnego razu, na początku drugiej klasy, chodziła z basistą pewnej kapeli ze Sztokholmu, który twierdził, że jego zespół ma kontrakt z wytwórnią Sony. Amanda była wtedy wzorową groupie.

– O czym porozmawiamy? – spytał w połowie posiłku Georg.

– O zerowej rencie – zaproponował Samir.

– Czemu nie – mruknął Sebastian. – Wszyscy wprost marzą o takim temacie.

– Żartowałem – odparł lodowatym tonem Samir. – Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy?

– Supertemat – zawołał Labbe. – Naprawdę zabawny. Zerowa renta... Ha, ha, ha! Wyjaśnij mi tylko jedną rzecz... to, czym obaj zajmujecie się z tatą, te wszystkie książki, gazety, tematy, prądy i sytuacje... czy robicie to tylko po to, żebym czuł się przy was jak głupek? A może wiąże się z tym jakiś plan, którego z powodu swojej głupoty nie rozumiem?

– Nie musisz się niepokoić – zapewnił go Samir. – Zaraz przestanę żartować.

– Skończcie z tym – powiedziała Margareta i poklepała Samira po ręce. – Nie bądźmy tacy. Prawda, Larsie Gabrielu?

Wprawdzie rodzice nigdy nie nazywali swojego syna Labbem, ale też nigdy

wcześniej nie słyszałem, żeby Margareta posługiwała się jego obydwoma imionami. Zabrzmiało to jak cytat z *Kroniki filmowej*. Najwidoczniej zwracała się do niego w taki sposób, gdy chciała mu powiedzieć coś do słuchu. Georg pospieszył mu z pomocą.

– Nikt nie twierdzi, że jesteś głupkiem – powiedział, wkładając do ust kawałek chleba. – Od czasu gdy przeniosłeś się do Sigtuny, poprawiłeś oceny. Jesteśmy ci wdzięczni, Sammie. Bardzo nam pomogłeś.

– Mam za sobą dwa egzaminy, co oznacza, że zdałem do następnej klasy – potwierdził Labbe, unosząc dwa palce. – Na świadectwie miałem jeden „dobry” i jeden „bardzo dobry minus”. Sammie na mnie nakrzyczał, bo dla niego każdy inny stopień niż „celujący” jest niedostateczny.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego miałbyś się cieszyć z niższych ocen niż „celująca” – zdziwił się Samir. – W każdym razie zgadzam się z twoim tatą: ty naprawdę nie jesteś głupkiem.

Jego słowa miały jednak jakieś ukryte znaczenie, bo mocniej zaakcentował słowo „ty”. Wszyscy od razu się domyślili, kogo miał na myśli i co chciał powiedzieć: „W przeciwieństwie do Sebastiana ty nie jesteś głupkiem”.

– Już wiem, o czym moglibyśmy porozmawiać – zaczęła Amanda, ale było już za późno.

– Ile ci płacą? – spytał Sebastian, patrząc na Samira. – Dobrze tu zarabiasz?

Georg i Margareta byli mistrzami w udawaniu, że nic się nie stało. Labbe miał jeszcze braki, ale gdy Georg pokazywał mu kolekcję portretów wiszących w pałacu i opowiadał o zdrajcach ojczyzny, kobietach oszukujących mężów i o tym, ile bękartów trafiło do okolicznych wsi, Labbe żartował, że rodzinny herb powinien się nazywać „Robienie dobrej miny do złej gry”. I właśnie teraz nadszedł ku temu właściwy czas: obojętne twarze, niewzruszone miny, zero reakcji na słowa Sebastiana. Samir pokręcił niepewnie głową, przerzucił

wzrok z Georga na Margaretę, ale żadne z nich nie chciało mu spojrzeć w oczy. Tymczasem Sebastian nie odpuszczał. Mówił wolniej i głośniej, jak gdyby Samir miał kłopot ze zrozumieniem.

– Ile. Ci. Za to. Płacą. Ile zarabiasz za dawanie korków Labbemu?

– Sebastianie – przerwała mu Margareta cichym i wciąż jeszcze beztroskim tonem. – Zjedz zupę.

Georg podał swojemu synowi koszyczek z chlebem, ale Labbe pokręcił tylko głową.

– Przepraszam – odparł Sebastian, unosząc ręce w geście oznaczającym „poddaję się”, i głośno się roześmiał. – Niewłaściwe pytanie, to jasne. Cofam. Nic takiego nie powiedziałem – stwierdził na tyle cichym głosem, żeby reszta towarzystwa mogła udać, że nikt nic nie słyszał. – To nie moja sprawa, kto komu ile płaci.

Nie pamiętam, o czym potem rozmawialiśmy, ale jestem pewna, że to Margareta wymyśliła jakiś temat, bo Georg jadł zupę. Zmiana tematu rozmowy była kolejną umiejętnością, w której ta rodzina się specjalizowała. Reszta towarzystwa robiła wszystko, żeby dotrzymać im kroku. Kiedy Margareta skończyła mówić i jeść, Georg wstał z krzesła i zaczął zbierać naczynia ze stołu. Wszyscy oprócz Sebastiana chcieli mu pomóc, ale Georg kazał nam zostać na swoich miejscach. Kiedy na stole pojawiły się półmiski z ciepłymi potrawami, Margareta położyła dłoń na ręce Samira. Pochyliła się nad talerzem i sięgnęła po sztucce.

– Samirze, opowiedz nam coś o swoich rodzicach.

Godzinę wcześniej Margareta zadała to samo pytanie mnie, natomiast Amanda usłyszała je, jeszcze zanim zdążyliśmy przejść z parkingu do lewego skrzydła, w którym były nasze pokoje. Margareta zawsze pytała swoich gości o rodziców, niezależnie od tego, czy ich znała, czy nie. Sebastian musiał jej też opowiedzieć, jak Lukas radzi sobie na studiach w Ameryce.

Było raczej mało prawdopodobne, że Margareta spotka się z rodzicami Samira przy jakiejś innej okazji niż wywiadówka. Mimo to okazała zainteresowanie.

– Mają się całkiem dobrze – odparł Samir.

– Gdzie pracuje twoja mama?

– W szpitalu w Huddinge.

– Coś takiego! – Margareta i Georg popatrzyli na siebie nad stołem. – Czy to znaczy, że problem z jej dowodem osobistym już się wyjaśnił? Miło mi to słyszeć.

– Nie – odparł Samir, wycierając usta serwetką. Przełknął resztę jedzenia i dodał ściszym głosem: – Pracuje tam jako salowa i dalej czeka na decyzję. Mimo to bardzo dobrze się czuje w środowisku szpitalnym.

Georg pokręcił głową.

– To niepojęte, że nie potrafimy lepiej wykorzystywać zasobów ludzkich w naszym kraju. Naprawdę niepojęte.

– Tak, to dziwne – odezwał się Sebastian, który nie tknął jedzenia. – Mógłbym przysiąc, że kiedyś nam opowiadałeś, że twoja mama jest adwokatem – dodał i spojrzał na Labbego. – Czy to nie ty mi mówiłeś, że kiedy Samir przyszedł do naszej szkoły, chwalił się wszystkim naokoło, że jego mama jest adwokatem?

Sebastian specjalnie przeciągał słowa, przez co stawały się w jego ustach dłuższe. Ponieważ Labbe nie odpowiedział, znowu odwrócił się do Samira.

– A może ona ma podwójny dyplom, Sammie? Jestem naprawdę pod wrażeniem.

Sebastian nie był pijany, prochów też chyba nie brał. Jednak w jego ustach słowo Sammie, jak Samira nazywali rodzice Labbego, zabrzmiało jak imię niewolnika.

– To mój tata jest adwokatem. Mama jest lekarzem.

– No proszę! – Sebastian, rozbawiony, skinął głową. – Oczywiście, że tak. A co twój tata adwokat robi w Szwecji? Pracuje jako taksówkarz? Pamiętam, że miesiąc temu, kiedy wracaliśmy taksówką ze Stureplan do domu, powiedziałeś mi, że prowadził ją ojciec Samira?

Labbe nadal się nie odzywał, za to Samir zrobił się na twarzy biały jak kreda.

– W takim razie wyjaśnij mi, drogi Samirze, jak to możliwe, że imigranci, którzy przyjeżdżają do Szwecji i podejmują pracę jako maszyniści składów w metrze albo sprzątaczk... przepraszam... – zachnął się Sebastian – prowadzą taksówki i pracują jako salowe... w swoich ojczystych krajach są lekarzami, inżynierami i fizykami jądrowymi? Każdy, bez wyjątku. Twoja mama, która jest „lekarzem”, znalazła się w doborowym towarzystwie – stwierdził Sebastian, a przy słowie „lekarzem” wykonał w powietrzu znak cudzysłowu. – Nie znam ani jednej sprzątaczk, która przed przyjazdem do Szwecji była nią w swoim ojczystym kraju. Niezależnie od tego, co mówią ludzie. Czy któryś z imigrantów siedział w Syrii na kasie albo chodził w Iranie po parku i zbierał puste flaszki? *No way*. Wszyscy byli inżynierami i adwokatami...

– Wystarczy – przerwał mu Georg.

Widocznie Sebastian przekroczył granicę, poza którą Georg nie zamierzał robić dobrej miny do złej gry.

– Czy nikt z was się nad tym nigdy nie zastanawiał? – spytał Sebastian i ponownie zwrócił się do Samira. – Co wy tam robicie z ludźmi po sześciu latach studiów na uniwersytecie? Zabijacie ich na miejscu, żeby nie dostali pracy zgodnej z kwalifikacjami?

Czysty Claes Fagerman, pomyślałam. Zachowuje się jak jego ojciec.

Samir wstał z krzesła, ale Margareta chwyciła go za rękę i pokręciła głową. Potem odwróciła się do Sebastiana.

– Posłuchaj, co ci powiem – zaczęła.

Margareta była kiedyś dyrektorem jakiegoś departamentu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, nazwy nie pamiętam. W chwili gdy wypowiedziała pierwsze zdanie, od razu dało się wyczuć, że wiele razy brała udział w spotkaniach i rozmowach, na których musiała zachowywać się grzecznie, chociaż złość aż w niej kipiała. Jej poprzedni głos troskliwej i kochającej mamy nagle zniknął. Przestała udawać, że nic się nie dzieje.

– Posłuchaj mnie uważnie – powtórzyła cichym głosem. – Istnieją rzeczy, które trudno zrozumieć. Między innymi to, że wielu spośród imigrantów, którym udało się pokonać tak długą drogę do Europy, do Szwecji... Trudno zrozumieć, że są ludzie... – Margareta przerwała, żeby nabrać powietrza. Wydaje mi się, że chciała powiedzieć „jak ty i ja”, ale się rozmyśliła. –

Często, choć nie zawsze, są to osoby o uporządkowanym statusie życiowym. Mają niezłą sytuację finansową i wyższe wykształcenie. Dlaczego tak jest? Bo ci, którym udało się tu dotrzeć, mieli kogoś, kogo stać było na to, żeby zapłacić za wysłanie całej rodziny do innego kraju, żeby ta rodzina mogła tam rozpocząć lepsze życie. Na taką podróż potrzebne są pieniądze. W twoim świecie to niewielkie kwoty, ale mimo to powinieneś to zrozumieć. Wydaje ci się, że wszyscy imigranci mają wyższe wykształcenie. Niesłusznie. Równie niesłuszne jest stwierdzenie, jakoby wszyscy imigranci, którzy twierdzą, że takie wykształcenie mają, kłamali. Wielu z tak zwanych nowych Szwedów to ludzie po studiach. Ci, którzy są najbiedniejsi i najbardziej poturbowani przez wojny, rzadko do nas docierają. To wysoce niepokojące, ale nie daje ci podstaw do takiego zachowania i do wypowiadania opinii o sprawach, o których najwidoczniej nie masz pojęcia.

– Jasne – odparł Sebastian spokojnym głosem. Nawet nie okazywał złości. Udawał, że nie zauważa pogardy w głosie Margarety. – Szwecja powinna być zachwycona, że tu przyjeżdżają. A ci, którzy chcą stawiać namioty

w Humlegården, rzeczywiście wyglądają na prawdziwą elitę, przedstawiciele inteligencji w swoich ojczystych krajach.

Margareta chrząknęła.

– Znam cię od urodzenia. Nie chce mi się wierzyć, że jesteś aż takim prostakiem.

Margareta zrobiła przerwę, żeby nabrać powietrza. Georg skorzystał z okazji, żeby zabrać głos. Zdjął z kolan złożoną na pół serwetę.

– Pójdziemy z Sebastianem na krótki spacer – powiedział spokojnym tonem. Wytarł usta i wstał z krzesła. – Zgoda?

W jego głosie dało się wyczuć lekkie zmęczenie kogoś, kto musi przerwać kolację, żeby włączyć się do ważnej rozmowy. Kiedy jednak stanął za Sebastianem, czekając, aż ten wstanie i pójdzie za nim, zauważyłam, jak chodzą mu szczęki.

– O co wam chodzi? – roześmiał się Sebastian, a jego głos nie był już tak beztroski, pojawiła się w nim złość. – Mam sobie pójść? A Samir, ten lizus, zostanie tu i będzie wam kłamał w żywe oczy?

– Nie pogarszaj sytuacji – odparł Georg, chwycił go mocno za ramię i wyprowadził z pokoju.

Georg wrócił kilka minut później. Nie pamiętam, co robiliśmy w tym czasie. Labbe wpatrywał się w stół, Amanda miała łzy w oczach. Margareta rozmawiała po cichu z Samirem. Nie słuchałam ich. Gdyby kolana mi tak nie drżały, wstałabym z krzesła i wyszła.

– Sebastian uznał, że najlepiej będzie, jeśli wróci do domu – wyjaśnił Georg i zanim usiadł przy stole, popatrzył na mnie. – Uważam, Maju, że lepiej będzie, jeśli z nami zostaniesz.

Skinęłam głową.

– Sebastian nie był w stanie przebywać dłużej w naszym towarzystwie. Twoim też – stwierdził, zjadając resztę jedzenia. – Uzgodniliśmy to z jego

ojcem.

Znowu skinęłam głową. Byłam zbyt zszokowana, żeby zdobyć się na inną reakcję.

– Jak dostanie się do domu? – spytała Margareta, która wstała z krzesła, żeby zabrać pusty talerz Georga.

– Poprosiłem Johna, żeby go odwiózł.

Labbe chodził do tej samej klasy do czasu, aż przeniósł się do innej szkoły. Słuchając Margarety, wyobrażałam sobie, jak swoim znudzonym, jednostajnym i hrabiowskim tonem rozmawia z dyrektorem szkoły, z woźnym, z nauczycielami i rodzicami innych uczniów. Oczami wyobraźni widziałam, jak tym samym tonem poucza premiera rządu. Przez wiele lat byliśmy świadkami, jak Margareta domaga się od innych osób, aby zrobiły to albo tamto (bez względu na to, czy chodziło o rozkład jazdy autobusów niedopasowany do szkolnych godzin lekcyjnych, o pogodę, która uniemożliwiała przeprowadzenie zawodów w palanta, czy o to, że program szkolny nie obejmuje rzeczy uznawanych przez nią za ważne). Za każdym razem, gdy Margareta czegoś żądała, robiła to takim tonem, jak gdyby prosiła o drobną przysługę. Nawet królowi nie przyszłoby do głowy, żeby jej odmówić. Nikt jej nie odmawiał, ale też nikt jej nie imponował.

Margareta powinna porozmawiać z Claesem, pomyślałam. Zmusiłaby go do słuchania. Miałam ochotę wziąć ją za rękę i powiedzieć: „Porozmawiaj z nim”. Ale nie odezwałam się. Siedziałam w milczeniu. Po raz pierwszy było mi wstyd, że jestem dziewczyną Sebastiana.

– A więc rozmawiałaś z jego ojcem? Super! – mruknęła Margareta. – I co też nasz drogi Claes miał do powiedzenia?

„Nasz drogi Claes”. Margareta chyba go nie lubiła.

Georg wzruszył lekko ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „Co mam ci powiedzieć?” albo „Znasz przecież odpowiedź” czy „Nic na to nie

poradzimy”. Georg też uważał Claesa za zwykłego palanta.

– Później o tym porozmawiamy.

Tymczasem ja nadal milczałam. Unikałam ich wzroku. Zwłaszcza wzroku Samira.

– Czy ktoś ma ochotę na włoskie bezy z domowej roboty lodami? – spytała Margareta.

Wszyscy wyrazili taką ochotę, a ja zmuszałam się do jedzenia i próbowałam się uspokoić. Czy Sebastian jest zazdrosny? Może poczuł się zagrożony? Dlaczego się tak zachował? Lody połykałam w takim tempie, że w pewnej chwili poczułam ból w skroniach. Mimo to zjadłam jeszcze trochę.

Minęło kilka minut. Wydaje mi się, że Amanda powiedziała coś w stylu: „Nie przejmuj się tym, co Sebastian powiedział Samirowi”. Potem Georg i Margareta zaczęli opowiadać o wycieczce do Danii, gdy byli jeszcze młodzi. Pojechali wtedy na festiwal rockowy, ale przez cały czas padał tak rześisty deszcz, że w błocie nie udało im się rozbić namiotu. Potem rozmowa zesłała na pewnego ucznia, który mieszkał w tym samym internacie co Labbe. Jak się okazało, jest lunatykiem.

– Przynajmniej trzy razy w tygodniu idzie do stołówki, a tam, jak na umówione hasło, kładzie się na stole i śpi dalej.

Podczas późniejszej rozmowy Georg i Margareta dużo się śmiali. Za każdym razem ich śmiech brzmiał coraz bardziej naturalnie, jak gdyby byli coraz bardziej rozluźnieni. W końcu podziękowaliśmy za jedzenie i poszliśmy posprzątać w kuchni. Nikt nawet nie wspomniał o Sebastianie. Moim chłopaku.

Udawali, że nic się nie stało. A co ja miałam zrobić?

Dwie godziny później przeszliśmy do salonu, żeby obejrzeć film. W pewnej chwili pojawił się Georg, żeby nam przekazać przeprosiny od Sebastiana. Nie pamiętam, co to był za film, ale kiedy Georg przekazywał nam treść rozmowy,

nawet nie ściszyliśmy dźwięku.

Georg rozmawiał z Sebastianem przez telefon. Sebastian dotarł bezpiecznie do domu i poprosił Georga, żeby przekazał w jego imieniu przeprosiny. Miały dość ogólny charakter i zabrzmiały dość nienaturalnie, jak wówczas, gdy zapomina się o urodzinach kogoś niezbyt ważnego.

Samir leżał pół metra ode mnie, z ręką założoną za głowę. Spod rękawa koszuli wystawał mu ciemny, kręcony zarost. Wewnętrzną stronę ręki miał tak bladą, że aż lśniła w blasku telewizora. Samir spojrzał na Georga, gdy ten cytował słowa Sebastiana, i mruknął:

– Nic się nie stało, naprawdę nic się nie stało, wszystko w porządku, dzięki.

Kiedy Georg wyszedł, Samir znowu skupił uwagę na ekranie. Mimo to odniosłam wrażenie, że jego wzrok błądzi gdzieś w oddali.

Po pewnym czasie wstał z kanapy i powiedział, że chce się przejść. Odczekałam cztery minuty i też wstałam.

– Pójdę się położyć – powiedziałam.

– Dobranoc – rzuciła Amanda.

– Spokojnego snu – dodał Labbe.

Wyłączyłam telefon, zostawiłam go w pokoju, w którym miałam nocować, i poszłam poszukać Samira.

Na dworze było chłodno i ciemno, że oko wykol. Samir siedział nad jeziorem i obejmował rękami kolana. Przypominał cień oświetlony blaskiem bijącym od domu. Z przeciwległego brzegu jeziora spoglądał na nas księżyc.

– Nie musisz mnie pocieszać – powiedział Samir, gdy usiadłam obok niego.

– Wiem.

Dopiero z bliska zauważyłam, jak bardzo był zmartwiony. Drapał się po ręce, chociaż nie zauważyłam, żeby w ogóle były komary.

– Nie musisz mi mówić, że jestem głupi.

– A dlaczego miałabym to robić?

– Pamiętam mój pierwszy dzień w szkole. Byłem strasznie zdenerwowany. Wy na pewno nie odczuwaliście żadnego stresu, bo wszyscy się znacie od siedemnastu pokoleń. Dla mnie było to niezwykle przeżycie. Byliście tacy cudaczeni, piętnastolatki, którzy wypytyują o miejsce pracy rodziców. Czy to nie chore?

– Rzeczywiście, można tak powiedzieć.

Ja cię nigdy nie pytałam, czym zajmują się twoi rodzice.

Posiadłość rozciągała się z dala od autostrady. Żeby tu dotrzeć, jechaliśmy dwadzieścia minut zwirową drogą. Mimo to słychać było odgłos samochodów, który zupełnie nie pasował do innych dźwięków: szumu lasu, odgłosów wydawanych przez zwierzęta.

– Jak naprawdę jest z twoją mamą?

– To znaczy?

– Domyślam się, że nie jest ani adwokatem, jak twierdziłeś w rozmowie z Labbem, ani lekarzem, jak powiedziała jego rodzicom.

Samir wyrwał źdźbło trawy. Na nogę spadła mi grudka ziemi.

– Nigdy nie twierdziłem, że moja mama jest adwokatem. Labbe musiał mnie źle zrozumieć. Mama często powtarza, że chciała zostać lekarzem. Była dobrą uczennicą, tyle że musiała zrezygnować ze szkoły. Teraz na wszystko jest już za późno. Ledwo rozumie wiadomości w telewizji i nie ma szans na studia medyczne. Poza tym musi zarabiać na życie. Jest salową i lubi tę pracę.

– Czy twój tata jest adwokatem?

Samir dopiero po dłuższej chwili pokręcił głową.

– Rodzice Labbego płacą mi za korepetycje. Dwieście koron za godzinę. Myślę, że powinienem być im wdzięczny.

– Za co?

– Że mnie nie zwolnili, tylko wyprosili twojego rasistę.

– Sebastian nie jest rasistą.

Samir się zachnął.

– Przestań go bronić. Nie bądź jak inni, co biją mu pokłony i na wszystko pozwalają.

Teraz to mnie ogarnęła złość.

– Sebastian wie, dlaczego ludzie mu nadskakują. Myślisz, że nie? Na szczęście nauczyciele mu się nie podlizują, bo wtedy w ogóle nie musiałby powtarzać klasy. A jak było dziś wieczorem? Czy Georg i Margareta nie zareagowali, jak należy? Z tego, co pamiętam, to chyba wyprosili stąd Sebastiana?

– Z Georgiem i Margaretą jest inaczej.

– To znaczy?

– Przecież wiesz. Gdyby im nie zależało, żeby Labbe zdał maturę, już dawno by mnie wyrzucili.

– Na pewno by tego nie zrobili.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Oczywiście, że tak. Ty chyba niczego nie rozumiałeś. Myślę, że oni już wcześniej wiedzieli, że twoja mama nie jest lekarzem, a tata adwokatem. Nie są tacy głupi. Pewnie jest im ciebie żal, że sobie ubzdurałeś, iż powinienes ich okłamywać z powodu takiego drobiazgu. Żal mi cię, że tak myślisz. Jesteś, kim jesteś, bez względu na to, kim są twoi rodzice. Twoja przeszłość jest nam obojętna. Jeśli twoja mama nie chodziła do szkoły, a twój tata pracuje jako taksówkarz, to jest to dowodem na to, że walczysz bardziej niż inni. Ludzie lubią cię jeszcze bardziej za to, kim jesteś, chociaż pochodzisz z...

Samir przerwał mi tak szybko, że na jego ustach pojawiła się ślina.

– To ty niczego nie rozumiesz. Wy naprawdę macie poprzestawiane w głowach. Wydaje wam się, że wiecie, o czym mówicie, a tymczasem wszyscy jesteście w błędzie.

– Nie krzycz tak.

Ale Samir nie zamierzał milczeć.

– Ja nie krzyczę. Ale jesteś w błędzie, twierdząc, że moja przeszłość i pochodzenie są wam obojętne. Wystarczy obejrzyć *Idola*, *X Factor* albo jakieś pieprzone programy kulinarne, by się przekonać, że pochodzenie i przeszłość to połowa sukcesu. Dziwicie się, kiedy jakiś grubas ładnie śpiewa, zachwycacie się, że mimo wszystko mu się udało, i chcecie wierzyć, że moi rodzice nie mieszkają w Djursholmie, nie są lekarką i adwokatem, bo mieli pecha. Uważacie, że za tę niesprawiedliwość nie ponosicie odpowiedzialności, ale w każdej chwili jesteście gotowi stwierdzić, że tak nie powinno być, bo „gdybyśmy lepiej zadbali o naszych imigrantów, gdyby stali się bardziej szwedzcy, szybciej uczyli się języka i wkuwali więcej od innych, to wtedy swój amerykański sen mieliby w zasięgu ręki”. Bo wy go uwielbiacie. Kochacie Zlatana... kurna, jak wy go kochacie! Kiedy mówi, że nie przeczytał ani jednej książki, a dziewczyny nie powinny grać w piłkę, uważacie, że jest jeszcze bardziej super, bo właśnie tacy są imigranci: mają wrogie nastawienie do kobiet i są niewykształceni. Mimo to ich kochacie, bo jesteście tolerancyjni i akceptujecie innych, a Zlatan ma taki czarujący, piękny uśmiech. Wydaje wam się, że zawsze chodzi o integrację i nieszczęśliwy zbieg okoliczności, że każdemu się powiedzie, jeśli tylko się przyłoży...

– Komu się tak wydaje? – przerwałam mu z płaczem. Nie mogłam się już powstrzymać.

Samir aż się wzdrygnął, jak gdybym go uderzyła.

– Jak to? O co ci chodzi?

– Przez cały czas mówisz „wy”. Opowiadasz o „nich” różne rzeczy. Mówisz: „Uważacie tak i tak, czujecie to i tamto”... Dlatego pytam, kogo masz na myśli?

Samir zagryzł wargę.

– Wszyscy wiedzą, że jesteś w trudniejszej sytuacji niż inni – powiedziałam. – Tylko idioci twierdzą, że wystarczy się nauczyć szwedzkiego i wszystkie uprzedzenia od razu znikną. Georg i Margareta nie są głupcami. Nie musisz się bać, że...

– Wiesz, że cię lubię – przerwał mi Samir i wziął mnie za rękę. – Labbe to równy koleś, a jego rodzice są naprawdę miłymi ludźmi. – Samir siedział tak blisko mnie, że słyszałam jego szybki oddech. – Jesteście... bardzo dobrze wiesz, co mam na myśli, mówiąc, jacy jesteście. Ty taka jesteś i oni wszyscy...

Samir przerwał, żeby zatoczyć ręką łuk wokół całej posiadłości, na którą składał się las, jezioro, dom, oba skrzydła, domek gościnny, domek myśliwski, w którym mieszkał John, i domek nad jeziorem.

– Wiesz, jacy jesteście, ale innych rzeczy nie rozumiesz. Ja się was nie boję, tu nie chodzi o strach. Ty po prostu nic nie rozumiesz.

No to mi wyjaśnij.

Samir odwrócił się do mnie i dotknął dłonią mojego uda. Jego usta znalazły się tak blisko moich...

Pomyślałam, że chce mnie pocałować, ale nawet się nie ruszył.

Przez pewien czas siedzieliśmy w milczeniu. Samir głośno oddychał, ja zresztą też. Nie miałam odwagi na niego spojrzeć. W końcu wstałam, a on został. Wracając, nawet się nie odwróciłam. Poszłam prosto do mojego pokoju i zamknęłam za sobą drzwi. Położyłam się do łóżka i włączyłam telefon. Okazało się, że Sebastian wysłał mi esemes. Tylko jeden.

„Jeśli zamierzasz się z nim pieprzyć, to mam nadzieję, że się zabezpieczysz”.

22.

Czy po tym, co się wydarzyło, udało nam się z Sebastianem wrócić do poprzednich relacji? Nie. Mimo to wciąż się spotykaliśmy. Chyba sobie wmówiłam, że wcale nie muszę patrzeć na to w kategorii „przed” i „po”. Myślę, że Sebastian nikogo nie przeprosił. Tak, odpisałam mu. „O co ty mnie podejrzewasz, jak mogłabym zrobić coś takiego?” (bo przecież musiałam jakoś skomentować treść esemesa, który mi wysłał). Pojechałam do niego, kochaliśmy się, a ja na okrągło go zapewniałam: „Nigdy bym tego nie zrobiła” i „Kocham tylko ciebie”.

Seks na zgodę powinien być najlepszy, ale nie jest, bo uprawiamy go w chwili, gdy jest nam przykro albo mamy zły humor. Tak jak ja wtedy. Nie było mi jednak na tyle przykro i nie byłam w na tyle złym humorze, by już po wszystkim nie móc udawać, że nic się nie stało. Wkrótce zrobiło mi się naprawdę przykro i wpadłam w zły humor, ale z zupełnie innego powodu niż to, co wydarzyło się podczas tamtego weekendu. Było to jeszcze gorsze, ponieważ Sebastian nic takiego nie powiedział ani nie zrobił, tylko ja chciałam, żeby wszystko było inaczej, i czasem nawet udawałam, że tak właśnie jest.

Mijały dni, skończył się listopad, zaczął się adwent. Sebastian nadal uważał, że każda okazja jest dobra, by urządzić imprezę, a ja robiłam wszystko, żeby go w tym przekonaniu utwierdzić.

Przed wejściem do klubu Montage stało mnóstwo ludzi, chyba nawet więcej niż zwykle. Przyszliśmy wcześniej, a mimo to przez kilka minut staliśmy w tłumie, zanim bramkarz nas rozpoznał i wpuścił do środka. Za każdym

razem, gdy widzieli Sebastiana, wpuszczali go bez kolejki. Zawsze i bez wyjątku. Pozwalali nam ominąć kolejkę nawet wówczas, gdy przychodziliśmy bez Sebastiana. Nigdy jednak nie czekaliśmy tak krótko jak tym razem.

Dennis stał przed drzwiami z wyciągniętymi do góry rękami. Bez Sebastiana nigdy by go tam nie wpuszczono, ale też Sebastian rzadko go tam zabierał. Dennis kręcił się od czasu do czasu po dzielnicy w puchowej kurtce zasuniętej pod samą brodę, w kapturze na głowie i z opuszczonymi rękami, jak gdyby nie mógł sobie poradzić z ich ciężarem. Mimo to wcale się nie skarżył, bo dzięki Sebastianowi miał więcej klientów. Na dodatek płacili mu znacznie więcej niż hołota, z którą się zadawał na Sergels Torg.

Wnętrze lokalu było już udekorowane, jak na święta przystało: na choince ustawionej na środku sali, w której odbywały się tańce, wisały kolorowe lampki, grube, lśniące girlandy, srebrne bombki i kryształki Swarovskiego. Ledwo Amanda i Labbe weszli do środka, usiedli na jakiejś kanapie w sekcji przeznaczonej dla VIP-ów i zaczęli się pieścić. Labbe prawie leżał na plecach, Amanda siedziała obok z przełożoną przez niego nogą. Za każdym razem, gdy się całowali, widać było ich języki, które przypominały dwa ślepe, nagie szczury.

Pół godziny po wejściu do lokalu Sebastian miał już tak mocno w czubie, że ochrona nie mogła dłużej udawać, iż nie zauważa jego zachowania. Dwaj bramkarze stojący przy jednym z wejść zaczęli go uważnie obserwować. Najwidoczniej czekali na moment, aż Sebastian zaśnie albo zemdleje. Dopiero wtedy będą mogli odesłać go do domu.

Jeśli robili to, zanim Sebastian całkowicie odleciał, ich interwencja kończyła się awanturą. W zeszłym tygodniu jeden z nich chwycił go za ramię, gdy Sebastian próbował ściągnąć spodnie jakiemuś chłopakowi, który wepchnął się przed niego do baru. Potraktowali go grzecznie, w stylu: „Chyba już najwyższy czas, żebyś wrócił do domu. Czy chcesz, żebyśmy zamówili ci

taksówkę?”, lecz Sebastian wpadł we wściekłość. Pozwolili mu więc zostać. Po chwili zjawił się właściciel, który zaprowadził go do jednego z pokoiów i poprosił mnie, żebym przy nim została. Czekałam, aż Sebastian zaśnie. A potem Labbe pomógł mi go dotaszczyć do samochodu.

Mimo to ochrona za każdym razem go wpuszczala. Nawet jeśli stał na końcu kolejki, wchodził przed wszystkimi. Inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. To tak, jakby ktoś kazał jakiejś przemarznętej księżniczce tupać w miejscu, żeby rozgrzała stopy.

Nie wiedziałam, co Dennis dał mi dziś wieczorem, bo zawsze przynosił coś nowego. Na pewno jednak nie było to coś, po czym Sebastian by usnął. Przez cały czas krążył po lokalu, jak gdyby kogoś szukał. Zaglądał do wszystkich pomieszczeń, co jakiś czas przechodził koło mnie. W końcu usiedliśmy na tej samej kanapie, na której Labbe siedział z Amandą. Znudziło go to już po niecałych dziesięciu sekundach i postanowił pójść do baru. Staliśmy tam przez kilka minut. Sebastian zapomniał, że zamówił drinka, jeszcze zanim barman mu go przygotował, i zamówił to samo u innego barmana. Potem zostawił obie szklanki na kontuarze i pociągnął mnie za rękę na parkiet, gdzie natychmiast mnie zostawił, bo musiał pójść do toalety. Kilka minut później zobaczyłam, jak znowu krąży po sali, wyciąga szyję i kręci głową. Zachowywał się tak przez jakiś czas.

– Może się stąd urwiemy? Tu się nic nie dzieje. Zmywamy się? Pójdę jeszcze do klopa i znikamy.

Próbowałam tańczyć, próbowałam się upić, a nawet porozmawiać z Amandą, co okazało się niemożliwe, bo nie chciała, a raczej nie była w stanie tego zrobić. Trudno jest gadać z kimś, kogo akurat gładzą po szyi. Rozumiem też, że rozmowa to dość skomplikowana czynność, jeśli ma się czyjś język w uchu. Trudno się wtedy skoncentrować. Mimo to chciałam pogadać, przekrzykiwać muzykę, pochylać się nad Amandą i nawet nic nie

mówić, tylko śmiać się z czyichś brzydkich spodni albo dziwnych włosów. Tymczasem starałam się dotrzymać kroku Sebastianowi i słuchałam jego pytań, na które nie oczekiwał odpowiedzi.

– Wychodzimy już? Byłaś w toalecie?

– Ależ ty jesteś nudny. Przecież dopiero przyszliśmy. Napijesz się czegoś?

Miałam go już serdecznie dosyć. Jego, Amandy i Labbego, ich wszystkich, całej tej imprezy. Miałam dosyć bycia młodą, tego fajnego życia, odrobiny szaleństwa, stania na chłodzie i wydzierania się po pijaku przed lokalem albo w pomieszczeniu dla VIP-ów. Byłam tym wszystkim szczerze zmęczona, a jednak udawałam, że świetnie się bawię. Udawałam tak każdego wieczoru. Robiłam to na okrągło. Budziłam się w sobotę albo w niedzielę rano, znajdowałam w kieszeni niebieski, pognieciony bilet i celofan z pudełka po fajkach, a potem pojawiały się pytania w stylu: „Boże, jak ja trafiłam do domu?”. Zmywałam z dłoni wyblakłe stemple, a nożyczkami do paznokci przecinałam uprawniające do wejścia opaski na nadgarstkach. I za każdym razem dochodziłam do tego samego wniosku: „Boże, jak ja się upiłam” albo „Nic nie pamiętam”, albo „Kurna, ale było fajowo”.

Niestety, „fajowo” nie było już od dawna. Szybko też przypominało mi się, jakim to sposobem wróciłam do domu. Jak zawsze, najpierw odwoziłam Sebastiana, a potem u niego zasypiałam, podczas gdy on – na wpół przytomny – grał w jakąś grę komputerową albo starał się wymyślić, co by tu jeszcze zrobić.

Nie chciałam tego dłużej ciągnąć, tyle że nie wiedziałam, czego chcę w zamian. Zerwać z Sebastianem? Co się stanie, jeśli do tego dojdzie? Czy będę mogła trzymać się z naszą paczką, nie będąc jego dziewczyną? Nie miałam żadnego planu, ale i nie chciałam go mieć. Zależało mi tylko na jednym: żeby znowu było fajowo.

Sebastian by się wściekł, gdybym go zostawiła. Już i tak zachowywał się

jak szalony. Wiedziałam, że na razie nie mogę z nim zerwać. Postanowiłam zrobić to później, gdy trochę się uspokoi i sytuacja jakoś się rozwiąże. W tym momencie nie mogłam mu tego zrobić. Obserwowałam go razem z ochroniarzami, oni ze swojego miejsca, ja ze swojego, chociaż niczego wcześniej nie uzgadnialiśmy. Wiedzieliśmy, że granicę, którą wcześniej czy później przekroczy, można za każdym razem przesunąć trochę dalej. Wiedzieliśmy, że dojdzie do awantury. Ochroniarzy było dwóch, ja byłam sama, ale nie reagowaliśmy. Byłam tylko statystką. Wszyscy nimi byliśmy. Jeśli ktoś trzymał się blisko Sebastiana, automatycznie stawał się jego statystą. Bez prawa głosu. Jeśli się odzywałam, całą sekwencję wycinano z filmu. Łatwo mnie było zignorować, bo moich tekstów nikt nie musiał komentować.

– Może wrócimy do domu?

– Pieprzone miejsce, pieprzone miasto. Kurwa, tu jest zajebiście nudno. Co za nora! Wybywamy do Barcelony. Niedaleko kościoła jest fajny bar, podają w nim tapasy... albo nie, on jest chyba na Palmie, co? Muszę iść do klopa, zamów mi coś do picia. Zaraz wrócę, muszę tylko coś sprawdzić. Muszę się napić... pójdę tylko do klopa... kurwa, spadamy stąd, potworne nudy. Idź i powiedz temu pieprzonemu didżejowi, żeby zaczął puszczać coś dobrego... Okej, jedziemy do Nowego Jorku. Ale najpierw pójdę do kibla, muszę sprawdzić, gdzie jest Dennis, kurwa... on musi mi kogoś przyprowadzić... powiedz mu, że muszę z nim pogadać... kurwa mać, ależ tu jest zajebiście nudno...

O wszystkim opowiedziałam Amandzie. „Nie wiem, czy jestem jeszcze zakochana”. Potem o tym rozmawiałyśmy. Amanda powiedziała mi: „Na pewno będzie lepiej”. Przez cały czas trzymała się z Labbem. Od tamtego spotkania u jego rodziców oboje zachowują się dziwnie. W ich przypadku na pewno można mówić o tym, co było „przed” i „po”. Wiedziałam, że spotykają się z Samirem, ale mnie i Sebastiana nigdy nie zaprosili. Uważali go za trudny

przypadek. Jeśli jednak mieli ochotę pójść do jakiegoś lokalu albo pojechać z nami w jakieś miejsce, nie przeszkadzało im to, wtedy byliśmy dla nich „wporzo”. Dzięki nam nie musieli czekać w kolejce, wystarczyło powiedzieć: „Jesteśmy z nimi”.

Noce z Sebastianem... leżałam obok niego, a on miał spocony kark, co jakiś czas wzdrygał się we śnie, odwracał do mnie i przyciągał mnie do siebie.

Istnieją słowa, które czujemy całym ciałem. Słowa budzą uczucia związane z zupełnie inną częścią mózgu, niż nam się wydaje. Ciepłe słowa, które mogą ogrzać. Kiedy byłam dziewczynką, nie mogłam zasnąć i moja mama szeptała mi do ucha: „Moja mała dziewczynka, szszsz... śpij, kochanie...”. Albo głos taty, gdy do mnie wołał „Maju!” – wszyscy od razu wiedzieli, że jestem jego córeczką i należymy do siebie; głos babci, gdy czytała mi bajki („Pewnego razu była sobie...”). I słowa Sebastiana, gdy tuż przed zaśnięciem zapewniał na wydechu, że mnie kocha.

Sama nie wiem. Przecież między nami nie było tylko źle. W każdym razie nie zawsze.

„Jego ojciec powinien z tym coś zrobić”, stwierdziła kiedyś Amanda. Powiedziała to tylko mnie, nikomu innemu. „Sebastian potrzebuje pomocy”.

Amanda uważała, że ma to coś wspólnego z prochami, bo gdyby Sebastian trochę przystopował, nadal byłabym zakochana tak jak przedtem. Pomyślałam wtedy, że Amanda ma rację. Przecież to oczywiste, że byłam w nim zakochana.

„Nic nie rób. Nic nie mów. Porozmawiaj z nim. Pomóż mu”.

Ale ja nie umiałabym z nim rozmawiać. Inni też nie. Co mogliby mu powiedzieć?

Miałam ochotę stamtąd wyjść. Znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Nie chciałam tam dłużej zostać.

Sebastian oszaleje. Zresztą już oszalał. Był szalony. Źle się czuł. Muszę coś

zrobić, bo potrzebuje pomocy.

Tak, kochałam go. Oczywiście, że go kochałam.

23.

Amanda zasnęła na krześle obok mnie. Ozdoby, które założyła na Dzień Świętej Łucji, zsunęły jej się z głowy na ramiona, a w nylonowych pończochach zrobiła się na kolanie wielka dziura. Na scenie auli stała kobieta w butach na wysokim obcasie. W uszach miała delikatne kolczyki, na ręce duży męski zegarek. Jej czarne, lśniące włosy wyglądały, jak gdyby potrzebowały osobnego fotela w samolocie. Kobieta była Amerykanką, „naczelną redaktorką najbardziej poczytnej w świecie gazety finansowej” (tak ją przedstawił Christer).

– Z tego, co wiem, uczęszczacie na zajęcia z międzynarodowych finansów, prawda?

Potwierdziłszy jej słowa, chociaż wiele spośród osób obecnych na sali nie uczęszczało na zajęcia z ekonomii politycznej. Na spotkanie przyszli też uczniowie ostatniej klasy. Zjawilo się wielu rodziców (głównie ojcowie), którzy w tym roku opuścili przedstawienie przygotowane przez swoje dzieci z okazji Dnia Świętej Łucji.

Rodziców poproszono, aby nie zadawali pytań i nie zajmowali miejsc siedzących, więc po prostu stanęli wzdłuż ścian. Co dziesięć metrów stał rosły amerykański ochroniarz w ciemnym garniturze ze słuchawkami w uszach.

– Te osoby, które nie studiują ekonomii politycznej, będą musiały jakoś przetrzymać.

Wszyscy wybuchnęli zgodnym śmiechem, a na twarzy kobiety pojawił się szeroki uśmiech. Był szerszy niż łyżka koparki.

Na spotkanie przyszedł też Sebastian. Jeszcze o piątej rano śpiewaliśmy mu z Amandą piosenki, bo zaprosił nas i kilku chłopaków na „śniadanie”.

Zaproponował, że podrzuci mnie do szkoły, a gdy odmówiłam, stracił humor. W auli usiadł daleko ode mnie.

Za spotkanie zapłacił „nieznany sponsor”. Spytałam Sebastiana, czy tym sponsorem był jego ojciec, na co on zrobił taką minę, jak gdybym zadała mu niedorzeczne pytanie. Krążyły pogłoski, że cała impreza kosztowała trzysta pięćdziesiąt tysięcy koron, ale żaden z nauczycieli nie chciał tego potwierdzić.

Amerykanka była nie tylko naczelną redaktorką gazety, ale także doktorem w dziedzinie finansów międzynarodowych. Magazyn „Time” uznał ją za jedną z najbardziej wpływowych i opiniotwórczych osób na świecie. Popularność zdobyła dzięki prezentacjom na YouTube, w których kwestie finansowe wyjaśniała na przykładzie Barbie i Kena – domku Barbie i samochodu Kena. Najczęściej odwiedzany klip dotyczył amerykańskiego kryzysu finansowego. Czarna Barbie grała w nim rolę eksmitowanej właścicielki domu, matki wychowującej samodzielnie trójkę dzieci, podczas gdy Ken był prezesem banku Lehman Brothers. Obie lalki „wypowiadały” różne kwestie: Ken był wyniosły i zdystansowany, Czarna Barbie przeklinała i posługiwała się gorszą odmianą angielszczyzny niż przeciętne szwedzkie dziecko w przedszkolu, które marzy o tym, aby zostać raperem. Nikt jednak nie oskarżał jej o posługiwanie się rasistowskimi stereotypami. Była po prostu zbyt podobna do Czarnej Barbie, aby ktoś się na to odważył. Krytycy zarzucali jej, że jest zbyt radykalna, i aby udowodnić swoje tezy, stosuje prymitywne uproszczenia. Pomyślałam, że ktoś powinien jej zwrócić uwagę, żeby popracowała trochę nad swoim makijażem. Wiele by zyskała, gdyby na przykład nakładała trochę krótsze sztuczne rzęsy.

Dzisiejszy wykład miał dotyczyć przyszłości światowej gospodarki. „Wzrost albo załamanie” – brzmiał podtytuł. Powinien się chyba kończyć znakiem zapytania, ale nie było go tam.

– Czy ktoś z was odczuwa niechęć do ekonomii? I dlatego chciałby się

zajmować naprawdę ważnymi sprawami? (lekki śmiech). Mądra decyzja. Ekonomistom nie wolno ufać (trochę głośniejszy śmiech). – Kobieta zatoczyła ręką ruch po sali. – Wymieńcie groźnych ekonomistów.

– Karol Marks – rzucił ktoś z tylnych rzędów.

Kobieta skinęła głową.

– Milton Friedman – zawołał Samir, który siedział na samym końcu sali.

Amerykanka uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– *My point, exactly* – stwierdziła, wzięła do ręki plastikową butelkę i wypila trochę wody. – Ekonomiści są śmiertelnym zagrożeniem z prostego powodu: światowa gospodarka ma wpływ na nasze życie. Na życie wszystkich ludzi. Dlatego bez względu na to, czy ktoś z was studiuje ekonomię, czy uważacie pieniądze za rzecz najważniejszą, czy też stoicie ponad dobrami materialnymi... uważnie słuchajcie! To, o czym będę mówiła, dotyczy także was.

W czasie gdy pani Barbie wskazywała na nas wyciągniętym palcem, ktoś przytłumił oświetlenie w auli. Na końcu sceny pojawił się ogromny ekran i Amerykanka bez zbędnych wstępów rozpoczęła prezentację – wykład z ekonomii i finansów dwudziestego wieku. Obejmował on mnóstwo cyfr i faktów historycznych, ale było w nim też sporo o prawie wyborczym, o pierwszej wojnie światowej, wielkim kryzysie, drugiej wojnie światowej i boomie gospodarczym. Na ekranie pojawiały się tabelki i zestawienia, figury geometryczne w 3D, kółka, diagramy pokazujące przyrost demograficzny, średni dochód i długość życia. Dopiero teraz zrozumiałam, dlaczego aula była przez tydzień zamknięta: podczas całego wykładu czułam się jak w filmie o Bondzie. Amerykanka wyświetliła nam nawet hologram Roosevelta. Prezydent „stał” przez kilka sekund obok niej na scenie i czytał fragment swojego wystąpienia na temat New Deal. Nawet Amanda uważnie słuchała.

Barbie prowadziła wykład w tempie szybszym niż komentator sportowy.

Christer co pewien czas jej przytakiwał. Wyglądał, jakby obluzowała mu się jakaś śrubka w karku. Był niezdrowo podekscytowany, jak gdyby doświadczał mentalnego zapalenia dróg moczowych.

– Wiele osób jest przekonanych, że gospodarka to nauka sterowana przez siły, które przypominają prawo grawitacji. Weźmy wydatki i dochody. Jeśli upuścisz szklanę, spadnie na podłogę i się rozbije. Jeśli wydasz więcej, niż zarabiasz, zbankrutujesz.

Barbie spojrzała na ubranych w garnitury i eleganckie sukienki rodziców, a potem przeniosła wzrok na uczniów i kontynuowała wykład.

Kiedy przyszedł czas na pytania, Christer zaczął się kręcić między uczniami z bezprzewodowym mikrofonem. Jako pierwszy głos zabrał Sebastian. Amerykanka uśmiechnęła się do niego, jeszcze zanim wstał z krzesła.

A więc to jednak Claes za wszystko zapłacił.

Nagle poczułam, że muszę wyjść. Czarna Barbie i Ken Fagerman.

Jeśli Claes wysłał go tu po to, żeby Sebastian zorientował się, jakie są ostatnie trendy mody w świecie finansowym, to obaj na pewno się rozczarowali.

Sebastian miał zmęczony głos, zacinał się, ale w końcu wydukał to, co miał napisane na kartce. Podczas gdy Barbie odpowiadała na jego pytanie, Christer podszedł do następnej osoby i poprosił o przygotowanie kolejnego pytania.

Kiedy przyszła moja kolej, oddałam mikrofon Christerowi, jeszcze zanim Amerykanka zaczęła odpowiadać na moje pytanie. Nie miałam ochoty rozwijać tematu. Kobieta skinęła mi w zamyśleniu głową. Nawet nie próbowała ukryć, że uważa moje pytanie za idiotyczne (Christer zatwierdził tylko niemądre pytania, na które sam znał odpowiedź), a za udzieloną mi odpowiedź otrzymała gromkie brawa. Był to jej pięćdziesiąty trzeci wariant odpowiedzi w stylu „z jednej strony tak, ale z drugiej... w mojej książce dotyczącej tej kwestii opisuję wiele różnych czynników... są one dowodem na

to, że do jasnych i jednoznacznych odpowiedzi droga jest jeszcze daleka”.

Prezentacja w 3D dobiegła końca. Amandzie coraz bardziej ciążyły powieki, więc zaczęła sobie szukać wygodniejszej pozycji. Barbie okazała się postacią dość powierzchowną, nigdy by nie powiedziała czegoś, z czym obecni na sali nie mogliby się zgodzić. Występowała jako „dostawca informacji”.

W końcu przyszła kolej na Samira, który wziął od Christera mikrofon i zaczął:

– Kilka miesięcy temu w naszej szkole odbyło się głosowanie – powiedział drżącym głosem i widać było, że jest zdenerwowany. – Mieli w nim wziąć udział wszyscy uczniowie. W wyniku głosowania ponad trzydzieści pięć procent głosów otrzymały dwie wymyślone na potrzeby głosowania partie rasistowskie.

Kątem oka zauważyłam, że Christer dostał nagle rozbieganych oczu. To nie było któreś z przygotowanych i zatwierdzonych przez niego pytań. Wyciągnął rękę po mikrofon, był wyraźnie zmieszany, ale Amerykanka dała mu znak, żeby dał Samirowi dokończyć. Samir przełożył mikrofon do drugiej ręki, dzięki czemu ten znalazł się poza zasięgiem Christera.

– Kierownictwo szkoły postanowiło, że nie przyjmie wyników głosowania do wiadomości. Stwierdzono bowiem, że powodem takiego wyniku była zмова grupy uczniów, którzy postanowili sabotować to ćwiczenie.

– Ale? – spytała z napięciem w głosie Amerykanka.

W tym momencie ktoś z zebranych zawołał:

– Przejdź do rzeczy, Samir.

– Chyba trafiłeś na niewłaściwy wykład, chłopcze – powiedział jeden z ojców, który stał na końcu sali.

Tymczasem Barbie uniosła rękę i w auli zapadła cisza.

– Mów dalej.

– Nikt nie potraktował wyniku tych szkolnych wyborów na poważnie. Ale to tylko przykład. Podobno największe problemy we wszystkich krajach europejskich są wynikiem masowej imigracji, wojen toczących się poza Europą i islamskiego terroryzmu. To sprawy, nad którymi nasi politycy nie mają kontroli. Ciągłe gadamy o tym samym: że islamiści stanowią największe zagrożenie. Jednocześnie miliarderzy stają się coraz bogatsi, a biedni coraz ubożsi. Tu, w Szwecji. Ale o tym nie rozmawiamy. Chodzi mi o to, że... –

Samir zaczął się jąkać. – ...Czy nie powinniśmy porozmawiać o tym, jak kwestie gospodarcze wpływają na nasz dobrobyt i... A demokracja? Czy ona nie wpływa na nasze społeczeństwo?

Jakiś chłopak siedzący dwa rzędy za Samirem zaczął nagle nucić *Międzynarodówkę*. W sali rozległ się cichy śmiech, ale Barbie uniosła swoją „proroczą” dłoń i sala znowu ucichła.

– Mów dalej. Masz na imię Samir, prawda? Powiedz nam, Samirze, czy sprzeczności społeczne to twoim zdaniem kwestia ekonomii politycznej?

– Uważam, że specjaliści od ekonomii politycznej powinni posługiwać się liczbami, aby wypracować konkretne rozwiązania problemów, które faktycznie istnieją. Mówienie o tym, że należy zainwestować miliardy koron w infrastrukturę, ma sens, jeśli będziemy wiedzieć, skąd te pieniądze mają pochodzić. Zwłaszcza jeśli z debaty wynika, że na nic nas nie stać, bo przyjmowanie imigrantów kosztuje zbyt dużo pieniędzy.

W pewnej chwili uśmiech Amerykanki uległ zmianie. Dopiero w tym momencie się zorientowałam, że jest naprawdę szczery. Samir zaczął mówić pewniejszym głosem.

– Oczywiście, publiczne inwestycje to supersprawa, ale trudność polega na tym, że trzeba zdecydować, kto zapłaci rachunek. Niestety, nikt nie ma odwagi powiedzieć, że zapłacą go ci, którzy tu mieszkają.

W sali rozległ się szum. Atmosfera uległa zmianie, choć nie wyczuwało się

złości. Przypominała raczej gwar, gdy dorośli próbują coś skomentować albo dodać. Widziałam, że wielu ojców chciało powiedzieć Samirowi (a przy okazji Barbie): „Nie masz pojęcia, o czym mówisz”. Bo przecież w naszym kraju nie istnieje problem imigrantów. Naprawdę! „Porozmawiajmy jednak o szwedzkim przemyśle. Zapewnijmy pracę, mieszkania i dobrobyt wszystkim tym, którzy niedawno do nas przybyli, a wtedy nie będziecie nas paraliżować podatkami”.

Wiedziałam, co chcieli powiedzieć, bo mój tata mówił to samo. Ojcowie chyba zapomnieli, że obiecali nie zadawać pytań, bo czterech albo pięciu wysunęło się o krok z podniesionymi rękami. Widać było, że nie są przyzwyczajeni do takich sytuacji, bo kręcili się niepewnie w miejscu. Niektórzy z nich rozglądali się na wszystkie strony, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Miły, ale strasznie naiwny chłopak” albo „Wszyscy wywołujemy rewolucję, kiedy jesteśmy młodzi”. Ktoś szepnął teatralnym głosem: „Wyhodowaliśmy sobie komunistę na własnym łonie”. Ktoś inny zaniósł się niepohamowanym chichotem.

Amerykanka nie zwracała na nich uwagi. Przyciągnęła krzesło i usiadła na nim.

– *Bullshit!* – wrzasnął nagle chłopak, który nucił *Międzynarodówkę*.

Barbie spojrzała na niego.

– Naprawdę? – spytała, ukazując w uśmiechu śnieżnobiałe zęby. „Nie ma sprawy, zdawała się mówić. Jestem po waszej stronie”. – Nie musicie się niepokoić, nie będziemy tu dyskutować o polityce imigracyjnej. Nie jestem wprowadzona w temat. Porozmawiamy raczej o tym, jak sfinansować państwowe wydatki. Jak sfinansować dobrobyt. To istotne pytania, prawda? – spytała, czekając na sygnał, że jej propozycja została zaakceptowana. – Jeden procent ludności świata posiada pięćdziesiąt procent światowych zasobów, a osiemdziesiąt pięć najbogatszych osób posiada tych zasobów tyle, ile

biedniejsza połowa ludzkości razem wzięta. – W tym miejscu Amerykanka zrobiła krótką przerwę, a potem kontynuowała swobodnym tonem. Może mówiła to żartem? Może zerknęła na Sebastiana? – ...Wszyscy oni zmieściliby się dosłownie w kilku rzędach w tej auli... Czy właśnie nie to jest problemem?

Jeden z ojców nie mógł już dłużej wytrzymać. Chociaż nikt nie udzielił mu głosu i nie miał mikrofonu, zawołał na cały głos „*Excuse me*”, ale Barbie nawet nie spojrzała w jego kierunku. Przeszła przez scenę i zatrzymała się przy rzędzie, w którym siedział Sebastian.

Teraz Sebastian ci pokaże, że potrafi reprezentować koncern Fagermana, pomyślałam i poczułam skurcz żołądka. Barbie chciała, żeby Sebastian pomógł jej rozpocząć prawdziwą debatę.

Miałam nadzieję, że Sebastian wstanie i wyjdzie. Spadaj stąd, pomyślałam. Ty nienawidzisz polityki. Pomyślałam też o tym, co było zabronione: *Jesteś zbyt głupi, żeby brać udział w takiej dyskusji.*

Barbie podeszła bliżej, teraz stała zaledwie dwa metry od Sebastiana. Ton głosu jej się zmienił: już nie był taki beztroski jak przedtem. Pewnie myślała, że Sebastian jej słucha.

– Istnieje głęboko zakorzenione przekonanie, że z punktu widzenia ekonomii politycznej opłaca się być superszczodrym wobec miliarderów – powiedziała i machnęła ręką w kierunku tej części auli, w której stali ojcowie. –

W Szwecji nawet socjaldemokraci uważają, że zerowa stawka podatku od majątku to właściwy poziom. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo mój księgowy byłby szczęśliwy, gdybym nagle przeniosła się do Szwecji. A przecież nie jestem miliarderką.

Po tych słowach znowu odwróciła się do Samira.

– Co się jednak stanie, kiedy ci, którzy nie są ani miliardrami, ani nawet milionerami, uświadomią sobie nagle, że to oni finansują wszystkie wydatki

publiczne? Co wtedy zrobią?

Amerykanka wykonała zachęcający ruch ręką w stronę Samira, który nadal trzymał w ręce mikrofon. Odpowiedź padła natychmiast, jak gdyby Samir tylko czekał na pozwolenie.

– Zaprotestują.

– *You bet they will.*

Na jej twarz powrócił naturalny uśmiech. Ojcowie umilkli. Christer wykonał ruch, jak gdyby chciał zrobić piruet. Czegoś takiego się nie spodziewał.

– Właśnie: zaprotestują – powtórzyła Barbie. – A jak? Czy dojdzie do krwawej rewolucji? Czy wasi rodzice zostaną ścięci na głównym rynku? Przecież tego nie chcemy. W takiej sytuacji lepiej będzie zrzucić winę za deficyt budżetowy na imigrantów.

Amerykanka zmrużyła oczy i spojrzała w głąb sali.

– Śmiejecie się? – spytała.

Ale nikt się nie śmiał i nikt nie skomentował jej słów. Tylko Samir zdobył się na odwagę. Jego głos nie był już taki pewny jak przed chwilą. Nagle jakby postarzał się o dziesięć lat. Nigdy bym nie przypuszczała, że zna angielski aż tak dobrze.

– Klasy wyższe nigdy nie były przygotowane na to, że ktoś odbierze im władzę – powiedział. – Zawsze były tym zaskoczone.

– Całkiem słusznie. – Skinęła głową Amerykanka i spojrzała wyzywającym wzrokiem na Sebastiana.

A on na wpół leżał na krześle i komentował to, co przed chwilą powiedziała prowadząca wykład. Ponieważ jednak nie miał mikrofonu, nikt go nie słyszał.

– Brednie. A kto daje ludziom pracę? Może ty, Samir? Albo twój ojciec, który jest taksówkarzem?

Sebastian roześmiał się na cały głos, ale nawet ci, co siedzieli obok, nie przyłączyli się do niego.

Amerykanka zerknęła na Sebastiana i odchyliła lekko głowę. Potem ponownie odwróciła się do Samira i dała mu znak, żeby kontynuował. Samir skinął głową.

– Najgłupsza rzecz, jaką można wymyślić, to ta, że im więcej miliarderów w Szwecji, tym lepiej dla kraju.

Barbie skinęła głową, a gdy Samir zrobił przerwę, żeby nabrać powietrza, weszła mu w słowo:

– No dalej, nie ma sprawy, możemy porozmawiać o ojcach, którzy pracują jako taksówkarze. Co się bowiem dzieje z „podatkową moralnością” tych, którzy wykonują ten zawód?

Nie odzywaj się, powiedziałam w myślach do Sebastiana. Siedź cicho.

I rzeczywiście, Sebastian zrobił taką minę, jak gdyby nie zamierzał komentować jej słów – ani wulgarnie, ani głupkowato. Odchylił głowę i założył ręce na piersi, jak gdyby chciał sobie znaleźć wygodną pozycję do spania.

– Myślę, że wyczerpaliśmy temat – stwierdziła Amerykanka. – Zanim jednak moi ochroniarze mnie stąd wyniosą, aby uniknąć wybuchu zamieszek...

W tym miejscu Barbie przerwała swoją wypowiedź. Spojrzała na Samira, na rodziców zebranych przy ścianie auli i na Christera, który niespokojnie przestępował z nogi na nogę. Kolejne zdania wypowiadała po znacznie głębszym namyśle niż wówczas, gdy pokazywała nam na ekranie swoje hologramy i tabelki.

– Czy po to, żeby tworzyć miejsca pracy, potrzebujemy miliarderów? Nie. A dobrobyt? Przedsiębiorstwa, które odnoszą sukcesy, a nawet pojedyncze bogate osoby z całą pewnością mają pozytywny wpływ na gospodarkę społeczną – kontynuowała Amerykanka, spoglądając w kierunku tylnych

rzędów. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby ludzie stawali się milionerami. Nie mam też nic przeciwko miliardom – dodała, spoglądając na Sebastiana, który udawał, że śpi. – Wierzę w kapitalizm, chociaż niektórzy z waszych rodaków uważają, że zachowuję się jak komunistka.

Christer mruknął coś, ale nikt się nie roześmiał.

– Sądzę jednak, że puenta twojej wypowiedzi, Samirze, była inna, a mianowicie, że mimo istnienia pewnej granicy społecznej nierówności społeczeństwo nadal pozostaje stabilną demokracją. Masz rację. Zaraz wyjaśnię dlaczego.

W sali zapadła całkowita cisza. Wszyscy słuchali w skupieniu. Nawet baliśmy się poruszyć na krzesłach.

– Podpisując kontrakt społeczny, należy zachować ostrożność. Obie strony muszą dotrzymać warunków umowy. Sprawiedliwość musi być zrozumiała dla wszystkich. To niesprawiedliwe, jeśli państwo dobrobytu finansowane jest wyłącznie przez osoby o niskich albo średnich dochodach. To, że duże firmy płacą mniejsze podatki niż małe przedsiębiorstwa, jest niesprawiedliwe. Nie na tym polega kontrakt społeczny. To niesprawiedliwe, że pielęgniarka płaci wyższy podatek dochodowy niż ktoś, kto odziedziczył majątek i nie płaci od niego żadnego podatku dochodowego – stwierdziła, układając palce w taki sposób, że utworzyły cyfrę „zero”. – Żadnego. Zero procent. Czy ci, którzy nie muszą płacić podatku od wynagrodzeń, jeśli tego nie chcą, nie muszą w ogóle płacić podatku? Czy na tym polega kontrakt społeczny? Czy jest to zgodne z tym, co mówi Biblia, że „kto ma, temu będzie dodane?”.

Amerykanka zrobiła przerwę, żeby napić się wody.

– Nawet w Ameryce nie jesteśmy aż tak hojni i szczerzy. I nie trzeba być komunistą, żeby stwierdzić, iż kontrasty społeczne w Stanach Zjednoczonych doprowadzą wkrótce do eksplozji. Jeśli ktoś wierzy, że nie ma to nic wspólnego z ekonomią polityczną, jest w błędzie. Zgadzam się z Samirem. To

żadna teoria spiskowa, gdy ktoś twierdzi, że istnieją ludzie, którzy tylko zyskują na tym, iż za trudności pojawiające się w społeczeństwie można winić jakąś mniejszość... udawać, że problemy spowodowali na przykład czarni albo, jak mawiano w latach trzydziestych, Żydzi, albo, jak nazywacie ich dziś w Europie, imigranci.

Amerykanka umilkła. Przez kilka sekund na sali panowała cisza. Nikt z obecnych nie przyznałby się, że istnieje związek między ich pieniędzmi a wrogim stosunkiem do imigrantów. „Nie jesteśmy rasistami, stoimy po dobrej stronie, nie jesteśmy prostakami ani ciemniakami jak szwedzcy demokraci”. Z drugiej strony nie było powodu do protestów, bo Barbie nikogo nie oskarżyła, przynajmniej nie wprost. W pewnej chwili dyskretnie zerknęła na zegar wiszący na jednej ze ścian auli, wyprostowała się i wskazała palcem Samira.

– Pomyśl o tym, dobrze? Dla mnie było to naprawdę dobre spotkanie. I wcale się tego nie spodziewałam.

W auli zapadła cisza. Słysząc było tylko głosy pojedynczych rodziców, którzy komentowali wystąpienie Amerykanki.

– Dobre albo i niedobre – mruknął Samir, który miał taką minę, jak gdyby przed chwilą się obudził.

Musiałam przyznać, że po angielsku mówił doskonale. W tym momencie widziałam w nim przyszłego prezesa jednego z wielkich banków, który zafrasowany drapie się po rozwichrzonej czuprynie.

– To było coś więcej niż tylko dobre spotkanie – dodał. – Dzisiaj jest Wigilia. Będę mógł wrócić do moich kolegów i powiedzieć im, że Szwecja to raj podatkowy. Wieczorem wypijemy szampana.

Rodzice roześmiali się z ulgą. Dobry nastrój wrócił równie szybko, jak zniknął. „To tylko polityka. Nie musimy się zgadzać”. Jeśli bankowiec nie poczuł, że został trafiony, my też nie musieliśmy się tak czuć. „Skąd taka

Barbie może wiedzieć, jak się żyje w Szwecji? Ha, ha, ha... ha, ha, ha”.

Po chwili rozległy się głośne oklaski. Amerykanka złożyła dłonie i też zaczęła klaskać, kierując ten gest w stronę zebranych. Uśmiechnęła się do Samira, a on odwzajemnił uśmiech, jak gdyby połączyła ich wspólna tajemnica.

– Zadajesz trudne pytania, Samirze – stwierdziła wśród oklasków. – Zadawaj je nadal, dzięki temu daleko zajdziesz.

Kiedy Christer wszedł na scenę, żeby podziękować jej za wykład, spojrzałam Samirowi w oczy. Nadal miał lekko zaczerwienione policzki.

Dobra robota, powiedziałam w myślach. Dzięki, odparł bezgłośnie Samir. Chciałam dodać coś więcej, ale odwrócił wzrok. Popatrzyłam na Sebastiana, ale on rzeczywiście zasnął.

Christer wręczył Amerykance kwiaty i album o Djursholmie, po czym znowu rozległy się głośne oklaski. Kiedy impreza dobiegła końca, włączyłam telefon i wyszłam z auli. Niech ktoś inny obudzi Sebastiana. Mieliśmy okienko, a po nim cały dzień zajęć, więc nie miałam ochoty wysłuchiwać jego wynurzeń. Czuję jednak, że nie wysiedzę dziś na lekcjach, wsiadłam więc w autobus i pojechałam do domu. Mama i Lina przyjdą dopiero za kilka godzin, więc będę mogła pobyc sama z moimi myślami. Na nic innego nie było mnie w tym momencie stać.

Kiedy rozległ się dzwonek do drzwi, byłam już przebrana w domowe ciuchy i leżałam w łóżku, oglądając film na laptopie. Pomyślałam, że jeśli to Sebastian, a ja go zignoruję, to po prostu usiądzie przy drzwiach i tak długo będzie czekał, aż mu otworzę. Zeszłam więc, żeby go wpuścić.

Ale to nie był on, tylko Samir. Stał na progu z kurtką przewieszoną przez ramię. Wyglądał na zdyszanego, jak gdyby tu przybiegł.

– Mogę wejść?

Samir oparł rękę o framugę drzwi i pochylił się w moją stronę. Podeszłam

bliżej, stanęłam tuż przy nim i zaczęłam go głaskać: najpierw po skórze, potem po gęstym zaróście na ręce. Delikatnie go pocałowałam, wsunęłam mu język do ust i dotknęłam jego języka. Poczułam, jakby przeszła przeze mnie gorąca fala. Samir objął mnie w pasie.

– Jasne – odparłam. – Wejdz.

Areszt śledczy dla kobiet

24.

Kiedy mam rano wyjść na spaceriak, dzień wcześniej nie biorę tabletki na sen. Wydaje mi się, że właśnie dlatego ostatniej nocy nie spałam. Trzy razy zaczynałam oglądać film, który przyniosła mi Susse, i za pierwszym razem chyba na chwilę przysnęłam.

Teraz, kiedy mam mnóstwo wolnego czasu i coraz częściej wracam myślami do tamtego dnia, łatwiej mi poszczególne wydarzenia uporządkować. Chciałabym podzielić to, co się stało, na kilka odrębnych okresów. Pierwszy z nich obejmuje kilka tygodni w szkole tuż po naszym powrocie z rejsu po Morzu Śródziemnym, gdy czułam się tak, „jakbyśmy byli ze sobą od zawsze” (słowa Amandy). Czy tamten okres był naprawdę taki przyjemny i nieskomplikowany? Poznałam nowych przyjaciół, zaczęto się mną interesować w inny niż dotąd sposób, zasypywano mnie innymi niż dotąd komplementami. Całe nasze otoczenie – z wyjątkiem Samira – zdawało się podzielać pogląd, że nie ma bardziej naturalnej rzeczy niż mój związek z Sebastianem.

Kolejny okres był bardziej skomplikowany i zagmatwany. Za to trzeci – po tym, jak pocałowałam Samira – wywołał w moim życiu całkowity chaos.

Choć tak naprawdę wygląda to inaczej. Jeśli mam być szczerą, pierwszego i drugiego okresu nie da się od siebie oddzielić. Mam na myśli to, co wydarzyło się później. W całym tym chaosie pojedyncze, wyodrębnione okresy po prostu nie istnieją.

Na początku było ciepło i kolorowo. Pełnia lata. Może właśnie to zadziało na plus? Upał przypominał mi o rejsie po Morzu Śródziemnym i nie

pozwalał dostrzec różnych dziwnych rzeczy, które już wtedy powinnam była zauważyć. Nie chodzi mi tylko o sposób bycia Claesa, jego złośliwości i totalną obojętność, ale także o równie dziwne zachowania Sebastiana. Na początku przychodził do szkoły, ale nie zjawiał się na lekcjach. Odnosiłam wrażenie, że zawsze wie, gdzie jestem, nawet jeśli przebywałam nie tam, gdzie zgodnie z planem zajęć być powinnam. Bardzo mi się to podobało, a nawet mi schlebiało, że Sebastian interesuje się tym, gdzie jestem, bo chce być blisko mnie. Nie miało to oczywiście nic wspólnego ze stalkingiem, Sebastian bowiem ani mnie nie kontrolował, ani nie zachowywał się wobec mnie dziwnie. Kiedy uśmiechnięty stawał nagle przede mną w swoim białym T-shircie, ja też się do niego uśmiechałam. Nie było w tym nic dziwnego, skoro byliśmy w sobie zakochani. Sebastian cieszył się na mój widok, a ja byłam szczęśliwa, że mnie znalazł.

Było też jeszcze coś... Za każdym razem miał w sobie coś więcej niż tylko smutek i zatroskanie. Nie była to nienawiść, bo to zbyt proste uczucie, a jego niełatwo było zrozumieć. Nigdy się nie bałam, że mógłby mnie skrzywdzić, nawet pod sam koniec. Byłam tylko zaniepokojona. Nasz pierwszy wspólny okres był jednocześnie trudny i łatwy, straszny i cudowny.

Nienawidzę porannych wyjść na spacerki. Zwłaszcza że strażnicy zdają się przekonani, iż wyświadczają mi przysługę. Chcą, bym się cieszyła, że dzięki temu będę miała czas na inne rzeczy, na przykład te ich superzajęcia, które mają mi wypełnić większość wolnego czasu. Uważają, że dzięki temu, iż punktualnie się budzę i wstaję, mam więcej czasu na inne rzeczy. Jak gdybym miała co innego do roboty niż myślenie o paleniu. W porannym spacerze najmniej podoba mi się to, że nie mam nawet czasu za paleniem tęsknić.

Jeszcze mniej chce mi się palić, gdy rozmawiam z Doris.

Na spacerki powinnam wychodzić sama, bo chociaż śledztwo dobiegło końca, nadal obowiązują mnie obostrzenia. Muszę siedzieć w pojedynczej celi

(„dla mojego własnego dobra”) i nikomu nie wolno mnie odwiedzać. Areszt jest jednak przepełniony, więc nie starcza dnia, żeby każdemu aresztantowi zapewnić przysługujący mu czas na spacer. Dlatego niektórzy z nas wychodzą na spacerniak parami. Poza tym kierownictwo aresztu musi uwzględniać mój wiek. Nie powinnam spędzać zbyt wiele czasu bez kontaktowania się z innymi ludźmi. Za trzymanie młodych aresztantów pod kluczem przez dwadzieścia trzy godziny na dobę bez umożliwienia im kontaktów z innymi aresztantami można się narazić na krytykę Amnesty International. Ferdinand uwielbia opowieści o AI i próbuje mi wyjaśnić, że to dlatego kierownictwo aresztu próbuje mnie namówić, abym jak najczęściej spotykała się z kapłanem, psychologiem i pedagogiem i nie chodziła po spacerniaku sama.

Doris ma sześćdziesiąt kilka lat. Tak naprawdę nie ma na imię Doris, ale powinna. Kierownictwo aresztu uznało, że to ona najlepiej spośród innych osadzonych nadaje się do tego, by dotrzymywać mi towarzystwa. Można powiedzieć, że stanowi idealne alibi wobec oczekiwań Amnesty.

To, co się stało, było niezaplanowane. Kiedy było już po wszystkim, wstydziłam się tak samo jak Samir. Tak, było mi naprawdę wstyd.

– Nigdy bym z nim nie poszła do łóżka – zapewniałam Sebastiana (a przy okazji samą siebie) po weekendzie spędzonym z Georgiem i Margaretą.

– To był pierwszy i ostatni raz! – powiedzieliśmy sobie z Samirem po tym, co się wydarzyło w Dzień Świętej Łucji.

Tak, to nie mogło się znów zdarzyć. I nawet nie musieliśmy tego sobie powtarzać. Po prostu wiedzieliśmy, że tak właśnie powinno być. A jednak powtarzaliśmy to zdanie i to tyle razy, aż w końcu znowu do tego doszło. A potem kolejny raz. I następny.

Samir dzwonił do mnie, wysyłał mi esemesy, a ja milczałam, kasowałam wiadomości, żałowałam, że to zrobiłam, odpisywałam i znowu żałowałam. Widywaliśmy się w szkole, najczęściej w bibliotece, naszym tajemniczym

lesie, do którego nikt inny nie miał wstępu. To się działo naprawdę. Kiedy tylko go widziałam, wszystko działo się naprawdę. Wszystko inne nam przeszkadzało. W tamtym okresie, to znaczy w grudniu, moje życie było w stanie ciągłego zawirowania, dwadzieścia cztery godziny na dobę. I trwało to do czasu, aż wziął mnie Samir. Potem nastąpił dalszy okres zawirowania, po którym Samir znowu mną zawładnął...

Zawsze uważałam, że ludzie, którzy podcinają sobie żyły, bo chcą sobie ulżyć na duszy i zmierzyć się z życiem, postępują dziwnie. Lecz można powiedzieć, że pod pewnym względem tego samego doświadczałam w kontaktach z Samirem. Przebywanie z nim było dla mnie tak cudowne, że aż sprawiało ból. Czasem nawet mi się wydawało, że to cudowne uczucie jest właśnie efektem owego bólu. Jednocześnie uważałam, że nie mogę z nim zerwać właśnie ze względu na wszystko to, czym nie był.

Samir nie był przez cały czas na granicy załamania nerwowego. Nie chciał przez cały czas robić czegoś innego niż to, co robił. Nie oczekiwał, że każdy go rozpozna, o coś zagadnie, że inni będą wokół niego tańczyć, poświęcać mu całą swoją uwagę i puszcząć go przodem. Samir wziął mnie dlatego, że po prostu miał na to ochotę. Niczego więcej nie oczekiwał, takie przynajmniej odniosłam wrażenie. Uprawialiśmy seks wszędzie tam, gdzie nie powinniśmy tego robić: w moim domu (gdy rodzice byli w pracy, a Lina w przedszkolu), na wagarach (Samir miał wtedy okienko) albo w jednej ze szkolnych toalet (dwa dni po Dniu Świętej Łucji). Szkoła była otwarta, bo nasz chór miał wieczorem próbę w auli. Nikogo w chórze nie znaleźliśmy. I właśnie wtedy, gdy czułam na sobie dotyk jego dłoni, pomyślałam, że tak musi być.

Jeśli zwiążę się z nim, stracę Sebastiana. Samir nie był Sebastianem, wprost przeciwnie. Może więc tego chciałam? Może właśnie dlatego?

Samir nie był księciem z bajki, który miał mnie uratować, tylko zatrutym jabłkiem. Jednak gdy przez tych kilka krótkich dni nasz romans kwitł

w najlepsze, nie miało to dla mnie żadnego znaczenia. Pytania w stylu „Dlaczego akurat Samir?” nie były na tyle ważne, abym chciała z nim zerwać. Uważałam, że to błąd, że nie powinnam tego ciągnąć, a mimo to nie umiałam tego przeciąć.

W czasie pobytu na spacerunku Doris siedzi na cementowej ławce w niewielkiej odległości ode mnie i wypala jednego skręta za drugim. Robi to w takim tempie, że przez cały czas ma w ustach papierosa. Unoszący się nad nią dym sprawia, że przypomina garnek z lekko odsuniętą pokrywką. Nie odzywa się do mnie nawet wtedy, kiedy się z nią witam. Nie patrzy na mnie, nie kiwa głową, nie mruczy od niechcenia. Któregoś dnia, gdy padał deszcz, usłyszałam, jak wzdycha, bo miała problem z użyciem zapalniczki. Nie poprosiła mnie jednak, abym jej przypaliła moją, tylko tak długo się męczyła, aż w końcu jej się udało. Zapaliła papierosa i wydała z siebie dźwięk przypominający jęk albo westchnienie. Myślę, że po prostu odetchnęła z ulgą, może z radością. Takim specjalnym rodzajem „radości Doris”.

Pamiętam, że gdy miałam dwanaście lat, spytałam mamę, ile trzeba mieć lat, żeby iść z kimś pierwszy raz do łóżka. Odpowiedziała, że jeśli chcę się z kimś kochać tak bardzo, że jest mi najzupełniej obojętne, co o tym pomyślą inni, bo wolałabym umrzeć, niż z tego zrezygnować, to znaczy, że już do tego dojrzałam. Sądzę jednak, że powiedziała tak tylko po to, żeby mi pokazać, iż seks jest cool i ona też jest cool. Pomyślałam wtedy, że to wstrętne, że tak udaje. A jednak okazało się, że miała rację. Ten jeden raz musiałam jej przyznać rację. Dopiero gdy zaczęłam chodzić z Sebastianem, zrozumiałam, co miała na myśli. Kiedy głaskał mnie po ręce, topniałam jak wosk i wtedy rozumiałam sens jej słów. Wprawdzie nadal uważałam, że mama jest żałosna, ale dotarło do mnie to, co mi chciała przekazać. Potem, gdy Sebastian przestał na mnie działać tak jak na początku, gotowa byłam zrobić cokolwiek i z kimkolwiek, byle tylko zaznać tego uczucia ponownie. À propos Samira...

on nie był „kimkolwiek” i na pewno nie robił „czegokolwiek”. Wprawiał mnie jednak w taki stan, że nie umiałam z tej przyjemności zrezygnować, chociaż był dość skomplikowanym człowiekiem, nawet wtedy. Samir okazał się pewnym wariantem radości, ale sam mnie tą radością nigdy nie napełnił.

Doris ma równie ekscytującą osobowość co mokra szmata. Wyróżniają ją stożkowate kształty i jest gruba „po amerykańsku”. Przypomina mi zabawkę, którą miałam w dzieciństwie, a mianowicie zbiór różnokolorowych, okrągłych, plastikowych klocków z dziurką w środku, które nakładałam na pręt umocowany na podkładce. Robi się to w takiej kolejności, żeby największy klocek leżał na samym dole. Za czasów młodości mojej mamy popularne były sprężyny Slinky, które umiały „schodzić po schodach”. Kiedy Doris nie tkwi w bezruchu, porusza się powoli, jakby ktoś nakładał jeden klocek na drugi.

Kiedyś spytałam Susse, za co Doris siedzi. W odpowiedzi usłyszałam, że nie wolno jej rozmawiać o takich sprawach. Jednak bez względu na to, za co ją skazano, bardziej bym się zdziwiła, widząc ją na wolności niż za kratami. Jeśli w jakiejś encyklopedii z dziewiętnastego wieku odszukamy hasło „kobieta-więzień”, znajdziemy fotografię w kolorze sepia. Przedstawia ona osobę, która do złudzenia przypomina Doris – z wyjątkiem ubrania, bo Doris nie nosi więziennego stroju, tylko wkłada grube skarpety, crocksy, miękkie spodnie, polar, a okrywa się obszerną kurtką przeciwdeszczową z kieszeniami wielkości kubłów na śmieci. Całkiem możliwe, że przechowuje w nich tytoń albo świeży miot utopionych kociąt.

Za każdym razem, gdy widzę ją na spacerunku, snuję fantazje na temat przestępstw, jakich mogła się dopuścić. Kiedy przypisuję jej nowe zbrodnie, traktuję to jako wyzwanie, bo to wcale nie taka prosta rzecz. Doris jest za stara, żeby ją tu wsadzili za zabicie noworodka, i zbyt tłusta, żeby mogła zamordować swojego faceta (chyba że po prostu na nim usiadła). Trudno mi sobie zresztą wyobrazić, by ktokolwiek chciał się z nią wiązać na dłużej. Nie

sądzę też, aby na całym świecie istniał jakiś facet, o którego dbała na tyle długo, żeby na nim w końcu usiąść. Doris jest najbrzydszą kobietą, jaką widziałam w całym swoim życiu.

Kiedy Samir zaczął chodzić do naszej szkoły, od razu zauważyłam, że jest ładny. Nie przystojny, tylko właśnie ładny. Gdybyśmy kogoś o niego spytali, usłyszelibyśmy w odpowiedzi, że nie uroda była w nim najważniejsza. Ludziom się zawsze wydaje, że ładne osoby mają szczególnie bogate wnętrze, są mądre, miłe, wesołe i tak dalej. Tak czy inaczej, właśnie te cechy były najważniejszym „majątkiem” Samira. Powiedziałabym nawet, że decydującym. Jego mądre komentarze i dobre oceny szkolne, jak również polityczne zaangażowanie i wszystko to, co umiał, a czego nie umieli inni chłopcy w jego wieku, byłoby nie do zniesienia, gdyby nie ta jego smągła skóra i ciemnobrązowe oczy, prawie tak czarne jak jego śmiesznie długie rzęsy. Kiedy na mnie patrzył, moje oczy robiły się bezbarwne jak krople deszczu. Pachniał smołą i solą i był najładniejszym chłopakiem, jakiego spotkałam w całym swoim życiu. Czy więc jego uroda mogła być nieważna?

Doris ma ziemistą cerę i śmierdzi jak zmokły pies. Ostatnio wyobrażałam sobie, że jest burdelmama, która zatrudnia najgorsze kurwy uprowadzone z rodzin w biednych krajach Europy Wschodniej. Wyobrażałam sobie, jak siedzi przy staromodnym bakelitowym telefonie z poskręcany przewodem, pali te swoje szarobrązowe papierosy, odbiera telefony i przyjmuje zamówienia na świadczenie ponizających usług seksualnych, które zleca później „stajni” swoich dwunastoletnich narkomanek. Do pomocy ma pół tuzina niewolników z nieświeżym oddechem i poplamionymi brodami. Doszłam do wniosku, że to pewnie któryś z nich ją wsypał: zadzwonił na policję, bo nie chciała mu zapłacić.

Dzisiaj rozważam inne teorie: według pierwszej z nich Doris prowadziła księgowość dla narkotykowego bossa, ale nie chciała przeciwko niemu

zeznać, bo mógł ją zabić; według drugiej zaś przygotowała ładunek wybuchowy dla swojego najmłodszego syna, który jest jej pomagierem, ma trądzik i pracuje dla rosyjskiej mafii. Być może Doris mówi płynnie po szwedzku i tylko udaje, że jest niema, bo w rzeczywistości urodziła się w naszym kraju. Niewykluczone, że w dzieciństwie chciała zostać aktorką, ale ponieważ była za brzydka, nie dostała się do szkoły teatralnej, więc zaczęła pić, przeszła załamanie i po dwóch latach zatrudniła się jako matka zastępcza, bo to dobrze płatne zajęcie. Może któreś z tych dzieci zjadło w szkolnej stołówce zbyt dużą porcję sałatki z borówek i kapusty i karetka zabrała je do szpitala? Po zbadaniu lekarze orzekli, że Doris w ogóle o te dzieci nie dba, i dlatego teraz siedzi na spacerunku i w ogóle się nie odzywa.

Całymi dniami nie mam nic do roboty, więc puszczam wodze fantazji. Doris może stanowić przykład najbardziej skutecznej kampanii antynikotynowej, z jaką kiedykolwiek miałam do czynienia.

– Wyobraź sobie miejsce, w którym czujesz się bezpiecznie – mawiała moja mama, gdy byłam dziewczynką i nie mogłam zasnąć.

Zamykałam więc oczy i udawałam, że to właśnie robię. Teraz robię to bez przerwy. Kiedy przychodzi weekend, zaczyna mnie boleć głowa. Czuję się tak, jak gdyby zardzewiałe tryby pożerały mi mózg, milimetr po milimetrze. Rzadko myślę o tym, co jest teraz. Najczęściej wyobrażam sobie miejsca, w których nikogo nie ma.

Wynajduję takie, w których można się czuć bezpiecznie. Plaże, morza, równiny, pustynie z zachodami słońca i podmuchami wiatru. Czasem wyobrażam sobie las: jest jesień, chodzę na bosaka po mchu, igły opadłe z drzew kłują mnie w skórę, glina przykleja mi się do palców. Nie twierdzę, że nienawidzę aresztu, umiem się odnaleźć w mojej samotności. W areszcie nie da się być kimś innym, ale ma on tę zaletę, że czasem można nie być kimkolwiek. Chociaż to pozytywne uczucie trwa zaledwie kilka sekund

(i przypomina to, co czujemy na chwilę przed zbyt mocnym zaciśnięciem paska) i przez tę krótką chwilę czuję się troszkę lepiej.

Wyobrażam sobie na przykład, że spaceruję po plaży. Nie dlatego, że jestem na niej sama, tylko dlatego, że łatwo sobie taką sytuację wyobrazić. Plaża jest długa, pełna szarych muszelek, pokryta białym piaskiem, wodorostami i kawałkami drewna naniesionymi przez fale. Zaczął się odpływ. Woda się cofa, piasek staje się twardy i zbity jak asfalt. Daleko na horyzoncie fale uderzają o czarne klify, które wznoszą się nad zatoką. Wzburzone i spienione fale odbijają się od nich i unoszą kilka metrów w górę. Słyszę to i czuję. Nawet jeśli morze jest spokojne, to i tak jest w ciągłym ruchu. W każdym miejscu. Wiem, że brzmi to trochę jak akcja filmu, w którym Ryan Gosling idzie po plaży ze swoją dziewczyną, a wiatr zawiewa jej włosy na twarz. Nie znoszę takich filmów, ale wyobrażam sobie takie miejsca. Tyle że bez ludzi.

W moich fantazjach wszystkie takie miejsca są zawsze puste. Jeśli jednak kogoś sobie tam wyobrażam, za każdym razem jest to Samir, Sebastian albo Amanda. Mój mózg zmusza mnie do myślenia o nich. Nie radzę sobie z tą sytuacją. Metoda mamy przestaje działać.

W dni kiedy przebywam z Doris na spacerniaku, wolny czas spędzam później w celi. Jestem izolowana od innych aresztantów, dla mojego dobra, chociaż wiem, że to tylko wymówka. Nie posadzili mnie w pojedynczej celi, żebym czuła się bezpiecznie, tylko po to, by wszyscy normalni ludzie mogli czuć się niezagrożeni i żyć w przekonaniu, że przebywam pod właściwym nadzorem. A jednak... mimo grzyba nad metalową umywalką (robi się już wyrzucenie, które przypomina brzuch ryby), mimo tabletek nasennych, które mi przynoszą (kiedy się potem budzę, język mam twardy i suchy jak kołek), mimo zapachu, do którego wciąż nie mogę się przyzwyczaić, chociaż nigdy się nie zmienia i trochę mi przypomina zapach w szkolnej stołówce (mieszanka

woni kuchennej i śmierdzących tenisówek)... mimo tego wszystkiego jestem zadowolona z takiej izolacji, bo mogę rozmyślać o morzu, plaży, lesie i wszystkich kliszowatych miejscach. Każde z nich jest przeciwieństwem aresztu. Nie sądzę, abym mogła czuć się bezpiecznie w domu, w lesie czy na plaży. Za to tutaj, gdy leżę na łóżku w zamkniętej na klucz celi i myślę o tamtych miejscach, czuję się trochę pewniej.

Są też myśli zabronione, w których Amanda, Samir i Sebastian nie występują. Zakaz obejmuje mój rodzinny dom, drogę do jeziora, rowerową wycieczkę do Ekudden z Liną w koszu na zakupy, kąpiele przy wieży skoków tuż obok klubu Barracuda, chodzenie na bosaka po Aludden, odganianie mrówek ze stóp Liny, grillowanie w Cykelnyckelön, czytanie na głos na kanapie z Liną na kolanach, siedzenie na kuchennych schodach z nogami owiniętymi kaszmirowym kocem mamy i picie herbaty, pocące się dłonie Liny, gdy fragment książki, którą jej czytam, wywołuje w niej strach, moja nocna lampka, która po włączeniu zaczyna po pewnym czasie brzęczeć, horrory oglądane wspólnie z Liną, palce klejące się od ciepłego popcornu z masłem, Lina, która je pączek i nie oblizuje ust, Lina, która zaciska oczy i marszczy nos, gdy nacieram jej policzki kremem do opalania.

Najbardziej zakazaną myślą, bardziej od innych, jest ta, w której występuje Lina.

Zamknij oczy i wyobraź sobie jakieś miejsce, gdziekolwiek, byle tylko nie było w nim Liny.

Kiedy rozprawa dobiegnie końca i usłyszę wyrok, będę musiała opuścić areszt. Wprawdzie nie pytałam o to Sandera, ale i tak mi oznajmił, że kiedy sytuacja wyjaśni się do końca, złożę wniosek, aby sąd skazał mnie na pobyt w ośrodku wychowawczym dla trudnej młodzieży. Może to być jednak skomplikowane, bo skończyłam już osiemnaście lat.

Spytałam go, czy po wyroku będę mogła pozostać w areszcie, ale Sander

uznał to za żart. Tyle że ja wcale nie żartowałam.

Jeśli nagle zachoruję, przeniosą mnie w nowe miejsce w późniejszym czasie. Dokądkolwiek trafię, przestanę być sama. Dla Sandera i wielu innych osób najgorszą rzeczą w areszcie jest izolacja. Tymczasem ze mną jest odwrotnie: trudno mi sobie wyobrazić, jak bez niej wytrzymam. Wokół mnie pojawi się nagle mnóstwo ludzi. Będą ze mną rozmawiać, zaczepiać mnie, zadawać pytania, siadać obok mnie przy stole, żądać odpowiedzi.

Czy będę tęsknić za Liną? Chyba tak, ale nawet nie chcę o tym myśleć.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Drugi tydzień procesu — poniedziałek

25.

Kiedy jedziemy do sądu, pada deszcz. Po szybie w samochodzie spływają strumyczki wody, tworząc na niej drobną, nieregularną siatkę. Sander przyjechał po mnie do aresztu, żeby w drodze do sądu omówić ze mną pewne rzeczy.

– Dobrze spałaś? – pyta.

Kiwam głową, że tak.

Kiedy byłam mała, myślałam, że jak komuś przyśnił się zły sen, powinien o nim komuś opowiedzieć, bo inaczej ów senny koszmar stanie się jawą. A wystarczyło przecież opowiedzieć go na głos i koszmar znowu stawał się tylko złym snem. Bez obawy, że wydarzy się naprawdę.

W bajkach o trollach jest tak, że pod wpływem słońca zamieniają się w kamień, a potem pękają. Myślę, że wiem, co to może znaczyć: wystarczy wyciągnąć na światło dzienne jakąś straszną rzecz, a ona od razu przestanie nią być. Niestety, w rzeczywistości z tymi naprawdę strasznymi rzeczami jest odwrotnie. Dlaczego? Bo zbyt dużo „słońca”, zbyt dużo „prawdy”, zbyt dużo „odkrywania się” czy „opowiadania o tym, co kto naprawdę myśli”, jak również zbyt odważne „dzielenie się prawdą o swoich problemach”... bo wszystko to prowadzi do tego, że ludzie zaczynają cię uważać za potwora. Brzydkie myśli rzucają się w oczy tak samo jak owłosione brodawki.

Słońce oślepia czasem tych, którzy mają do czynienia z trollami. Blask bijący od potwora może sprawić, że staje się on nagle najpiękniejszy na świecie. Tak właśnie było z Sebastianem. Blask, który od niego bił, był tak silny, że trudno było zauważyć coś więcej niż to, że jest synem Claesa

Fagermana, świetnym organizatorem imprez, fajnym kumplem. Jednak pod tą powłoką ukrywał się prawdziwy Sebastian.

Przestałam wierzyć, że zdołam się pozbyć nieszczęść, opisując je słowami. Rzeczy dzieją się najwidoczniej niezależnie od tego, co mówię. Na to, co jest najgorsze, takie rzeczy jak przesady, zabobony, gusła, statystyki i rachunek prawdopodobieństwa nie mają żadnego wpływu.

– Dziękuję, dobrze – odpowiadam Sanderowi, bo czy moje samopoczucie ma jakiegokolwiek znaczenie...

Znowu obserwuję to, co dzieje się na ulicach. W samochodzie szumi nawiew, jego wnętrze wypełnia ciepłe powietrze. Jest za gorąco, ale nie narzekam.

Kiedy byłam mała, opowiadałam o moich fantazjach, snach i o tym, co sobie wyobrażałam. Wszyscy mnie wtedy słuchali. Tata sadzał mnie na kolanach i mówił, że uwielbia tę moją „żywą fantazję”. Kiedy podrosłam i przestałam mu siadać na kolanach, wszystko się zmieniło. Tata już nie chciał, żebym mu opowiadała o moich dziwnych fantazjach. Za to lubił, gdy w sposób krytyczny i zdystansowany komentowałam wypowiedzi innych osób. Wtedy naprawdę mnie słuchał, a czasem nawet się śmiał. Jeśli się czymś za bardzo ekscytowałam, mówił, że jestem żalosna, i robił taką minę, jak gdyby w ogóle mnie nie słuchał. W takich momentach starał się okazywać jak najmniej zainteresowania. Czasem musiałam szeptać monotonnym, pozbawionym melodii głosem, żeby tylko nie usłyszeć z jego ust, że mam się uspokoić.

Ale nie tylko on był taki. Podobnie zachowywał się Sebastian. Samir zresztą też, a po tym, jak poszliśmy ze sobą do łóżka, nawet bardziej niż Sebastian („Spokojnie, Maju, co się tak nakręcasz?”). Wszyscy faceci robią się tacy, gdy kobieta pójdzie z nimi do łóżka. Każda dziewczyna o tym wie.

Dziewczynom nie wolno się śmiać z własnych dowcipów i nie powinny mówić zbyt szybkim, a nie daj Boże podniesionym głosem. Dziewczyna, która

zbyt głośno opowiada o swoich sprawach, równie dobrze mogłaby się wysikać albo pokazać cycki w miejscu publicznym. Menstruacyjne, nastoletnie, kobiece hormony.

Tata lubił moje fantazje jedynie teoretycznie, bo tak naprawdę się ich bał. Teraz nie tylko on się boi. Moje fantazje stanowią część tego, co zdaniem ludzi jest istotą mojej osobowości – stanowią dowód na to, jak bardzo jestem niebezpieczna i trudna do upilnowania. Dlatego nie opowiadam ani o moich koszmarach, ani o tym, czego się boję. Przestałam wierzyć, że dzięki temu zło zniknie. Przesady nie są pomocne w kontaktach z rzeczywistością. Hipochondrycy zapadają na śmiertelne choroby równie często jak wszyscy inni ludzie.

W końcu podjeżdżamy pod sąd i parkujemy. Wsiadamy z wozu, jedziemy windą na górę. Zastanawiam się, co Sander chce ze mną omówić? Dopiero teraz do mnie dociera, że przez całą drogę milczał. Patrzy na mnie i wzrusza ramionami. Przez chwilę mi się wydaje, że chce mnie poklepać po policzku, tak jak kiedyś robił to dziadek.

– Dobrze się trzymasz – mówi Sander. – Nawet bardzo dobrze.

On zawsze słucha tego, co mu chcę powiedzieć. Nawet, jeśli milczę.

W sali rozpraw jest dzisiaj ciemniej niż zwykle. I to nie dlatego, że przez okna wpada mniej światła, tylko dlatego, że otula nas szary, wilgotny zmierzch. Nawet tu, w środku budynku, powietrze jest suche, niemal duszące. Czujemy to jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy. Do końca zostały nam dwa tygodnie, a mnie się wydaje, że proces trwa już całą wieczność. Wiem już, jak to wszystko funkcjonuje.

Zaczynamy o dziesiątej, kończymy o czwartej, a w piątek, jeśli się uda, jeszcze wcześniej. Kiedy Sander wyjaśnił mi ten schemat, nie sądziłam, że dni będą mi się tak dłużyć. Nie wiedziałam, że jeśli ktoś jest czymś śmiertelnie

znudzony, może go ogarnąć wielkie znużenie. Nie docierało do mnie, że mój własny proces może być aż tak nudny. Wystąpienia pani prokurator, odczytywanie na głos treści protokołów, raportów i ekspertyz („wrócimy do nich”, gdy przyjdzie pora na świadków, którzy odczytają je na głos), kolejne protokoły, kolejne ekspertyzy.

Więcej niż połowę zeszłego tygodnia zajęło wystąpienie pani prokurator, która zapoznawała nas z tym, do czego „zamierzamy jeszcze wrócić”. To się chyba nigdy nie skończy. Proces zamienił się w koszmar, w którym przez cały czas czegoś szukamy, ale nie możemy znaleźć, bo zapomnieliśmy, gdzie to leży; czasem przypomina sytuację, gdy próbujemy krzyczeć we śnie i głos odmawia nam posłuszeństwa, a gdy już się przełamujemy, brzmi jak charkot wydobywający się z gardła. To nie jest okropny sen w tym sensie, że czegoś tak bardzo się boimy, że aż pocimy się ze strachu. A jednak wiemy, że sprawy idą w złym kierunku i że nie zdołamy tego powstrzymać.

Sander przedstawi dzisiaj moją wersję wydarzeń (korzystając z własnych ekspertyz, do których „wróci później”). Wyjaśnił mi, że zamierza uzasadnić, dlaczego naszym zdaniem powinnam zostać uniewinniona.

Sander nigdy nie twierdził, że wszystko dobrze się skończy. Nie okłamywał mnie. Wprawdzie Ferdinand kilka razy mnie zapewniała, że nie muszę się o nic niepokoić, ale nawet ona nie ukrywa, że w to nie wierzy. A ponieważ tego, co czuję, nie da się wyjaśnić moim „niepokojem”, nawet nie komentuję jej słów. Mam też w nosie opinię Naleśnika.

Tuż przed dziesiątą pan sędzia wyciera nos w chusteczkę i włącza mikrofon. Jeden z ławników ziewa i nawet nie zasłania ust. Żaden z nich nie siedzi wyprostowany, jak podczas pierwszych dwóch dni procesu. Dopiero zaczynamy, a oni już są znudzeni bardziej niż ochroniarze przed drzwiami. Tylko Sander zachowuje się inaczej. Widać, że jest w dobrej formie.

Powtarza, że dzielnie się trzymam.

Zaraz po tym, jak sędzia ogłosił: „Początek posiedzenie sądu w sprawie numer B 147 66” i wybąkał: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego” (albo może „...jako w niebie, tak i na ziemi...”), głos zabiera Sander.

– Zdaniem pani prokurator „Maja Norberg jest winna zabójstwa, podżegania do zabójstwa, współuczestnictwa w zabójstwie i próby zabójstwa”.

Wątpię, czy zebranej na sali publiczności trzeba o tym przypominać, ale Sander uważa, że należy zacząć właśnie od tak ogranej formułki.

– Maja Norberg nie przyznaje się do winy – kontynuuje Sander i teraz to on wyrzuca z siebie setki słów.

Powtarza, co na pierwszym posiedzeniu powiedział o moim stosunku do głównych zarzutów. Czuję, jak ogarnia mnie nuda, najchętniej bym stąd wyszła. W pewnej chwili Sander zmienia barwę głosu, mówi o ton ciszej. Od tego momentu, żeby go zrozumieć, trzeba wyęczać słuch.

– Pani prokurator uważa, że Maja Norberg podżęgała do zabójstwa dokonanego na Claesie Fagermanie, że planowała i popełniła wymienione przestępstwa w liceum w Djursholmie...

Sander przemawia lodowatym tonem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Zarzuty pani prokurator są absurdalne, nieprawdziwe i niemożliwe”. Sugeruje, że wystąpienie Leny Pärsson było tak niedorzeczne, że nawet on nie jest w stanie podejść do jej słów ze zrozumieniem. Swoją mowę kończy czymś, co przypomina westchnienie.

– Maja Norberg nie przyznaje się do żadnego z tych zarzutów.

Potem rozgląda się po sali. Ten sam ławnik co poprzednio ziewa, znudzony, choć tym razem robi to nieco dyskretniej. Sander kontynuuje swoją wypowiedź.

– Opis zarzutów wysuniętych wobec oskarżonej przedstawiony nam przez

panią prokurator zawiera... hm... zastanawiam się, jakich słów powinienem użyć... hm... powiem tak: oględnie rzecz ujmując, jest to charakterystyka dość dziwnego mordercy.

Pani prokurator wierci się na krześle. Nie wygląda na zasną, jest najwyraźniej poirytowana. Wbija wzrok w sędziego, aby zwrócić jego uwagę.

Sander cedzi słowa, wygląda na zadowolonego, unosi głowę, jak gdyby w tym momencie wpadło mu do niej coś nowego.

– Obraz Mai przedstawiony przez panią prokurator jest w pewnym sensie jedyny w swoim rodzaju. Powiedziałbym nawet unikalny.

Próbuję wyglądać normalnie, jak całkowite przeciwieństwo osoby „unikalnej”. Chcę wszystkim pokazać, że jestem zwykłą dziewczyną. Dlaczego Sander powiedział, że mój obraz przedstawiony przez panią prokurator jest jedyny w swoim rodzaju? Czy to źle? A może to dobry obraz? Sander odniósł się do tego w taki sposób, jakby chodziło o dżumę dymieniczą albo o masową zbrodnię. W tym momencie nikt na mnie nie patrzy. Wszyscy są skupieni na Sanderze, jakby nie chcieli uronić z jego wypowiedzi choćby jednej sylaby.

– Czy Maja taka jest? – spytał Sander, a ja aż się wzdrygnęłam. Jego pytanie spadło na mnie jak uderzenie bicia. – Czy Maja naprawdę jest morderczynią, o której mówiła nam pani prokurator?

Pani prokurator szura krzesłem po podłodze. Widać po niej, że nie może już usiedzieć i jest naprawdę wzburzona.

Sander nie odpowiada na zadane przez siebie pytania. Odpowiedzi zawisły w powietrzu. Nie mówi o moim uprzywilejowanym statusie ani o tym, że pochodzę z Djursholmu, jestem szczęśliwą wybranką losu, mam różny od innych stosunek do rzeczywistości i żyję w izolacji – o tym wszystkim wspomniała już wcześniej pani prokurator. Retoryczne pytanie, jakie zadaje Sander, brzmi inaczej, a mianowicie: czy jestem w unikalny sposób zła.

Statystycznie rzecz ujmując, wszystko przemawia na moją niekorzyść. Już

sam fakt, że jestem kobietą, czyni mało prawdopodobnym przypuszczenie, iż mogłabym przyjść do szkoły i dokonać takiej masakry. Oczywiście, historia zna przypadki kobiet, które dokonywały zabójstw w szkołach, ale było ich naprawdę niewiele. Za to Sebastian, który przez całe swoje życie był kimś „unikalnym”, mógłby uchodzić za prawie idealnego „typowego zabójcę szkolnego”. Abstrahując od faktu, że wywodzi się z jednej z najbogatszych rodzin w Szwecji, wszystko inne pasuje do wzorca: biały chłopak z zaburzeniami psychicznymi, który umie się obchodzić z bronią, jest narkomanem, ma problemy w szkole, a jego rodzice żyją w separacji. Sander cytuje w swoim wystąpieniu ocenę eksperta – lekarza psychiatry – którego zamierza wezwać na świadka.

– To nie Maja doprowadziła Sebastiana do szaleństwa – zezna psychiatra. – Chłopak zwariował na własne życzenie. Maja nie jest typem kogoś, kto przynosi do szkoły broń, żeby zabić.

Statystycznie rzecz ujmując, Sander zdobywa punkt. Powinnam więc zostać uniewinniona. Niestety, problem polega na tym, że każdy zabójca jest inny. Poza tym kobiety-zabójczynie zawsze miały męskiego współnika. Sander tego oczywiście nie powie, ale prokurator znajdzie niejednego eksperta, który o tym przypomni.

W końcu pani prokurator ma już chyba serdecznie dość uwag Sandera. Włącza mikrofon, ściąga usta, które w tym momencie przypominają śliwkę, i mówi:

– Czy pan mecenas mógłby... przynajmniej ze względu na mijający czas... skoncentrować się na wystąpieniu i oszczędzić nam swoich komentarzy?

Sędzia kręci głową. On też wygląda na poirytowanego, ale nie z powodu Sandera, tylko Leny Pärsson. Widać, że nie lubi, gdy mu ktoś podpowiada, jak ma prowadzić proces.

– Pan mecenas Sander świetnie się orientuje, ile ma czasu na swoje

wystąpienie – mówi sędzia. – Prawda, panie mecenasie?

Sander kiwa głową i kontynuuje swoje wystąpienie. Wyraźnie widać, że jest podbudowany komentarzem sędziego.

– Opis zdarzeń przedstawiony przez panią prokurator jest wprost niesamowity. Podobno cały świat jest zafascynowany Mają i Sebastianem. Podobno w całej historii Szwecji stanowią oni najbardziej niesamowitą parę, jaka kiedykolwiek dopuściła się wspólnie takiej zbrodni. Pani prokurator pomagali w stworzeniu tej wersji inni, zwłaszcza dziennikarze, którzy przez ostatnie dziewięć miesięcy zdążyli opisać, jak to Maja Norberg namówiła... przepraszam... „zmanipulowała” swojego słabego, niedojrzałego pod względem umysłowym i ograniczonego w czynach chłopaka do takiego stopnia, że dopuścił się krwawej zemsty na ludziach z ich najbliższego otoczenia.

Pani prokurator wzdycha. Robi to na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. Jej westchnienie ma świadczyć o tym, iż nigdy czegoś podobnego nie twierdziła. Tymczasem jest odwrotnie. Może nie powiedziała tego wprost, ale wszyscy i tak wiedzą, co miała na myśli. Sędzia unosi rękę i wykonuje nią w powietrzu niechętny ruch, jak gdyby chciał wysłać Sanderowi komunikat: „Niech pan przejdzie do rzeczy. Baba jest pyskata, ale ma rację. Wróci pan do tej sprawy później”. Spuszczam wzrok na stół. Wiem, o co chodzi Sanderowi, który nie przestaje mówić o mnie i Sebastianie.

– Wszyscy wiemy, jaka jest prawda. Maja i Sebastian byli parą młodych ludzi, mieli problemy z narkotykami i alkoholem, ze szkołą i ze sobą, z rodzicami i z przyjaciółmi. Pani prokurator próbuje udowodnić, że Maja szukała bezgranicznej akceptacji, a wobec ludzi z jej kręgu, jak również z bliskiego otoczenia Sebastiana, odczuwała nieuzasadnioną nienawiść. Pani prokurator twierdzi też, że Sebastian miał słabą kondycję psychiczną, czuł się zagrożony i niedoceniany, a Maja była jego jedynym oparciem w życiu

i dlatego to u niej szukał akceptacji.

Pani prokurator znowu wzdycha, tym razem trochę głośniej niż poprzednio. Niezrażony tym Sander kontynuuje swój wywód:

– Pani prokurator opowiedziała nam o wydarzeniach, które poprzedziły zabójstwo Claesa Fagermana i tragedię, do której doszło w szkole w Djursholmie. Maja zgadza się z dużą częścią tego opisu, ale ma zasadnicze zastrzeżenia.

Sander dyskretnie wzdycha. Zagląda do swoich notatek i przez chwilę przewraca w milczeniu kartki. Tak naprawdę nie potrzebuje do nich zaglądać, chce nam tylko dać trochę czasu, żebyśmy się zastanowili nad jego słowami. Za chwilę będzie kontynuował mowę.

Widząc, że Sander zakończył pierwszą część swojego wystąpienia, pan sędzia sięga po notes. Lubię, kiedy słucha i coś notuje. Czasem, gdy Lena Pärsson mówi zbyt szybko, unosi rękę i daje jej znak, żeby zwolniła. Podczas gdy opisywała esemes, który nocą przed wydarzeniami w szkole wysłałam do Sebastiana, sędzia poprosił ją, aby się uciszyła, bo zamierza coś zanotować. Powiedział nawet: „...ciiiii...”, chociaż pewnie nie o to mu chodziło, bo zaraz dodał: „Chwileczkę”. I Lena Pärsson faktycznie ucichła. Sędzia chciał zapisać wszystkie odniesienia czasowe w swoim własnym notesie, chociaż te same dane znajdowały się w aktach, a pani prokurator odczytywała je z kartek swoim nauczycielskim tonem i wyświetlała na ekranie. Lubię, gdy sędzia to robi. Świadczy to o tym, że do swoich obowiązków podchodzi na poważnie i nie ufa temu, co mówi Pärsson.

Sander kontynuuje.

– To wyjątkowo głośna sprawa. Wszyscy wysłuchaliśmy wersji przedstawionej przez panią prokurator. Beztrosko informowała o niej media i to przez bardzo długi czas. Teraz przyszła nasza kolej, teraz to my zrobimy krok do przodu. Maja będzie w końcu mogła zaprezentować swoją wersję

wydarzeń. Proszę, abyście jej państwo wysłuchali. Otwórzcie wasze umysły i pamiętajcie, że dopiero po zbadaniu wszystkich dowodów i wysłuchaniu świadków będziemy mogli podsumować, co wiemy, co jest faktem, a co jedynie spekulacją. Dopiero po zakończeniu przewodu sądowego będziemy mogli porównać fakty, którymi dysponujemy w sprawie, z tym, co zezna Maja.

Pani prokurator wydała z siebie kolejny dźwięk, jak gdyby chciała powiedzieć: „Niech pan nie rozmawia z nami jak z istotami pozbawionymi rozumu”.

Na dany przez Sandera znak Ferdinand wstaje z krzesła i podchodzi do stolika, na którym stoi komputer. Bierze do ręki niewielki gadżet, który jest podłączony do obu wielkich ekranów wiszących na sali i przypomina z wyglądu ołówek. Będzie nim pokazywać elementy obrazów wyświetlanych na ekranach. Ów gadżet to wskaźnik laserowy, który świeci na ekranie czerwonym punktem.

Pani Laser, myślę i chce mi się śmiać. W ostatniej chwili udaje mi się zamienić śmiech w kaszel. Ferdinand klika w klawiaturę i na ekranie pojawia się film nagrany przez kamerę monitoringu przy podjeździe domu Sebastiana. W rogu ekranu widać skalę, która odmierza czas. Nagranie jest pozbawione dźwięku.

– Co już wiemy? – zaczyna drugą część swojego wystąpienia Sander. – Zacznijmy od chronologii. Maja zeznała, że z domu Fagermana wyszła po trzeciej nad ranem. Nagranie z kamery monitoringu pokazuje, że mówiła prawdę. Maja wyszła stamtąd dwadzieścia po trzeciej. Zeznała, że wróciła tam tego samego dnia tuż przed ósmą. Nagranie z kamer monitoringu potwierdza jej wersję.

Sander chrząknął i skinął na Ferdinanda, a ona wyświetliła na ekranie wydruk przesłuchania jednego z ochroniarzy Fagermana.

– Według słów ochroniarza ostatni kontakt telefoniczny miał on z panem

Fagermanem już po tym, jak Maja wyszła z domu o trzeciej dwadzieścia. Jaki z tego wniosek? Że gdy Maja stamtąd wychodziła, Fagerman jeszcze żył.

Ferdinand wraca do nagrania i przesuwa czerwonym kursorem po ekranie.

– Obejrzyjmy to jeszcze raz. Kamera monitoringu przy podjeździe domu Fagermana pokazuje, jak Maja Norberg opuszcza dom o trzeciej dwadzieścia nad ranem i wraca dopiero o siódmej czterdzieści cztery.

Sander chrząka i czeka do końca sekwencji. Oba nagrania zostały ze sobą zmontowane, dzięki czemu najpierw widzimy, jak wychodzę, a zaraz potem, jak wchodzę do domu. Ferdinand zakreśla czerwonym kursorem kółka wokół cyfr na skali czasu.

– W protokole z sekcji zwłok czytamy, że Claes Fagerman zmarł dwie godziny przed powrotem Mai do willi. Pamiętamy, że Maja wróciła tam przed ósmą. Claes Fagerman został zastrzelony około piątej nad ranem. Potwierdzają to wyniki obdukcji wykonanej przez lekarza medycyny sądowej, który przybył na miejsce, a później sporządził protokół z sekcji zwłok. Z dokumentu wynika więc, że Fagerman został zastrzelony, gdy Mai nie było w jego domu. Maja zeznała, że w tym samym czasie, to znaczy mniej więcej między trzecią trzydzieści a ósmą rano, znajdowała się w swoim domu w odległości kilometra od posiadłości Fagermanów. Jej wersję potwierdza nie tylko ochroniarz, który tamtego dnia pilnował wjazdu na posesję, ale także jej rodzice.

Kątem oka widzę, jak pani prokurator kręci głową. Uważa, że całe to wystąpienie jest niepotrzebne, a Sander powinien przejść do rzeczy. Kiedy jednak ona miała swoje wystąpienie, sprawy, o których mówi Sander, nie zostały aż tak wyraźnie uwypuklone. Trudniej też było zrozumieć, o co jej chodzi.

– Możemy więc uznać za udowodnione, że Claes Fagerman zmarł w czasie, gdy Maja przebywała w swoim domu. Jej wersja zgadza się też z opisem

zdarzeń przedstawionym przez panią prokurator. Moja klientka nie ma zastrzeżeń w tym konkretnym względzie.

Sander nie powinien chyba wspominać o esemesie, tylko udać, że ten w ogóle nie istniał. Wiem jednak, że nie może tego zrobić.

– Co się działo, gdy Maja wróciła do swojego domu? Co się działo, gdy tam jechała, a potem wracała do willi Fagermanów? W swoim wystąpieniu pani prokurator przeszła w tym względzie od tego, co wiemy na pewno, do fazy spekulacji.

Ferdinand wyświetla na ekranie esemesy, którymi wymieniliśmy się nocą z Sebastianem, te same, które prokurator omawiała w czasie swojego wystąpienia. Na ich widok od razu dostaję gęsiej skórki. Tak samo się czułam w zeszłym tygodniu, gdy prokurator odczytywała ich treść w sali. Nie chciałam ich znowu oglądać, nigdy więcej. Sander wraca do przerwane go wątku.

– Wersja zdarzeń zaprezentowana przez panią prokurator zawiera wiele stwierdzeń, z którymi moja klientka nie może się zgodzić. Niech państwo pozwolą, że szybko przypomnę, co Maja zeznała. Powiedziała mianowicie, że Claes Fagerman wszczął gwałtowną kłótnię ze swoim synem. Trwała ona także po tym, jak młodzież biorąca udział w imprezie opuściła willę. Maja i Sebastian poszli na spacer, a gdy wrócili, kłótnia między ojcem a synem odżyła. Sebastian i Fagerman kłócą się także w chwili, gdy Maja wychodzi z willi i idzie do swojego domu, żeby się przespać. Jak więc widać, wersja Mai jest do tego momentu zgodna z tym, co się faktycznie wydarzyło.

Impreza. Na samą myśl o niej robi mi się niedobrze. Po tym, jak Claes wyrzucił z domu Dennisa, Labbego, Amandę i całą resztę, w willi zrobiło się zupełnie cicho. Z początku bardzo mi się ta cisza podobała, ale wkrótce potem Claes zaczął wrzeszczeć i to nie tylko na Sebastiana, ale i na mnie. Oboje musieliśmy stamtąd wyjść. Poszliśmy na bardzo długi spacer. Byłam

w strachu, ojciec Sebastiana naprawdę mnie przeraził. Kiedy tak siedział w swoim gabinecie i rozmawiał z ludźmi, którym płacił za to, żeby jemu żyło się lepiej, człowiek czuł się wprost oślepiony bijącym od niego blaskiem. Tyle że jako ojciec Sebastiana był zupełnie innym człowiekiem.

Kiedy wróciliśmy, Claes czekał na nas w kuchni. Siedział w szlafroku i nie miał nawet gazety, żeby się czymś zająć. Trudno go było poznać. Wyglądał, jak gdyby zmył z twarzy cały makijaż, chociaż nigdy przedtem nie widziałam, żeby taki makijaż nakładał. Nawet wówczas, gdy występował w telewizji.

Godzinę wcześniej, zanim wyrzucił wszystkich z domu, wydawał nam się gigantem o wiele większym niż zwykle. Teraz jednak, gdy wszyscy poszli do domu, a on przestał krzyczeć, stał się jakby niższy i brzydszy. Cały blask biznesmena, który jeszcze niedawno od niego bił, w jednej chwili zbladł. Przy stole siedział zwykły blady facet w szlafroku. Przypominał białą rybę, która krąży w czarnej wodzie tuż nad dnem głębokiego oceanu. Ojciec Sebastiana karmił się ciemnością i jednokomórkowcami. Było to po nim widać. Nigdy wcześniej nie nienawidziłam go bardziej niż wtedy.

– Ale...

Sander unosi swój wypiełgnowany palec wskazujący. Wszyscy czekają na wniosek, który zamierza wyciągnąć z całej tej historii. Czekamy, aż nam wyjaśni, z którymi fragmentami wersji przedstawionej przez panią prokurator się nie zgadzam. Obserwuję, jak czerwony kursor przesuwa się po ekranie i zatrzymuje na pierwszym esemesie. Tak, to mój pierwszy esemes.

„Poradzimy sobie bez niego. Nie potrzebujesz go. Twój tata jest wstrętny”.

Reszty nie czytam.

Tamtej nocy wysłałam więcej esemesów. Teraz wszyscy mogą je przeczytać. Spuszczam wzrok na stół.

„Zasługuje na śmierć”.

26.

– Zanim Maja wróciła do willi Fagermanów, zdążyła wysłać Sebastianowi dziewięć esemesów. On odpowiedział trzema, a oprócz tego dwa razy do niej dzwonił. O czym ze sobą rozmawiali? Pani prokurator twierdzi, że w trakcie tych rozmów uzgadniali plan. Pierwsza z nich trwała dwie minuty i czterdzieści pięć sekund. Rozmawiali zaraz po tym, jak Maja opuściła willę Sebastiana, ale przed jej dotarciem do domu. Druga rozmowa odbyła się tuż przed jej wyjściem z domu do Sebastiana. I trwała niecałą minutę.

Sander spogląda na Ferdinand, która znowu sięga po laserowy wskaźnik i ustawia kursor na billingu, w którym są zaznaczone obie rozmowy. Czerwony kursor lekko drży. Czy ktoś rozumie, dlaczego napisałam, że Claes jest wstrętnym człowiekiem? Że najgorsze wcale nie było to, iż uchylał się od swoich obowiązków wobec Sebastiana, tylko to, co naprawdę zrobił?

Sebastian nie zauważał złych stron swego ojca, bo go ubóstwiał. Claes stanowił dla niego wzór. Ale tamtej nocy w końcu do niego dotarło to, co i tak już wiedział. Mimo to w chwili, gdy wychodził z willi, był chyba bardziej zmęczony niż zły. Kłótnia, spacer i rozmowa ze mną wyczerpały go. Myślałam, że wróci do domu i położy się spać. Czy byłam zła? Nie wiem. Moje uczucia przez długi czas się nie liczyły, bo na pierwszym miejscu zawsze był on. Kiedy po moim pierwszym esemesie („Co mam zrobić?”) wysłał mi odpowiedź, chciałam pokazać, że jestem po jego stronie, dać mu do zrozumienia, że wiem, jaki naprawdę jest jego ojciec, że sobie bez niego poradzi i wszystko się jakoś ułoży. Claes nie był go wart, nie miał prawa poniżać swojego syna.

„Poradzimy sobie bez niego. Nie potrzebujesz go”.

Wolę nie czytać ostatnich słów. Napisałam Sebastianowi, że Claes zasługuje na śmierć. I naprawdę tak uważałam.

Sander nie opowiada, co wtedy czułam, chociaż mu to dokładnie opisałam. Znowu unosi palec, tym razem wyżej niż poprzednio, jak gdyby od nas żądał, żebyśmy go uważnie posłuchali.

– Czego dowiadujemy się z tego billingu? Po pierwsze: Sebastian i Maja rozmawiali ze sobą i wymieniali między sobą esemesy. Nie wiemy, o czym rozmawiali. Znamy za to treść esemesów. Czy jednak wiemy, co one znaczą? –

Sander unosi palec jeszcze wyżej. – Maja przyznała, że nie lubiła Fagermana, bo zaniedbywał rodzicielskie obowiązki. Swoją opinię oparła na obserwacjach: widziała, jak Claes traktuje Sebastiana. Jednak nigdy nie zrobiła czegoś, z czego można by wysnuć wniosek, jakoby sugerowała Sebastianowi, by zabił ojca. Nie ma też podstaw do stwierdzenia, że to, co powiedziała, nosi znamiona czynu określanego w prawie mianem „podżegania do popełnienia przestępstwa”.

Tyle że ja naprawdę chciałam jego śmierci. Jak Sander poradzi sobie z tą kwestią?

– Za chwilę wrócę do kwestii, czy chodzi tu o czyn popełniony z premedytacją i czy esemes o treści „Zasłużył na śmierć” oznacza, że Maja chciała, aby Sebastian zabił swojego ojca, czy może jedynie że zajęła co najmniej obojętne stanowisko w sytuacji, gdyby Sebastian zrozumiał jej esemes jako zachętę do zabicia ojca. Uważamy, że nie może tu być mowy o działaniu z premedytacją. Istnieje jednak jeszcze ważniejszy powód, dla którego pani prokurator nie zdołała dostarczyć nam mocnego dowodu na potwierdzenie tezy, że mamy do czynienia z podżeganiem do zabójstwa. Sebastian i tak chciał zabić ojca i Maja nie musiała go do tego namawiać. Później wrócę do tego wątku.

Dziennikarze uwielbiają takie rzeczy. Nie widzę ich, ale czuję, jak bardzo

są skupieni, aby nie uronić choćby jednego słowa. Wyteżają uwagę i wsłuchują się w zdania o złym cesarzu i miliarderze Fagermanie, który traktował swojego syna jak nieposłusznego niewolnika. Podoba im się, że Sander robi z niego potwora i że wpuści ich do jego domu, bo dzięki temu dowiedzą się, jak bardzo poniżał Sebastiana, jak go wyzywał, obrażał, odseparował od rodziny i prawie go z niej usunął. Ojciec, który poważnie traktuje swoje rodzicielskie obowiązki, powinien okazać synowi należyłą troskę i otaczać go opieką. Tymczasem Claes nim pogardzał. Nie widzę dziennikarzy, ale wiem, że są podekscytowani nowymi faktami, a temperatura na sali rośnie. Chcą o nich opowiedzieć, chociaż zapomnieli, że jeszcze niedawno pisali o sprawie zupełnie inaczej. Wkrótce dostarczą swoim czytelnikom i widzom materiał o najbogatszym człowieku w Szwecji. Claes Fagerman – miliarder, który popchnął swojego syna do masowej zbrodni. Należy się spodziewać, że cała ta sprawa odbije się na notowaniach giełdowych. Z punktu widzenia dziennikarzy to kolejna korzyść. Uważają, że to świetna historia.

– Wróćmy do naszej osi czasu. Wiemy już, że Maja przebywała w willi Fagermanów przez jedenaście minut, potem wsiadła z Sebastianem do jednego z samochodów Fagermana i razem pojechali do liceum w Djursholmie. W wozie mieli dwie torby. Pani prokurator twierdzi, że Maja orientowała się, co w nich jest, jeszcze zanim pomogła Sebastianowi włożyć je do samochodu. Pani prokurator uważa, że Maja poznała ich zawartość najpóźniej podczas trwającego jedenaście minut pobytu w willi Fagermana około godziny ósmej w dniu, w którym doszło do zbrodni. – Sander opuszcza w końcu rękę. – Maja nie zgadza się z tymi zarzutami. Tezę, jakoby Sebastian zwierzył jej się z tego, co planował i co potem zrobił, należy uznać za czyste spekulacje pani prokurator. Kiedy jechali do szkoły, Maja nie wiedziała, że Sebastian zabił ojca. Nie dowiedziała się też od niego, co zamierzał zrobić w szkole. Myślała,

że Sebastian postanowił nie nocować w domu przez kilka kolejnych nocy i dlatego zabrał ze sobą rzeczy osobiste. Sądziła, że zamierza przenocować na którymś z rodzinnych jachtów i pojedzie tam z torbami po lekcjach. Czy powinna go spytać, co w nich jest? Czy mogła się domyślić, że Sebastian zabił ojca? Kiedy było już po wszystkim i przesłuchiowano ją w tej sprawie, zeznała, że powinna była to zrobić. Ale przecież nie możemy jej zarzucać, że tego nie zrobiła. Nie możemy też spekulować, co by się stało, gdyby to zrobiła. Czy Sebastian zabiłby ją, ochroniarzy i dopiero potem pojechał do szkoły? Być może. Dzisiaj już się tego nie dowiemy. Poza tym z punktu widzenia postawionych zarzutów jest to nieistotne. Najważniejsze jest bowiem to, że pani prokurator nie udało się udowodnić, jakoby Maja zaplanowała z Sebastianem któreś z zabójstw. Pani prokurator nie udało się nawet wykazać, że Maja wiedziała, iż Sebastian snuł takie plany.

„Masz się wynieść z mojego domu”. Claes powiedział tak do Sebastiana, gdy wszyscy byliśmy jeszcze w willi. Nie tylko ja to słyszałam. Claes wydał swoim ochroniarzom polecenie. „Daję mu dwadzieścia cztery godziny. Potem wymieńcie zamki. Od tej pory pod żadnym pozorem nie wolno mu wejść na teren posiadłości. Czy to jasne? Nie chcę mieć z nim do czynienia. Jest już dorosły, nie odpowiadam za niego. Niech się wynosi. Mam tego wszystkiego dość. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zabierze go stąd policja”.

Sander nie wspomina o tym epizodzie, ale ochroniarze i tak zostaną później przesłuchani. Sander dopiero wtedy ich o to zapyta.

Teraz znowu unosi palec.

– Maja nie знаła planów Sebastiana. Nie pomagała mu ani w planowaniu, ani w przygotowaniach. Nie pomogła mu też w realizacji jego planu, ani pośrednio, ani bezpośrednio. W tym tygodniu będziemy jeszcze mieć okazję podyskutować o lukach w przedstawionej przez panią prokurator wersji, ale już teraz chciałbym nawiązać do materiału dowodowego w formie pisemnej,

jaki nam przedstawiła. Czy wskazuje on na to, iż Maja wiedziała, że w torbach nie ma osobistych rzeczy Sebastiana? Czy wiedziała, że jest w nich broń i materiał wybuchowy? Odpowiedź brzmi: nie, nie wiedziała.

Ferdinand wyświetla na ekranie protokół, o którym wspomniała pani prokurator, ale tym razem to my pokazujemy go sądowi i publiczności i komentujemy zgodnie z naszym punktem widzenia.

– Właścicielem całej broni, jaka pojawia się w śledztwie, był Claes Fagerman. Przed śmiercią przechowywał ją w specjalnej szafie zabezpieczonej tajnym kodem dostępu. Maja go nie знаła. Torby należały do Sebastiana. Maja nie pomagała mu ani w ich pakowaniu, ani w przygotowaniach. Później wrócimy do badań laboratoryjnych i wykazemy, że potwierdzają one wersję Mai.

Odnoszę wrażenie, że zaprezentowana przez Sanderę wersja przestaje się trzymać kupy. Mimo to sędzia wsłuchuje się uważnie w jego słowa, a ławnicy nie mają już takich znudzonych min. Sander opowiada, jak pojechaliśmy do szkoły, ile czasu nam to zajęło i gdzie zaparkowaliśmy samochód. Ferdinand pokazuje to wszystko laserowym wskaźnikiem na ekranie. Naleśnik szuka czegoś w segregatorach, co pewien czas podaje Sanderowi różne dokumenty.

Sander przypomina, że kiedy przyjechaliśmy na miejsce, Sebastian włożył jedną z toreb do mojej szafki. To w niej znajdowała się bomba.

Pytano mnie z sześćdziesiąt trzy razy, dlaczego mu na to pozwoliłam, dlaczego się zgodziłam, żeby „włożył bombę do mojej szafki”. Pani prokurator spytała mnie – podobnie jak zrobiła to policja w trakcie przesłuchań – dlaczego nie kazałam Sebastianowi zostawić toreb w samochodzie. Po co przyniósł je do szkoły, skoro zamierzał zabrać je na jacht?

Powiem szczerze: Sebastian nawet mnie nie spytał o zgodę na zostawienie torby w szafce, tylko ją tam po prostu włożył. Zresztą i tak bym mu nie odmówiła.

„Jeśli twoim zdaniem zostawienie w szafce torby nie było dziwne, to czy nie powinien włożyć do niej obu toreb? Czy to, że Sebastian zabrał do klasy torbę pełną jakichś rzeczy, nie wydało ci się dziwne?”.

Odpowiedź brzmi: na drugą torbę zabrakło w szafce miejsca. Sebastian nie mógł włożyć do niej obu toreb. Dlaczego wybrał moją szafkę zamiast swojej? Sebastian nie miał przy sobie klucza. Zresztą w ogóle go nie miał. W każdym razie nigdy nie widziałam, żeby ze swojej szafki korzystał. Jeśli potrzebował, korzystał z mojej. Używał też moich książek, długopisów, papieru... i robił to tylko wtedy, kiedy musiał, czyli rzadko. Natomiast to, że drugą torbę zabrał do klasy, zamiast zostawić ją w samochodzie, wcale nie było takie dziwne.

Kiedy Sander przestał opowiadać o szafkach i torbach, zrobił krótką przerwę, żeby Ferdinand wyświetliła na ekranie kolejny slajd. Zawierał on szkic naszej klasy. Czuję, jak robi mi się niedobrze. Zastanawiam się, czy nie zatkać dłońmi uszu, ale wiem, że nie wolno mi tego zrobić. Mam słuchać i zachowywać się tak, żeby wszyscy uwierzyli, iż potrafię przez to przejść.

– Dokładnego przebiegu wydarzeń w klasie nie udało się ustalić. Zgodnie z tym, czego dowiedzieliśmy się od Mai, miał on następujący przebieg: po wejściu do środka Sebastian kładzie torbę na jednej z ławek stojących w tyle klasy. – Ferdinand wskazuje to miejsce czerwonym kursorem. – Zaraz po wejściu otwiera torbę i wyjmuje z niej Broń numer jeden, półautomatyczny karabin myśliwski marki Remington kaliber trzysta osiem W, zarejestrowany na Claesa Fagermana. Kiedy Sebastian otwiera ogień, Maja stoi tuż za nim. Broń numer jeden załadowana jest standardowym magazynkiem zawierającym cztery kule. Sebastian oddaje dwa strzały i trafia Dennisa... – Ferdinand pokazuje wskaźnikiem zaznaczone cyfrą „jeden” miejsce, w którym zginął Dennis. – Sebastian opróżnia komorę, wkłada do niej nowy standardowy magazynek i oddaje kolejne strzały... – Ferdinand pokazuje miejsca zajmowane przez Christera i Samira. – Nie odkłada broni, potrzebuje dwóch

sekund, żeby ją ponownie załadować. Kiedy przestaje strzelać, Maja wyjmuje Broń numer dwa. Ten egzemplarz też jest zarejestrowany na Claesa Fagermana. Karabin leży w otwartej torbie, Maja go widzi. To ten sam model, co Broń numer jeden. Ten karabin też posiada standardowy magazynek na cztery pociski. Jedna kula jest już w lufie.

Ferdinand przesuwając czerwony kursor na miejsce, w którym stała Amanda, w chwili gdy trafiła ją kula. Potem przenosi kursor na cyfrę oznaczającą Sebastiana i klika w klawiaturę. Na ekranie widać, jak cyfry oznaczające Sebastiana i Amandę zaczynają się ruszać, podobnie jak moje „kółko” (nie mam własnej cyfry, tylko kółko).

– Z dużą dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić, że broń, którą Maja wyjmuje z torby, jest odbezpieczona. Maja o tym nie wie. W chwili gdy próbuje ją odbezpieczyć, przypadkowo oddaje najpierw jeden, a potem drugi strzał. Kilka sekund później magazynek jest pusty.

Ferdinand pokazuje wskaźnikiem kolejne cyfry zaznaczone na rysunku. Przemieszczają się po ekranie do momentu, aż wszystkie trafiają na swoje miejsce. Od razu przypomina mi się „ruchomy blok rysunkowy” dziadka. Kiedy byłam małą dziewczynką, pokazywał mi pewną sztuczkę. Na kolejnych kartkach bloku rysował człowieczka z kresek. Kiedy się te kartki szybko przerzucało, człowieczek jakby biegł. Pewnego razu dziadek narysował ludzika, który zamierzał się powiesić. Na ostatniej kartce był już martwy. Babcia była z tego niezadowolona.

– Kiedy jest już po wszystkim, Maja czeka na przyjazd policji i karetki pogotowia, a gdy na miejscu zjawiają się funkcjonariusze, Maja nie stawia oporu i oddaje się w ich ręce.

Wprawdzie akta śledztwa zawierają mnóstwo zdjęć zrobionych w klasie po usunięciu zwłok, ale Sander ich nie pokazuje. Wyświetla wyłącznie rysunki i szkice złożone z punktów, cyfr i kresek. Żadnej krwi. W mojej opowieści,

a właściwie w opowieści Sander, krew się nie pojawi.

– W tym momencie dotarliśmy do jądra opisu zdarzeń przedstawionego przez panią prokurator – kontynuuje Sander, patrząc na mnie z boku. – Pani prokurator uważa, że Maja i Sebastian planowali zastrzelić wszystkie osoby, doprowadzić do wybuchu bomby umieszczonej w szafce Mai, a na końcu popełnić samobójstwo. Pani prokurator uważa, że gdy Maja oddała pierwsze strzały z Broni numer dwa, miała zamiar zabić Amandę. Twierdzi też, że zastrzeliła ją z premedytacją, a Sebastiana zabiła w sytuacji, która nie była obroną konieczną.

Sander robi przerwę. W tym momencie na sali już nikt nie ziewa. Ławnicy siedzą wyprostowani i patrzą na mnie. Naleśnik podaje mi papierową serwetkę. Biorę ją i zwijam. Sander ponownie zabiera głos. Mówi ciszej niż przedtem.

– Nie przyznajemy się do zarzucanych czynów. Maja niczego z Sebastianem nie planowała. Kiedy zjawia się w jego willi, żeby pojechać z nim do szkoły, nie wie, że Claes nie żyje. Nikt jej o tym nie informuje. Maja nie wie, co znajduje się w torbach. Możemy się tylko domyślać, co wydarzyło się między ojcem a synem w czasie, gdy Maja przebywała w swoim domu. Może doszło do kłótni, która w pewnym momencie osiągnęła taki poziom, że Sebastian postanowił zastrzelić ojca? Może już wcześniej zamierzał to zrobić? Możliwe, ale na tym procesie nie będziemy się rozwodzić nad motywami i czynami Sebastiana. Jedynym zadaniem sądu jest bowiem ustalenie roli, jaką odegrała Maja. Kiedy dochodzi do strzelaniny, Maja jest przerażona. Sięga po broń, którą Sebastian przyniósł do klasy, ale tylko po to, żeby go powstrzymać i uratować siebie i innych uczniów w klasie. Sebastian błyskawicznie zabija swoje pierwsze trzy ofiary. Maja nigdy nie posługiwała się bronią, poza tym jest przerażona. Kiedy oddaje pierwszy strzał, trafia Amandę Steel. Tyle że wcale nie zamierzała tego zrobić. Nie umie posługiwać się bronią, którą

wyjęła z torby. W czasie śledztwa wyjaśniła, że pierwszy strzał padł w momencie, gdy próbowała odbezpieczyć karabin. Kiedy broń wypaliła, Maja tak bardzo się przeraziła, że nieświadomie oddała drugi strzał. Dopiero potem udało jej się zapanować nad bronią. Strzeliła trzeci raz i trafiła Sebastiana. Przez cały ten czas znajdowała się w sytuacji zagrożenia życia. Uznała, że jedynym sposobem na jego ocalenie jest wyjęcie z torby broni, którą Sebastian przyniósł do szkoły, i użycie jej w obronie własnej.

Sander wstaje z krzesła, bo nie jest w stanie dłużej na nim wysiedzieć. Podchodzi do Ferdinanda, bierze od niej laserowy wskaźnik i zaczyna nim przesuwając po rysunku widocznym na ekranie, chociaż nie robi tego w jakimś konkretnym celu.

– Czy z akt śledztwa wynika, że Maja i Sebastian wszystko to zaplanowali? Nie. Czy Maja wiedziała o jego planach? Nie. Czy pani prokurator zdołała udowodnić, że Maja z premedytacją zabiła Amandę? Nie. Odpowiedzi na wszystkie te pytania są jasne i jednoznaczne: nie, prokuratura nie zdołała udowodnić żadnego z zarzutów. Czy Maja zabiła Sebastiana w samoobronie? Oczywiście, że tak.

Pani prokurator znowu włącza mikrofon. Po jej głosie słychać, że jest mocno wkurzona.

– Muszę w tym miejscu zaprotestować. Czy my naprawdę żądamy zbyt wiele od pana mecenasa? Prosimy tylko o to, aby trzymał się opisu zdarzeń. Czy pan mecenas mógłby powrócić do wygłaszania mowy obronnej na końcu swego wystąpienia?

Sędzia kiwa niechętnie głową.

– Panie mecenasie?

W tym momencie Sander odwraca się w moją stronę i gwałtownie opuszcza rękę. Czerwony kursor trafia mnie w ramię. Wzdrygam się. Sander wygląda na wzburzonego, ale chyba nie przejmuje się komentarzami sędziego i pani

prokurator. Żeby go uciszyć, będą musieli go wyrzucić z sali. Odnoszę wrażenie, że Sander przestał się zwracać do sędziego.

– Proszę mi wyjaśnić, czy to w ogóle możliwe, żeby Maja... zszokowana nastolatka w sytuacji zagrożenia życia... zachowała się inaczej? – pyta Sander i ponownie odwraca się do ławników, a ja oddycham z ulgą. – Proszę mi wyjaśnić, co państwo zrobiliby na jej miejscu? Wyjaśnijcie mi, jak można ją krytykować za to, co zrobiła?

Pani prokurator chrząka, ale robi to przesadnie głośno. Jej mikrofon nadal jest włączony.

Sędzia znowu kiwa głową, choć tym razem bardziej zdecydowanym ruchem.

– Panie mecenasie, musimy iść dalej. Jak rozumiem, chce nam pan jeszcze zaprezentować część materiału dowodowego w formie pisemnej?

Sander odwraca się do Ferdinanda. Wzrusza ramionami, oddaje jej wskaźnik i wraca na swoje miejsce. Siada na krześle i zaczyna mówić swoim zwykłym, suchym tonem.

– Tak, mamy trochę materiału dowodowego w formie drukowanej. Zamierzamy się do niego odwołać.

„Trochę”! Typowy przykład poczucia humoru adwokata Sandera. Wszyscy wiedzą, że kazał włączyć do śledztwa kilogramy papierów.

Ferdinand przytaskała na salę stos segregatorów. Każdy z ławników dostaje po jednym egzemplarzu. Pierwszy trafia do sędziego. Oprócz opinii psychiatrycznej Sebastiana sporządzonej po tym, co się wydarzyło drugiego dnia, są w nim też materiały stanowiące uzupełnienie mojego profilu osobowego, jak również kopie wszystkich ekspertyz, które Sander kazał zlecić swoim pracownikom. Nie ufał ani jednej ekspertyzie dostarczonej przez panią prokurator, zamówił zatem własne badania dotyczące broni i miejsca zbrodni. Zorganizował nawet dodatkową rekonstrukcję strzelaniny w szkole. Można

powiedzieć, że przeprowadził równoległe śledztwo.

Teraz pokaże sądowi każdy skrawek papieru, kartka po kartce. Do większości z nich „powrócimy”. Potem sędzia ogłosi przerwę na lunch, a po popołudniu znowu zrobi się cholernie nudno.

Za dwadzieścia pięć czwarta Sander wypija ostatni łyk wody i odkłada ostatni dokument. Sędzia unosi dłoń i pisze coś nerwowo w swoim notesie. Sander czeka, aż sędzia skończy.

Po chwili kładzie ręce na blacie stołu, szeroko rozkłada dłonie, prostuje się i patrzy przed siebie.

– Kiedy mamy do czynienia z trudnymi do wyjaśnienia sprawami, mówimy czasem, że słowo stoi przeciwko słowu. W tym przypadku jest łatwiej. Badania laboratoryjne wykazały, że Sebastian sam spakował torby, sam zajmował się bronią i materiałem wybuchowym i samodzielnie zaplanował swój czyn. Maja nie była obecna przy śmierci jego ojca i to ona zastrzeliła sprawcę masakry. Co wiemy o tle tej historii? Wiemy, że Sebastian miał tak duże kłopoty, że nie tylko Maja niepokoiła się o jego życie. Po incydencie, do którego doszło w Boże Narodzenie, niepokój nie opuszczał jej już ani na chwilę. Wiosną Sebastian zaczął się stawać coraz bardziej gwałtowny i trudny w obyciu. Potwierdza to kilka osób z jego najbliższego otoczenia. W końcu doszło do takiej eskalacji jego nieracjonalnego zachowania, że doprowadziło to do tragedii. Jedną z jej ofiar stała się Maja, która nigdy nie posługiwała się przemocą. Zrobiła to dopiero wówczas, gdy jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie.

Sander patrzy na mnie z boku. Nie wiem dlaczego, ale zaczynam sobie wyobrażać, że zaraz weźmie mnie za rękę. Kładę ją więc na kolana i spoglądam na sędziego, którzy patrzy mi prosto w oczy.

– Maja Norberg wystrzeliła z karabinu w swojej klasie. Zrobiła to, żeby ratować życie. Teraz przyszła kolej na nas. Teraz to my musimy ją uratować.

Drugi tydzień procesu — poniedziałek

27.

Potem zapada głucha cisza. Prawie jak w kościele, gdy ktoś wykonał wspaniałą partię solową, ale nikt nie bije mu braw. Sander znany jest w Szwecji jako najlepszy specjalista od spraw karnych. Chyba dopiero teraz do mnie dociera, że ta opinia jest w pełni uzasadniona.

Sander umie opowiadać, ale nie wiedziałam, że jest aż tak dobry w narzucaniu innym swojej opinii. Naleśnikowi brakuje tego daru, umie być tylko pewny siebie i chyba dlatego Sander nie pozwala mu przemawiać w sądzie. Wielu osobom się wydaje, że tak właśnie trzeba: wystarczy pokazać, że jest się na sto procent pewnym swoich racji, i od razu przeciągnie się ludzi na swoją stronę. Tymczasem prawda jest taka, że ta pewność siebie na nikim nie robi wrażenia. Politycy powinni zapamiętać, że ludzie chcą słyszeć zdania zakończone znakiem zapytania, że tęsknią za kimś, kto wprowadzie nie wszystko rozumie, ale za to ma jakieś propozycje. „Nie jestem pewien, czy to zadziała, ale chciałbym spróbować”.

Sander dzieli się więc publicznie swoimi wątpliwościami. Robi to stopniowo. Kiedy mówi: „Zadaliśmy sobie pytanie: czy tak to właśnie było?”, ludzie od razu nadstawiają uszu. Kiedy informuje: „Postanowiliśmy sprawdzić tę rzecz sami”, wszyscy dochodzą do wniosku, że chociaż wcześniej uważali takie zachowanie za marnotrawienie czasu i pieniędzy, bo przecież policja już wszystko zbadała, to jednak jest to wspaniały pomysł. A gdy Sander oznajmia: „Wynik tych badań nas zdumiał” albo „Udało nam się ustalić, że...”, wszyscy zaczynają go uważnie słuchać. I chociaż do tej pory byli absolutnie pewni, że Sander się myli, to jednak po jego słowach opuszczają gardę i myślą: „Hm...

a może on naprawdę ma rację?”.

Atmosfera na sali jest teraz zupełnie inna niż rano. Siedzący za mną dziennikarze muszą opisać wersję wydarzeń zaprezentowaną przez mojego adwokata. Można by pomyśleć, że zupełnie zapomnieli, co pisali poprzednio, chociaż sami układali treść artykułów. Sędzia patrzy na mnie i to nie po raz pierwszy tego dnia. A przecież wcale nie musi. Przedtem tego nie robił.

Dochodzę do wniosku, że esemesy, które wysłałam do Sebastiana, przestają mieć znaczenie. Po raz pierwszy dopuszczam myśl, że takie fakty jak ten, iż to ja niosłam torbę, a bombę znaleziono w mojej szafce, to zbyt słabe poszlaki. Mogą nie wystarczyć, żeby pani prokurator powiedziała: „To oczywiste, że chciałaś wysadzić całą szkołę w powietrze”. Snuję takie rozważania, bo mam na nie dużo czasu. Być może zmiana atmosfery na sali oznacza, że także ci, którzy w niej siedzą, zmienili opinię na mój temat i zaczęli mnie uważać za zupełnie inną osobę niż ta, którą opisywali wcześniej.

„Wolałabym umrzeć”. „Trzeba się go pozbyć”. „Zasługuje na śmierć”. Czy ktoś pisze takie rzeczy, jeśli nie zamierza kogoś zabić? Czy wolno takie zdania wypowiadać? Sander uważa, że tak. Jeśli dziewczyna zwierza się swojemu chłopakowi, że kogoś nienawidzi, nie może być mowy o czynie karalnym. Sander twierdzi, że to, co powiedziałam Sebastianowi, nie ma żadnego znaczenia, bo on i tak najpierw zabiłby ojca, a potem pojechał zabijać w szkole. Doszłoby do tego nawet wówczas, gdybym nie zrobiła tego, co zrobiłam. Może Sander ma rację? Kto wie?

– Dziękuję obronie – mówi sędzia i zaczyna zbierać swoje papiery.

Obserwuję resztę ławników – ludzi, którzy nie zadają pytań, a na mnie patrzą tylko wtedy, kiedy im się wydaje, że nie widzę.

– Rozumiem, że oskarżona przedstawi nam swoją wersję jutro?

Sander potwierdza skinieniem głowy. Nabieram powietrza. *Jutro moja kolej. Nadszedł czas.* Sędzia zerka na zegarek.

– W takim razie kończymy na dzisiaj – mówi, wkładając swoje notatki do aktówki. – Chyba że ktoś ma jeszcze coś do powiedzenia? Słyszałem, że podobno pojawił się problem z ustaleniem terminu przesłuchania powoda?

Lena Pärsson prostuje się i zdecydowanym ruchem głowy potwierdza. Jest poirytowana, ale wciąż jeszcze pamięta, że proces toczy się dalej. Niestety, ja też o tym nie zapomniałam.

Sander wykonał swoją robotę, jutro kolej na mnie. Jeśli jednak zdołał zasiać wątpliwości w umysłach zebranych na sali osób i teraz oni zastanawiają się, czy faktycznie – jak twierdzi pani prokurator – jestem zabójczynią, to i tak atmosfera niepewności jest tylko chwilowa i zbyt długo się nie utrzyma.

Pani prokurator pochyła się nad mikrofonem i puka w niego. Po moich jutrzejszych zeznaniach ponownie zabierze głos, bo nie zgadza się z argumentami Sander. Zamierza przypomnieć zebranych, że to ja zabiłam Sebastiana, swojego najlepszego przyjaciela, że broń wyjęłam z torby wcześniej, niż zeznałam, a gdy trafiłam Amandę, wcale nie mierzyłam w Sebastiana, tylko właśnie w nią. I nie był to przypadkowy strzał.

Lena Pärsson zaczyna mówić do mikrofonu.

– Jak już wcześniej informowałam wysoki sąd, powód nie może się stawić na rozprawę w tym tygodniu. Dlatego zacznę od przesłuchania świadków od numeru jeden do cztery. Zostali oni poinformowani o zmianie i zgodzili się na nowy termin. Zgodnie z poleceniem sądu poprosiłam powoda, aby stawił się w sali w poniedziałek o dziesiątej rano. Myślę, że zajmie nam to cały dzień.

Kątem oka patrzę na Naleśnika. Widzę, że nie wygląda na zadowolonego. Przeciwnie, ma taką minę, jakbyśmy ten proces już przegrywali. Przypomniało mi się, co na samym początku powiedział mi jeden ze strażników w areszcie, gdy odprowadzał mnie do celi: „Chyba zdajesz sobie sprawę, że Sander tej sprawy nie wygra? Takie gwiazdy palestry jak on nigdy nie wygrywają.

Podejmują się obrony najgorszych przestępców, chociaż wiedzą, że tamci są winni, tylko z jednego powodu: uwielbiają beznadziejne przypadki, które potem przegrywają. Żaden z nich nie przegrał bardziej niż Sander”.

Naleśnik na pewno wie, że gdy słynny adwokat podejmuje się takiej sprawy jak moja, nie robi tego po to, żeby wygrać, chce jedynie wszystkim pokazać, iż gotów jest przegrać dla zasady, która brzmi: „Wszyscy mają prawo do obrony, nawet najgorsi przestępcy”.

Publiczność lubi go słuchać, oglądać „proroka” w akcji. Wiem jednak, że mój los jest nieunikniony. Zrobiłam, co zrobiłam, poza tym ktoś mi wtedy towarzyszył. Mam prawo do najlepszego adwokata w Szwecji. Ale nie mam prawa wygrać tej sprawy.

Sędzia uderza młotkiem w stół. A ja czuję się, jak gdyby uderzył mnie prosto w czoło. *Zasługujesz na śmierć.*

– W takim razie wszystko jest jasne. Powód Samir Said stawi się w sądzie w poniedziałek o godzinie dziesiątej rano. Do widzenia.

Ja i Samir

28.

– Dyplom w toalecie? – spytał Samir, wchodząc z głośnym, dźwięcznym śmiechem do mojego pokoju. Położył się na łóżku i założył ręce za głowę. –

Czy ludzie naprawdę wieszają dyplomy w łazience dla gości, żeby wszyscy mogli przeczytać, że gospodarz chodził nie tylko do Wyższej Szkoły Handlowej, ale i na INSEAD?

Odpowiedziałam beztroskim uśmiechem i podeszłam do okna, żeby otworzyć je na oścież, bo w pokoju zrobiło się duszno. Była sobota rano, tydzień przed Bożym Narodzeniem. Pięć dni temu Samir po raz pierwszy mnie pocałował, teraz spędził ze mną noc. Co miałam powiedzieć? Sebastian wyjechał na weekend do RPA na polowanie. Moi rodzice byli z Liną w Londynie. Żadna z tych osób nie wróci do Sztokholmu wcześniej niż za dobę.

– To taki żart mojego taty, przejaw ironii. Uważa, że to cool. A tak naprawdę nie chce się przyznać, że dyplom jest dla niego ważny.

– Łazienka dla gości – powtórzył Samir i znowu się roześmiał. – A gdzie swoje świadectwa powiesiła mama? W pokoju gościnnym?

Nie, mama nigdy by tego nie zrobiła, chociaż w szkole miała lepsze oceny niż tata. Kiedyś w skrzyni na strychu znalazłam ich świadectwa. Kiedy jej o tym powiedziałam, nie była zadowolona. Powiedziałabym nawet, że się zdenerwowała. Zaskoczyło mnie to.

– Na uniwersytecie też miałam lepsze oceny – wyjaśniła. – Przez pierwsze cztery semestry prawa byłam najlepszą studentką na roku.

Jak gdybym zrobiła coś brzydkiego albo ją obraziła...

Moi rodzice są dziwnymi ludźmi, choć każde na swój sposób. Podeszłam

do łóżka i usiadłam obok Samira.

– Tacie zależy na pokazaniu, że na swoją obecną pozycję ciężko zapracował. Jednak zdecydowanie ważniejsze jest dla niego coś innego: chce udowodnić, że jest człowiekiem bezpretensjonalnym.

Samir chwycił mnie za włosy, przyciągnął do siebie i pocałował. Język wsunął mi do ust trochę za głęboko. Ostatniej nocy mieliśmy dla siebie więcej czasu, byliśmy pewni, że nikt nas nie nakryje. Przez sześć dni kochaliśmy się pięć razy. W ciągu ostatniej doby robiliśmy to aż trzy razy. Dziwnie się czułam, gdy budziłam się i zasypiałam obok niego. Jego palce miały zupełnie inny dotyk. Poza tym nie byłam przyzwyczajona do oglądania całego nagiego Samira.

– Powiedziałaś, że na swoją pozycję zapracował sobie ciężką pracą – powtórzył Samir, kręcąc z rozbawieniem głową. – Co chce przez to pokazać? Czy on nie mieszkał w tym samym internacie co Labbe?

– Tak, ale...

Domyślałam się, do czego Samir zmierza, tyle że człowiek ma przecież prawo być dumny z tego, co zrobił, nawet jeśli nie wychowywał się na ulicy.

– Mój tata mieszkał w internacie nie dlatego, że jego rodzice byli bogaci, tylko dlatego, że oboje mieszkali za granicą. Po prostu nie miał innego wyjścia.

– Rozumiem – mruknął Samir do mojej szyi, przyciskając swoje krocze do mojego. – Musiało mu być bardzo ciężko. Biedny, biedny tatuś.

Samir znowu się roześmiał, ale w końcu zamilkł. Zaczął ściągać ze mnie T-shirt, a ja przyglądałam się naszemu zamazanemu odbiciu w oknie. Samir położył dłoń na moim brzuchu i zaczął całować moje piersi. Odchyliłam się i położyłam na plecach w takiej pozycji, żeby głowa i włosy znalazły się na brzegu łóżka. Z tego miejsca mogłam widzieć nasze odbicie w szybie. Uwielbiałam oglądać jego kanciaste ciało, czuć dotyk jego dłoni

i obserwować, jak mnie bierze. Nie był ostrożny ani doświadczony, ale pragnęłam go coraz bardziej. Wprost marzyłam, żeby brał mnie coraz mocniej. Chciałam słyszeć z bliska jego oddech. Razem wyglądaliśmy naprawdę ładnie.

To ja decydowałam o tym, jak się będziemy kochać. Właściwie musiałam to robić. Samir chętnie inicjował nasze stosunki, ale resztę zostawiał mnie. To ja mu wszystko pokazywałam i sterowałam nim. Jeśli kładłam się na plecach, kochaliśmy się właśnie w tej pozycji; jeśli siadałam na nim albo chciałam to robić od tyłu, Samir nie protestował i dostosowywał się do moich życzeń. Jeśli nim nie kierowałam, denerwował się.

– Daj spokój – mówił, jeśli nie ściągnęłam rajstop albo majtek, nie rozchyliłam nóg albo nie zrobiłam czegoś, żeby łatwiej mógł we mnie wejść.

Za każdym razem musiałam mu podpowiadać: „zdejmij mi majtki, rozchyl mi nogi, wejdź we mnie...”. Dopiero wtedy wykazywał inicjatywę.

Kiedy było już po wszystkim, położyłam się przy nim. Samir na wprost siedział naprzeciw mnie z głową na poduszce i nawijał lok swoich ciemnych włosów na palec. Spojrzał na mnie i poczułam ssanie w żołądku. *Mogłoby nam być razem dobrze*, pomyślałam. *Ale najpierw muszę zerwać z Sebastianem.*

– Co będziesz robił w ferie zimowe? – spytałam.

Samir nie odpowiedział. Przymknął oczy, przeciągnął mnie na swoją stronę łóżka i zmusił, żebym przy nim leżała. Potem znowu mnie pocałował, a ja wsunęłam palce między jego gęste włosy. Łóżko było zbyt wąskie, żeby pomieścić nas w takiej pozycji. Myślałam, że za chwilę zsunę się na podłogę.

W tym momencie mój telefon zaczął emitować pulsujące światło. Dźwięk był wyłączony, ale błysków nie dało się nie zauważyć. Oparłam się o Samira i zupełnie zignorowałam telefon. Uniosłam rękę i oparłam dłoń o jego ramię.

– Posuń się trochę, nie mam już miejsca.

Samir przesunął się o kilka centymetrów, ale kiedy ułożyłam się wygodniej,

wstał z łóżka i zaczął się ubierać.

– Muszę się trochę pouczyć – powiedział.

Spojrzałam na niego ze zdumieniem. Jest niezadowolony, że dostałam esemes?

– Akurat teraz?

Od kiedy Samir tu przyszedł, ani razu nie zadzwoniłam do Sebastiana. Odpisywałam na jego esemesy, ale robiłam to w łazience, za zamkniętymi na klucz drzwiami. Nie mogłam ich zostawić bez odpowiedzi. Samir nie powinien się na mnie złościć, że Sebastian do mnie pisze. Wyjaśniłam mu więc, jak wygląda sytuacja, a on odparł, że rozumie.

– W ferie. Pytałaś, co będę robił w ferie. Będę się uczył w domu.

Samir włożył już majtki, a teraz wkładał T-shirt. Nie było sensu ciągnąć tej rozmowy.

– Wezmę prysznic – powiedziałam, kładąc telefon na nocnej szafce. Niech sobie czyta, jeśli chce. Mam to gdzieś. I tak zamierzam zerwać z Sebastianem. Byłam tego pewna. Ale nie zrobię tego teraz. Nie chcę zrywać z nim przez telefon. Nawet Samir powinien to zrozumieć.

Kiedy weszłam do kuchni, Samir już tam był. Pił kawę, którą przyrządził sobie w naszym ekspresie, chociaż poprzedniego wieczoru bardzo go skrytykował.

Samir miał wiele uwag do wyposażenia naszego domu. Lampa sufitowa? „Pozostałość po zamkniętej fabryce, jak widzę”. Stojak na noże? „Po co kupować noże, których nie da się naostrzyć?”. Ekspres do kawy? „W kraju, w którym ludzie wiedzą, jak smakuje dobra kawa, nikt by takiego urządzenia nie sprzedał”. Kuchenka? „Czy twoja mama gotuje jedzenie?”. Lodówka na wino? „Muszę sobie taką kupić! Dzięki temu dowiem się w końcu, co dzieje się z szampanem przechowywanym w towarzystwie proletariackiego mleka”.

Samir prawie w ogóle nie spróbował płatków, które znalazł w spiżarni

i wsypał do talerza. Zagotowałam jajka, wyjęłam chleb z opiekacza i nagle rozboleła mnie głowa. Nie bardzo wiedziałam, o czym mam z nim rozmawiać. Słońce po raz pierwszy od dziesięciu dni wyszło zza chmur, ale my nie mogliśmy tak po prostu wyjść razem na spacer, usiąść w kawiarni i trzymać się za ręce czy iść do kina, żeby się pieścić w ciemnościach. Dotąd zawsze było tak, że pokazywałam się tylko z kimś, z kim akurat chodziłam.

– O czym myślisz? – spytałam.

– Muszę wracać do domu.

– Czy rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

Samir wzruszył ramionami.

Wstałam z krzesła i wstawiłam naczynia do zmywarki. Samir nawet nie ruszył się z miejsca, tylko uniósł ręce, żebym mogła wziąć ze stołu jego kubek po kawie.

– Porozmawiam z Sebastianem, ale...

Samir aż się zachnął.

– O nic takiego cię nie prosiłem!

– Wiem, ale on nie czuje się teraz najlepiej. On...

– Przestań! Załatwajcie te brudy między sobą. Biedaczek... Mnie w to nie mieszaj. Wcale mi go nie żal. Jeśli tak trudno wytrzymać mu w swojej luksusowej willi, to dlaczego się z niej nie wyprowadzi? Jeśli nie jest w stanie przywlec się do szkoły, to dlaczego nie zrezygnuje z nauki? Twój chłopak to dupek, bez względu na to, czy jest najarany, czy trzeźwy. Gdybym był jego ojcem, już dawno bym go wyrzucił z domu. Nie rozumiem też, dlaczego sobie ubzdurałaś, że to akurat ty musisz się o niego troszczyć?

Przełknęłam ślinę.

– On potrzebuje...

– On cię do niczego nie potrzebuje. Przykro mi, że muszę cię rozczarować, ale on w ogóle nikogo nie potrzebuje. Sebastian Fagerman bez trudu znajdzie

twój substytut. Jemu na nikim nie zależy, nawet na sobie.

Nie zdążyłam odpowiedzieć ani nawet pomyśleć, jak zareagować, bo w tym samym momencie mój telefon znowu zaczął wibrować. Emitował bezdźwięczne sygnały i przesuwiał się po całym zlewozmywaku. Obserwowałam go do momentu, aż ucichł.

– Za dwanaście minut mam autobus – powiedział Samir, wstając z krzesła.

– Może jeszcze zdążę.

Zostawił na stole talerz z niedokończoną porcją płatków i wyszedł do przedpokoju. Poszłam za nim, pochyliłam się, musnęłam go wargami w policzek i przekręciłam klucz w zamku. Otworzyłam drzwi i ujrzałam Amandę. Właśnie przywiązywała rower do stojaka na podjeździe.

– Cześć – powiedziała, stojąc z opuszczonymi rękami.

– Cześć, cześć – rzucił w odpowiedzi Samir niewzruszonym głosem.

Amanda się nie odezwała. Samir wyszedł na ulicę i ruszył przed siebie lekkim truchtem.

– Do zobaczenia – zawołał, ale żadna z nas mu nie odpowiedziała.

Spojrzałam na Amandę, która przyglądała mi się uważnym wzrokiem. Kiedy już była pewna, że wiem, iż wszystko zrozumiała, rozpięła kłódkę przy rowerze, wyciągnęła go na ulicę i odjechała. Nie mogłam za nią pobiec. Było za zimno na kłótnie, a ja miałam na sobie tylko majtki i T-shirt. Przecież nie jestem jakąś pieprzoną Bridget Jones.

Kiedy Amanda znikła mi z oczu, wróciłam do środka, zamknęłam drzwi na klucz, wyłączyłam telefon, przyniosłam z przedpokoju puchową kołdrę, położyłam się na kanapie, obejrzałam trzy odcinki *Żywych trupów*, zjadłam makaron z serem i napiłam się wody prosto z czajnika.

Odczekałam cztery godziny. Ale nie dlatego, że nie wiedziałam, gdzie jest Amanda, albo że mi nie zależało na zapobieżeniu katastrofie. Po prostu przez pewien czas musiałam pobyć w samotności.

Kiedy wyszłam na ulicę, słońce prawie zaszło za horyzont. Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Samira. Nie odebrał.

Na dworze padał śnieg. Niezbyt gęsty, choć było go wystarczająco dużo, żeby wszystkim przypomnieć, iż zima nie jest najprzyjemniejszą porą roku. Szłam w ciemnościach przez śniegową breję w przemoczonych butach, aż dotarłam do stajni. Wszystkie okna były zamglone od wydychanego powietrza i ciepła bijącego od końskich grzbietów. Poszłam prosto do boksu Amandy. Drzwi były uchylone.

– Możemy pogadać?

Amanda nie odpowiedziała, więc weszłam do środka i usiadłam obok jej konia, Devlina. Amanda przeciągnęła szczotką po jego grzbiecie. Koń aż błyszczał, ale ona nie przestawała go szczotkować. Gdyby to zrobiła, musiałyby spojrzeć na mnie.

Co ja tu robię? Dlaczego muszę się tłumaczyć z mojego zachowania? Czy do moich obowiązków należy uspokajanie Amandy? Przecież jej nie skrzywdziłam. Mimo to przyszłam tutaj, by ją zapewnić, że nic poważnego się nie stało, że w jej życiu nic się nie zmieni i wszystko jest jak dawniej. Muszę ją też przeprosić, bo tak właśnie wyglądają nasze relacje. To ja ją zawsze przepraszam, i to bez względu na to, czy zawiniłam. Nigdy odwrotnie.

Devlin pochylił głowę i parsknął w moje włosy ciepłym powietrzem. Pogłaskałam go po pysku. Ostatni raz byłam w tej stajni jakieś pół roku temu. Wcześniej prawie tu mieszkałam. Tata powiedział kiedyś, że gdy zacznę „lubić chłopców”, powinnam przestać jeździć konno. Choć niechętnie, musiałam mu przyznać rację. Za każdym razem, gdy tu przychodziłam, obiecywałam sobie, że znowu zacznę jeździć. Niestety, nigdy się nie zdobyłam na ten pierwszy krok.

– Posłuchaj – zaczęłam. Chciałam mieć tę rozmowę za sobą.

– Nie wolno ci... – przerwała mi Amanda. Odwróciła się do mnie, uniosła

rękę i pogroziła mi szczotką. Była tak wzburzona, że nie mogła normalnie mówić. – Nie rozumiem, w co grasz. Nie wiem, co chciałabyś ode mnie usłyszeć. Chyba zdajesz sobie sprawę, jakie to jest porąbane? Chyba wiesz, co zrobiłaś?

Skinęłam głową. Wolałam przytaknąć. Może dzięki temu skrócę tę rozmowę.

– Wiem, jak trudno jest ci w związku z Sebastianem... – odparła Amanda i się rozplakała. Na pewno myślała, że tu chodzi o nią. – Ale Sibbe nie zasłużył na takie traktowanie. Maju, on przechodzi trudny okres. Nie masz prawa mu tego robić.

Pomyślałam, że jeśli Amanda jeszcze raz powie „Maju”, po prostu ją walnę. Zacisnęłam zęby i zaczęłam liczyć do stu. Niech sobie gada, niech to z siebie w końcu wyrzuci. Ja nie muszę jej słuchać.

Nic jej do tego, co zamierzałam zrobić. Nie powstrzyma mnie, jeśli będę miała ochotę na nią nakrzyczeć, że nic nie zrozumiała. Amanda jest po prostu głupia. Nie zdaje sobie sprawy, że zdrobnienie Sibbe, które wymyśliła dla Sebastiana, brzmi w uszach chłopaków jak imię bohatera z kreskówki. Labbe i Sibbe, Tudde i Ludde albo Hyzio, Dyzio i Zyzio. Przełknęłam ślinę. Nie mam już do niej zdrowia. Do niej i do innych ludzi, którym się wydaje, że wiedzą, co to znaczy „być z Sebastianem”. To ja z nim jestem. Tylko ja. Nie chcę, ale jestem. Nikt nawet nie podejrzewa, jak mi ciężko. Ale tym razem Amanda przesadziła. Nie będę tego tolerować.

A jednak nie byłam w stanie zaprotestować.

– Ja nie... to nie jest...

– Co z Samirem? Wobec niego też jesteś nie w porządku. Zakochałaś się w nim? – Amanda zachnęła się, a w jej głosie było tyle szyderstwa, jak byśmy rozmawiały o tłustym lokalnym działaczu partii socjaldemokratycznej w gabardynowych spodniach albo o dzieciach polityków, które osiągnęły

dorosły wiek.

A czemu nie? Dlaczego nie miałabym się w nim zakochać? Czy to aż tak mało prawdopodobne? Od kiedy Amanda spiknęła się z Labbem, wypowiada się o Samirze w taki sposób, jak gdyby uczestniczył w jej prywatnym projekcie dobroczynnym: „Samir jest mądry i zabawny. Bardzo mądry. Strasznie zabawny. Powiedziałam: mądry?”.

– Nie – pokręciłam głową. – Na pewno nie. Zresztą sama nie wiem. Ale to dla mnie trudna sytuacja. Lubię Samira, bo nie zachowuje się przez cały czas jak nienormalny. Dał mi coś, czego nie zaznałam z Sebastianem.

Chyba lepiej by było, gdybym żadnego z tych zdań nie wypowiedziała. Powinnam była pozwolić Amandzie wypełnić je treścią, którą ona uzna za najlepszą. Właściwie ja też powinnam się rozpłakać, ale nie mogłyśmy płakać razem, bo Amanda nie lubi, gdy ktoś kradnie jej show. Zacznę, gdy ona skończy. Żeby przeszła na moją stronę, powinnam ją nakłonić, by zaczęła mnie pocieszać. Zwątpiłam jednak, czy potrafię.

– To się po prostu stało – powiedziałam, a ona spojrzała na mnie ze złością. –Wszystko, co wiąże się z Sebastianem i Samirem, jest takie pokręcone... Porozmawiam z Samirem – oznajmiłam pewnym głosem. – Z Sebastianem też, ale musisz mi obiecać, że nic mu nie powiesz. Nikt nie może o tym wiedzieć. Ani Sebastian, ani Labbe. Zwłaszcza Sebastian nie może się o niczym dowiedzieć. Oszaleje, gdy dowie się prawdy.

Amanda skinęła głową.

– Oczywiście, że o niczym nie powiem.

Zastanawiałam się, czy zdążyła już zadzwonić do Labbego.

– To dobrze.

– Ja umiem dotrzymać tajemnicy – stwierdziła, poirytowana, i pociągnęła nosem.

Naucz się poprawnie mówić, pomyślałam. Mówi się: „dotrzymać

obietnicy” i „dochować tajemnicy”. Ale głośno tego oczywiście nie powiedziałam.

– Dzięki – rzekłam na koniec.

29.

O szesnastej na dworze panowały egipskie ciemności. Witajcie w grudniu! Kiedy skończyłam przeproszać Amandę za wszystko, czego jej nie zrobiłam, wysłałam ze stajni, żeby znowu zadzwonić do Samira. Ale i tym razem nie odebrał. Dzwoniłam do niego cztery razy z rzędu i wysłałam mu esemes. Wiedziałam, że jest w sieci, lecz gdy na moim wyświetlaczu pojawił się komunikat „Dostarczono”, Samir od razu się rozłączył. Kiedy doszłam do ulicy Vendevägen, od placu nadszedł autobus. Wsiadłam do niego i jeszcze raz zadzwoniłam do Samira. Kolejny raz włączyła się poczta głosowa.

Postanowiłam porozmawiać z nim osobiście. Nie mogę z tym czekać do powrotu Sebastiana. Muszę to zrobić, zanim ktokolwiek mi w tym przeszkodzi albo zanim się rozmyślę. Samir jeszcze przed przyjazdem Amandy zachowywał się tak, jak gdyby był na mnie zły. Nie chciałam się z nim kłócić, bo mógłby sobie pomyśleć, że się go wstydzę. Zależało mi, by uwierzył, że mam wobec niego poważne zamiary.

W wagonie metra otwarte były dwa okna. Do środka wpadało lodowate powietrze. Mimo to wszędzie czuć było piątkowym pijaństwem, poza tym wyczuwało się atmosferę świątecznych zakupów. Między stacjami Mörby Centrum a Östermalmstorg wszystkie siedzenia i cały wagon były już wypełnione pasażerami i ich torbami. Dojazd do stacji Gamla Stan zabrał nam trochę czasu. W wagonie było tyle ludzi, że niemal nie mogłam wyglądać przez okno. Sytuacja uległa zmianie dopiero wtedy, kiedy przesiadłam się na inną linię.

Christer opowiadał nam kiedyś o wynikach pewnych badań. Grupa naukowców postanowiła sprawdzić, jak długość życia zależy od stacji metra,

przy której się mieszka. Okazało się, że różnica między stacjami Bagarmossen a Danderyds Sjukhus wyniosła aż piętnaście lat. Na trzech ostatnich przystankach przed stacją Tensta do pociągu nie wsiadła ani jedna osoba w wieku emerytalnym i ani jedna dziewczyna w moim wieku. Skład zabrał tylko dwóch chłopaków i dwie kobiety z dziecięcymi wózkami. Obie ubrane były w hidżaby i długie do kostek suknie. Czy wszystkie dziewczyny w moim wieku siedzą zamknięte na klucz w swoich mieszkaniach, żeby przypadkiem nie spaść z balkonu albo nie poślizgnąć się i nie nadzieć na jakiegoś penisa w stanie erekcji?

W kurtce noszę gaz łzawiący. Mama przywiozła mi go z Francji. Kiedyś nacisnęłam go niechcący w kieszeni. Zauważyłam to dopiero, gdy wyjęłam rękę i przeczesalam nią włosy. Nagle poczułam, że oczy chcą mi wyskoczyć z orbit. Szczypały mnie przez prawie dwie godziny. Mama chciała mnie zawieźć na ostry dyżur, ale tata wysłał mnie pod prysznic i tak długo spłukiwał mi twarz ciepłą wodą, aż poczułam ulgę. Potem zadzwonił do znajomego lekarza, a ten wystawił mi receptę na jakąś maść i coś do przemywania oczu. Dzięki temu opuchlizna się zmniejszyła. Tata kazał mi wyrzucić gaz, ale mama od razu zaprotestowała. Stwierdziła, że wprawdzie mogę zostać oskarżona o posiadanie broni, ale ma to gdzieś, bo moje bezpieczeństwo jest dla niej ważniejsze. Ważniejsze od czego? Jak policja znajdzie u mnie gaz, kłopoty będę mieć ja, nie ona. Teraz jednak byłam szczęśliwa, że go mam. Kiedy naprzeciwko mnie usiadł jakiś chłopak, zacisnęłam dłoń w kieszeni na gazie i spuściłam wzrok.

Pilnowałam się, żeby nie patrzeć mu w oczy. Zastanawiałam się, czy nie powinnam się przesiąść do matek z wózkami, ale ustawiły je w przejściu, tak że nikt nie mógł usiąść na wolnych miejscach.

Tensta Centrum to przedostatnia stacja na niebieskiej linii. Razem ze mną wysiedli prawie wszyscy pasażerowie. Szłam powoli, żeby na ruchome

schody wejść jako ostatnia. Przedtem uruchomiłam w telefonie GPS, wprowadziłam adres Samira i sprawdziłam, w którą stronę powinnam się udać po wyjściu ze stacji. Wolałam jednak nie trzymać telefonu na wierzchu, bo wszyscy by się od razu domyślili, że jestem tu obca. Telefonem też wolałam się nie chwalić.

Ludzi na ulicy było więcej niż w wagonie. Po kobiety z wózkami przyszedł chłopiec w wieku około jedenastu lat. Zauważyłam też plecy trzech przysadzistych kobiet, które wyszły ze sklepu ICA. Poza tym otaczali nas sami mężczyźni.

Samir nigdy mi nie mówił, gdzie mieszka. Czy byłam zdziwiona, gdy po wpisaniu w internet jego adresu ukazał się wynik? Możliwe. To, że mieszka w tej dzielnicy, wydało mi się w pewnym sensie czymś ekstremalnym, może nawet nierealnym. Z drugiej strony sama nie wiedziałam, co usłyszę i zobaczę, bo nigdy wcześniej tu nie byłam. Stoiska z warzywami i owocami? Maty rozwinięte na chodniku pełne podrabianych zegarków i plastikowych torebek z metkami od Gucciego? Smażone migdały i kasztany? Rodziny otoczone wianuszkami dziewiętnaściorga dzieci grających w piłkę? Starców pochylonych nad szachownicą? Facetów z zabandażowanymi pięściami i naciągniętymi na głowy kapturami, którzy z wyglądu przypominali Rocky'ego, uprawiali jogging i pozdrawiali przechodniów, wznoszących na ich widok triumfalne okrzyki? Szafran i czosnek? Ludzi grających w bule? Wrzaskliwy śmiech? A może myślałam, że Tensta będzie przypominać dzielnicę, w której mieszkał Dennis? Kiedyś pojechaliśmy tam po niego z Sebastianem i chociaż do samochodu wsiadł w miejscu oddalonym od swojego domu, zdążyliśmy zauważyć, że była to dość nieciekawa okolica. Jedna z tych, o których człowiek zapomina, jeszcze zanim ją opuści. Miejsce równie nieciekawe jak jednorazowy, plastikowy kubek. Ale Tensta? Bez sensu. To miejsce bez duszy. Rozpadająca się przechowalnia bez kłódki.

Być może latem, gdy nie jest tak ciemno i na drzewach są liście, okolica wygląda inaczej. Jednak w tym momencie było to najbrzydsze miejsce, jakie widziałam w całym swoim życiu. Uważam, że politycy i dziennikarze, którzy z faktu zamieszkiwania w Tenście robią wielką rzecz, są chyba nienormalni. Chyba że mają też mieszkania na Södermalmie i tam nocują.

Na samym tylko placu przy wejściu do stacji metra naliczyłam cztery stłuczone latarnie. Od razu mi się przypomniały słowa Christera – jego poważny, pedagogiczny ton. Gdyby wiedział, że przyjechałam do Tensty, byłby zachwycony. Pokiwałby powoli głową i poważnym głosem powiedział: „Właśnie to jest prawdziwa Szwecja, Maju. Tak właśnie wygląda”. Ale dla mnie to nie była prawdziwa Szwecja, a przynajmniej nie bardziej niż Östermalmstorg, sztokholmskie szkiery czy Strandvägen. Pewne rzeczy nie stają się bardziej prawdziwe tylko dlatego, że są brzydkie.

Poszłam na drugi koniec placu, usiadłam na przystanku autobusowym i wyjęłam telefon. Zrobiłam to jedną ręką, bo drugą trzymałam cały czas w kieszeni zaciśniętą na gazie. Wmawiałam sobie, że uczucie strachu wcale nie musi świadczyć o tym, iż jestem rasistką. Przypomniały mi się słowa mamy: „Jeśli ktoś jest ostrożny, nie musi to wcale oznaczać, że się boi”. Zaczęłam się zastanawiać, w którą stronę powinnam pójść. Samir mieszkał niedaleko stacji metra. Cursor w telefonie pokazywał, że to zaledwie pięć minut piechotą. Kiedy chłopak z metra odjechał autobusem, który ruszył z przystanku tak gwałtownie, że drzwi nie zdążyły się dobrze zamknąć, wstałam z ławki i poszłam wyasfaltowaną alejką. Na niej też nie było ani jednego człowieka. Nikt nie chodził z psem ani z wózkiem, żeby dziecko mogło zaczerpnąć świeżego powietrza. Nikt nie uprawiał joggingu ani nie zmierzał do wybranego celu. Przechodziłam szybkim krokiem obok ścian zasmarowanych graffiti i rowerów przymocowanych do przewróconych stojaków, przez śmierdzące moczem podziemne przejścia, obok dwóch pustych

placów zabaw dla dzieci.

Samir mieszkał na parterze zwykłego domu czynszowego. Budynek przypominał typowe domy z młodzieżowych filmów o przedmieściach, chociaż nie było tu śniegu, wampirów, rowerów z lat młodości mojego dziadka ani zimowych czapeczek z dzianiny. Drzwi wejściowe do budynku były uchylone, zdaje się, że mieszkańcy nie używali kodów do domofonu. Moje kroki odbijały się echem na klatce schodowej. Mieszkanie Samira znajdowało się obok windy. Nacisnęłam dzwonek i usłyszałam charakterystyczny dźwięk. Otworzyła mi młodsza wersja Samira. Nie zdążyłam się jednak przedstawić, bo chwilę później pojawił się on sam.

Jego rodzice też byli w domu. Nie wiedziałam, że ma dwóch młodszych braci, ale cała trójka była do siebie tak podobna, że nie mogłam się mylić. Przedstawiłam się i pomyślałam, że zaraz pewnie przejdziemy do wąskiej jak kieszka kuchni i usiądziemy przy stole, który widziałam z przedpokoju. Drzwi w kuchni wychodziły na balkon. Wydawało mi się, że cała była zastawiona pustymi kartonami. Czy naprawdę oczekiwałam, że rodzice Samira będą chcieli ze mną rozmawiać, że spytają, jak nam ze sobą jest, poproszą mnie, żebym usiadła, napiła się z nimi herbaty, zjadła kremiaste ciastko, albo że przynajmniej będą mi się z ciekawością przyglądać? Być może, ale nic takiego się nie stało. Rodzice sprawiali wrażenie niezainteresowanych moją wizytą, a mama Samira była nawet poirytowana. Powiedziała coś w języku, którego nie rozumiałam, i więcej jej nie zobaczyłam. Tata Samira podał mi rękę, ale nawet się nie przedstawił, tylko od razu się odwrócił i usiadł przed telewizorem. Akurat leciał mecz z udziałem dwóch drużyn, o których nigdy wcześniej nie słyszałam. Ekran był ogromny, przynajmniej dwa razy większy od naszego. Myślałam, że dźwięk był wyłączony, i dopiero po chwili zauważyłam, że tata Samira ma na uszach ogromne, jaskrawozielone słuchawki.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego Samir miał taką niezadowoloną minę. Bo przyszłam z niezapowiedzianą wizytą? Przecież on też przyszedł do mnie bez zapowiedzi. Od tego się zaczęło.

Nie domagałam się od niego, żeby przedstawił mnie jako swoją dziewczynę, ale wypadałoby chociaż powiedzieć: „To jest Maja, chodzimy do tej samej klasy”. Moglibyśmy przejść do jego pokoju, bo bardzo chciałam go zobaczyć. W ogóle mi nie przeszkadzało, że dzieli go z młodszymi braćmi, tak jak nie przeszkadzało, że mieszkał w takich warunkach.

Chciałam mu powiedzieć: „Nie musisz się wstydzić, dla mnie jest to nieważne”, lecz nagle dziwnie się poczułam. Dopiero po chwili zdołałam z siebie wykrztusić: „Możemy porozmawiać?” albo coś w tym stylu.

Samir skinął głową. Ubrany był w tenisówki, których nigdy wcześniej u niego nie widziałam, i błyszczące spodnie dresowe. Pomyślałam, że to typowy ubiór na przedmieściach. Taki mundurek.

– Chodźmy – powiedział Samir.

Odwróciłam się, żeby przejść do pokoju dziennego i pożegnać się z jego ojcem, ale Samir wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą na klatkę schodową. Po chwili znaleźliśmy się na dworze.

Zauważyłam, że jest zdenerwowany, a moja wizyta jest mu wyraźnie nie na rękę. Przecież chciałam z nim tylko pobycć, porozmawiać, powiedzieć, że Amanda o wszystkim wie, i spytać, co z tym zrobimy. Nie chciałam decydować o wszystkim sama. Chciałam usłyszeć bezpośrednio od niego, że mam zerwać z Sebastianem. Od razu bym obiecała, że zrobię to jeszcze tego samego dnia wieczorem. Dzięki temu nie czułabym się taka samotna. Dlaczego on nie rozumie, że moja wizyta w jego domu jest wyrazem uczuć, jakie dla niego żywię? Że przyszłam tu z własnej woli, nie dlatego, że mi kazał? Pragnęłam mu pokazać, jak bardzo chciałam do niego przyjechać i że nie ma w tym ukrytych podtekstów, a to, gdzie i w jakich warunkach mieszka, nie ma

żadnego znaczenia.

W sumie to żalotne. Ciągłe powtarzam te same słowa: „To dla mnie bez znaczenia...”. Zastanawiałam się, dlaczego to takie ważne, że coś, co się z nim wiąże, nie ma dla mnie znaczenia, jest nieważne, nie liczy się. Czy Samir twierdził kiedykolwiek, że Tensta to wymarzone miejsce, tysiąc razy lepsze od innych dzielnic? Wątpię. Gdyby tak było, nie traciłby codziennie dwóch godzin na dojazd do szkoły i z powrotem do domu. Ja to rozumiałam.

Może powinnam była powiedzieć, że rozumiem, dlaczego tak nienawidzi tego okropnego miejsca, w którym przyszło mu żyć, i że się domyślam, dlaczego stara się stąd za wszelką cenę wyrwać. Samir naprawdę zasługiwał na coś lepszego niż Tensta. Był lepszy od miejsca, w którym żył. Czy powinnam mu była powiedzieć, że ciasne mieszkanie, klatka schodowa, codzienne dojazdy i błyszczące spodnie dresowe to nie jego wina? Chyba nie, bobym go zawstydziła.

Samir szedł przede mną w całkowitym milczeniu. Nie wiedziałam, dokąd mnie prowadzi, ale nie miało to znaczenia. Nie wiedziałam, dokąd mieszkańcy Tensty chodzą, jeśli chcą porozmawiać, byłam więc przygotowana na wszystko: na pralnię, komórkę w piwnicy, płot pomazany graffiti, świetlicę dla młodzieży, osiedlową kawiarnię albo tor do jazdy na desce. Było mi to obojętne, bylebym tylko mogła porozmawiać z nim w ciszy i spokoju.

Dopiero po dłuższej chwili domyśliłam się, że idziemy w stronę stacji metra. Chwyciłam Samira za rękę, żeby go zatrzymać.

Jeszcze zanim zdążyłam mu wyjaśnić, dlaczego chcę z nim porozmawiać, Samir popatrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Później było już tylko gorzej. Dziś nie pamiętam, co dokładnie powiedziałam, ale Samir odparł, że wcale nie muszę zrywać z Sebastianem, przynajmniej nie dla niego, naprawdę... „Nie jesteśmy parą. My się tylko kilka razy ze sobą przespaliśmy, a to coś innego”.

Nie, żeby nazwał mnie kurwą, tanią dziwką czy jakoś tak. Absolutnie. Samir – świadomy politycznie intelektualista i przysły korespondent zagraniczny – spojrzął na mnie takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Ty chyba zwariowałaś, dziewczyno”.

Samir nie chciał stać w miejscu, wołał iść i rozmawiać. Chciał się mnie jak najszybciej pozbyć i w ogóle go nie interesowało, co mam mu do powiedzenia. Wziął mnie za łokieć jak dziecko, które nie chce wrócić z placu zabaw do domu, a kiedy skończył mówić, byliśmy już w metrze. Choć i tam nie dał mi spokoju. Stał na peronie i przestępował z nogi na nogę. Nadal miał na nich te swoje brzydkie, białe tenisówki. Poczekał, aż przyjedzie pociąg, wsiadł ze mną do wagonu i towarzyszył mi aż na T-Centralen.

Co jego zdaniem powinnam zrobić? Spotykać się z nim po kryjomu, znaleźć sobie mnóstwo fajnych kumpli, wynająć jakieś brzydkie, wysokie na niecałe dwa metry mieszkanie z podłogą przykrytą linoleum? Zostać jego nową sąsiadką, zajść w ciążę, włożyć dopasowaną do brzucha bluzę dresową i owinać sobie głowę wzorzystą chustą, bo jest superładna?

Usiadłam, a Samir stał nade mną, chociaż w wagonie było pełno wolnych miejsc. Kiedy dojechaliśmy do dworca, był już chyba spokojniejszy. Dotknął mojego ramienia, powiedział: „Do zobaczenia w szkole” i wysiadł. Miałam ochotę na niego zwymiotować.

Całą drogę od stacji metra Danderyds Sjukhus do domu przeszłam na piechotę. Kiedy tunel prowadzący od metra do parkingu przy Mörbyskolan porównałam w myślach z tym, co widziałam w centrum Tensty, wydał mi się naprawdę ładny, niemal przytulny, jak mój własny pokój. Zanim doszłam do stadionu Stocksunds IF, cała przemarzłam. Ciepłe rękawice, które podarowała mi Amanda („Trafiałam na nie w przytulnym sklepiku w SoHo”), były mokre od potu i śniegu i ciężkie jak pleciony dywan. Wrzuciłam je do kosza na śmieci i wsunęłam dłonie do kieszeni. Ale to nie pomogło.

Kiedy dotarłam do domu, byłam tak przemarznięta, że cała się trzęsłam. Od razu poszłam do łazienki, lecz rozebrałam się dopiero wówczas, gdy wanna była pełna wody. Położyłam się w niej i od razu poczułam silne pieczenie. Woda była gorąca, ale jakoś wytrzymałam.

Myślałam, że Samir jest we mnie zakochany. Możliwe, że uznałam to nawet za rzecz oczywistą: tak, jest we mnie ślepo zakochany, zawsze był (?), a ja pojechałam do niego, żeby mu powiedzieć, że też go lubię. Wydawało mi się, że to zrozumie: ma mnie kochać, bo jestem warta zachodu. Tymczasem okazało się to jedną wielką pomyłką.

Kiedy się już wystarczająco rozgrzałam, a cała moja skóra zrobiła się mocno pomarszczona, wyszłam z wanny, włożyłam szlafrok taty, poszłam do salonu, gdzie na kanapie leżała moja puchowa kołdra, wsunęłam się pod nią i zadzwoniłam do Sebastiana. Wprawdzie miał wrócić z Afryki następnego dnia wieczorem, ale postanowiłam się z nim rozmówić już teraz, zanim się rozmyślę. Rozmawialiśmy niemal dwadzieścia minut. Kiedy odebrał, prawie w ogóle go nie słyszałam, więc wyszedł do innego pokoju albo na dwór. Powiedziałam mu całą prawdę, a on wcale się nie zezłościł i nawet odpowiadał mi spokojnym tonem. zaproponowałam, że jak wróci do domu, porozmawiamy dłużej, na co odparł: „I co mam ci odpowiedzieć?”. Nie miał smutnego głosu, choć odniosłam wrażenie, że wszystko zrozumiał. Pożegnaliśmy się więc i rozmowa dobiegła końca. Dziesięć minut później nie byłam już taka pewna, czy zapamiętał moje słowa, więc na wszelki wypadek wysłałam mu esemes.

Sebastian nie odpowiedział, więc wysłałam kolejną wiadomość o tej samej treści. Chciałam być pewna, że będzie to pierwsza rzecz, jaką zobaczy, gdy sięgnie po telefon. Tak na wszelki wypadek, gdyby mu to wyleciało z pamięci.

Odczekałam do północy i zadzwoniłam do Samira. Chyba wcześniej nie do końca mi uwierzył, gdy go zapewniałam, że zerwę z Sebastianem, i dlatego tak

dziwnie się zachowywał. Chyba go obudziłam, bo odebrał. Rozłączyłam się bez słowa, bo byłam pewna, że zauważył na wyświetlaczu mój numer. Miałam nadzieję, że oddzwoni, ale po ośmiu minutach czekania ponownie wybrałam jego numer. Włączyła się poczta głosowa i usłyszałam, że Samir oddzwoni, gdy tylko będzie mógł. Godzinę później zasnęłam z telefonem w ręce ustawionym na największą głośność. Samir nie oddzwonił. Podobnie jak Sebastian.

30.

Kiedy to, co łączyło mnie z Sebastianem i Samirem, definitywnie się skończyło, nie zrobiłam nic, co ludzie zazwyczaj robią, gdy rozpada im się związek. Nie oglądałam filmów, które w dzieciństwie wydawały mi się smutne, nie jadłam lodów prosto z opakowania i nie słuchałam piosenek o tym, że wszyscy faceci to świnię. Przeziębłam się, a mimo to przez dwa dni wlokłam się do szkoły. Ostatniego dnia przed feriami dostałam wysokiej gorączki.

Pierwszego dnia ferii, gdy mieliśmy pojechać do dziadka, mama podała mi podwójną dawkę lekarstwa, a do samochodu włożyła koc i poduszkę. Większą część drogi przespałam, chociaż co jakiś czas się budziłam, bo rozboleły mnie plecy, kark, szyja i nogi. Przez cały czas się pociłam, a siedząca obok Lina obserwowała mnie ze zmarszczonym czołem, co świadczyło o tym, że moja młodsza siostra się o mnie martwi. Tata obudził mnie dopiero, gdy się zatrzymaliśmy, żeby coś zjeść. Musiałam iść z nimi do przydrożnej restauracji. Zamówiłam smażone kiełbaski, keczup w torebkach i frytki. Żałowałam, że nie zostałam w samochodzie.

– Jest za zimno, żeby w nim siedzieć – stwierdził tata.

– Powinnaś coś zjeść – dodała mama.

Do dziadka dojechaliśmy przed siódmą wieczorem. Droga była odśnieżona aż pod sam dom. Latem często chodziłam nią na długie spacery. Za każdym razem towarzyszyły mi psy dziadka. Dziadek mieszkał trzy kilometry od najbliższego kiosku i sklepu spożywczego. Kiedy byłam mała, babcia proponowała mi, żebym się pobawiła z dziećmi sąsiadów, ale nie chciałam, bo ich nie znałam. Wolałam chodzić do kiosku po gazety dla dziadka.

W drodze powrotnej kupowałam lody. I tak mijały dni. Czasem robiłam tyle rund, że nawet psy padały ze zmęczenia. Latem drogę pokrywał żółty żwir, spod którego wyrastały pojedyncze kępy trawy. Kiedy padał deszcz, robiły się na niej głębokie kałuże, a nad plamami benzyny roiło się od komarów. Teraz po obu stronach drogi leżały dwumetrowe zaspy. To były drugie święta Bożego Narodzenia, które mieliśmy spędzić bez babci. Przed domem świeciły się dwie latarnie i stała nieubrana choinka.

Dziadek rozpałił ogień w kaflowym piecu w moim pokoju, a pod kołdrę włożył mi termofor. Nawet się nie rozebrałam, tylko padłam na łóżko w ubraniu, w którym przyjechałam, i momentalnie zasnęłam. Mama wchodziła do mnie dwa razy: za pierwszym zdjęła ze mnie ubranie i włożyła mi ciepłą, świeżo wyprasowaną nocną koszulę po babci. Za drugim razem przyniosła mi napój musujący o smaku pomarańczy i gorzkich migdałów i rozpuściła w wodzie tabletki przeciwko grypie, które kupiła w Stanach. Potem znowu zasnęłam i spałam, spałam, spałam... Cała rodzina piekła świąteczne ciasteczka (pознаłam po zapachu), ubierała choinkę (słyszałam, jak dziadek przyniósł ją do domu, a mama nakrzyczała na niego, że wnosi śnieg do środka), robiła klopsiki, gotowała szynkę (znowu ten zapach) i peklowanego łososia z dodatkiem soli, koperku i cukru. Potem ktoś mi przyniósł kanapkę na chrupkim pieczywie, ale nie mogłam się zmusić, żeby ją zjeść.

Po pewnym czasie, gdy ciągle jeszcze leżałam pod puchową kołdrą, na górę przyszedł dziadek, żeby podłożyć drewna do pieca. Przy okazji wpuścił do pokoju psa, który już po chwili zasnął pod kołdrą z nosem przyciśniętym do mojego kolana. Potem, gdy jeszcze leżałam w łóżku, mama przyniosła mi tacę z herbatą i kanapki z serem, ale znowu niczego nie tknęłam. Podciągnęłam kołdrę pod brodę i na wpół siedząc, jadłam lody waniliowe na patyku. Lina pokazała mi rysunki, które chciała podarować nam pod choinkę. Po zjedzeniu loda ponownie przyjąłam pozycję embrionalną i zasnęłam, chociaż Lina nie

przestawała mówić.

Z łóżka zwlekłam się dopiero w Wigilię. Przez pół godziny brałam prysznic, dwa razy umyłam włosy i włożyłam czyste ubranie. Mama zmieniła mi pościel, a ja zjadłam trzy porcje ryżu z sokiem truskawkowym. Lina grzebała w talerzu, aż w końcu znalazła migdał ukryty w ryżu. Zauważyłam, że ta zabawa nadal sprawia jej wielką radość. Zgodnie z tradycją dostanie „migdałowy prezent”.

– Gdzie mieszka Święty Mikołaj? – spytała z ustami pełnymi jedzenia.

– Hm... – zaczęłam niepewnym głosem, chociaż jej pytanie nie powinno być dla mnie zaskoczeniem, bo już kiedyś o tym rozmawialiśmy. – Mikołaj nie istnieje.

– Wiem – westchnęła Lina i ugryzła się w wargę. – A gdzie mieszkają jego fruujące renifery?

Tylko my spędzaliśmy święta z dziadkiem. Rodzeństwo mamy postanowiło spotkać się z rodzinami swoich teściów, i to nie było ich pierwsze Boże Narodzenie bez dziadka. Ale ja byłam zadowolona. Święta przebiegną w spokojniejszej atmosferze, bez rozbestwionych kuzynów, którzy ciągle się kłócili, zmuszając dorosłych, żeby ci włączali się w niezrozumiałe spory o mało istotne sprawy.

W Wigilię w naszej okolicy spadło rekordowo dużo śniegu (od czasów gdy zaczęto prowadzić pomiary). Antena satelitarna i internet przestały działać. Słuchaliśmy dziadkowej muzyki na sprzęcie stereo, obiad zjedliśmy w kuchni, bo tam było cieplej, a potem przeszliśmy do salonu, żeby obejrzeć film z DVD. Wyboru dokonał dziadek. W pewnej chwili zasnęłam, a obudziłam się z głową na kolanach mamy. Głaskała mnie po czole, a ja leżałam z zamkniętymi oczami dłużej, niż musiałam. Potem Lina uczyła mnie zasad pewnej gry w karty, którą sama wymyśliła, tata poszedł do kuchni obrać ziemniaki, a my poszliśmy w tym czasie na spacer („Wróćcie przed zachodem słońca”). Powietrze było

tak zimne, że szczypało nas w szyję. Po powrocie rozpałam kominek w kuchni i usłyszałam za to tyle pochwał, że ktoś mógłby pomyśleć, iż rozpalenie ognia jest o wiele trudniejsze od wynalezienia penicyliny.

Podczas spaceru dziadek wsunął mi do kieszeni kopertę, pogłaskał mnie po policzku i uśmiechnął się. To była nagroda za wyniki w szkole. Za każdym razem płacił mi w zależności od ocen. Koperta była gruba, jak zawsze zresztą, bo nadal byłam dobrą uczennicą.

Zdałam do następnej klasy.

– Dzięki – mruknęłam.

Dziadek zrobił zadowoloną minę, a ja uśmiechnęłam się radośnie. Ucieszyłam się, że on też się uśmiecha, chociaż było to jego drugie Boże Narodzenie bez babci.

Na lekcji filozofii dyskutowaliśmy o uczuciach. Istnieje sześć podstawowych uczuć negatywnych i tylko jedno pozytywne – radość. Podniosłam rękę i powiedziałam, że chyba wszyscy wiedzą, że ludzie odczuwają strach mniej więcej w podobny sposób, że zawsze rozumiemy, co druga osoba ma na myśli, gdy mówi, że jest jej wstyd, a najczystsze odczucia, dzięki którym trzymamy się tak kurczowo życia, są zawsze negatywne.

Na samą myśl o tym, jak bardzo starałam się wtedy pokazać, że mam bardziej głębką i wrażliwą osobowość niż inni, aż mnie skręca. Wydawało mi się, że wiem, co to znaczy wpaść w złość albo stracić na sobą kontrolę. Ale przecież zjedzenie dwóch bochenków chleba z masłem i serem, gdy jest się najarany, nie może się liczyć. To żadna sensacja. Tak jak wiele innych nastolatek eksperymentowałam z narkotykami i udawałam, że działam pod ich wpływem. Brałam kokę, pieprzyłam się, a potem mówiłam: „Było super, myślałam, że umrę”. To wszystko wymysły. Za to nic, absolutnie nic nie było mi wiadomo na temat tego, jakobym chciała umrzeć. W całym moim życiu byłam tylko na pogrzebie babci i tak naprawdę nigdy się nie bałam, nigdy nie

byłam samotna, nigdy nie chciałam umrzeć i nigdy nie rozpadłam się na tysiąc kawałków. Zdolna Maja siedziała zawsze w pierwszym rzędzie z ręką podniesioną wysoko w górę. *Znam odpowiedź!* Nie, nie znasz. Nic nie wiesz.

Teraz już wiem, że podstawowe uczucia są nieciekawe i pozbawione smaku. Tylko głupek chodzi przez cały czas z szerokim uśmiechem na twarzy.

Ja też się czasem śmieję, ale to nie jest histeryczna radość.

Wstyd. Strach. Smutek. Nienawiść. Lista uczuć, które minęły, mieszanka kolorowych sklepów, szesnaście odcieni białości skorupki jajka. Jeśli żółty kolor mieszamy z niebieskim, otrzymamy zielony. Przyjaźń? Zazdrość? Czułość? Troska. Współczucie. Szczęście.

Najbardziej brakuje mi szczęścia, mieszanki wszystkiego, mieszanki wszystkich negatywnych uczuć, szczypty zdumienia i dużej dawki radości. Szczęście to mieszanka doskonała, ale nikt nie zna na nią przepisu.

Tamte święta Bożego Narodzenia u dziadka były ostatnim szczęśliwym okresem w moim życiu. Śmiałam się, rozmawiałam z mamą o różnych rzeczach i nawet się nie zastanawiałam, że robię to tylko dlatego, że mama chciała je ode mnie usłyszeć. Lina dostała pod choinkę walkie-talkie. Zmusiła mnie, żebym z nią wyszła na zaśnieżone podwórze, bo musiała od razu sprawdzić, z jakiej odległości będziemy się mogły porozumieć. Potem zbudowałyśmy śnieżną jaskinię i latarnię, która świeciła. Lepiłyśmy śnieżne aniołki i ciskałyśmy kulkami w jezioro, żeby sprawdzić, jak daleko dorzucimy. Jadłam marcepany maczane w czekoladzie, które prawie mi smakowały, i chrupki chleb z grillowaną szynką i musztardą, bo nie ma nic smaczniejszego. Dziadek sykał na mnie, żebym się uważnie wsłuchiwała, jak Jussi Björling śpiewa o łzach i nieszczęśliwej miłości.

Przez te trzy dni byłam smutna tylko przez krótkie jak oddech chwile i ani razu się nie bałam. Wigilia i dwa dni Bożego Narodzenia były doskonałą mieszanką szczęścia.

Co potem? Jeśli wymieszamy wszystkie kolory na tej samej palecie, zrobi się brudna breja, a na końcu wszystko będzie czarne. Pierwszego dnia po świętach mama obudziła mnie już o siódmej rano. Dzwonił Claes Fagerman. Rozmawiali ze sobą przez dziesięć minut. Claes przeprosił, że dzwoni o tak wczesnej porze, a mamie było przykro, że musi mi przekazać złą wiadomość. Kazała mi jechać do szpitala psychiatrycznego w Danderyd, bo Sebastian próbował popełnić samobójstwo.

31.

Dwie godziny później przed domem dziadka wylądował helikopter. Pilot wybrał tę część trawnika, która przylegała do jeziora. Kiedy pędziłam z torbą w kierunku maszyny, cały śnieg wirował w powietrzu. Dziadek biegł za mną tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to wiek, ale nogi miał trochę zeszywniałe. Usiadłam obok pilota, dziadek wdał się z nim w krótką rozmowę. Pilot wyjaśnił mi, że ma mnie „odwieźć” do miasta. Stamtąd zabierze mnie samochód, którym pojedę do szpitala. Claesa nie będzie, bo w tym czasie musi być niestety gdzie indziej, ale pozdrawia mnie i jest mi naprawdę wdzięczny, że zgodziłam się przyjechać. Pilot dalej coś mówił, tyle że ja go w ogóle nie słuchałam.

Sebastian próbował popełnić samobójstwo.

Dziadek zrobił dziwną minę, pocałował mnie w policzek i pożegnał się.

Dopiero gdy helikopter oderwał się od ziemi, uświadomiłam sobie, że nikt mnie nie spytał, czy chcę się spotkać z Sebastianem. Tylko co bym wtedy odpowiedziała? Że ma sobie radzić sam?

Muszę tam pojechać. Ale czy to znów aż tak oczywiste?

Sebastian leżał obandażowany, ubrany w szpitalną koszulę, z podłączoną kroplówką. Na mój widok rozplakał się. Usiadłam obok łóżka, wstałam, przeszłam na stronę, po której nie było rurek, położyłam się obok niego, wbiłam nos w jego szyję i też się rozplakałam.

Zaczęło się od podejrzenie zwiększonej dawki. Mamie aż poczerwieniały policzki, gdy mi o tym opowiadała. „On cię potrzebuje, Maju”. Była przerażona i widać było, że jest jej przykro, choć ja widziałam na jej twarzy

coś jeszcze. Tata spojrzał na mnie tym swoim dziwnym wzrokiem, jakim czasem na mnie patrzy. Jakby chciał powiedzieć: „Mamy taką dojrzałą córkę. Wie, jaka na niej spoczywa odpowiedzialność. Oboje z Sebastianem mają problem, ale on ją kocha, a ona rozumie, że powinna go wspierać i pomóc mu przez to przejść”.

Rodzice wiedzieli, że zerwałam z Sebastianem, ale zdaje się, że w tej sytuacji o tym zapomnieli. Bez względu na to, o co chodziło w naszych młodzieńczych kłótniach, dla nich najważniejsze było to, żebym „okazała gotowość”. Oboje byli dumni, że mimo wszystko zgodziłam się pojechać.

Tyle że ja nie byłam ani dojrzała, ani dzielna. Zdradziłam Sebastiana z innym chłopakiem, a potem go rzuciłam, bo nie mogłam już tego dłużej znieść. Wypłakiwałam mu się w szyję, bo sama nie wiedziałam, czy chcę tam przy nim być. Byłam naprawdę przerażona. Dopiero teraz sobie uświadamiam, że mogło go już nie być, że śmierć dzieli od życia tylko jedno uderzenie serca. Wzięłam go za nadgarstek i nacisnęłam bandaż trochę mocniej, niż chciałam, by poczuć żyły pod materiałem. Byłam przerażona bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Sebastian mógł już nie żyć. Przeze mnie. Bo go zdradziłam.

– Wybacz mi – szepnęłam, przykładając usta do jego szyi.

Ale nie mogłam, naprawdę nie mogłam mu pomóc. Jak miałam to zrobić? Powiedzieć po prostu: „Wybacz mi”? Jak przekonać człowieka, żeby nie chciał umrzeć? „Będę cię kochać, gdy wszyscy inni przestaną. Obiecuję. Już nigdy cię nie opuszczę”.

Leżałam na łóżku, a Sebastian opowiadał. Na dzień przed Wigilią nie było go w domu. Wieczorem włóczył się gdzieś z Dennisem, bo on zawsze miał dla niego czas, a Sebastian i tak nie miał nic innego do roboty. Kiedy jednak po Sebastiana przyjechała karetka, Dennis się ulotnił. Sebastian leżał na chodniku przed sklepem Urban Outfitters na Biblioteksgatan, a lekarz powiedział, że osoba, która zadzwoniła na pogotowie, korzystała z aparatu na kartę

z doładowaniem. Ale Sebastian nie miał do Dennisa pretensji. Dennis dostał potwierdzenie z Urzędu Migracyjnego, że wolno mu będzie zostać w Szwecji do końca roku szkolnego, a potem zostanie deportowany. Wiedział, że o wiele trudniej będzie uciec z aresztu niż od rodziny, u której mieszkał. Nie mógł ryzykować, że zgarnie go policja. W każdym razie nie teraz.

Pogotowie zabrało Sebastiana na ostry dyżur z podejrzeniem przedawkowania. Jego ojciec wpadł do szpitala w godzinach odwiedzin, ale wyszedł już po dwudziestu minutach. Dobę później, w nocy z Wigilii na pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia, personel szpitala znalazł Sebastiana w toalecie przylegającej do jego pokoju.

Lustro w łazience było rozbite, podłoga zalana krwią. Wiele jej stracił. Od tamtej pory leży na oddziale psychiatrycznym. Kierownictwo szpitala czekało dwa dni, żeby nie zakłócać mi świąt.

Claes rozmawiał z lekarzem, który był na ostrym dyżurze. Kiedy Sebastian się obudził, pielęgniarki poinformowały go o tym.

– Czy to lekarz powiedział tacie, żeby tu nie przychodził, że nie wolno mnie odwiedzać? – spytał Sebastian. – Czy lekarz mógł mu tego zabronić?

Czekał, aż mu odpowiem, ale nie zrobiłam tego, bo on i tak nie oczekiwał żadnych odpowiedzi. Mimo to zezłościł się na mnie, chociaż nic nie powiedziałam.

– Nie wiesz, o czym mówisz – rzucił. – Mój ojciec musi dbać o firmę, nie może siedzieć w szpitalu i gapić się na mnie.

Kilka razy powtórzył, że jego ojciec po prostu nie mógł przyjść, a ja powinnam to zrozumieć. Milczałam, bo oboje wiedzieliśmy, że to nieprawda.

Gdyby na tym łóżku leżał twój brat, Claes nie odstępowałby go ani na chwilę, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. Lukas nigdy nie próbowałby odebrać sobie życia. On nie popełnia takich błędów.

W końcu nie wytrzymałam i wyrzuciłam to z siebie. Powiedziałam mu, że

każdy normalny ojciec zostałby w szpitalu dłużej i nigdy by się nie zachował tak jak Claes. Sebastian jeszcze bardziej się rozzłościł, ale nie miał już sił na mnie krzyżeć, więc tylko się rozplakał.

– On nie jest zwykłym tatą – szepnął takim głosem, jak gdyby mnie prosił, żebym się z nim zgodziła.

Potem zamilkł, a ja nie chciałam mu sprawiać przykrości. Zaczęliśmy rozmawiać o jego mamie.

– Nie udało im się z nią skontaktować, ale to nie ja ich o to prosiłem. Myślę, że tata na pewno by tego nie zrobił, przynajmniej nie w tej sprawie.

– Dlaczego nie? – zdobyłam się na pytanie. – Dlaczego nie chce do niej zadzwonić? Dlaczego oni się nigdy nie spotykają? Czemu ona was zostawiła?

Tym razem Sebastian zareagował spokojnie.

– Nie wiem, dlaczego odeszła. Tata twierdzi, że to on ją wyrzucił, ale czasem myślę, że to ona nas zostawiła. Nie wiem, czy zamierzała nas obu ze sobą zabrać, ale Lukas i tak nie chciał się przeprowadzić, więc i ja postanowiłem zostać. Poza tym tata nigdy by jej nie pozwolił... – Sebastian przerwał, lecz po chwili się opanował i wrócił do poprzedniego wątku. –

Lukas dzwonił do mnie wczoraj. Dwa razy. Zadzwonił do mnie. Zadzwonił... i tak sobie myślę, że gdyby to mama zostawiła tatę, nie wolno by jej było się z nami spotykać. On by jej na to nie pozwolił. Nigdy. Tata nie znosi, gdy go ktoś obraża. A mama jest...

Sebastian przerwał, więc otarłam mu usta i nos papierem toaletowym i szepnęłam:

– Mów dalej.

Znowu się rozplakał, a potem wytarł nos i powiedział:

– Ja nie jestem taki jak ona, chociaż tata zawsze mówił, że tak właśnie jest. Nienawidzę jej, bo to idiotka. Nie jestem taki jak ona. Mam gdzieś, kto od kogo odszedł... Myślę, że to ona nas zostawiła, bo z niczym sobie nie radzi.

Lukas jest tego samego zdania. Mama jest po prostu beznadziejna.

Nie skomentowałam jego słów.

Rodzice Sebastiana nie przyszli go odwiedzić. Nie zjawił się też jego zdolny brat, który nie miał odwagi sprzeciwić się Claesowi, więc tylko zadzwonił po kryjomu, gdy był pewien, że Claes go nie słyszy. Przyszłam tylko ja. Wprawiłam go w złość, ale mamy to już za sobą. To, co zrobiłam, przestało się liczyć. Kiedy znów szepnęłam: „Wybacz mi”, Sebastian odparł: „Nie ma sprawy, ważne, że tu jesteś. Tamto się nie liczy”. Pocałowałam go, a on odwzajemnił mój pocałunek i sam zaczął mnie całować w szyję, sweter, włosy. Objął mnie i długo całował. Nie mógł beze mnie żyć. Tak, tu naprawdę chodziło o śmierć i życie.

Czy ja naprawdę wierzyłam, że Sebastian mnie potrzebuje, aby móc dalej żyć? Tak, bo to była prawda. Kiedy przeniesiono go na psychiatrię, Claes i Lukas jeździli na nartach w Zermatt. Po urlopie Claes wyjechał w sprawach służbowych, a Lukas wrócił do Stanów. Być może zabrzmiało to jak żart, ale jedyną osobą, która oprócz mnie odwiedziła Sebastiana w szpitalu, była Majlis, sekretarka Claesa. Pewnie pomyślicie, że zmyślam, ale taka jest prawda. Jednak najgorsze w tym wszystkim było to, że Claes wysłał ją do syna, chociaż wiedział, że to głupi pomysł. A jednak nie zmienił decyzji.

Sebastian długo leżał w łóżku i płakał, a ja leżałam obok niego. Widać było po nim, że otarł się o śmierć, więc pomyślałam, że jeśli przy nim zostanę, łatwiej mi będzie go zmienić. Sprawię, że spojrzy na mnie innymi oczyma i poczuje się zagubiony, jak gdyby stracił grunt pod nogami i nie był w stanie sobie przypomnieć niczego innego oprócz jednej rzeczy: że chce tylko mnie. A wtedy stanę przed nim i będę wiedziała, jak go uratować. Wszystko zmieni się na lepsze, a Sebastian wyzdrowieje.

Czy myślałam wtedy o Samirze? Być może. Ale on mnie nie chciał, bo nie pasowałam do jego życia, a sam nie miał zamiaru się dla mnie zmieniać. Samir

mnie nie potrzebował.

Kiedy leżałam obok Sebastiana i oboje płakaliśmy, chciałam podpalić dla niego świat, pokazać mu, co dla mnie znaczy, być z nim, odwiedzać go, żyć dla niego. Pewnie pomyślicie, że to niesamowite, ale wy po prostu nie wiecie, co się stało. Zresztą wtedy nikt nic nie wiedział. I nikt mnie nie pytał: „Czy chcesz?“, „Czy możesz?“. Nikt nie zadeklarował pomocy, nie powiedział: „Sama sobie z tym nie poradzisz“. Wszyscy wiedzieli, że istnieje tylko jedno rozwiązanie, że tylko ja mogę go uratować. Nikt mnie nie pytał, czy chcę go ratować, a teraz wszyscy mnie krytykują, że sobie z tym nie poradziłam.

Nie wiem, jak zareagował lekarz, gdy Claes mu oznajmił, że nie może przyjechać i odwiedzić syna, bo jest zapracowany, potem wyjeżdża na narty, a potem będzie obchodził święta. Za to wiem, że ludzie nigdy nie stawiali mu zbyt wielu wymagań. Nawet lekarze. Być może rozmawiali o tym w pokoju socjalnym, gdy Claes ich nie słyszał, może w trakcie rozmowy padło hasło: „Ktoś powinien mu o tym powiedzieć“, ale nikt się nigdy nie odważył być tym „kimś“. Kiedy się z nim spotykali i teoretycznie mogliby mu zadać kilka trudnych pytań – na przykład: „Co ty wyprawiasz? Przecież jesteś jego ojcem! Jego kumplem! Gdzie jest jego matka?“ – od razu zapominali języka w gębie. Nie było szansy, żeby któryś z nich zadał mu takie pytania. Fagerman tak bardzo im imponował, że nigdy nie ośmielili się powiedzieć czegoś, co mogłoby mu się nie spodobać. Na samą myśl o tym, że swoją nienawiść i złość na syna mógłby zwrócić przeciwko nim, ogarniało ich śmiertelne przerażenie.

Leżałam obok Sebastiana i tak długo go tuliłam, aż przestał płakać i zasnął. Przeleżałam w tej pozycji do czasu, gdy się obudził.

Ani jeden człowiek na całym świecie nie powstał i nie zaczął krzyknąć: „Czy ktoś mógłby sprowadzić do Sebastiana jego pieprzonych rodziców i zmusić ich, żeby go odwiedzili i pokochali tak, jak na to zasługuje?“.

Kiedy zanosił się od płaczu i nie mógł mówić, całowałam go, a on

odwzajemniał moje pocałunki. Sytuacja była dość niezręczna, bo miałam w ustach jego smarki i przeszkadzały mi bandaże. Ale właśnie wtedy, w szpitalu, Sebastian był samą miłością, wszystkim, czego potrzebowałam, był przy mnie, a nie w drodze nie wiadomo dokąd. Ja naprawdę wierzyłam, że zdołam coś zmienić. Nie świat, aż tak głupia nie jestem. Zastanawiałam się, jak to będzie, gdy go wypiszą. Wrócimy do domu, gdzie nadzy i samotni położymy się w jego podwójnym łóżku. On będzie przecierał nowe ścieżki na moim brzuchu, a ja będę wdychać powietrze, którym on oddycha. Nikogo nie będziemy potrzebować, nawet jego wstrętnego ojca.

– To on powinien umrzeć, nie ty – szepnęłam mu do ucha.

Czy naprawdę tak uważałam? Oczywiście, że tak. Nienawidziłam Claesa, i gotowa byłam poświęcić dla Sebastiana wszystko. Jedyne problemy polegały na tym, że nie bardzo wiedziałam, co słowo „wszystko” obejmuje. Każda miłość jest największa tylko do czasu, gdy ważniejsze staje się coś innego.

Do szpitala dotarłam helikopterem i samochodem. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że tam pojedę. Wróciłam do Sebastiana i zostałam z nim, bo mnie potrzebował. Nikogo innego nie miał. Kochał mnie. Jakie to szczęście, że mieliśmy siebie.

Teraz, kiedy jest już po wszystkim, brakuje mi tamtej ciepłej mieszanki uczuć, które przypominały szczęście. Brakuje mi tego, co przeżyłam w czasie świąt u dziadka, gdy na dworze leżał śnieg, gdy to, co miałam w głowie, przypominało pogodę po deszczu, a moje uczucia rozpuszczały się w mieszance o właściwym stężeniu.

Miłość? Nie, nie tęsknię za nią. Ona nie jest ani najważniejsza, ani najczystsza, nigdy nie stanie się mieszanką doskonałą, raczej brudną cieczą. Zanim ktoś jej posmakuje, powinien ją powąchać. Istnieje jednak ryzyko, że i tak nie zauważy, iż jest trująca.

Areszt dla kobiet, noc

Drugi tydzień procesu — noc z poniedziałku na wtorek

32.

W samym środku nocy, gdy otacza mnie całkowita ciemność, do celi przenika słaba poświata. To miejska luna, która nigdy nie staje się czarna i nigdy nie cichnie. Po przebudzeniu leżę przez chwilę nieruchomo i czekam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności i zaczną rozróżniać kontury wyposażenia celi. Kiedy oddycham, cienki, żółty koc, pod którym leżę, faluje. Wsuwam dłoń w narożnik łóżka, moje paznokcie pozostawiają rysy w miękkim drewnie. Właśnie w takich chwilach czuję się najbardziej samotna.

Kiedy byłam dziewczynką, spałam w sosnowym łóżku. Chciałam po prostu mieć zwykłe łóżko, jakie w swoich mieszkaniach mieli inni ludzie, więc mama pojechała do Ikei i kupiła mi takie. Nie miałam odwagi, żeby na nim leżeć, więc wczołgiwałam się pod nie i kładłam płasko na plecach. Rysowałam na nogach łóżka jakieś znaki i zostawiałam tajne przesłanie dla potomnych. Czasem namawiałam Amandę, żeby weszła pod łóżko razem ze mną. Chyba nigdy nie byłyśmy lepszymi przyjaciółkami niż wtedy, kiedy nasze życie składało się z lodów i naklejek z tatuazami w opakowaniach z gumą do żucia, a my konkurowałyśmy ze sobą, która narysuje ładniejszą głowę konia. Niestety, pod łóżkiem było zbyt ciasno i rzadko dawałyśmy radę leżeć tam dłużej.

Kiedy podrosłam, rodzice kupili mi łóżko z baldachimem, w stylu gustawiańskim, więc musiałam skończyć z bazgrołami. Spałam w nim do czasu, aż Lina przeniosła się z łóżeczka dziecięcego do zwykłego. Oddałam jej to moje, z baldachimem, a sama przeniosłam się do własnego pokoju z podwójnym łóżkiem. W tym samym czasie Amanda zrobiła sobie na

nadgarstku prawdziwy tatuaż przedstawiający lilię. Kiedy zakładała zegarek, prawie nie było go widać.

Sebastian nigdy nie zostawał u nas na noc. Moi rodzice nie byli temu przeciwni, ale on czuł się najlepiej we własnym otoczeniu. U nas nigdy nie czuł się zbyt komfortowo. Lubił mieć święty spokój. Kiedy wrócił ze szpitala do domu, zaczęło to być dla niego coraz ważniejsze. „Chcę, żeby tu było cicho. Czy możesz się zamknąć?”.

Kiedy chcę się załatwić, nie muszę zapalać w celi światła, bo muszla klozetowa błyszczy nawet w ciemnościach. Siadam na niej i nawet nie czuję, że jest twarda, wąska i niewygodna. Zdążyłam się już przyzwyczaić. Spuszczam wodę i nawet nie muszę szukać po omacku przycisku, bo dobrze wiem, gdzie jest. Spędziłam w tej celi już tyle czasu, że niemal się z nią zrosłam. Czuję nawet, jak mnie palą żelazne pręty. Po przebudzeniu nie zastanawiam się już, gdzie jestem. Przestałam sobie też zadawać pytanie dlaczego.

Nadal jednak śnię. Czasem przychodzi do mnie Amanda: głośno się śmieje, chwyta mnie za rękę i szczypie, bo jesteśmy ze sobą związane po wieczne czasy.

Ona i ja. Ja i Sebastian.

Na samą myśl o Sebastianie moje ciało zaczyna reagować. Nie ma znaczenia, że głowa protestuje. Ciało ciągle jeszcze pamięta. Nawet moja skóra go zapamiętała.

Zanim związałam się z Sebastianem, byłam zwykłą dziewczyną, która mówiła tylko „tak” i „nie”. Nigdy nic więcej. Dzięki niemu stałam się jak faceci. Nigdy nie przejmowałam się tym, że kiedyś będę się za to nienawidzić. Mówiłam: „Daj spokój”, apelowałam do niego: „Proszę”, „Więcej”, „Jeszcze raz”, „Tylko ten jeden ostatni raz”. Jest jedna jedyna rzecz, którą moje ciało zapamiętało lepiej niż to, jak bardzo go pragnęłam: to, co poczułam, gdy go już

nie było.

W końcu przyszła moja kolej. Za kilka godzin zacznie się moje wystąpienie. Sander wyjaśni mi, o czym i jak mam mówić, a potem pani prokurator zacznie mi zadawać pytania. Jakbym już ją słyszała: „Jak mogłaś to zrobić? Coś ty zrobiła? Co wiesz? Odpowiadaj”.

– Twoja rola nie polega na tym, żeby wyjaśniać, dlaczego Sebastian zachował się tak, a nie inaczej – instruuje mnie Sander. – Im szybciej to zrozumiesz i przestaniesz na takie pytania odpowiadać, tym lepiej dla ciebie. Musisz się skupić na tym, co w tej historii dotyczy ciebie i tylko ciebie.

Sander uważa, że nie powinnam mówić, jak bardzo kochałam Sebastiana, bo to nie należy do sprawy. Nie chce mnie nawet słuchać, gdy opowiadam, jak go zdradziłam, że to przeze mnie czuł się tak okropnie albo że mnie potrzebował. Kiedy rozmawiam o tym z Sanderem, za każdym razem przegląda jakieś papiery, odwraca się ode mnie albo szuka po kieszeniach swoich okularów. Historia naszej miłości nie pasuje do całości. Sander twierdzi, że tak czy inaczej wychodzę na winną albo na głupią. Dla niego to mniej więcej to samo.

„To nie należy do sprawy. Nie musisz o tym opowiadać. Zachowaj to dla siebie. Z prawnego punktu widzenia to nieistotne”.

Są jednak rzeczy, których Sander nie rozumie. Za jego młodości król nie musiał zaraz po ślubie całować się publicznie z Sylwią na schodach pałacu. Nie musiał też wygłaszać transmitowanego na żywo przemówienia z przyjęcia weselnego o treści „Sylvio, Sylvio, tak bardzo cię kocham... bla, bla, bla...”. Żeby zaspokoić potrzeby plebsu, nie trzeba było zatrudniać autorów przemówień w stylu „Pokonaliśmy ogień i wodę, nie obraliśmy prostej drogi, ale najważniejsza jest miłość”. Za czasów Sandera nikt takich rzeczy nie robił, zachowywano takie wyznania dla siebie, żeby nie wywołać skandalu. Ale tamte czasy minęły, a ja wiem, co jest potrzebne dzisiaj. Wiem, co sama

chciałam wiedzieć: wszystko. Domagałam się dosłownie każdego szczegółu na temat brudnej, chorej, trującej miłości, która łączyła mnie z Sebastianem. Z prostej przyczyny: chciałam zrozumieć, dlaczego powiedziałam, że Claes zasługuje na śmierć, i dlaczego zastrzeliłam mojego chłopaka i najlepszą przyjaciółkę.

Być może to nie ja powinnam wyjaśnić, dlaczego Sebastian zachowywał się tak, a nie inaczej. „Z prawnego punktu widzenia to nieistotne”, stwierdził Sander. Ale ja tam byłam, Sebastian był moim chłopakiem, znałam go lepiej niż ktokolwiek inny w naszej klasie i wiedziałam o nim o wiele więcej niż jego rodzice. Mimo to zabiłam i jego, i Amandę. Jeśli więc nie ja mam to wyjaśnić, to kto inny może to zrobić?

Dlaczego? Bo ja też chcę się dowiedzieć. Słowo „dlaczego” jest nieskończenie pojemne, trzeba się na nie całkowicie otworzyć i właśnie z tego powodu powinnam z o wiele większą ostrożnością podchodzić do tego, co mówię. Bo gdy już coś powiem, nie da się tego cofnąć.

Dzisiaj obudziłam się znacznie wcześniej niż zwykle. To mój dzień, w końcu zacznę zeznawać.

Najgorzej jest wtedy, kiedy budzę się w całkowitych ciemnościach. Tak jak dzisiaj. Już w chwili gdy otwieram oczy, wiem, że nie uda mi się ponownie zasnąć. Jest mi niedobrze, idę do łazienki, pochylam się nad umywalką i puszczam wodę, która w areszcie nigdy nie jest ani całkiem zimna, ani całkiem ciepła. Myję twarz, przy okazji moczę nocną koszulę, więc ją zdejmuję. Potem stoję nago w celi i oddycham: wdech, wydech, wdech, wydech. Marznę i pocę się zarazem.

Sander długo mnie przygotowywał na ten dzień, dużo ze mną ćwiczył. Ale to nie jest tak, że wymyślił dla mnie jakąś historię, a ja nauczyłam się jej na pamięć. Wiem jednak, że jeśli zacznę się jąkać i pocić, jeśli zaczerwienię się na twarzy i będzie to po mnie widać, moje słowa nie będą miały znaczenia.

Przestanie się także liczyć to, jak bardzo jestem szczerą, bo nikt na sali nie będzie mnie słuchał.

Oskarżona. To ja. Za kilka godzin zacznę zeznawać. Najwyższa pora, żebym przedstawiła moją wersję wydarzeń.

Sander pouczył mnie, że mam prawo odmówić zeznań. Oznacza to, że podczas całego procesu musiałabym zachować milczenie. Nikt nie może mnie zmusić do mówienia ani do udzielania odpowiedzi na pytania. Jeśli postanowię milczeć, mogę milczeć.

W szpitalu Sebastian był dość rozmowny, ale po powrocie do domu zrobił się milczący. Nie narzucałam mu się, nie zasypywałam tysiącem pytań i nie domagałam się na nie odpowiedzi. Rozumiałam, że potrzebuje spokoju. Jego kumple robili wszystko, by pokazać, że jest im to obojętne. Wprawdzie żaden z nich nie postarał się, by go odwiedzić w szpitalu, ale gdy Seba wrócił do domu, nie mogli już dłużej udawać, że całe to przedstawienie odstawiają ze względu na niego. Jego częstym gościem stał się za to Dennis. Najgorsze było jednak to, co zrobił Labbe. Kiedy po świętach spotkał Sebastiana, rozplakał się i zaczął go obejmować. Amanda przyłączyła się do niego i zrobiło się z tego niezłe widowisko. Sebastian nienawidził takich przedstawień.

Leżę w łóżku i marznę. W szafie jest dodatkowy koc, ale zbyt mocno trzęsę się z zimna, żeby po niego wstać. Zamykam oczy, czuję, że mnie szczypią. Przewracam się na bok, próbuję objąć kolana rękami, oddycham pod kołdrą. Dreszcze przychodzą i odchodzą, prawie zdążyłam się przyzwyczaić do ich rytmu. Przypominają czkawkę. Ona też się nagle zaczyna i równie nagle kończy.

Kiedy złożę zeznania, nie będzie odwrotu. Tymczasem nocą pojawiają się w celi różne wersje mojej historii – toczą się równoległe do mojego życia. Nie mogę przestać o nich myśleć. W jednej z nich nie całowałam się z Samirem, nie pozwalałam mu brać mnie za rękę i nie pojechałam go

odwiedzić w jego dzielnicy. Z kolei Samir nigdy mnie nie znienawidził, nie wstydził się przede mną i nie poczuwał do odpowiedzialności za mnie; ja się w nim nie zakochałam i nie musiałam zrywać z Sebastianem, który nie próbował przez to odebrać sobie życia i nie zmienił się na gorsze, jak to miało miejsce po świętach; podczas ostatniej imprezy Claes nie wpadł w złość, Sebastian nie stracił nadziei, że jego tata go pokocha, nie strzelał z karabinu, ja nie zabiłam jego ani Amandy, wszyscy nadal żyjemy i cała historia zakończyła się szczęśliwie. Po lepszym początku zaczęło się lepsze życie.

To właśnie po tym, jak zerwałam z Sebastianem, a on uświadomił sobie, jak łatwo jest umrzeć, narodził się w nim zabójca. Zrozumiałam to, gdy było już za późno.

W innym, równoległym świecie zabijam Sebastiana wieczorem w dniu poprzedzającym wydarzenia w szkole. Zaraz po imprezie w jego willi. Nie wiem, jak i dlaczego miałabym to zrobić, ale byłoby to lepsze rozwiązanie, bo dzięki niemu wszyscy inni nadal by żyli. W trzeciej wersji nie wracam po imprezie do domu, więc moi rodzice dzwonią rano na policję. Policjanci znajdują mnie martwą w klubie Barracuda, stwierdzają, że upiłam się na śmierć. Jadą prosto do willi Fagermanów i wchodzą do środka, żeby porozmawiać z Sebastianem, dzięki czemu on nie zabija ojca i nie jedzie do szkoły, by zrobić to, co zrobił.

W czwartej wersji zostaję po imprezie u Sebastiana, chociaż jego ojciec każe mi się wynieść. Zmuszam Sebastiana, żeby został w domu. Gdybym ja tam została, nie zabiłby ojca. W tej wersji wszyscy by przeżyli. Amanda też.

Wszystkie te wersje coś łączy. Nie mogę przestać o tym myśleć.

„Ważne, żebyś przedstawiła swoją wersję”, powiedziała podczas przesłuchania Ondulacja. Powtórzyła te słowa tyle razy, że nie potrafię nawet zliczyć. „Zrób to przez wzgląd na Amandę”.

Ludzie zawsze myślą, że wiedzą, czego chcieliby zmarli. „Amanda

chciałaby, żebyś była dzielna”. „Amanda chciałaby, żebyś opowiedziała prawdę”. „Amanda by zrozumiała”.

To jakieś kosmiczne brednie. Amanda by chciała, żebym jej nie zastrzeliła. Nie chciała umrzeć. Myślę, że jest to jedyna rzecz, jakiej możemy być pewni.

Prawda jest taka, że do tego, co wydarzyło się po moim powrocie do Willi Fagermanów, doszło tylko dlatego, że nie udało mi się tego powstrzymać.

A może powinnam opowiedzieć coś więcej o Sebastianie? Na przykład, że był złym człowiekiem. Czemu nie? Nie ja mam go bronić. Teraz jest sam, tak jak ja. Nie jestem jednak pewna, czy mi to w czymś pomoże i czy będzie w ogóle miało jakieś szczególne znaczenie. Dzisiaj to ja będę zeznawać. Potem przyjdzie kolej na Samira.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Drugi tydzień procesu — wtorek

33.

A więc Samir przeżył! Sebastian oddał w jego kierunku trzy strzały: jeden pocisk utkwiał w brzuchu, drugi w barku, trzecim przestrzelił mu rękę. Samir przeszedł sześć operacji, między innymi usunięto mu trzustkę. Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale w akcie oskarżenia napisano, że do końca życia będzie się leczył, że ma ograniczoną sprawność lewej ręki i chroniczny ból w plecach.

Jego stan poprawił się jednak na tyle, że będzie mógł studiować i to nie gdzie indziej, jak na Uniwersytecie Stanforda. Należnik twierdzi, że to dzięki odszkodowaniu, jakie wypłacił mu koncern Fagermana.

Samir jest nie tylko jedną z ofiar i powodem w sprawie, ale także głównym świadkiem oskarżenia – jedynym, który przeżył strzelaninę. Pani prokurator, opierając się na jego zeznaniach, buduje swoją wersję wydarzeń. Wiem, co jej naopowiadał, bo czytałam protokoły jego przesłuchań w aktach śledztwa. Robiłam to tyle razy, że prawie znam je na pamięć. Samir zeznał, że Amandę zastrzeliłam z premedytacją: spokojnie wyjęłam z torby karabin, a Sebastian nie protestował, tylko mnie poprosił: „Daj spokój, zrób to. Chcę, żebyś to zrobiła”. Wystrzeliłam więc – twierdzi Samir – najpierw do Amandy, a potem do Sebastiana.

W sali rozpraw panuje cisza. Wchodzę do środka i siadam na swoim miejscu. Dziadek by powiedział, że panuje napięta atmosfera. Nawet sędziowie wyglądają inaczej. Znowu bije od nich powaga, jak pierwszego dnia. Okazuje się, że Samir będzie zeznawał dopiero w poniedziałek w przyszłym tygodniu,

bo zatrzymały go w Stanfordzie jakieś sprawy. Sąd zgodził się na to i przesunął moje zeznania na dzisiaj. Wszyscy są spięci, bo w końcu przyszła moja kolej. I tak wiemy, co zezna Samir, więc nie bardzo rozumiem, dlaczego wszyscy są tacy podekscytowani. Przecież nie powiem nic, co unieważni jego wersję.

Sander stwierdził, że zeznania Samira należy oceniać w świetle sytuacji, w jakiej się wtedy znalazł. Chce wykazać, iż spostrzeżenia Samira są niespójne. Ale ja i tak wiem, że po tym, co opowie, sędziowie uwierzą w jego wersję. Samir to ktoś, komu się ufa.

Sander rozpoczyna swoje wystąpienie od ogólnych pytań na mój temat. Pyta, ile mam lat, chociaż jeśli ktoś tego jeszcze nie wie, to znaczy, że nie żyje; pyta, gdzie mieszkam, a ja nie odpowiadam: „W Djursholmie”, tylko mówię: „Mieszkam razem z mamą, tatą i siostrą Liną, która ma pięć lat”. Prosi, żebym opowiedziała, jak mi idzie w szkole, więc odpowiadam: „Całkiem dobrze”, na co Sander dorzuca: „To bardzo dobrze”. Dopiero po tej rozgrzewce zaczynam opowiadać o tym, co się wydarzyło.

Sander wyjaśnił mi wcześniej, że nie zamierza się koncentrować na ocenie wydarzeń dokonanej przez Samira, tylko będzie mnie pytał o klasę. Zaczniemy jednak od próby samobójczej Sebastiana. Mam opowiedzieć, jak Sebastian się czuł, zanim targnął się na życie (źle), o jego ciągłym imprezowaniu, które stwarzało tyle problemów, o moim spotkaniu z Samirem, o tym, co Sebastian mi powiedział, gdy z nim zerwałam, i o czym rozmawialiśmy w szpitalu.

– Opowiedz nam, co się działo po jego wyjściu ze szpitala.

Sebastian został wypisany ze szpitala tydzień po Nowym Roku, w dniu, w którym zaczął się semestr zimowy. Lekarz wystawił mu zwolnienie lekarskie na dwa tygodnie. Sebastian spędził je w domu. Na początku miałam nadzieję, że mu to pomoże, że poczuje się lepiej. Niestety, stało się inaczej. Mimo to nie traciłam nadziei. Sebastian przestał wychodzić z domu, zapraszać

na imprezy po dwie setki znajomych i spędzać weekendy w Barcelonie, Londynie i Nowym Jorku. Wolał przebywać ze mną. Najchętniej przez całą dobę, nawet wówczas, gdy powinnam być w szkole. Przestał jednak opowiadać o tym, co razem zrobimy, dokąd pojedziemy i jak będziemy imprezować. Wolał przebywać tylko ze mną, z nikim więcej. Najchętniej w jego willi, bo Claes zaglądał tam tylko po to, żeby przepakować walizki. Uważałam takie zachowanie Sebastiana za dobry znak. Przestał się upijać i rzadko odlatywał pod wpływem prochów, a przynajmniej nigdy w ten sposób co dawniej. Kiedy dzwonili jego kumple, a ja akurat z nim byłam, odrzucał rozmowę, jeśli zaś chciał się z nimi spotkać, wolał zaprosić ich do domu. Ale nawet jak już ktoś przyszedł, Sebastian gdzieś znikał. Czasem nie mogłam go znaleźć. Po prostu go nie było.

Wiedziałam, że ma depresję, choć z drugiej strony nigdy wcześniej nie okazywał mi tyle miłości co podczas tamtych dwóch tygodni po powrocie ze szpitala, gdy po domu chodził w samej piżamie. Chyba właśnie wtedy kochałam go najbardziej. Dlaczego tak było?

Pod koniec serii z Harrym Potterem, gdy dochodzi do walki z Voldemortem, Ron całuje się z Hermioną. Robią to, bo myślą, że wkrótce zginą. Zaraz potem Harry całuje się z Ginny – z tego samego powodu. Myślę, że Sebastian kochał mnie wtedy bardziej niż kiedykolwiek, bo sobie w końcu uświadomił, że mógł już nie żyć. Ja czułam to samo: mało brakowało, a byłoby po nim. Dopiero teraz, kiedy jest już po wszystkim, zaczynam powoli rozumieć, że Sebastian chyba już wtedy wiedział, że nie tylko mógł umrzeć, ale że wkrótce faktycznie umrze. W każdym razie na pewno zdawał sobie sprawę, że jeśli postanowi umrzeć, nie będzie to wcale takie trudne.

Potem to uczucie intensywnej miłości zgasło.

Rozmawiamy o Claesie. Sander prosi mnie, żebym opowiedziała, co Claes robił, a czego nie robił.

- Czy ta sytuacja była dla Sebastiana trudna?
- Czy był rozczarowany zachowaniem ojca?
- Czy rozmawialiście o tym?

Stałam i opowiadałam: o Lukasiu, o mamie Sebastiana, o Labbem, o imprezach, o Dennisie, o narkotykach, o Samirze i o wielu innych sprawach. O wszystkim.

- Czy możesz nam opowiedzieć, jak zmieniał się stan zdrowia Sebastiana? Oczywiście, że mogę.

Dopiero przed feriami wielkanocnymi uświadomiłam sobie, że jego stan wcale się nie poprawił. Przeciwnie: było coraz gorzej. Wszyscy inni, w tym także Amanda, zauważyli to dużo wcześniej. Sebastian już pod koniec lutego nie musiał się domagać, żebyśmy byli sami, nie musiał odrzucać rozmów telefonicznych, nie musiał też dłużej udawać, że jest chory, żeby nie wychodzić z domu. Nie musiał tego wszystkiego robić, bo zostaliśmy sami. Nikt nie chciał z nami być.

Spędzenie całego życia u boku ukochanego mężczyzny – który też kocha – zdarza się tylko w książkach. „Całe życie” to zbyt długi okres, żeby udawać. Miłość nie uratuje wspólnego bycia ze sobą „do samego końca”.

Dla Sanderu ważne są dwie sprawy. Po pierwsze, chce pokazać, że Sebastian miał konflikt z ojcem, za który na pewno nie można obwiniać mnie. Chce też udowodnić, że nie namawiałam Sebastiana, by zabił ojca, bo zrobiłby to bez względu na mnie. Po drugie, chce wykazać, że ani ja, ani Sebastian nie planowaliśmy zemsty, nie uprawialiśmy seksu w jego willi, wykuwając plan „zbrodniczego paktu”. Sander zamierza przekonać sędziego i ławników, że brakowało mi kontaktu ze znajomymi, że wcale ich nie nienawidziłam, że to Sebastian coraz częściej zachowywał się jak szalony, stawał się coraz gorszy i coraz bardziej dziwny. Sebastian, nie ja.

Opowiadam więc o tym sądowi, dziennikarzom i całej publiczności.

Opisuję, jak narastało zło, a Sebastian po raz pierwszy powiedział do mnie: „Zamknij się”, chociaż nic nie mówiłam. „Zamknij się, bo cię walnę”. Opowiadam o tym, jak byłam pewna, iż zaraz mnie uderzy. Opowiadam o wielu innych sprawach.

– Bałaś się go? – pyta Sander, a sędzia pochyla się lekko, patrzy na mnie i czeka na odpowiedź.

Nie, wcale się go nie bałam, przynajmniej nie za pierwszym razem. Za drugim zresztą też nie. Trudno to wyjaśnić. Nie umiem znaleźć odpowiednich słów na wyjaśnienie tego, co wtedy czułam.

– Czy to prawda? – pyta Sander. – Naprawdę się nie bałaś?

Chcę odpowiedzieć, ale chce mi się też płakać. Nie umiem powstrzymać łez. Kręcę głową, nie mogę wykrztusić słowa ani powstrzymać płaczu.

– To prawda – odpowiadam po chwili. – Wcale się o siebie nie bałam. Być może trochę, ale wcale nie ze strachu, że mnie skrzywdzi.

– Co masz na myśli?

– Nie mogłam go zostawić.

– Myślałaś, że jak go zostawisz, to znowu spróbuje odebrać sobie życie?

Kiwam głową. Czuję, jak ogarnia mnie panika.

– Mhm.

– Dlaczego tak myślałaś?

– Bo kiedyś to powiedział. Nie żartował. Wiedziałam, że mówi prawdę.

– A ty nie chciałaś jego śmierci?

– Oczywiście, że nie.

– Czy z kimś o tym rozmawiałaś? Wyjaśniałaś, że sytuacja jest poważna?

Znowu kiwam głową.

– Tak – odpowiadam. – Próbowałam.

Ja i Sebastian

34.

Nie wiedzieliśmy, że Claes będzie w domu. Okazało się, że razem z czterema znajomymi jadł właśnie kolację w kuchni. Jeden z nich stał przy kuchence. Od razu go poznałam po długich, sięgających do ramion i związanych w głupi węzeł włosach (pewnie chciał wyglądać jak gracz zawodowej ligi futbolu amerykańskiego). W telewizji prowadził jeden z trzech milionów programów o gotowaniu. Włosy miał tłuste i rozpuszczone, w jednej ręce trzymał rybę, w drugiej nóż. Wyglądał okropnie.

Claes opowiadał właśnie jedną ze swoich słynnych historii o tym, jak podczas polowania w RPA jeden z przewodników kazał mu przynieść więcej amunicji. Wszyscy musieli słyszeć tę opowieść ze dwadzieścia razy, ale zawsze śmiali się we właściwym momencie.

– Siadajcie – powiedział Claes w połowie opowieści.

Usiedliśmy przy stole. Dlaczego? Bo Sebastian zawsze robił to, co kazał mu ojciec, a ja robiłam to co on.

– Czy mógłbyś wyjąć kilka talerzy?

Z tym pytaniem Claes zwrócił się do siedzącego najbliżej niego faceta w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Jego też poznałam, był chyba jakimś ministrem, ale nie finansów, tylko gospodarki. Już raz go wcześniej spotkałam. Mężczyzna podszedł ze zmieszana miną do szafek. Nie miał pojęcia, gdzie stoją talerze, a na dodatek był już tak pijany, że aby coś w ogóle zobaczyć, musiał przyłożyć dłoń nad oczami. Kiedy wskazał tłustym paluchem jedną z szafek i spytał: „Gdzie trzymacie talerze?”, wstałam od stołu.

– Ja to zrobię – powiedziałam.

Chciałam stamtąd jak najprędzej wyjść, przyspieszyć to, czego chciał od

nas Claes, bez względu na to, co to miało być.

– Coś nie w porządku? – spytał Claes, zwracając się do Sebastiana. Przed chwilą skończył opowiadać swoją historię. – Źle wyglądasz. Jesteś chory?

Sebastian uśmiechnął się słabo i nalał wszystkim wina. Wypił swoją porcję, dolał sobie, uniósł kieliszek w stronę ojca i opróżnił go do dna.

– Widzę, że wdał się w ojca – powiedział telewizyjny kucharz.

Stanął koło mnie, pochylił się i postawił na stole dwa półmiski: jeden z ziemniakami, drugi z grochem cukrowym.

– Mylisz się, niestety – odparł Claes, nałożył sobie porcję ziemniaków i podał półmisek dalej. – We mnie na pewno się nie wdał. Obserwuję to od kilku lat. Dziwnym zbiegiem okoliczności to rzeczywiście mój syn, ale to kopia Miss Jönköping. Nawet lepsza od oryginału. Jego matka wydaje się przy nim stabilna i mądra.

Niesympatyczni przyjaciele Claesa wybuchnęli śmiechem. Zrobili to z pewnym wahaniem, ale jednak. Żaden z nich nawet nie przypuszczał, że Claes mówi poważnie. Kucharz przyciągnął krzesło i wcisnął się między mnie a Sebastiana. Usiadł tak blisko, że czułam jego zapach – mieszankę rybich wnętrzności, potu i odurzających męskich perfum.

– Sebastianie, czarna owco naszej rodziny, powiedz nam, co u ciebie słychać? – spytał Claes.

– Obchodzi to pana? – mruknęłam, odsuwając się z krzesłem od kucharza.

Nie sądziłam, że Claes mnie usłyszy, a jednak. Uniósł głowę znad talerza i spojrzał na mnie. Może też się zaśmieje?

– Czy on mnie obchodzi?

Kucharz objął mnie ramieniem.

– On tylko żartuje. Wyluzuj, skosztuj jedzenia – powiedział, wziął mój widelec, nabił na niego kawałek mięsa i podsunął mi pod usta. – Uwaga, zbliża się okręt z ładunkiem... Nooo, za tatusia. Otwórz usta.

Claes roześmiał się gwałtownie. Ułamek sekundy później zrobili to jego pozostali przyjaciele. Otworzyłam usta. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale kucharz nadział na widelec kolejny kawałek i znowu mi go podsunął. Kiedy połknęłam, otarł mi usta swoją serwetką. Nie widziałam Sebastiana, ale słyszałam, że też się śmiał. Zawsze to robi, gdy Claes się śmieje. Poczułam, że jest mi niedobrze. Sebastian tkwił w tym mobbingu po uszy, nie umiał się od niego uwolnić. Wiedziałam, że nigdy mu się nie uda. Czy on naprawdę nie widzi, że zachowuje się nienormalnie? Oczywiście, że widzi. Czy widzi, że jego ojciec jest nienormalny i zachowuje się okropnie? Oczywiście, że tak. Dlaczego nic z tym nie zrobi? Dlaczego nie chce zrozumieć, że ludzi nie wolno tak traktować? Dlaczego zasady dobrego zachowania obowiązują wszystkich z wyjątkiem Claesa? Panu Fagermanowi wszystko wolno, a my mamy siedzieć z rozdziawionymi buziami i na wszystko się godzić?

Nagły przypływ energii poczułam dopiero w chwili, gdy kucharz podał mi na widelcu trzecią porcję mięsa. Odepchnęłam się obiema rękami od stołu i od niego.

– Ostatni kawałeczek... – zaczął kucharz. – Musisz jeść, żebyś wyrosła na dużą i silną dziewczynkę.

– Otwórz szeroko usta – zarechotał któryś z obecnych, nie zauważyłam który... może minister.

Sebastian też się roześmiał. Jak jego ojciec. Zacisnęłam powieki i zrobiłam to tak mocno i szybko, że aż pociemniało mi w oczach. Odwróciłam się do Sebastiana.

– Wracam do domu.

Ale on nie odpowiedział. Myślę, że nawet na mnie nie spojrzął. Kiedy musiał wybierać między mną a ojcem, zawsze stałam na straconej pozycji.

– To chyba dobry pomysł – stwierdził Claes, sięgając po półmisek z ziemniakami, żeby dołożyć sobie kolejną porcję. – Pyszne – dodał, te słowa

kierując już do kucharza.

Przeszłam przez kuchnię i stanęłam przed Claesem.

– Naprawdę tak pan uważa? – spytałam.

Bolała mnie szyja, drżał mi głos. Czułam, że za kilka sekund się rozplączę, i wiedziałam, że muszę stamtąd wyjść, zanim do tego dojdzie. Przedtem jednak chciałam mu coś powiedzieć.

– Uważa pan, że to w porządku? Nie zamierza pan nic z tym zrobić? – mówiłam niepewnym głosem. Nagle poczułam, że jest już za późno, że zaraz się rozplączę. – Ma pan w nosie, że Sebastian źle się czuje, że sobie nie radzi... Nie zamierza pan z tym nic zrobić?

Claes spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Ja? – spytał lodowatym tonem. – Wyjaśnij mi, proszę... co takiego mógłbym zrobić? Co takiego powinienem zrobić, czego jeszcze nie zrobiłem? Chętnie posłucham twoich rad.

Próbowałam wytrzymać jego wzrok, ale nie mogłam. Może chciał mi dać do zrozumienia, że powinniśmy porozmawiać w cztery oczy? Że to nie temat na dyskusję w czasie męskiej kolacji? Nie, Claes się nie wstydził, bo niby czego? On się nigdy nie wstydzi, bo nikogo się nie boi i nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby zrobić albo powiedzieć na oczach całego świata. Odchylił się na krześle i odłożył sztucce. Wszyscy inni też przestali jeść i bacznie nas obserwowali.

– Słuchamy, Maju. Zdradź nam, co ci leży na sercu. Co twoim zdaniem powinienem zrobić?

Claes sięgnął po kieliszek i wypił trochę wina. Drugą rękę z lekko rozchyłonymi palcami położył obok talerza. Na jego lewym serdecznym palcu błysnął sygnet. Claes zapukał nim w stół.

– Nic – wyrzuciłam z siebie z trudem. Właściwie był to szept. Gardło paliło mnie ze zdenerwowania. – Nie musi pan nic robić.

Po tych słowach odwróciłam się i wyszłam. Sebastian został przy stole.

Moi rodzice oglądali w sypialni telewizję. Nie chciałam, by zauważyli, że płakałam, i od razu poszłam do swojego pokoju. Weszłam do środka i trzasnęłam drzwiami. Prawdopodobnie chciałam im pokazać, że już wróciłam do domu i dzisiaj będę nocować tutaj, a nie u Sebastiana, chociaż w soboty zawsze zostawałam u niego. Trzy minuty później zapukał do mnie tata. Leżałam bez spodni pod kołdrą i już nie płakałam.

– Wszystko w porządku, córeczko?

Odwróciłam się do ściany.

– Jasne.

– Może chcesz porozmawiać?

– Chcę spać.

Tata podszedł do łóżka, pochylił się i odgarnął mi włosy z policzka.

– No to dobranoc, kochanie.

Następnego dnia podczas śniadania mama usiadła naprzeciwko mnie przy stole.

– Co się stało? – spytała.

Wzruszyłam ramionami.

– Pokłóciliście się?

Znowu wzruszyłam ramionami. Przez chwilę w kuchni panowała cisza.

– Co u Sebastiana?

– Niezbyt dobrze.

– Od razu się domyśliliśmy. Czy możemy coś w tej sprawie zrobić?

Tak, i to bardzo.

– Nie.

– Jesteś pewna? Musisz mi obiecać, że jeśli coś się będzie działo, od razu mi powiesz. Oboje z tatą rozumiemy, że to nie takie proste. Sebastian ma

problemy... Rozmawialiśmy z twoimi nauczycielami... i oni rozumieją, że czasem musisz opuścić lekcje. Ich zdaniem nadal dobrze sobie radzisz, o ciebie w ogóle się nie martwią.

Przełknęłam ślinę.

A powinni, bo sama się o siebie martwię.

– Widzimy, że bardzo się starasz. Sebastian cię potrzebuje, a ty stoisz u jego boku. Niewiele osób w twoim wieku potrafiłoby temu podołać. Obiecuj mi, że jeśli będziesz potrzebować pomocy, o wszystkim mi powiesz.

– Ty nie potrafisz mi pomóc.

Mama uśmiechnęła się z ulgą, trochę za szybko i za szeroko. Wyglądało to prawie komicznie. Była z siebie zadowolona i dumna, a na dodatek szczęśliwa, że nie musi się zajmować naszymi problemami. Ten dzień zaczął się dla niej wspaniale, właśnie taką rolę matki uwielbiała odgrywać. „Wysłuchaj swojego dziecka. Spytaj, czy możesz jakoś pomóc. Pokaż, że się troszczysz”.

A gdyby miała coś zrobić, to co? Spytać, jak może mi pomóc? Przecież to nie jej sprawa. Przecież Sebastian ma własnych rodziców!

Obiecałam zawieźć Linę na gimnastykę. Na wszelki wypadek zabrałam wózek, bo po ćwiczeniach bywa nieraz tak zmęczona, że trzeba ją wieźć.

Samir wszedł do autobusu na przystanku przy naszej szkole. Na nasz widok się zawahał. Chciał przejść obok bez słowa, ale gdy Lina powiedziała mu „Cześć”, usiadł przed nami, odwrócił się i popatrzył na nas.

– Co słychać? – spytał.

– W weekendy też przychodzisz do szkoły?

Samir pokręcił głową.

– Zapomniałem zabrać z szafki książki do matmy.

– Prawdziwa tragedia! Całą niedzielę spędzić bez książki do matmy...

Samir się uśmiechnął. W policzku zrobił mu się niewielki dołek. W tym

momencie rozplakałam się, chociaż byłam już zmęczona tym ciągłym płaczem. W niczym mi nie pomagał. Jednak łatwiej mi było nie płakać, gdy Samir się nie uśmiechał. Kiedy był niezadowolony, kiedy dziwacznie się zachowywał i traktował mnie jak śmiecia, wszystko stawało się łatwiejsze. Próbowałam odwzajemnić jego uśmiech i otrzeć łzy, żeby ich nie widział, tyle że nie zdążyłam. Oparłam się o siedzenie i spojrzałam przez okno. Nie chciałam, żeby Lina oglądała mnie w takim stanie.

– Posłuchaj... – zaczął Samir.

Odwal się. Nienawidzę cię. Nie patrz na mnie takim wzrokiem, jakbyś mnie nie chciał.

Otarłam łzy.

Jesteś tchórzem. Gdybyś nie stchórzył, moglibyśmy być teraz razem.

– Jak masz na imię? – spytała Lina.

Podniosła się z siedzenia i uklękła na nim. Zaśmiałam się nerwowo i pogłaskałam ją po włosach.

Nie chcę już więcej płakać.

Samir też się roześmiał. Pochylił się w stronę Liny tak głęboko, że jego twarz znalazła się dwa centymetry od jej głowy.

– Samir – szepnął, a Lina zachichotała z zachwytem.

Moja młodsza siostra była naszą wymówką. Mogła wygadywać najróżniejsze rzeczy, bo dzięki temu ani ja, ani Samir nie musieliśmy poruszać tematów, które powinniśmy byli poruszyć.

Nie mam już sił, żeby się dłużej złościć. Na ciebie też nie.

Lina zadała nam tradycyjne dwadzieścia pytań o niczym. Samir cierpliwie na nie odpowiadał. Co jakiś czas spoglądał na mnie, a ja miałam wystarczająco dużo czasu, żeby zapanować nad płaczem. W końcu Lina umilkła, opadła na fotel i wyjęła książkę, którą zabrała do autobusu. Udawała, że czyta. Na czole Samira pojawiła się drobna zmarszczka.

Pokręciłam głową, wzruszyłam ramionami i spuściłam wzrok. Człowiek wykonuje takie ruchy w sytuacji, gdy chce pokazać swojemu rozmówcy, że chociaż wszystko idzie nie tak, jak powinno, nie będzie o tym rozmawiać, bo o takich sprawach się nie mówi.

Nie jestem w stanie o tym mówić. Chyba że mnie zmusisz.

Samir skinął głową.

– Nie musisz się czuć za niego odpowiedzialna – zaczął.

– Owszem, muszę – odparłam.

– On jest nienormalny – szepnął Samir. – A to, co robi, nie staje się legalne tylko dlatego, że nie robi tego w szkole, tylko w jakimś klubie na Stureplan albo w domu. Nie musisz się nim zajmować. Nie odpowiadasz za niego.

To nie prochy są najgorsze. Już nie. Sebastian stał się innym człowiekiem. Coś w nim narasta. Nocą czuje ból. Zagnieździł się w jego głowie i głośno woła. To, co w nim siedzi, jest trujące. Czasem nie radzi sobie ze światem. *Nie wiem, co zrobić. Pomóż mi.*

Przełknęłam ślinę, dotknęłam warkoczyków Liny, pochyliłam się nad nią i powąchałam jej włosy. Pachniały szamponem mamy.

Samir skinął głową. Chyba zrozumiał, że jest mi ciężko, i pewnie dlatego nie spytał, czy może mi jakoś pomóc. Wiedział, że sytuacja jest zła.

Ja też mu nie powiedziałam. Ani słowa.

Wysiadłyśmy z Liną dwie stacje przed Mörby Centrum. Do sali gimnastycznej doszłyśmy piechotą. Kiedy ją przebierałam, dostałam esemes od Samira.

„Wszystko się ułoży”, napisał.

Powinłam była mu odpisać, ale nie zrobiłam tego, tylko od razu skasowałam wiadomość. Samir niczego nie zrozumiał. Nic się nie ułoży.

Nie chciałam z nim rozmawiać, bo mnie olał. Zabrakło mu odwagi, bo był cholernym tchórzem.

Być może powinłam mu odpisać: „Nie, nic się nie ułoży” albo

przynajmniej: „Jesteś cholernym idiotą”, ale nie zrobiłam tego.

Może właśnie dlatego wszystko potoczyło się tak źle. Bo przecież Samir na pewno starałby się mi pomóc. I może nawet chciał to zrobić, bo miał wyrzuty sumienia. Samir należy do ludzi, którym się wydaje, że potrafią pomóc. Powinnam to była zrozumieć.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Drugi tydzień procesu — od środy do piątku

35.

Kiedy zakończyłam moje wystąpienie, głos zabrała pani prokurator. Ponieważ Samir przełożył swój przyjazd na następny tydzień, Lena Pärsson postanowiła wezwać świadka, który jako pierwszy wszczął alarm. Nagranie z tej rozmowy odtworzyła w sali rozpraw.

W obecności sądu słuchaliśmy spanikowanego głosu dzwoniącej kobiety. Krzyczała, że doszło do strzelaniny, na co operator spokojnym głosem zadawał jej pytania: „Skąd pani dzwoni? Gdzie pani teraz jest? Czy powiadomiła pani dyrekcję szkoły? Czy zaczęliście ewakuować uczniów?”. W tle słychać było głosy roztrzęsionych i zapłakanych uczniów. Spokojny na początku głos operatora stawał się coraz bardziej napięty. „Pomoc jest już w drodze. Jadą do was radiowozy. Czy pani je słyszy? Czy słyszy pani samochody? Czy może pani uciec z budynku?”.

Po twarzach sędziego i ławników było widać, że są w samym centrum wydarzeń. Oryginalne dźwięki, hałasy, spanikowane głosy, krzyki. Za to ja czułam się zupełnie inaczej: to, czego słuchaliśmy na sali rozpraw, było dla mnie czymś zupełnie innym niż wydarzenia, w których uczestniczyłam. Kiedy byłam w klasie, żadnego z tych dźwięków nie słyszałam. Rozmowa telefoniczna mogła dotyczyć każdego innego miejsca. Równie dobrze mogła być zmyślona.

Kobiecie, która zadzwoniła na policję, pani prokurator zadała osiem pytań (wiem, bo liczyłam). Kobieta była szefową ochrony, ale nigdy wcześniej jej nie widziałam. Rozpłakała się dopiero przy czwartym pytaniu. Do sprawy niczego nowego nie wniosła, a przynajmniej ja się od niej niczego nowego nie

dowiedziałam. Sander nie zadał jej ani jednego pytania.

Potem Pärsson wezwała trzech policjantów, którzy jako pierwsi zjawili się na miejscu. Po kolei opowiadali, co czuli, gdy postanowili wkroczyć do akcji, jaką sytuację zastali w klasie, co zrobili, a czego nie zrobili. Dwaj z nich się popłakali... a właściwie to jeden się popłakał, a drugi ciągle chrząkał i kilka razy przętykał ślinę, żeby się nie rozpląkać. Jako trzeci zeznawał ten, który ze mną rozmawiał i odebrał mi broń. Nie poznałam go, ale kiedy na mnie spojrział, w jego oczach ujrzałam zmęczenie. Było go więcej niż smutku i złości. On nie płakał, za to szlochała ławniczka siedząca na lewo od sędziego. Nawet wycierała nos w chusteczkę.

Sander pokazał policjantom szkic klasy. Spytał, czy mogą potwierdzić, że Samir i Amanda zostali znaleźni w miejscach zaznaczonych na planie. Wszyscy trzej potwierdzili.

Prokurator przesłuchiwała też dwójkę uczniów, którzy w chwili, gdy padły strzały, znajdowali się na korytarzu przed klasą. Dziewczynę i chłopaka. Nie znałam ich, ale gdy dziewczyna na mnie spojrziała, zaczęła się trząść, zupełnie jakbym była jakimś zombi albo kimś w rodzaju Charlesa Mansona. Widocznie napawam ludzi takim strachem, że na sam mój widok dostają ataku padaczki. Kiedy dziewczyna zaczęła opowiadać, co słyszała o mnie i Sebastianie („Wszyscy wiedzieli, co oni robią”), sędzia nie wytrzymał.

– Proszę się trzymać tematu – upomniał dziewczynę, która tylko udawała, że mnie zna, i nie miała zielonego pojęcia o tym, co łączyło mnie z Sebastianem.

Po słowach sędziego poczerwieniała na twarzy.

Sander zadał uczniowi i uczennicy trzy takie same pytania: „Czy znałeś/aś Sebastiana osobiście? Czy znasz Maję osobiście? Czy drzwi w klasie były zamknięte?”. Odpowiedzi na te pytania brzmiały: tak, tak, nie.

Zeznań, które złożył Labbe, wysłuchaliśmy w trakcie telekonferencji. Labbe

nie chciał zeznawać w mojej obecności, a sędzia się na to zgodził. Labbe powiedział, że wszyscy niepokoiili się o Sebastiana, bo wiedzieli, że ma problemy, a Maja i Sebastian nie byli ze sobą już tak blisko jak wcześniej. Nie przyznał się, że nas unikali, za to chętnie przychodzili na imprezy, a rozplakał się dopiero wtedy, kiedy zaczął opowiadać o ostatniej imprezie. Wyjaśnił, że przyjechał tam ze swojej nowej szkoły, bo było to dla niego ważne, a po imprezie nocował u Amandy. Kiedy zeznał, że rano, po wyjściu Amandy do szkoły, został dłużej w łóżku, jego twarz wykrzywił grymas. Labbe mówił ledwo słyszalnym głosem. To dobrze, że nie przyszedł zeznawać w sądzie. Nie spotkałam się z nim i nie odczuwałam potrzeby, żeby się z nim kiedykolwiek widzieć. Sander nie zadał mu ani jednego pytania. „Dziękuję”, zakończył tę część rozprawy sędzia. „Dziękuję”, mruknęła pani prokurator. I Labbe się rozłączył.

Potem Lena Pärsson wezwała techników policyjnych. Mieli wyjaśnić, czy moje odciski palców znajdowały się na spuście broni znalezionej na miejscu, i wskazać broń, na której te odciski znajdowały się wyłącznie na lufie. Technicy wskazali, z którego karabinu padły strzały, które zabiły Amandę i Sebastiana, i wyjaśnili, dlaczego są absolutnie pewni, że ja też strzelałam. Sander wypytywał ich o kąt oddania strzałów i o miejsce, w którym się w tym momencie znajdowałam. Pokazał ekspertyzy, które zamówił na potrzeby śledztwa, i poprosił techników, aby wypowiedzieli się co do ich rzetelności. Nie wiem, czy domyśliłabym się, po co Sander ich o to wszystko pytał, gdyby mi wcześniej nie wyjaśnił, co zamierza: postara się wykazać, że w tym, iż ktoś (to znaczy ja), kto nie umie obchodzić się z bronią, tak strasznie chybia (i zamiast Sebastiana trafia Amandę), nie ma nic dziwnego.

Kiedy Sander skończył wypytywać techników, czy zgadzają się z jego tezą, że podczas oddawania strzałów stałam, poruszył wążek torby w mojej szafce. Prokurator pytała wcześniej, czy można wykluczyć, że to ja przyniosłam torbę,

na co technik odparł, że nie. Teraz przyszła kolej na Sandera, który zadał mu następujące pytanie:

– Czy można uznać za prawdopodobne, że Maja miała do czynienia z torbą, a mimo to nie zostawiła żadnych odcisków palców ani na wierzchu, ani w środku?

– Jest to mało prawdopodobne – odparł świadek.

Potem przyszła kolej na rozmowę o bombie, którą w śledztwie nazywano materiałem wybuchowym. W swoim wystąpieniu pani prokurator starała się wykorzystać tę okoliczność do udowodnienia, że razem z Sebastianem planowaliśmy jeszcze większą masakrę i że nie można wykluczyć, iż jej celem było dokonanie zamachu na szkołę. Śledczym udało się powiązać bombę z kilkoma budowlańcami, którzy w domu Fagermana wykonywali prace remontowe. Można powiedzieć, że bomba była niekompletna, ponieważ brakowało w niej zapalnika. Z akt śledztwa wynikało, że Sebastian ukradł materiały, przy użyciu których robotnicy zamierzali rozbić blok skalny, przeszkadzający w prowadzeniu prac budowlanych w miejscu, gdzie przed laty miała stanąć willa Fagermana. Całkiem możliwe, że robotnicy zapomnieli ich po prostu zabrać. Kiedy Sebastian je znalazł, postanowił przechować na ewentualne własne potrzeby. Robotnicy nie zgłosili tej kradzieży, bo pewnie bali się przyznać, że nie upilnowali swoich rzeczy.

Według pani prokurator istnienie bomby świadczyło o tym, iż razem z Sebastianem od dłuższego czasu planowaliśmy zamach. Sander był jednak innego zdania. Jednym z jego argumentów było to, że kiedy robotnicy budowali dom nad jeziorem, ja i Sebastian jeszcze ze sobą nie chodziliśmy. Sander chciał usłyszeć od techników, że to, co znaleźli w mojej szafce, nie stanowiło żadnego zagrożenia, bo w takim stanie materiał nie mógł eksplodować. Dlatego – zakończył Sander – dyskusja o bombie i powodzie, dla którego została skonstruowana, jest sprawą drugorzędą, ponieważ tego,

co znajdowało się w szafce, nie można w rzeczywistości klasyfikować jako bomby.

Pani prokurator uważała, że Sebastian nie miał pojęcia, iż bomba jest bezużyteczna. Sugerowała, że dla celu, jakim jest wyjaśnienie motywu, fakt, czy bomba rzeczywiście miała być użyta, jest sprawą nieistotną. Sander spierał się z nią o to przez chwilę, aż przerwał im sędzia, który zaproponował, abyśmy pominęli ewentualną wiedzę Sebastiana o sposobie funkcjonowania takiej bomby. Stwierdził, że to, czy Sebastian był na tyle głupi, by uwierzyć, iż będzie mógł taką bombę wykorzystać, jest bez znaczenia.

Sander zadał technikowi mnóstwo pytań, a ten udzielał wyczerpujących odpowiedzi. Połowy z tego, o czym mówił, nie rozumiałam. Kiedy jednak sędzia spytał Sanderą, do czego zmierza – bo przecież oskarżenie obejmuje jedynie popełnione przestępstwa – Sander wyraził swoje niezadowolenie.

– Ze względu na fakt, iż całe dochodzenie oparto na błędnym założeniu, jakoby moja klientka zamierzała zrównać szkołę z ziemią, zamierzam wykazać, że mojej klientki nie da się powiązać ani z torbą, ani z jej zawartością. Chcę też udowodnić, że zawartość torby nie stanowiła dla otoczenia żadnego zagrożenia. Wyjaśnienie obu tych punktów uważam za rzecz niezwykle ważną.

Po tym wyjaśnieniu sędzia pozwolił Sanderowi kontynuować przesłuchanie. Uważam jednak, że Sander zachował się głupio, bo sędzia przez cały czas wyglądał na poirytowanego. W pewnym momencie głęboko westchnął, co wszyscy słyszeli, innym razem zerknął na zegarek, czego nigdy wcześniej nie robił.

Kiedy Sander przestał wypytywać technika o bombę, przeszedł do kwestii „braku śladów, które mogłyby powiązać moją klientkę z torbą, jej zawartością, szafą na broń i bronią znaną w miejscu przestępstwa”.

– Czy możliwe jest, że to Maja spakowała torbę, otworzyła szafę na broń i spakowała pozostałe egzemplarze?

– Nie da się tego wykluczyć.

Sander zmarszczył czoło.

– Czy znaleźliście jej odciski palców na czymś innym niż uchwyt torby, w której znajdowała się broń? Na przykład na zamku błyskawicznym albo w środku torby? Czy znaleźliście jej odciski palców na szafie z bronią albo na pozostałej broni?

– Nie. Nie. Nie. Nie. Nie.

Sander przestał wypytywać świadka o tę sprawę, ale nadal miał zmarszczone czoło. Za to sędzia miał niezadowoloną minę.

Myślę, że ta część rozprawy nie wypadła dla nas zbyt korzystnie.

Lekarze medycyny sądowej skomentowali wnioski zawarte w protokołach z sekcji zwłok. Wyjaśnili, ile lat miały ofiary (wiek Dennisa oceniono na od piętnastu do dwudziestu lat), o której godzinie nastąpiła śmierć (śmierć Dennisa, Amandy i Christera stwierdzono jeszcze w klasie, Sebastian zmarł w karetce w drodze do szpitala), jaką śmiercią zmarły ofiary (nie wystarczyło powiedzieć, że w wyniku postrzału; lekarze musieli dokładnie opisać, jakie urazy spowodowały pociski i jak ustalili, które strzały były śmiertelne, a które nie).

W czasie tych wyjaśnień uważnie obserwowałam lekarzy i intensywnie wpatrywałam się w ich twarze. Chciałam ustalić, czy sposób, w jaki się wypowiadają, drapią po nosie, zagryzają wargi albo odsuwają grzywkę z czoła, pozwoli wyjaśnić tę trudną, a właściwie niemożliwą do rozwiązania zagadkę.

Niestety, niczego z ich twarzy nie wyczytałam. Chciało mi się rzygać.

Kiedy miała zeznawać mama Amandy, poprosiłam Sandera o zgodę na wyjście z sali. Odmówił. Z kolei mama Amandy złożyła wniosek, abym oglądała jej wystąpienie na ekranie w pokoju przesłuchań. Na to z kolei nie zgodził się sędzia. Sander też zaprotestował, chociaż moim zdaniem był to lepszy pomysł.

Mama Amandy usiadła niedaleko mnie, lekko po skosie. Widziałam ją tylko z profilu. Miała pobladłą twarz, straciła połowę włosów. Nie była już szczupła, tylko mizerna i wychudzona. Z trudem ją poznałam. Pani prokurator poprosiła, aby opowiedziała coś o Amandzie: kim była, co lubiła robić i jakie miała plany po zdaniu matury. Sędzia jej nie przerywał i nie kazał jej trzymać się tematu.

Mama Amandy nie musiała wyjaśniać, kiedy jej córka zmarła, bo przecież nie była obecna przy jej śmierci. Pani prokurator poprosiła ją za to, aby nam opowiedziała, czy nie dziwiło ją, że wiosną coraz rzadziej spotykałam się z Amandą. Kiedyś ją o to spytała i Amanda wyjaśniła, że ja i Sebastian chcieliśmy być sami. Mama Amandy niepokoiła się, ale nie o nią, tylko o mnie i Sebastiana.

Kiedy pytania zaczął zadawać Sander, pomyślałam, że jest już po wszystkim. Z jego taktyki zrozumiałam tylko jedną rzecz, a mianowicie, że niektóre pytania zadawał tylko wówczas, gdy był pewny odpowiedzi. Doszłam do wniosku, że mamę Amandy będzie przesłuchiwał możliwie jak najkrócej.

Kiedy usłyszałam, o co ją pyta, miałam ochotę chwycić go za rękę i kazać mu wycofać pytanie. Czy on naprawdę nie widział, jakim ona patrzy na mnie wzrokiem? Jak bardzo mnie nienawidzi? Pewnie by wolała, żebym to ja była martwa, a nie jej córka. Nigdy wcześniej nie spotkałam kogoś, kto by mnie nienawidził tak bardzo jak ona. *Nie widzi pan tego, panie Sander?*

– Czy pani zdaniem Maja skrzywdziła Amandę celowo? – spytał bezbarwnym głosem Sander.

Mama Amandy się rozplakała. Potem spojrzała na mnie i dopiero po chwili odpowiedziała na pytanie.

– Nie – odparła. – Ona nigdy by tego nie zrobiła. Maja kochała Amandę.

Areszt dla kobiet

Drugi tydzień procesu — weekend

36.

Odrzucam propozycję i przez cały weekend nie ruszam się z celi. Nie ma mowy, żeby personel aresztu zmusił mnie do wyjścia na spacer, namówił do włożenia dresu albo do jazdy na zepsutym rowerze treningowym. Nie mam też ochoty z nikim rozmawiać. Rzygać mi się chce na samą myśl o tym, że jakiś spocony student ostatniego roku psychologii, który w weekendy zastępuje psychologa więziennego, będzie grzebał w swoich notatkach i nie zada mi ani jednego pytania, ponieważ lista pytań kontrolnych nie obejmuje spraw, wobec których należy zachować czujność.

„Czy źle sypia? Czy wykazuje oznaki nerwowości albo strachu? Czy ma nagłe zmiany nastrojów? Czy na usta występuje piana?”.

Leżę w łóżku i nie wstaję. *Miewam oznaki zmiany nastroju.* Jeśli przed wyjazdem na kolejną rozprawę spróbują mnie stąd zabrać, będą musieli mi włożyć kaftan bezpieczeństwa. Nie zgadzam się.

Pogrzeb Amandy odbył się w sobotę o trzeciej po południu, pięć tygodni po jej śmierci. W kościele w Djursholmie odprawiono nabożeństwo.

W tym samym kościele miałyśmy konfirmację. Uroczystość odbyła się latem między ósmą a dziewiątą klasą. Obie byłyśmy ubrane w długie białe szaty z kapturem. Jej była od Chloé, moja od Stelli McCartney. Jej szata była nowa, moją mama kupiła w second handzie na Karlaplan. Mimo to prawie niczym się nie różniły. Spódnica w klosz, skromny dekol, błyszcząca bawełna, na szyi zawieszony krzyżyk z białego złota na drobnym, długim łańcuszku. Tego samego ranka rodzice dali nam w prezencie zegarki – tej samej marki, ale

różne modele. Rozbawiło nas to, bo to typowe dla naszych rodziców: robią różne śmieszne rzeczy, chociaż nawet tego ze sobą wcześniej nie uzgadniają. Najbardziej jednak rozśmieszyło nas to, że byliśmy do siebie takie podobne, prawie jak siostry. Nawet tata to stwierdził, gdy pojechaliśmy po Amandę, żeby być w kościele na godzinę przed rozpoczęciem ceremonii.

„Wyglądacie jak siostry”.

Przed ceremonią nie poddano nas żadnemu egzaminowi, więc nie było powodu do tremy. Na letnim obozie przygotowującym do konfirmacji krążyły pogłoski, że będziemy musiały kuć do sprawdzianu, że ktoś nam może zadać w kościele jakieś pytanie i jeśli nie udzielimy prawidłowych odpowiedzi, oblejemy. A jednak wszyscy przystąpili do konfirmacji. Na podstawie tekstów z Biblii przygotowaliśmy krótkie scenki. Przed każdą wyjaśnialiśmy, kogo będziemy odgrywać, a słysząc, jak każda z osób się przedstawia, z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu: „Cześć, mam na imię Jakub, będę odgrywał rolę prostego ludu”. „Cześć, mam na imię Alice i będę Jezusem”.

Niektórzy z konfirmantów wybierali fragmenty z Biblii, które odczytali w kościele na głos. Amanda miała opowiedzieć „spontanicznie” o ważnej rzeczy, której się nauczyła. Przeczytała tekst pod tytułem „Dlaczego nie wolno kłamać”. Pastor trochę go wcześniej poprawił, chociaż nie chciał się przyznać, że wolałby w całości decydować o treści jej wystąpienia.

W areszcie odwiedza nas więzienny kapelan. Na twarzy ma ślady po trądziku, a gumowa podeszwa w jego butach jest gruba na dziesięć centymetrów. Z nim też nie mam ochoty rozmawiać. Przez całą sobotę zamierzam leżeć w łóżku, czekać na śniadanie, obiad i kolację i spać. W niedzielę będę robić to samo. Proces ma się skończyć w następnym tygodniu. To będzie mój ostatni tydzień w areszcie.

– Wtedy będzie już po wszystkim – wyjaśniła Susse, gdy przyszła mi życzyć miłego weekendu.

Jasne.

Krwii nie da się zmyć. Byłam kiedyś z mamą w teatrze na *Makbecie*. Cholernie nudna sztuka. Krew nie znika, bez względu na to, jak bardzo chcą ją zmyć. Jeśli zbyt mocno pocierają skórę, robi się w niej dziura i płynie nowa krew. To się nigdy nie kończy. Mama Amandy nigdy mi nie wybaczy. Ja sobie też nie.

A wy? Co wy na to? Wiem, co zrobiliście i co nadal robicie. Próbujecie wpasować mnie w wasze ramy, bo uważacie, że tak powinno być. Nie chcecie dostrzec, że nie pasuję do żadnego wzorca, i nieważne jaki jest – pozytywny czy negatywny. Nie jestem wygadana przewodniczącą samorządu uczniowskiego, dzielną ofiarą gwałciciela ani typową masową morderczynią. Nie jestem zbyt mądra ani modnie ubrana, nie zatrzymuję żółtych taksówek, gdy mam buty na wysokich obcasach, nie robię sobie tatuaży i nie mam fotograficznej pamięci. Z nikim nie chodzę, nie jestem niczyją córką ani najlepszą przyjaciółką. Jestem po prostu Mają.

Wy mi nigdy nie wybaczyście.

Myślę, że należycie do tych, którzy przechodząc obok żebraka na ulicy, myślą sobie: „To mógłbym być ja”. Wilgotnieją wam oczy, bo jesteście fajnymi ludźmi i odczuwacie empatię. Pewnie wam się wydaje, że „wszyscy mogą nagle oszaleć”, że „niewiele potrzeba, aby wpaść w kłopoty finansowe albo żeby nas wyrzucili z pracy”... „To mógłbym być ja”, myślicie i oczami wyobraźni widzicie, jak siedzicie w brudnych spodniach i ze spuszczoną głową w oczekiwaniu na dziesiątaka, za którego kupicie kawę w McDonalddie. To ładnie, że okazujecie współczucie, bo przecież chcecie być porządnymi ludźmi. Tymczasem prawda jest taka, że tylko udajecie. Nigdy by wam do głowy nie przyszło, że moglibyście się znaleźć na miejscu tego żebraka. Twierdzenie, że aby móc odczuwać empatię, trzeba jakoby osobiście doświadczyć jakiegoś nieszczęścia, jest szczytem egoizmu. Empatia to coś zupełnie innego. Polega ona na świadomości, że ów biedak, który cuchnie

moczem i nie ma nic wspólnego z naszym życiem, wcale nie musi tak żyć, bo bez względu na to, jakie nieszczęście go spotkało, nie zasługuje na spędzenie reszty życia na zasikany materacu. Gdybyście naprawdę odczuwali empatię, zrozumielibyście, że mnie to też dotyczy.

Samir twierdzi, że życzyłam Amandzie śmierci i zastrzeliłam ją z premedytacją. Już na pierwszym przesłuchaniu zeznał, że widział, jak wycelowałam i strzeliłam do niej. Powiedział, że namówił mnie do tego Sebastian, bo w moim świecie nie było nikogo ważniejszego i dlatego robiłam wszystko, co mi kazał. Ofiarowałam mu swoje życie i najpierw zabiłam Amandę, a potem jego, bo kazał mi to zrobić.

– Kto to są „wy”? – spytałam Samira, zanim to wszystko się wydarzyło.

– Nie zrozumiesz – odparł.

Myślę, że stoicie po jego stronie, bo lubicie go bardziej ode mnie. Uważacie, że dzięki temu jesteście lepszymi ludźmi. Los Samira wywarł na was wrażenie, więc się z nim solidaryzujecie. Ja jestem dla was tylko bogatą zdziwą.

O jedenastej przed południem połykam tabletkę nasenną i śpię do obiadu. Nikt mnie nie budzi, na razie zostawili mnie w spokoju. Wprawdzie co pewien czas sprawdzają, czy żyję, ale nie robią tego zbyt często. Pewnie nie chcą, abym sobie pomyślała, że robią to bez przerwy.

Wiedzą, że zeznania mamy Amandy wywarły na mnie silne wrażenie, i chociażby z tego względu powinni mi dać spokój. Nie wolno im jednak spuszczać mnie z oczu, bo mogę stanowić zagrożenie. Nie dla nich, tylko dla siebie, bo żyję pod bardzo silną presją.

Na tacy z obiadem leży komplet plastikowych sztuczków. Gdybym miała odwagę, mogłabym sobie wbić w szyję widelec albo nóż.

Jeden ze strażników zostawił mi na biurku stos wieczornych gazet. Nie skomentował tego faktu, co oznacza, że nic w nich o mnie nie piszą. Jeśli

pojawia się jakiś artykuł, strażnicy informują mnie o tym.

– Chcesz poczytać? – pytają, wskazując palcem na nagłówek (zawsze na pierwszej stronie).

Najczęściej te teksty czytam. Jeśli nie mam ochoty, strażnicy zabierają gazety. Dzisiaj nikt ze mną nie rozmawia. Mimo to nie protestuję, gdy strażnik kładzie gazety na biurku. Wprawdzie milczy, ale i tak istnieje ryzyko, że znajdę w nich jakiś tekst o mamie Amandy, o mamie Sebastiana albo o innej mamie. Jeśli jest coś, czego bym teraz nie zniosła, to właśnie tych pomyj.

Podczas przesłuchania lekarza medycyny sądowej pani prokurator wyświetliła na ekranie protokół z sekcji zwłok. Odczytała na głos, w które miejsca trafiły Amandę wystrzelone przeze mnie pociski i co zrobiły z jej ciałem. Wyświetliła rysunek przedstawiający klasę i pokazała, gdzie leżała Amanda, a gdzie siedziałam ja, gdy do środka wpadła policja. Przyniosła nawet broń w plastikowej torbie zaklejonej taśmą. W dwóch mniejszych torebkach leżało pięć łusek po pociskach. W jednej z nich były kule wyjęte z ciała Amandy, w drugiej – kule wyjęte z Sebastiana. Zaczęłam liczyć w pamięci do pięciu: jeden, dwa, trzy... strasznie dużo czasu, jak to możliwe, że oddałam aż tyle strzałów?... cztery, pięć... Pani prokurator nie przywiozła do sali zwłok Amandy, bo zostały skremowane i pogrzebane.

W dniu pogrzebu Amandy leżałam w celi. Przez cały weekend nikt mnie nie przesłuchiwał, po prostu dali mi spokój. Myślę, że nie wynikało to z jakichś szczególnych względów, bo chyba nawet się nie domyślali, że wiem o pogrzebie Amandy i że to dla mnie trudne przeżycie. Moim zdaniem był to zwykły zbieg okoliczności. Tylko na samym początku przesłuchiwali mnie każdego dnia, potem mi trochę odpuścili. Wiedzieli, że siedzę pod kluczem i nie ucieknę, więc przesłuchiwanie mnie w weekendy uznali za pozbawione sensu, o ile oczywiście nie było to konieczne.

Strażnicy, którzy w dniu pogrzebu wchodzili do mojej celi, patrzyli na mnie

szczególnym wzrokiem. Tak mi się przynajmniej wydawało. Może chcieli mi dać do zrozumienia, że to „dzień Amandy”, może pisała o tym prasa, może temat znalazł się na czołówkach wszystkich gazet albo stał się numerem jeden w serwisach telewizyjnych? W każdym razie tamtego dnia nie przynieśli mi gazet i gapili się na mnie dziwnym wzrokiem.

Znałam termin pogrzebu. Zdradził mi go Sander, a ja dobrze zapamiętałam tę datę.

Cały tamten dzień przesiedziałam na podłodze w mojej celi. Po obiedzie cztery razy dzwoniłam na strażnika, żeby go spytać o godzinę. Kiedy usłyszałam, że jest wpół do trzeciej, zaczęłam liczyć w myślach. Trzydzieści razy powtórzyłam „raz-Missisipi, dwa-Missisipi”. Kiedy byłam prawie pewna, że jest już trzecia, włączyłam muzykę, którą na tę okazję wybrałam i przygotowałam. Mama przysłała mi do aresztu mojego starego iPod'a, ale na jego odbiór musiałam czekać prawie dwa tygodnie, bo policja chciała najpierw sprawdzić, czy można go podłączyć do internetu. Potem dokładnie przesłuchali wszystkie utwory, które wybrałam. Myślę, że raczej zależało im na sprawdzeniu, czy między śmiertelnie nudną muzyką wykonywaną ochryplym głosem przez piosenkarkę z przerwą między zębami a przebojami dla czterdziestolatek wybranymi przez tatę, który żałował, że nie miał wtedy takiej gitary elektrycznej i takich problemów z narkotykami, nie kryje się jakaś tajna wiadomość. Policja mogła też podejrzewać, że w telefonie znajduje się ukryty przekaz, który mógłby mnie zachęcić do popełnienia samobójstwa. Kiedy obejrzelik telefon ze wszystkich stron, dostałam odtwarzacz i mogłam posłuchać muzyki. W tym samym czasie w kościele, w którym kiedyś przystąpiliśmy do konfirmacji, trwała ceremonia pogrzebowa.

Oprócz muzyki, którą sama wybrałam, mama ściągnęła mi na telefon najpopularniejsze przeboje z trzech list na Spotify.com. Musiała za nie zapłacić. Policja usunęła spośród nich trzy całkiem niewinne kawałki. Jak dla

mnie było to dowodem na to, że ten, kto przesłuchiwał wszystkie te nagrania, by usunąć te, które mogłyby mnie wpędzić w myśli samobójcze, był po prostu głupi. Mimo to nie poskarżyłam się. Słuchać można tylko tych piosenek, które sprawiają prawdziwy ból.

Kiedy z moich wyliczeń wyszło, że jest już godzina trzecia, położyłam się na podłodze. Cella jest ciasna, więc musiałam się ułożyć lekko po skosie, ze stopami wsuniętymi pod łóżko. Leżąc w tej pozycji, zaczęłam sobie wyobrażać przebieg ceremonii w kościele. Świątynia jest wypełniona ludźmi, przyszła cała nasza szkoła. Dziewczyny ubrane są w jasne suknie, które przypominają stroje, jakie miałyśmy z Amandą na konfirmacji. Są kwiaty. Przy wejściu do kościoła uczestników ceremonii witają rodzice Amandy i jej rodzeństwo. Płakali tak długo, że w końcu teraz zabrakło im łez. I wyglądają już tylko na zmęczonych i zagubionych. Zwłaszcza Eleonora, młodsza siostra Amandy. Jej brat jest w złym nastroju. Nie dla wszystkich wystarczyło miejsca w kościele. Ci, którzy nie dostali osobistych zaproszeń, stoją z kwiatami wzdłuż alejki prowadzącej do wejścia. Nawet ci, którzy nie znali Amandy zbyt dobrze, mają łzy w oczach. Płaczą i obejmują innych, podczas gdy kamery telewizyjne nagrywają całą uroczystość. Kiedy drzwi kościoła się zamykają, ci, co płakali najgłośniej, i ci, co obejmowali się najdłużej, mają nadzieję, że znajdą się w wieczornych wiadomościach i wtedy wszyscy zobaczą, jak bardzo było im przykro.

Moi rodzice i Lina nie pojechali na pogrzeb. Nie wysłali też kwiatów ani kartek, bo rodzina Amandy od razu by je wyrzuciła albo kazała spalić. Mogliby potraktować ten nasz gest jako szyderstwo ze zmarłej.

Mimo to prawie fizycznie czuję, jak Lina ciągnie mamę za rękę i pyta: „Czy mogę wejść do środka? Chciałabym dać Amandzie kwiatka”. Na co mama odpowiada: „Nie, kochanie, nie wolno ci tam wejść”. Wprawdzie całą tę sytuację tylko sobie wyobrażam, ale czuję ją fizycznie. Słyszę, jak mama

wypowiada słowa, których nigdy by nie powiedziała do Liny: „Oni nas tam nie chcą”.

Dziwne, że ciało potrafi zapamiętywać. Pamiętam, co czułam, gdy jako dziewczynka obejmowałam tatę i trafiłam nosem w jego twardą kość biodrową; pamiętam, jak obejmowałam rękami jego nogi. Nadal pamiętam, co czułam, gdy się nade mną pochylił i podniósł z podłogi, żeby mnie objąć. Pamiętam dotyk jego dłoni, gdy objął mnie w pasie. Niestety, nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to było. Nie pamiętam ani pierwszego, ani ostatniego, ani żadnego innego razu. Nie mogę sobie tego przypomnieć na tyle wyraźnie, żeby przestać odczuwać ból.

Czy Lina wie, że Amanda nie żyje? Czy pytała, czy może się pożegnać z Amandą? Kiedy o tym myślę, boli mnie całe ciało. Czy ciało potrafi zapamiętywać zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca? A może ona rzeczywiście o to spytała?

Podczas konfirmacji odczytałyśmy z Amandą fragment z Biblii, który sama wybrałam. Kiedy pojechałyśmy na obóz przygotowujący do konfirmacji, przez cały wieczór leżałyśmy na niewygodnych materacach, próbując znaleźć odpowiedni fragment. Nasz pastor zaproponował, aby wybrać coś z ewangelii Świętego Łukasza albo Świętego Jana, ewentualnie coś z Psalmów albo któregoś z proroków. W jednym z Psalmów czytamy o Bogu, który bił swoich wrogów po szczękach i połamał zęby grzesznikom... albo coś w tym stylu. Obie z Amandą śmiałyśmy się z tych zdań. Reagowałyśmy histerycznym śmiechem na większość cytatów, na ich język, minę pastora i gesty Amandy. Żadnego z tych wersetów nie brałyśmy na poważnie. Jeszcze gorzej zrobiło się potem, gdy pastor chciał z nami przedyskutować scenę, w której Jezus obmywa swoim uczniom stopy. („On wam w ten sposób objawia swoją miłość, taki jest sens tego zdarzenia!”). Na twarzy Amandy widać było obrzydzenie, a ja dostałam ataku spazmatycznego chichotu.

W mojej celi leży Biblia. Pewnego dnia – było to w drugim albo trzecim tygodniu mojego pobytu w areszcie – ktoś mnie spytał (chyba Susse), czy chciałabym porozmawiać z kapelanem. Zgodziłam się, bo zawsze łatwiej jest powiedzieć „tak” niż „nie”. Zrobiłam to dla zabicia czasu. Pójdę korytarzem, wejdę do pomieszczenia, które wskaże mi strażnik, usiądę na wskazanym mi krześle i napiję się wody ze stojącej najbliżej mnie szklanki.

To właśnie kapelan dał mi Biblię, którą zabrałam do celi. Leżąc na podłodze i rozmyślając o pogrzebie, zaczęłam ją przeglądać. Kiedyś znalazłyśmy w niej fragment mówiący o ciąży i o tym, co jest złe. Ten człowiek był z tym złem brzemienny, nosił je w sobie, a ono w nim rosło. Z tego fragmentu też się śmiałyśmy. Potem znalazłyśmy jeszcze całe mnóstwo wersetów ze słowem „Alleluja” i wiele innych, w których chwali się i wielbi Pana. Amanda stanęła w łóżku z Biblią w ręce, drugą położyła na sercu, a ja prawie posikałam się ze śmiechu. Kiedyś uważałam, że w Biblii jest pełno różnych bredni. Nadal tak myślę, bo tamten człowiek w ciąży wpadł do własnego grobu. To jego, a nie kogoś innego dopadło zło. Pastor, który przygotowywał nas do konfirmacji, twierdził, że Bóg jest dobry i sprawiedliwy. Czytał książki, w których zło umierało i trafiało do piekła. Zastanawiam się, czy pastor prowadzący ceremonię pogrzebową Amandy wspomniał o Bogu sprawiedliwym, który kocha młodych ludzi.

Zło nie atakuje w sposób sprawiedliwy. Prawda jest taka, że nikt nie wpada do własnego grobu. W poniedziałek, za niecałe dwa dni, będzie zeznawał Samir.

Nie byłam w stanie zbyt długo snuć fantazji o Amandzie. Po tym, jak leżałam na podłodze i próbowałam sobie wyobrazić jej pogrzeb, nie byłam w stanie myśleć o naszej wspólnej konfirmacji. Od tamtego dnia nie byłam też w stanie myśleć o jej pogrzebie.

Zrobiła się całkiem ładna pogoda. Może jednak powinnam poprosić, żeby

wypuścili mnie na spaceriak? Mogłabym się położyć na suchym kawałku cementu i zapalić. Tydzień temu padał śnieg. Kiedy wyszłam na spaceriak, nadal tam leżał. Następnego dnia przyszła odwilż, cementową posadzkę pokryła brudna maź, a wiatr wiał z taką siłą, że aż sprawiał ból. Miałam wrażenie, że w moją twarz uderzają okruchy potłuczonego szkła. Za to lżej mi się oddychało. Łatwiej niż w celi.

Nadal mam w telefonie listę przebojów, którą przygotowałam na pogrzeb Amandy. To piosenki, przy których często tańczyłyśmy i śpiewałyśmy do utraty głosu. Niektóre znałyśmy na pamięć. Kiedy je puszczano, wbiegałyśmy razem na parkiet i tańczyłyśmy. Tylko ja i ona. Jak dwie wariatki.

*Party girls don't get hurt,
Can't feel anything
When will I learn,
I push it down, push it down.*

Takich utworów nie powinno się puszczać w kościele.

Podczas konfirmacji odczytałam fragment z Biblii mówiący o tym, jak Jezus uciekł do świątyni, aby być ze swoim ojcem. Jego rodzice byli zaniepokojeni, bo nie wiedzieli, gdzie jest.

Kiedy skończyłam czytać, wygłosiłam komentarz do tekstu (używając „własnych słów”, które „pomógł” mi dobrać pastor). Powiedziałam, że ważne jest to, aby każdy nastolatek mógł czasem побыć sam na sam z własnymi myślami, a miejscem, które się do tego nadaje, jest kościół.

Gdyby ktoś mnie teraz poprosił, żebym wybrała jakiś fragment, przeczytałabym tekst o marności. „Marność nad marnościami”. Tylko to jest prawdziwe. Nigdy nie dostajemy tego, co chcemy. Kapelan wyjaśnił mi, że powinnam poczytać coś, co pomoże mi zrozumieć, że dany cytat dotyczy mnie

i mojego życia. Tak, powinnam była pominąć fragmenty mówiące o tym, iż człowiek ma się cieszyć, że jest młody. Bo to nieprawda.

Teraz to i tak nieważne. Przyciskam dzwonek i czekam na strażnika. Zażądam, żeby mnie wypuszczono na spacer. Zabiorę iPod, posłucham naszych przebojów i wypalę tyle papierosów, aż zrobi mi się niedobrze.

Tamtego wieczoru, na kilka godzin przed zabójstwem, już po tym, jak Claes wyprosił z domu wszystkich gości Sebastiana (dla mnie zrobił wyjątek), Amanda, idąc do wyjścia, pomachała mi ręką i wysłała symbolicznego całusa. Zrobiłam ruch, jakbym go chwyciła, a potem przycisnęłam dłoń do piersi. Było to dramatyczne i żałosne, zabawne i teatralne. Cała Amanda.

Tamtego wieczoru przedostatni raz patrzyliśmy sobie w oczy. Wokół nas panował chaos, całe towarzystwo – w tym Sebastiana, Claesa, Samira i Dennisa – ogarnęło jakieś szaleństwo, a ona posłała mi buziaka, jak gdyby chciała powiedzieć: „Jakoś to będzie... wszystko się ułoży... Ta wiosna będzie już wkrótce tylko wspomnieniem”. Odegrałam moją rolę, bo chciałam jej pokazać, że obie i tak dobrze wiemy, że nie ma racji, że strasznie się myli i że nic się już nigdy nie ułoży.

Amanda próbowała mnie pocieszyć, ale ją okłamałam. Chyba po to, żeby nie sprawiać jej przykrości. Amanda zawsze była dla mnie bardzo miła. Zresztą nie tylko dla mnie, dla innych też. Nawet dla Sebastiana, gdy wszyscy inni przestali go traktować uprzejmie.

Zawsze.

Wiem, o czym teraz pomyślicie: „Przecież ona sama powiedziała, jak bardzo nie lubiła Amandy, gardziła Dennisem, i przyznała się, że nienawidziła Claesa Fagermana”.

Powtarzacie sobie w myślach: „Ty nie jesteś nie wiadomo kim, istnieje bardzo konkretny powód, dla którego to ty siedzisz w celi”. No tak, wam nigdy nie przyszłoby do głowy, że to mógłby być ktoś z was. Wolelibyście, żebym

wyszła na wariatkę. Chcielibyście być absolutnie pewni, że nie macie ze mną nic wspólnego, że nie jesteście z mojego świata, nie myślicie na mój sposób i nigdy nie zrobilibyście tego, co ja zrobiłam. Żadne z was nie powtórzyłyby moich słów i nigdy byście nawet nie przypuszczali, że to, co przydarzyło się mnie, mogłoby się przytrafić także wam. Uważacie, że w przeciwieństwie do was ja na to zasłużyłam, wpadłam do własnego grobu, byłam opętana przez Sebastiana i nie umiałam okazywać empatii. Jestem rozpieszczona, wyobcowana, a może nawet brałam prochy. Czy potraficie to sobie wyobrazić?

Wy nie jesteście opętani, nie bierzecie prochów i na pewno powiadomilibyście policję. Bo wy to nie ja.

Dlaczego Sebastian wybrał właśnie mnie? Przecież musiał mieć jakiś powód! Dlaczego tamtego wieczoru przyszedł do mnie do hotelu? Dlaczego po tym, jak z nim zerwałam, próbował popełnić samobójstwo?

Ktoś kiedyś powiedział, że Bóg posługuje się przypadkiem, aby zachować anonimowość. Wszystko, co ma sens, jest wynikiem loterii. Dotyczy to także tego, czy ktoś rodzi się bogaty czy biedny, jako kobieta czy transseksualista, robi karierę jako artysta czy wygrywa miliony w lotka. Wszystko to przypadek. Nagły. Jeśli jednak prawdą jest to, że dobro dociera do nas tylnymi drzwiami, to na pewno tak samo jest ze złem.

Przypadek to dowód na to, że Bóg nie istnieje. Taka jest moja teoria. Dlaczego? Bo źródło prawdziwie strasznych zdarzeń może być zaplanowane i odziedziczone. Zarazem może być przypadkowe, na granicy powszedniości.

Zło nie ma sensu. To tylko definicja zła. Jednak fakt, że coś sprawia ból, nie musi oznaczać, że jego źródłem jest zło.

Zrobiłam rzecz, która sprawiła ludziom ból. Zraniłam ich w najstraszniejszy sposób, do głębi. Nie rozumiem sensu śmierci Claesa, Christera, Dennisa, Amandy i Sebastiana ani tego, dlaczego ja ocalałam. Nie

rozumiem, że próbowałam ratować Sebastiana, ale zamiast tego pomogłam mu zabić i umrzeć. Nie rozumiem tego. Nie ma czego rozumieć. Ale ja wcale nie jestem zła. Być może nie jestem też dobra, ale wy nie chcecie tego dostrzec, bo macie problemy z okazywaniem empatii.

Kiedy do celi wchodzi strażnik, biorę gazety i proszę, żeby je zabrał. Nie będę ich czytać. Chcę, żeby najpierw usunął z nich artykuły o opiece psychiatrycznej dla młodocianych, o kontroli broni w szkołach, o kamerach monitoringu i testach antynarkotykowych. Mówię mu, że chcę wyjść na spacer.

– Muszę sprawdzić w grafiku – odpowiada strażnik i wychodzi z celi.

Zdenerwowałam go, ale nie może mi odmówić. Nie wolno mu tego zrobić, bo inaczej Ferdinand naśle na niego Amnesty International.

Kładę się na łóżko, przykrywam brzydkim, żółtym kocem, odwracam do ściany i po raz tysięczny płaczę.

I couldn't live without you now

Oh, I know I'd go insane

I wouldn't last one night alone, baby

I couldn't stand the pain.

Wiem, że to ja zastrzeliłam Amandę, ale ja tylko próbowałam powstrzymać Sebastiana. Chciałam, żeby przestał zabijać, i dlatego do niego strzeliłam. To prawda, zabiłam go z rozmysłem, ale co innego mogłam zrobić? Chciałam żyć. Żałuję tylko, że nie zabiłam go pierwszym strzałem. Żałuję, że zabiłam Amandę. Żałuję tego bardziej niż czegokolwiek w całym moim życiu. Niestety, nigdy przedtem nie miałam w rękach takiego karabinu. Wprawdzie kilka razy strzelałam do rzutków, ale broń, którą się do tego używa, jest ciężka i żeby oddać strzał, trzeba mocno pociągnąć za cyngiel. Z karabinem Sebastiana

poszło mi łatwiej, prawie nic nie musiałam robić. Po prostu wyjęłam go z torby, a gdy pociągnęłam palcem... myślałam, że to służy do odbezpieczania... zresztą, sama już nie wiem, co wtedy myślałam. Po prostu pięć razy pociągnęłam za spust, tak przynajmniej wynika z akt śledztwa. Najpierw zastrzeliłam Amandę, potem Sebastiana... Ale jego nie zabiłam pierwszym ani drugim strzałem... Zresztą, czy to ma znaczenie, jaką jestem osobą, jakie wywieram wrażenie, co się tak naprawdę stało i dlaczego wypadki miały taki, a nie inny przebieg? Ważne jest tylko to, co zrobiłam naprawdę. Tylko to się liczy. A co takiego zrobiłam? Zabiłam Amandę.

Amanda nigdy więcej nie zatańczy. Nie będzie słuchać muzyki, której nie lubiła, chociaż robiła to, bo wiedziała, że właśnie taka muzyka powinna jej się podobać.

Kiedy Amanda wysłała mi całuski, a ja je „chwyciłam”, poczułam się wspaniale. Była w tym taka powierzchowna i żalosna, egoistyczna i wyobcowana. Mimo to kochałam ją. To oczywiste. Była moją najlepszą przyjaciółką. Nigdy bym jej nie skrzywdziła. Nigdy, nigdy, nigdy.

A jednak to zrobiłam.

Sebastian

37.

Nie wiem, co opowiedzieć o ostatnich tygodniach. Mijały dni, Sebastian czuł się coraz gorzej, a ja coraz częściej chodziłam do szkoły, bo przestał się domagać, żebym cały czas z nim przebywała. W klasie siadałam w ostatniej ławce i po prostu starałam się dotrwać do końca zajęć. Po lekcjach wracałam do Sebastiana, nawet jeśli mnie o to nie prosił. Czasem odwoził mnie do szkoły, a kiedyś zjawił się nawet na lekcjach. W niektóre dni siadał przed szkołą i czekał, aż wyjdę. Któryś z nauczycieli podszedł do niego dwa razy, żeby spytać, co słychać. „W porządku”, odpowiedział Sebastian, na co nauczyciel zaapelował do niego, żeby może zaczął chodzić do szkoły. Sebastian kiwał tylko głową i na tym rozmowa się kończyła. Christer starał się go przekonać, by wziął się w garść.

Christer wpadł na pomysł, aby na koniec roku szkolnego urządzić przedstawienie. Zrobił to właściwie w ostatniej chwili. Czasu pozostało niewiele, nie byliśmy więc pewni, czy ze wszystkim zdążymy. Christer twierdził jednak, że przedstawienie pomoże nam rozwiązać zdiagnozowane konflikty istniejące w naszej grupie. Podobne sztuki wystawiał co roku. Wszystkim się ten pomysł spodobał. Amanda wprost uwielbiała występować na scenie, a Dennis ubzdurał sobie, że mu to pomoże w staraniach o zgodę na stały pobyt. Samir zawsze robił to, o co prosili go nauczyciele. I tylko Sebastian uznał pomysł Christera za głupi żart. Mimo to Christer nalegał: „Przyjdź na pierwsze spotkanie, na którym będziemy o tym dyskutować. Jestem otwarty na wszelkie propozycje”. Ostatecznie odbyło się tylko jedno spotkanie.

Niektórzy nauczyciele dzwonili do Claesa, żeby porozmawiać z nim

o problemach z Sebastianem. Tak przynajmniej twierdzili później, gdy przesłuchiwała ich policja. Z akt śledztwa wynikało, że nawet dyrektor naszej szkoły próbował się z nim dwa razy skontaktować, acz bez powodzenia, bo Claes był trudno osiągalny. Dyrektor zostawił mu wiadomość i wysłał pocztą list. Napisał w nim, że Sebastian także w tym roku nie otrzyma świadectwa ukończenia szkoły. Szkoła – stwierdził Christer – jest zobowiązana poinformować rodziców o tym fakcie, chociaż Sebastian jest już dorosły.

Z akt śledztwa wynika, że podczas przeszukania willi policja znalazła list dyrektora w gabinecie Claesa. Był nieotwarty.

A mama Sebastiana?

Sanderowi udało się ją odnaleźć. Wieczornej prasie też. Paparazzi fotografowali ją przed domem, w którym mieszka. W aktach śledztwa jest tylko jeden protokół z jej przesłuchania. Sander rozważał wezwanie jej na świadka, bo sobie ubzdurał, że kobieta opowie sądowi o tym, co wydarzyło się między Claesem a Sebastianem, i wyjaśni, dlaczego ich wzajemne stosunki były od samego początku tak złe (to nie słowa Sander), a nawet że nakłoni ją do wyjaśnienia sądowi, co z Claesem było nie tak, dlaczego jako ojciec był takim potworem (to też nie słowa Sander), dlaczego zachowywał się tak, a nie inaczej i jaki to miało wpływ na Sebastiana. Ferdinand uznała, że to kiepski pomysł. Faktem jest, że jeśli Ferdinand nie znosi kogoś bardziej ode mnie, to tą osobą jest właśnie mama Sebastiana. Stwierdziła tylko, że tego już za wiele. Wydaje mi się, że chciała przez to powiedzieć, iż bez względu na to, jakie mama Sebastiana złoży wyjaśnienia, to i tak sprawa jest oczywista: jest głupią egoistką, a jego ojciec cierpi na zaburzenia emocjonalne. Ferdinand uważała, że bez względu na to, co mama Sebastiana zezna, powołanie jej w charakterze świadka obrony nie wyjdzie mi na dobre, bo nikt nie chce mieć z tą babą do czynienia. To tak, jak gdyby ktoś wezwał matkę Hitlera, żeby opowiedziała o cechach charakteru swojego syna.

Myślę, że Sanderowi chodziło na początku o to, iż mama Sebastiana mogłaby wesprzeć jego tezę, jakoby Sebastiana wcale nie trzeba było przekonywać do zabicia Claesa. Potem jednak Sander przestał o tym mówić, bo chyba zrozumiał, że jej zeznania mogłyby mi faktycznie zaszkodzić. Chodziło mu pewnie o niesmak, jaki tamta suka by po sobie zostawiła, gdyby próbowała wyjaśnić sądowi, dlaczego porzuciła swoje dzieci.

Tym sposobem mama Sebastiana przestała nas interesować.

Mimo to przeczytałam jej zeznanie, w którym mówiła głównie o sobie. Nie umiała żyć u boku Claesa (akurat to rozumiem), chociaż na początku jej się wydawało, że zdoła go „wyleczyć” (zabrzmiało to jak zwrot, którego nauczył ją jej terapeuta), a wtedy on ją pokocha, chociaż tak naprawdę „nie potrafił uzewnętrzniać swoich uczuć” (to też pewnie określenie przejęte od terapeuty). Niestety, musiała go opuścić, a on nie chciał się zgodzić, żeby zabrała dzieci, bo pragnął się na niej zemścić. „I co ja mogłam zrobić?”, pytała, a było to pytanie retoryczne, jak gdyby sama chciała na nie odpowiedzieć, aby usłyszeć pożądaną przez siebie odpowiedź. „Nic, zupełnie nic. Claes odmówił, a ja nie mogłam mu się przeciwstawić”.

Lukas odmówił składania zeznań zarówno podczas śledztwa, jak i w odpowiedzi na wniosek Sandera. W ogóle z nikim nie rozmawia. Przejął po ojcu koncern i doprowadził do ugody z rodzinami ofiar. Przez cały czas milczy i ani słowem nie skomentował całego zdarzenia.

Po tym, jak Sander opowiedział historię „Złego Claesa Fagermana”, w wieczornej prasie zaczęto opisywać jego dzieciństwo w szkolnych internatach. Claes miał opiekunki zamiast rodziców, a członków rodziny zastępowali mu pracownicy koncernu. Psychologowie, którzy nigdy nie rozmawiali z Claesem, Sebastianem ani Lukasem, twierdzili, że Claes nie potrafił przywiązać do siebie swoich dzieci, bo on też nigdy nie był przywiązany do swoich rodziców. Ci sami psychologowie starali się

udowodnić, że Sebastian najprawdopodobniej odziedziczył tę cechę po ojcu. Jeden z nich postawił tezę, że dzieci zaniedbywane przez ojców cierpią nawet wówczas, gdy mieszkają w luksusowych willach w Djursholmie. Sander nigdy by takich wniosków nie wyciągnął, bo jest mądrzejszy. „Musimy się skoncentrować na tym, co zrobiłaś i za co można cię pociągnąć do odpowiedzialności. Problemy Sebastiana są pod względem prawnym nieistotne, chyba że będą stanowić dowód twojej niewinności”.

Za to są istotne dla mediów. I to w najwyższym stopniu.

Myślałam o mamie Sebastiana i o tym, dlaczego porzuciła swoje dzieci. Może była chora albo brała narkotyki? Może istniały inne przyczyny? Może właśnie z tego względu nie udzieliła wywiadu Najważniejszemu Dziennikarzowi, Który Zawsze Piszze Prawdę? Bo to fakt. Mama Sebastiana nie udzieliła ani jednego wywiadu. Nikomu. Może ma coś do ukrycia, może się czegoś wstydzi, może Claes coś o niej wiedział i ją szantażował? A może po prostu kłamie? Niewykluczone, że nie chciała mieć dzieci albo zmusiła Claesa do opieki nad nimi. Sama już nie wiem. Całkiem możliwe, że śmiertelnie się go bała, bo Claes ją prześladował i nienawidził w takim samym stopniu jak Sebastiana. Nikt tego nie wie. „Z punktu widzenia prawa jest to nieistotne”.

Ale dla mnie jest to bardzo ważne. Część mojego „ja” chce wierzyć, że mama Sebastiana kochała obu synów, tyle że w sytuacji, w jakiej się znalazła, niewiele mogła poradzić. Wolałabym, żeby cała wina spadła raczej na Claesa, bo rzeczywiście zasłużył na śmierć. Chcę wierzyć, że Lukas także jest jego ofiarą, a ojca bał się tak samo jak wiele innych osób. Wiem tylko tyle, że przez ostatnie tygodnie, gdy Sebastian potrzebował pomocy, u jego boku zabrakło mamy i Lukasa. Zostałam przy nim tylko ja. I nie poradziłam sobie.

Czasem próbowałam robić coś innego, niż tylko spędzać z nim czas. Zdarzało się, że wolałam być jak najdalej od niego. Dlaczego? Bo po

powrocie ze szpitala miejsce dawnego, spokojnego i oziębiałego Sebastiana zajął nowy Sebastian. Czasem szalał ze złości, czasem nic go nie interesowało. Jednego dnia wyzywał mnie od idiotek, bo przyszedłam do niego bez uprzedzenia, drugiego wyłączał telefon i wymyślał mi, że go olewam, nie dbam o niego ani o to, co robi. Czasem chciałam pojechać z Amandą do miasta, poczytać Linie bajkę albo zjeść kolację z rodziną, ale powoli zapomniałam, jak się to robi. Ze wszystkimi tymi osobami kontakty utrzymywałam na co dzień. Przebywanie w ich towarzystwie powinno być dla mnie równie oczywiste jak oddychanie i zasypianie, gdy ogarnia nas zmęczenie. Tymczasem stali mi się obcy, więc zaczęłam unikać ich towarzystwa. Przystałam odbierać telefony od Amandy, spać kładłam się nawet wtedy, kiedy w domu ktoś był, w szkole siedziałam sama... jeśli w ogóle przychodziłam na zajęcia.

Moi rodzice wyjechali z Liną na Wielkanoc. Powiedziałam im, że zamierzam polecieć z Claesem i Sebastianem do Antibes, ale zamiast tego zostałam z Sebastianem w Sztokholmie. Przez cały czas siedzieliśmy w domu, większą część dnia spędzając na basenie, paląc i słuchając muzyki, którą on sam wybrał. Czasem wpadał Dennis, ale nie na długo. Po powrocie rodzice spytali mnie, jak było.

– Dobrze – odparłam.

– Jak się czujesz? – spytała mama.

– Tak sobie – odrzekłam, a idąc do swojego pokoju, dodałam: – Chyba będę chora.

Rodzice nie zadawali mi dalszych pytań i nawet nie okazali zdziwienia, że jestem bledsza niż przed „wyjazdem do Antibes”.

Co się stało?

Prawda jest taka, że podczas tamtych ostatnich tygodni nie dokonał się żaden przełom. Nikt mi nie powiedział, co powinnam zrobić, żeby sytuacja się

zmieniała. Mijał czas, a ja nie zauważałam żadnej poprawy. Przeciwnie, było coraz gorzej. A jednak mijały kolejne dni, gdy Sebastian nie był na hajku i nie zachowywał się jak szalony. Potrafił nawet pohamować złość, tak że momentami wydawało mi się, iż jest trochę lepiej. Z perspektywy czasu myślę, że sytuację oceniałam zbyt optymistycznie – po prostu nie zmieniała się na gorsze w sposób zbyt drastyczny.

Niektóre dni były wprost okropne. Zwłaszcza weekendy, gdy jedynymi osobami, z którymi przez czterdzieści osiem godzin miałam do czynienia, był Sebastian i Dennis. Ale najgorzej było wtedy, kiedy wracał Claes.

Próbowałam przemówić Sebastianowi do rozumu, ale on albo nie potrafił, albo nie chciał się zmienić. Im gorzej się czuł, tym okropniej zachowywał się jego ojciec. Claes rzucał obraźliwymi komentarzami, a ponieważ los Sebastiana był mu kompletnie obojętny, wyzwiska brzmiały jeszcze gorzej. Nie interesowało go, że jego syn stoczył się prawie na samo dno. Czasem mi się wydawało, że tylko czekał, aż Sebastian popełni samobójstwo, bo to rozwiązałoby problem, o którym wspominał przy każdej okazji: „I co ja mam z tobą zrobić?”.

Po kolacji, na której obecny był kucharz z telewizji, trafiłam na „listę głupców” Claesa. Pewnie dlatego, że nie potrafiłam namówić Sebastiana, żeby się zmienił i zaczął robić to, czego przez cały czas unikał. Kiedy się spotykaliśmy, Claes nie witał się już ze mną, zwracał się do mnie w trzeciej osobie i nigdy nie patrzył mi w oczy. Gardził mną, bo chodziłam z jego synem.

Tak, uważam, że to była wina Claesa Fagermana. Gdyby był inny, gdyby inaczej się zachowywał i co innego mówił, nigdy by do tego nieszczęścia nie doszło. Kiedyś powiedziałam Sanderowi, że naprawdę chciałam śmierci Claesa, a to, co mówiłam albo pisałam do Sebastiana, było prawdą. Uważałam, że Claes zasługuje na śmierć, bo jako ojciec Sebastiana powinien

go kochać.

Sander odpowiedział, że to wcale nie oznacza, iż jestem współwinna zbrodni, bo to pani prokurator powinna wykazać, iż „nakłoniłam” Sebastiana do zabicia ojca. Będzie też musiała udowodnić istnienie związku przyczynowo-skutkowego między tym, co powiedziałam, a tym, co później zrobił Sebastian. Powinna dowieść, że te dwie sprawy się ze sobą łączą, a ta druga nie mogłaby zaistnieć bez pierwszej. Nie wystarczy bowiem samo stwierdzenie, iż chciałam, żeby Sebastian zabił Claesa, bo Sebastian i tak zamierzał to zrobić, bez względu na to, co ja o tym myślałam.

Dla Sander jest rzeczą oczywistą, że Sebastian postanowił zabić ojca z powodu tego, jak ten go traktował.

Przebieg ostatniej imprezy pasuje do tezy Sander, bo dzięki niej łatwiej jest zrozumieć to, co wydarzyło się później. Sander ma na myśli to, co zrobił Claes, który wyrzucił Sebastiana z domu, zażądał od niego, żeby się wyprowadził, zniknął mu z oczu, wyniósł się. Dla Sebastiana to był koniec. Nie miał się gdzie podziać, nie radził sobie z nauką, a na dodatek ojciec odebrał mu wszystko to, co składało się na jego tożsamość. Sander opowie o tym wszystkim w sądzie. Jednak prawdy, której kształtu Sander tylko się domyśla, nie można wyjaśnić w tak „pedagogiczny” sposób.

– Opowiedz nam, jak Sebastian pierwszy raz cię uderzył – poprosił Sander, gdy zeznawałam przed sądem.

Chciał, żeby wszyscy usłyszeli moje słowa, bo moja historia brzmiała naprawdę okropnie, a Sanderowi zależało, żeby sądowi zrobiło się mnie żal. Powiedziałam to, co chciał, ale zataiłam, że w takim zachowaniu Sebastiana nie było nic szczególnego. Utrzymywałam wszystkich w mniemaniu, że fakt pobicia był naprawdę czymś okropnym.

Byłam wtedy u niego w domu, zaraz po Wielkanocy. Kiedy przyszłam, Claes i Sebastian siedzieli w kuchni i „omawiali” studniówkę Sebastiana

(„Nie jestem pewien, czy będę wtedy w Szwecji, poproś Majlis, żeby zajęła się praktycznymi sprawami”). Dopóki Claes był w domu, nie odzywałam się, ale po jego wyjściu nie mogłam dłużej wytrzymać.

Doszło między nami do kłótni, ale nie dlatego, że Sebastian i tak nie zostałby dopuszczony do matury, bo o takie sprawy nigdy się nie kłóciliśmy. Byłam po prostu zła, że Claes zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie działo, byle tylko w czasie kolacji nie musiał zabierać głosu. Koszt udziału w studniówce był mu obojętny, gotów był zapłacić każdą cenę, ale zajmować się przygotowaniami nie zamierzał.

– Nie rozumiem, dlaczego pozwalasz, żeby traktował cię jak gnojka. On cię nienawidzi, od zawsze tak było. Nie zasługujesz na takie traktowanie.

Wyrzuciłam to z siebie, chociaż widziałam, że Sebastianowi jest przykro i sprawiam mu ból. Sebastian zdawał sobie sprawę, że nigdy nie będzie powodem do dumy dla swojego ojca i w niczym go nie zadowoli. Mimo to nie zawahałam się użyć tak mocnych słów. Czy mu to w czymś pomogło? Nie. Claes tylko go karał, ale nigdy nie interesował się jego sprawami. Być może powiedziałam to tylko po to, żeby Sebastianowi zrobiło się jeszcze bardziej przykro. Byłam na niego okropnie zła. Wiedziałam o tym, a mimo to nie odpuściłam.

Szczułam go na własnego ojca.

To wtedy Sebastian uderzył mnie w twarz. Nie powiedział przy tym ani słowa, a uderzenie nawet niespecjalnie mnie zabolalo. Pobiegłam jednak do łazienki, by zamknąć się na klucz. Niestety, w willi Fagermanów nie ma łazienek zamykanych na klucz. Claes podjął taką decyzję po powrocie Sebastiana z oddziału psychiatrycznego.

W łazience spędziłam trochę czasu. Kiedy słyszałam, że Sebastian podchodzi do drzwi, z całych sił chwyciłam za klamkę. Wprawdzie otwierały się na zewnątrz, ale Sebastian nawet nie próbował się ze mną szarpać, chociaż

bez trudu by sobie poradził, bo był ode mnie silniejszy. Dopiero po dłuższej chwili, gdy klamka zrobiła się gorąca, domyśliłam się, że Sebastian przyniósł z kuchni palnik i ją podgrzał. Nie odezwał się przy tym ani słowem, nawet nie dotknął drzwi. Kiedy klamka była już na tyle gorąca, że nie mogłam jej utrzymać, Sebastian bez trudu je otworzył.

Podszedł do mnie, podciągnął mi sukienkę, rozpiął biustonosz i spojrzał na moje odbicie w lustrze.

– Może zamkniemy drzwi? – szepnęłam, słysząc na parterze kroki Claesa.

W domu była też sprzątaczką, w ogrodzie pracowała kosiarka, a przy podjeździe kręcili się ochroniarze. Sebastian nie odpowiedział. Nie był na mnie zły, tylko zmęczony i spuchnięty. Miał czarne plamy pod oczami, ale nie czuł do mnie złości. Rozpiął spodnie, opuścił je na podłogę i uderzył mnie wierzchem dłoni w skroń. Zegarkiem, który miał na ręce, trafił mnie w kość policzkową, prawie tuż pod okiem. Położyłam się na zimnych kafłach, a Sebastian ściągnął mi majtki. Nie broniłam się. Sukienkę nadal miałam podciągniętą pod brodę. Sebastian skupił się na moich piersiach: jedną ssał, drugą ściskał dłonią. Nie chciałam, żeby mnie tak po prostu zgwałcił, więc wzięłam go za drugą rękę i przybliżyłam ją do mojego łona. Poczułam go na biodrach... Uniosłam stopę, bo nie chciałam się poczuć jak zniewolona. Oparłam się o brzeg wanny i w tym momencie Sebastian we mnie wszedł. Szybko skończył, a potem wyszedł z łazienki.

Na prośbę Sandera opowiedziałam o tym, jak Sebastian mnie uderzył. Nie przyznałam się jednak, że w chwili, gdy to uczynił, poczułam ulgę. Krew zaszumiała mi w żyłach, zahuczało mi w głowie i myślałam, że nad wszystkim panuję. Doszłam do wniosku, że jak mnie już uderzył, to nic więcej mi nie zrobi. Gdyby mnie pobił, wszyscy by zobaczyli, jaki naprawdę jest, a to zwolniłoby mnie ze wszystkich zobowiązań wobec niego. Niewykluczone, że mogłabym się od niego uwolnić. Miałabym powód, by go zostawić i nigdy

więcej do niego nie wracać. Nie musiałabym się o niego troszczyć, pocieszać go i towarzyszyć mu na każdym kroku. Sama bym zrozumiała, że powinnam w końcu odejść. Kobieta powinna zostawić faceta po pierwszym uderzeniu. Nie wolno jej żyć z kimś, kto ją bije, bez względu na to, ile razy prosił o wybaczenie. Wszyscy o tym wiedzą.

Sebastian nigdy mnie nie przeprosił. Policzek trochę mi spuchł, ale prawie nie było tego widać. Jeśli go nie dotykałam, nie czułam bólu. Nikt się nie domyślił, co się stało.

Co miałam ze sobą zrobić?

38.

Nadszedł ostatni wieczór, ostatni tydzień maja. Sebastian nie poszedł na studniówkę, a o tym, co wydarzyło się w łazience, nigdy potem nie rozmawialiśmy. Nie poszedł też – podobnie jak ja – na imprezę do Labbego, chociaż był na nią zaproszony. Moim zdaniem nie powinien też przyjąć zaproszenia od Amandy.

To był czwartek. Następnego dnia mieliśmy jak zwykle iść do szkoły, ale Sebastian powiedział, że chciałby zrobić imprezę. Tamtego popołudnia powietrze pachniało w szczególny sposób, niebo miało bardziej błękitny kolor niż zwykle, a ja byłam w radosnym nastroju. Przypomniało mi się, jak wygląda lato. Przez krótką chwilę rozmyślałam o wieczornych spacerach, grillowaniu, kąpieli na golasa i chodzeniu po ziemi na bosaka.

– Dużo osób zaprosiłeś? – spytałam Sebastiana.

– Bez przesady – odparł.

Tego dnia było ciepło, temperatura przekroczyła dwadzieścia pięć stopni. Pomyślałam, że zostaniemy na basenie albo – jeśli nadal będzie tak ciepło – pójdziemy nad jezioro. Będziemy słuchać muzyki, rozmawiać i pić alkohol, ale tym razem się nie upijemy. Czułam się prawie tak jak latem zeszłego roku. Prawie? Sebastianowi niewiele było potrzeba, gdy się nudził. Fajnie było, gdy „trwała impreza”.

Sander przypuszczał, że Sebastian już wtedy podjął decyzję, iż będzie to jego ostatni wieczór. Uważał, że sposób, w jaki Claes zachował się wobec syna, być może skłonił Sebastiana nie tylko do tego, aby targnąć się na swoje życie, ale także by zabić ojca. Jedno wiemy na pewno: Sebastian zaplanował swoją śmierć. Śledczy nie znaleźli niczego, co mogłoby rzucić jaśniejsze

światło na jego zamierzenia – jeśli Sebastian faktycznie coś planował. Sander może snuć te swoje teorie, bo prawdy i tak nikt nie zna. Myślę jednak, że generalnie ma rację.

Na imprezie jako pierwszy zjawił się Dennis, który przyprowadził dwóch kumpli. Sebastian nie uprzedził mnie, że go zaprosił, ale nawet mnie to nie zdziwiło. Nie byłam chyba nawet rozczarowana. Trudniej mi było zrozumieć, że Dennis nie przyszedł sam. Nigdy przedtem nie spotykaliśmy się z jego kumplami. Na początku cała trójka trzymała się razem, w altanie albo na basenie. Nie wyglądali na nieśmiałych, uśmiech nie schodził im z twarzy, jak gdyby nie wierzyli własnym oczom. Myślę jednak, że nie był to dobry śmiech.

Potem zjawiły się jakieś panienki. Ich też nie znałam. Widać było, że zostały wynajęte. Sebastian im zapłacił, ale chyba nie za dużo (to też było widać). Dziewczyny nalały sobie drinka i czekały na dalsze instrukcje.

Na początku myślałam, że to Dennis je tu przyprowadził, bo jako pierwszy je zagadnął. Ale to Sebastian się z nimi przywitał i powiedział:

– Możecie zaczynać.

Dennis był tego dnia w krótkich spodniach. Pochylił się, żeby podciągnąć skarpetę na lewej nodze, bo mu się zsunęła. Z uporem starał się ją podciągnąć na właściwe miejsce. Zdjął czapkę z daszkiem i położył ją na stoliku z jedzeniem. Stałam w pewnej odległości, ale i tak zauważyłam na niej ciemny pasek zaschniętego potu i drobinki suchej skóry. Potem Dennis i jego kumple poszli do sypialni Claesa. Tylko nie Sebastian, pomyślałam. Tylko nie on. Sebastian nie robi takich rzeczy.

„Możecie zaczynać”. W tym momencie poczułam, że ziemia osuwa mi się pod nogami, a ja wpadam w otchłań. Spojrzałam na dziewczynę, która stała najbliżej mnie. Paznokieć na kciuku miała obgryziony aż do skóry, a na nogach zmechacone zwykłe czarne rajstopy, bo na nylonowe było za ciepło. Dziewczyna odstawiła drinka. Chciałam, żeby spojrzała mi w oczy, ale nie

zrobiła tego. Gdyby bowiem na mnie popatrzyła, gdybym mogła zajrzeć jej w oczy, mogłaby się stać zwykłym, prawdziwym człowiekiem, a ja wpadłabym w złość, oszalałabym z zazdrości i od razu kazałabym jej się stamtąd wynosić. Ale ona unikała mojego wzroku. Poszła do sypialni razem ze swoimi dwiema koleżankami, a ja opadałam w coraz głębszą otchłań. Poczułam zapach potu i tanich perfum, lecz nie zareagowałam. Nie nakrzyczałam na Sebastiana, nie rozplakałam się. Nie zrobiłam nic, bo inaczej trafiłabym na samo dno otchłani.

Kiedy Dennis i jego kumple skończyli, do sypialni wszedł Sebastian. Myślę, że jakieś dwadzieścia minut po nich. Nie pytałam go, po co tam idzie. Nie powiedziałam: „Nie rób tego”. Nie płakałam, bo właśnie przyszedł Labbe z Amandą. Zanim Sebastian zamknął drzwi, odwrócił się i spojrzał na mnie. Oczy miał czarne, już wtedy były martwe.

– Chcesz wejść? – spytał i nie czekając na odpowiedź, zamknął za sobą drzwi.

Nikogo wtedy nie uderzyłam i nie oplułam. Nie weszłam też za nim do sypialni, bo nie mogłam się ruszyć z miejsca. Sebastian już mnie nie chciał. Tak postanowił.

Chciał umrzeć w spokoju. Właśnie w taki sposób się z tobą rozstał, Maju.

Widząc moją minę, Dennis wybuchnął śmiechem. Otworzył usta, odchylił głowę i głośno się roześmiał. Z kieszeni swoich brzydkich krótkich spodni wyjął reklamówkę i to, co w niej było. Przedmiot nie większy od znaczka pocztowego. Zrozumiałam, że Sebastian zrobił to, co zrobił, z prostej przyczyny: chciał, żebym go sobie odpuściła. Miało się to stać tam i wtedy. Już mnie nie chciał. „Chcesz tam wejść?”, spytał, co oznaczało: „Spadaj, i tak nic na to nie poradzisz”. Nie byłam w stanie wykonać żadnego ruchu. Gdybym wtedy z niego zrezygnowała, pograżyłamby się jeszcze bardziej, spadłabym na samo dno, gdzie panują kompletne ciemności. Czarna otchłań.

– Śmieję się z tego – powiedział Dennis.

Popatrzyłam na niego. Chyba wiedział, co zrobić, żeby się nie pogryźć.

Dom zapełniał się powoli gośćmi. Siedziałam na brzegu basenu z nogami w wodzie, wokół mnie dudniła muzyka. Wnętrze rozświetlały błyskające lampy, jasne światło pełzało po ścianach, docierało do mojej głowy i eksplodowało w niej. Położyłam się na brzegu basenu i obserwowałam grę świateł. Po chwili ubranie na boku było całkiem mokre. Ktoś wrzucił do basenu butelkę szampana, która podskakiwała na wodzie niezgodnie z rytmem muzyki. Błyski światła na powierzchni, snop iskier w mojej głowie i te ogromne, wysokie, turkusowe płomienie. Czułam, że za chwilę będę musiała kupić od Dennisa drugą działkę, bo pierwsza prawie przestała działać.

Nie wiem, jak długo tam byłam. Przez cały czas słyszałam muzykę, która wypełniła moje wnętrze, a potem eksplodowała, żeby wydostać się na zewnątrz. To, co zrobił Sebastian, przestało mieć znaczenie, stało się dla mnie zupełnie obojętne. Nagle ktoś koło mnie stanął. Z początku widziałam ją jak przez mgłę.

– Amanda! – zawołałam, a przynajmniej próbowałam to zrobić.

Ale ona mnie nie słyszała. Szepnęłam więc tylko: „Amando”. Pilnie potrzebowałam jej pomocy, chciałam, żeby mnie stamtąd zabrała, i nie tylko mnie, ale też Sebastiana, żeby pomogła nam dostać się do domu.

Obok Amandy stał Labbe, trzymali się za ręce. Rozejrzeli się wokół siebie, jak gdyby kogoś szukali. W pewnym momencie Labbe chwycił kogoś za ramię i ten ktoś się odwrócił. Od razu go poznałam. To był Samir.

W ręce trzymał telefon i coś nagrywał. Chwilę później zobaczyłam co.

Sebastian stał odwrócony do niego plecami. Na podłodze przygotował kilka kresek, a potem dwóm nagim dziewczynom – tym, którym zapłacił za przyjście – kazał uklęknąć i wciągnąć je nosem. Potem jedną z tych dwóch

chwycił za biodra, podciągnął jej tyłek i przycisnął do swojego krocza. Dennis się roześmiał.

Samir ciągle nagrywał.

Nie wiem, jakim cudem stanęłam na nogach, ale Labbe zdążył mnie chwycić, zanim wyrwałam Samirowi telefon. Chyba nie krzyczałam, lecz Amanda też trzymała mnie za rękę. Wywlekli mnie stamtąd do jakiegoś pokoju, muzyka nadal głośno grała, a ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, był widok Sebastiana, który wciągał dwie kreski. Resztę zlizął językiem. Potem odwrócił się do jednej z dziewczyn i kazał jej zlizać proszek ze swojego języka.

Chyba wtedy się popłakałam. Samir poszedł za nami. Trzymał w ręce telefon i patrzył na mnie.

– Musimy z tym skończyć – usłyszałam czyjś głos.

Amandy? Samira?

– Musimy go wysłać za kraty.

To na pewno był Samir. Pieprzony gnojek. Chciał być w zgodzie z prawem. Boże, przecież nie powinno go tu w ogóle być. Gdyby Sebastian nie był zajęty, nie wpuściłby go do środka. Samir nie powinien nigdzie dzwonić, bo w taki sposób nie da się rozwiązać problemów Sebastiana. Potem się przestraszyłam. Śmiertelnie. Po raz pierwszy bałam się o siebie. Jeśli w willi zjawi się policja, będzie po mnie.

– Nie wolno ci tego zrobić – krzyknęłam. – Nie wolno ci dzwonić na policję, nie wolno ci na niego donieść. Nie wolno ci. Jeśli zadzwonisz na policję... – zamilkłam i musiałam zacząć od nowa, bo serce zbyt szybko mi biło. – Jeśli zadzwonisz na policję, nie tylko Sebastian trafi za kraty.

– Ale przecież musimy coś zrobić. Tym razem naprawdę przesadził.

Szybkim ruchem wyjęłam telefon. Zrobiłam to automatycznie. Jak gdybym sama tego chciała albo to zaplanowała. Wybrałam numer i podałam aparat Samirowi.

– Zadzwoń do niego. Nie na policję.

Czy naprawdę wierzyłam, że Samir się odważy? Gotowa byłam go do tego zmusić, zrobić cokolwiek, byle tylko nie dzwonił na policję. Ale Samir wybrał ten numer w swoim własnym telefonie.

– Co ty robisz? – spytałam.

Chyba dopiero w tym momencie do mnie dotarło, co zrobiłam i co może z tego wyniknąć. Samir zrobił dumną minę, teraz to on był górą. Wyglądał, jakby chciał powiedzieć: „Nigdy by pan w to nie uwierzył”. Miałam ochotę mu przywalić.

– Co ty, kurde, robisz?

Wokół nas nadal huczała muzyka. Było tak głośno, że musieliśmy się przekrzykiwać. Mimo to usłyszałam dźwięk będący potwierdzeniem, że Samir przesłał ze swojego telefonu wiadomość na prywatny numer Claesa Fagermana. Nie był to esemes, tylko plik z filmem, który przed chwilą nagrał.

Ty pieprzony idioto, miałam ochotę zawołać do niego z mojej celi. Zadzwoń na policję. Zadzwoń do nich. Poproś go, żeby zadzwonił na policję. Zażądaj tego. Dlaczego nie zadzwoniłeś na policję, tylko do niego?

Niecałe dziesięć minut później rozpętało się piekło.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Trzeci tydzień procesu — poniedziałek

39.

Kiedy Samir wchodzi do sali rozpraw, wygląda jak zawsze. No, może prawie jak zawsze, w każdym razie trochę się postarzał. Siada na wyznaczonym miejscu i nie patrzy na mnie. Za to ja patrzę na niego. Patrzę i patrzę, i patrzę, i po raz pierwszy od rozpoczęcia procesu odczuwam coś innego niż panikę. Samir ma dłuższe włosy, pociera o beżowe spodnie dłońią, jakby była spocona. Zbyt często chrząka, co świadczy o tym, że jest zdenerwowany.

Samir żyje. Naprawdę, to nie złudzenie. Przeżył strzelaninę, bo widzę go na własne oczy. Jest tak blisko mnie, że mogłabym wstać i go dotknąć. To nieważne, że zaraz zezna, iż Amandę zastrzeliłam z premedytacją. Najważniejsze jest to, że żyje.

Pani prokurator zaczyna jako pierwsza. Prosi Samira, aby na jej pytania odpowiadał spokojnie.

– Opowiedz o wszystkim własnymi słowami...

Samir wyjaśnia, dlaczego zdecydował się uczęszczać do naszej szkoły, w jakich okolicznościach poznał Amandę i Labbego, jak się czuje i jak dobrze mnie zna. Opowiada, że on, Labbe i Amanda niepokoiли się o nas i postanowili „coś z tym zrobić”. Przypomina, co wydarzyło się na imprezie w willi Fagermanów w wieczór poprzedzający strzelaninę w szkole.

Claes zjawił się w towarzystwie kilku ochroniarzy. Jeden z nich odebrał Samirowi telefon. W zamian dał mu nowy aparat, lepszy i ładniejszy, prosto ze sklepu.

Oba telefony (Samira i Claesa) zostały włączone do materiału

dowodowego. Obejrzeliśmy też film, który Samir nakręcił na imprezie (a przy okazji drugi, którego nie wysłał Claesowi). Pani prokurator prosi, aby go jeszcze raz odtworzyć. Na nagraniu widać, że jestem mocno najarana, a widząc, że Samir wszystko filmuje, wpadam w szal. Krzyczę do niego: „Co ty, kurwa, robisz? Oszalałeś?”. Film kończy się ujęciem mojej spoczonej twarzy. Pani prokurator zatrzymuje nagranie na tej klatce przez dłuższą chwilę, jak gdyby chciała, żebym patrzyła na publiczność z ekranu. Potem kończy pokaz.

Samir opowiada o chaosie panującym na imprezie. O tym, jak Claes stracił nad sobą kontrolę i poszedł do pokoju, w którym Sebastian zamknął się z tantą dziwką. Jego syn był nagi. Claes uderzył go w obecności świadków pięścią w twarz, a gdy Sebastian upadł na podłogę, kopnął go w brzuch.

– Zrobił to dwa albo trzy razy – dodał Samir. – Nie jestem pewien.

Jeden z ochroniarzy odciągnął Claesa od Sebastiana, inny wyprowadził z sypialni Dennisa i dziwkę. Dennis całkiem odleciał. Stał ze spodniami w ręce i nabrzmiętym kutasem wciśniętym między tłuste, prawie granatowe uda.

Któryś z ochroniarzy odwiózł Samira do domu. Samir poprosił, aby wysadzić go trochę dalej, żeby jego rodzice nie zauważyli samochodu. Ochroniarz odmówił i podwiózł go pod sam dom. Rodzice niczego nie zauważyli.

Potem Samir przez pięćdziesiąt minut opowiada o tym, co wydarzyło się w klasie. Pani prokurator zadaje mu pytania trochę cichszym głosem niż zwykle. Za każdym razem, gdy Samir zaczyna płakać (w sumie robi to trzy razy), sędzia pyta, czy zrobić przerwę. Samir kręci głową i walczy ze sobą, żeby jego głos brzmiał normalnie. Chce stąd jak najszybciej wyjść, mieć to za sobą. Powtarza to, co zeznał wcześniej, niemal słowo w słowo. Jest pewien, wie, co się stało i co zrobiłam.

Kiedy przychodzi kolej na Sandera, czoło Samira lśni od potu. Na policzkach, tuż nad dołkami, wykwitły mu czerwone plamy. Jest poirytowany, jeszcze zanim Sander rusza z pytaniami.

Sander też mówi do niego przyjaznym głosem, ale nie ścisza go.

– Na pierwszym przesłuchaniu zeznałeś, że policja zjawiała się po kilku godzinach.

– Mhm.

– Pamiętasz swoje słowa?

– Tak mi się wydawało... że to kilka godzin.

– W rzeczywistości policja zjawiała się w ciągu niecałych trzydziestu minut. W raporcie czytamy, że policjanci wkroczyli do klasy piętnaście, siedemnaście minut po chwili, gdy padł ostatni strzał, to znaczy dziewiętnaście minut od pierwszego strzału.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Zeznałeś też, że jako pierwszy został zastrzelony Christer.

– Tak, ale...

Sander ścisza głos.

– Wycofałeś się z tego podczas następnego przesłuchania.

– Byłem wtedy w fatalnym stanie, świeżo po operacji. Policja przesłuchiwała mnie, gdy leżałem w szpitalu... byłem...

– Rozumiem, Samirze, rozumiem, że nie było ci łatwo. Ale w czasie pierwszego przesłuchania powiedziałeś wiele rzeczy, z których się później wycofałeś.

– Wcale tak nie było.

– Po ilu dniach zostałeś przesłuchany?

– Po czterech.

– Czy w te trudne dni twoja rodzina była przy tobie?

– Tak.

– Rozmawialiście o tym, co się wydarzyło, prawda?

– Nie mówiłem zbyt wiele.

– Tak, bo źle się czułeś. To wiemy. W twojej karcie chorobowej czytamy, że dostałeś mnóstwo środków uspokajających. Rozumiem, że nie czułeś się najlepiej. Ale twoi rodzice rozmawiali z tobą o wszystkim?

– Oczywiście, że tak. Czy to dla pana taki problem?

– Odpowiadaj na pytania.

– Mama przez większą część czasu płakała... tylko płakała.

– W jakim języku rozmawiasz z rodzicami?

Chwila wahania.

– Po arabsku.

Naleśnik podaje Sanderowi kilka kartek. Sander otwiera na drugiej stronie i kontynuuje.

– Rozmawialiśmy z personelem medycznym, który się tobą zajmował. Jedna z pielęgniarek zeznała, że pytałeś ją, co się stało z Mają. – Sander odwraca się do sędziego, podczas gdy Ferdinand rozdaje kopie protokołu przesłuchania pielęgniarki. – Ona też zna arabski.

– Mhm.

– Zeznała też, co powiedział twój tata.

– A co w tym dziwnego? Tata musiał mi odpowiedzieć, gdy zadałem mu tak proste pytanie.

– Czy pamiętasz jego słowa?

– Powiedział chyba, że Maja została aresztowana.

– Pielęgniarka zeznała, że twój tata powiedział ci, iż policja aresztowała Maję i że za to, co zrobiła, powinna zgnieć w więzieniu.

– Czy to pana dziwi, że zdaniem mojego taty Maja powinna zostać ukarana za swój czyn? Nie rozumie pan, że tata był zły?

– Twój tata powiedział, że policja znalazła w szafce Mai torbę. To on ci

powiedział, co w tej torbie było, prawda?

– Co w tym dziwnego? Policja rzeczywiście znalazła w jej szafce torbę. Dlaczego tata miałby mnie okłamywać?

– Tata ci powiedział, że Maja i Sebastian wspólnie zaplanowali to, że w klasie strzelali razem.

– Bo tak było.

– Twój tata powiedział ci o tym dwa razy, jeszcze zanim policja przesłuchała cię pierwszy raz. To prawda?

– Nie wiem. Być może. Ale on powiedział tylko to, co się wydarzyło, on nic nie zmyślił, to było...

– Nie twierdę, że twój tata coś zmyślił. On po prostu przeczytał o tym w gazetach i myślę, że w to uwierzył. Maja trafiła do aresztu, a twój tata na pewno nie jest jedyną osobą, która uważa, że policja nie aresztowałaby nastoletniej dziewczyny, gdyby ta nie była winna. Uważam, że ty też wpadłeś w tę pułapkę, a wszystkie swoje wspomnienia z klasy, wszystko to, czego w chwili zdarzenia nie rozumiałeś, dopasowałeś później do tego, co usłyszałeś.

– Twierdzi pan, że wszystko zmyśliłem? Bzdura. Maja została aresztowana, bo zastrzeliła swojego...

Sander przerywa Samirowi z zatroskaną miną.

– Wszystkie osoby, które odwiedziły cię w szpitalu, otrzymały zakaz wypowiedzi w tej sprawie. Czy wiesz, co to znaczy?

– Tak.

– To znaczy, że nie wolno im było rozmawiać z tobą na ten temat.

– Mój tata o niczym ze mną nie rozmawiał.

– Powodem, dla którego twój tata otrzymał zakaz rozmowy o Mai albo o tym, co przeczytał w gazetach, lub też o tym, co jego zdaniem wiedział, było to, że policja chciała być pewna, iż nic, co usłyszysz o strzelaninie i o Mai, nie

wpłyń na twoje zeznania. Chcieli cię przesłuchać, jeszcze zanim wyrobisz sobie zdanie o tym, co się wydarzyło.

– Nie musiałem sobie wyrabiać zdania o tym, co się stało, bo ja byłem w tej klasie. Dlaczego miałbym zmyślać?

– Nie twierdzą, że zrobiłeś to świadomie... Myślę tylko, że bardzo chciałeś zrozumieć swoje traumatyczne przeżycia i taka konstrukcja wydaje się bardziej logiczna.

– Tata nie twierdził, że Maja i Sebastian zrobili to wspólnie.

Sander patrzy na niego sceptycznym wzrokiem.

– Ale powiedział ci, że Maja trafiła do aresztu?

– Tak.

– A wyjaśnił dlaczego?

– Nie musiał...

– Być może nie musiał. Wystarczyło, że ci powiedział, co się z nią stało, a ty domyśliłeś się, że jest podejrzana o współudział. Twój tata opowiedział ci o tym, co przeczytał w gazetach i co jego zdaniem było prawdą. Pielęgniarka słyszała waszą rozmowę, mam jej zeznanie na piśmie. Jeśli chcesz, możemy ją wezwać na świadka. Jej zdaniem twój tata był bardzo wzburzony i chciał ukarać Maję, ponieważ próbowała cię zabić.

– To nie jest takie proste... Mój tata chciał tylko, żebym wiedział...

– Rozumiem. I właśnie to chciałem ci powiedzieć: nie tak łatwo jest wyjaśnić to, co się wtedy stało.

Sander zawiesza głos, jego ostatnie słowa zawisają w powietrzu. Wypija trochę wody.

– Opowiedz nam, jak zostałeś postrzelony.

– On... Sebastian strzelił do Dennisa, potem do Christera, a potem powiedział... – Samir przerywa, żeby odchrząknąć, i po chwili kontynuuje wątek: – „Teraz zginiesz”. I strzelił. Myślałem, że to koniec.

W tym momencie Samir znowu zaczyna płakać. Sander czeka chwilę i wraca do przerwane go wątku.

– Czy pamiętasz, gdzie stałeś w chwili, gdy Sebastian strzelił?

– Przy drzwiach.

– Czy Maja trzymała wtedy w rękach jakąś broń?

– Nie wiem.

– Ale to nie ona cię postrzeliła?

Samir się zachnął.

– Nigdy tego nie twierdziłem. Ale za to...

– W którym momencie sobie uświadomiłeś, że żyjesz?

– Jak usłyszałem, że ze sobą rozmawiają.

– Kto taki?

– Maja z Sebastianem.

– W czasie przesłuchania zeznałeś... – Sander bierze kartkę i czyta na głos:

– ...„Przeżyłem, bo oboje sądzili, że nie żyję”.

Samir odpowiada podniesionym głosem:

– Gdyby zauważyli, że żyję...

Sander ścisza głos:

– Udawałeś martwego, żeby znowu do ciebie nie strzelili?

– Tak.

– Zamknąłeś oczy?

– Nie całkiem.

– A więc patrzyłeś na nich?

– Patrzyłem, ale nie otwierałem oczu zbyt szeroko. Mimo to widziałem wystarczająco dużo.

– Nie bałeś się, że zauważą, że ich obserwujesz?

– Strasznie się bałem. Nigdy wcześniej nie byłem tak przerażony.

– Bolało cię?

- W całym życiu nic mnie tak strasznie nie bolało.
 - Na pewno niełatwo ci było leżeć nieruchomo i udawać martwego?
 - Nie miałem innego wyjścia.
 - W czasie przesłuchania zeznałeś... – Sander sięga po kolejną kartkę i czyta na głos: – ...„Zrobili to razem”. Co miałeś na myśli? Co takiego zrobili razem?
 - Oni...
 - Kiedy Sebastian strzelał do Christera, Dennisa i ciebie... czy Maja strzelała razem z nim?
 - Nie. Ona...
 - Czy miała wtedy broń w rękach?
 - Chyba nie... nie wiem.
 - Ale trzymała broń w rękach, gdy Sebastian do niej powiedział... No właśnie, co on takiego powiedział?
 - „Wiesz, że musisz to zrobić”.
 - Czy wiesz, co miał na myśli?
 - Chciał, żeby zabiła Amandę.
 - Maja twierdzi, że gdy Sebastian powiedział: „Wiesz, że musisz to zrobić”, chciał, żeby zabiła jego... Maja musiała to zrobić, bo inaczej on zabiłby ją.
 - No to dlaczego zabiła Amandę? Po co miałyby do niej strzelać, skoro Sebastian jej tego nie kazał?
- Sander milczy przez chwilę, ale nie dlatego, że Samir zapędził go w kozi róg. Sanderowi zależy, żeby wszyscy słuchali go z wyteżoną uwagą.
- Brałeś udział w wizji lokalnej zorganizowanej przez policję?
 - Tak. I wtedy...
 - Ale nie uczestniczyłeś w naszej wizji?
 - Nie. Nie zostałem zaproszony. Jakie to ma znaczenie? Byłem tam, gdy...

– Czy wiesz, co powiedział pozorant, który odgrywał twoją rolę? Chodzi mi o to, co widział z miejsca, w którym leżałeś?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Powiedział, że z tego miejsca nie widział Mai.

– Ja ją widziałem.

– Nie widział Mai. Żeby ją zobaczyć, musiał odwrócić głowę. Ale gdyby to zrobił, przestałby widzieć Sebastiana. Oznacza to, że nie mógł widzieć równocześnie i Mai, i Sebastiana. Nie mógł też widzieć równocześnie Mai i Amandy. Czy żeby zobaczyć Maję, odwróciłeś głowę?

– Nie wiem. Być może.

– Udawałeś, że jesteś martwy, prawda?

– Tak.

– Leżałeś całkiem nieruchomo?

– Tak.

– Czy wiesz, co tamten pozorant jeszcze powiedział?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Pozorant, który w czasie wizji lokalnej odgrywał twoją rolę, powiedział, że z miejsca, w którym leżał, nie wyglądało to tak, że Amanda i Sebastian stali w tej samej linii strzału, tylko że stali obok siebie. Jednak patrząc z miejsca, w którym stała Maja, to znaczy z innej perspektywy, Sebastian stał po skosie przed Amandą. Jak sądzisz, czy z twojego miejsca mogło to wyglądać inaczej, niż widziała to Maja?

– Maja zastrzeliła Amandę.

– Wiemy, że to zrobiła. Nie wiemy tylko dlaczego.

– Bo chciała, żeby Amanda zginęła.

– Jesteś tego pewien?

– One nie... one nie były... Sebastian i Maja stali się całkiem... – Samir znowu płacze. – Amanda powiedziała, że Maja przestała do niej dzwonić, że

przystały się spotykać i że Maja dziwnie się zachowuje. Niepokoiła się o nią, ale Maja nie chciała jej więcej znać. Wolała spędzać czas z Sebastianem. Była nim opętana. Wszystko inne miała w nosie, liczył się tylko on.

– Czy słyszałeś, że Maja życzyła Amandzie śmierci?

– Nie.

– Czy Amanda bała się Mai?

– Tego mi nie powiedziała. Dopiero w klasie zrozumiałem, że Maja chciała...

– Przyjechała karetka pogotowia... Lekarz, który badał cię jako pierwszy, zeznał, że byłeś nieprzytomny?

Samir wzrusza ramionami.

– Byłeś?

– Chyba tak.

– Czy pamiętasz, kiedy zabrano cię z klasy?

– Nie.

– Bo w tym momencie byłeś nieprzytomny?

– Tak. Nigdy nie twierdziłem, że pamiętam, co się stało po przyjeździe karetki.

– Jak długo byłeś nieprzytomny?

– Niezbyt długo.

– Lekarz, z którym rozmawialiśmy, stwierdził, że nie można wykluczyć, iż przytomność straciłeś już w chwili, gdy zostałeś postrzelony.

– Wcale tak nie było.

– Jesteś tego pewien?

– Widziałem, co widziałem.

– To znaczy?

– Widziałem, jak Maja celuje w...

– Ale przecież z miejsca, w którym leżałeś, nie mogłeś widzieć i jej,

i Sebastiana... ani Mai i Amandy. Musiałbyś odwrócić głowę, ale przed chwilą powiedziałeś nam, że tego nie zrobiłeś, bo nie chciałeś ryzykować, że ktoś zauważy, iż nadal żyjesz. Nie mogłeś też widzieć, czy Maja celuje w Sebastiana, czy w Amandę, bo leżałeś pod niewłaściwym kątem.

– Sebastian powiedział...

– Powiedział: „Wiesz, że musisz to zrobić”. Maja to potwierdziła. Ale czy wiesz, dlaczego tak powiedział?

– Tak...

– Powinieneś bardzo ostrożnie formułować swoje wypowiedzi. Musisz być pewien na sto procent. Czy wiesz, dlaczego Sebastian tak powiedział?

– Nie.

– Czy na sto procent wiesz, dlaczego Maja zrobiła to, co zrobiła?

– Skąd miałbym wiedzieć...

– Zależy mi tylko na tym, żebyś był szczery. Czy wiesz, dlaczego Maja zastrzeliła Amandę?

– Nie.

– Czy jesteś absolutnie pewien, że zabiła ją celowo? Że chciała ją zabić?

– Nie.

– Dziękuję. Nie mam więcej pytań.

Sebastian

40.

Przez jedenaście minut stałam w przedpokoju w willi Sebastiana. Nie wychodziłam, tylko czekałam na niego. Słyszałam, jak zadzwonił do ochroniarza i powiedział: „Tata będzie dziś pracował w domu. Prosi, żeby mu nie przeszkadzać”.

Ochroniarz nie zadawał zbędnych pytań, bo pewnie uznał, że to nic dziwnego. Nie miał powodu, by cokolwiek podejrzewać. Zważywszy na nocną imprezę i to, co działo się potem, decyzję Claesa uznał za całkiem normalną. Chciał się przespać i nie życzył sobie, żeby go niepokoić.

Wolałam nie ryzykować spotkania z nim i dlatego zostałam w przedpokoju.

Sebastian poprosił mnie, żebym mu pomogła zabrać torby. Miałam odmówić? Niby dlaczego? Myślałam, że spakował do nich swoje rzeczy, żeby pomieszkać na łodzi. Może się wybierał za granicę? Albo w ogóle chciał zniknąć? Zamieszkać w jakimś hotelu? Dziś już nie pamiętam, ale jestem pewna, że nie miałam ochoty spotkać się z Claesem. Nie chciałam też zostawić Sebastiana samego. Nie chciałam tam zostać, ale nie miałam też odwagi wyjść.

Nie, nie pytałam Sebastiana, co zamierza zrobić. Nie, nie pytałam go o torby. Nie pytałam, bo już nie miałam sił, żeby się tym wszystkim przejmować.

Pewnie mi nie uwierzycie i spytacie, po co Sebastian zabrał torby do szkoły, skoro przez jakiś czas zamierzał zostać na jachcie? Dlaczego jedną z tych toreb zostawił w mojej szafce? „Czy nie sądzisz, że to dziwne, Maju?”. Nie wiem. Nie pytałam go o to. Czemu nie? Bo w ogóle nie zamierzałam go o nic pytać. Byłam zmęczona. Marzyłam tylko o jednym: żeby skończył się ten

dzień i rok szkolny.

Z dzisiejszej perspektywy rzeczywiście wydaje mi się to dziwne, że Sebastian pojechał do szkoły. Skąd wpadł na pomysł, żeby nagle iść na próbę z Christerem? Od pewnego czasu przestałam się zastanawiać nad tym, co Sebastian chce, a czego nie chce. A jeśli nawet dochodziłam do wniosku, że wiem, co robi, to potem okazywało się, że nie miałam racji albo nic nie rozumiałam. Nigdy by mi nie przyszło do głowy, że Sebastian ni stąd, ni zowąd pojedzie do szkoły, chociaż przedtem nawet by mi przez myśl nie przyszło, że razem z Samirem i Dennisem mógłby wystąpić na scenie i śpiewać piosenki. Takie zachowanie byłoby dla mnie całkowicie niezrozumiałe.

A może podejrzewałam, że chce doprowadzić do konfrontacji między Amandą a Samirem? Wyzwać ich od ostatnich? Przyłożyć Samirowi? Może zależało mu tylko na spotkaniu z Dennisem, bo chciał od niego dostać następną działkę? Przecież ochroniarze Claesa usunęli z domu wszystkie prochy. Tak, Sebastian musiał się z nim spotkać. Kiedy myślę o tym dzisiaj, dochodzę do wniosku, że umówili się w szkole na spotkanie.

Pomysł Christera, abyśmy na zakończenie roku szkolnego wystawili przedstawienie, był taki do niego podobny. Christer uważał, że każdy problem da się rozwiązać. Wystarczy tylko zapędzić młodzież na scenę i dać po trzy mikrofony na grupę. A jakie ładne zdjęcia będzie można umieścić na szkolnej stronie internetowej! Różnorodność, poczucie wspólnoty, integracja, solidarność... „Szkoda, że nikt z nas nie jeździ na wózku inwalidzkim”, powiedział Sebastian, gdy Christer opowiedział nam na szkolnym korytarzu o swoim pomysle. To było dwa tygodnie przed tym, co się wydarzyło. Tego dnia Sebastian był akurat w szkole, więc kiedy Christer nas zobaczył, podszedł do nas, zawołał też Amandę i Samira, którzy stali dalej, żeby i oni tam podeszli.

– Porozmawiam z Dennisem – powiedział. – A ty przyjdź na próbę. Na pewno wymyślimy coś, co się wszystkim spodoba.

Amanda była wprost uszczęśliwiona, bo uwielbiała śpiewać. Występowała na wszystkich uroczystościach na zakończenie roku szkolnego. Samir robił dobrą minę do złej gry, bo pewnie tak jak ja uważał, że w ostatecznym rozrachunku nic z tego nie wyjdzie.

Mimo to przyszliśmy na ich pierwszą próbę. Sebastian wszedł do klasy przede mną. Torbę postawił, a właściwie rzucił na jedną z ławek przy drzwiach. Wiem, bo ten dźwięk zwrócił moją uwagę. Zabrzmiał dość dziwnie, jak gdyby w torbie znajdowało się coś ciężkiego.

– Czy mogłabyś zamknąć drzwi? – poprosił mnie Christer.

Zrobiłam to, a gdy się odwróciłam, Sebastian trzymał już w rękach karabin. Stał na środku klasy, a gdy puściłam klamkę, zaczął strzelać.

Klasę wypełnił huk wystrzałów. Dennis dostał w twarz i klatkę piersiową. Odwracałam się od drzwi i patrzyłam, co się dzieje. Patrzyłam, jak Sebastian strzela do Christera i Samira. Potem przestał. W klasie zapadła cisza. Słyszałam tylko astmatyczny, świszczący oddech Dennisa, ale i on szybko ucichł. Christer chyba coś powiedział, zanim Sebastian do niego strzelił, choć nie jestem tego pewna.

Nigdy wcześniej nie słyszałam, jak ktoś strzela w zamkniętym pomieszczeniu. Huk wystrzałów był tak głośny, że nawet nie zareagowałam, tak bardzo wydał mi się nierzeczywisty. Nie pamiętam, o czym pomyślałam, gdy do mnie dotarło, że Sebastian wyjął z torby karabin. Nie pamiętam też, ile razy wystrzelił. Pytano mnie o to z tysiąc razy, ale ja naprawdę nie pamiętam.

Kiedy odwróciłam się od Dennisa, Amanda siedziała już na podłodze. Nie wiem, gdzie stała, gdy Sebastian zaczął strzelać, i kiedy zmieniła pozycję, ale gdy Sebastian przestał strzelać i zaczął krzyczeć... chociaż nie, wcale nie krzyczał... nikt już wtedy nie krzyczał... Amanda była przy samej ścianie

blisko okna... Sebastian przemówił do mnie normalnym tonem, a ja obserwowałam, jak stojąca za nim Amanda przesuwa się centymetr po centymetrze. Płakała i poruszała wargami, ale nie słyszałam, co mówi, bo huczało mi w uszach. Poza tym Sebastian coś do mnie mówił, więc przestałam patrzeć na nią i spojrzałam na niego.

Torba, którą przyniósł do klasy, leżała przede mną, otwarta, bo Sebastian rozsunął zamek błyskawiczny do samego końca. W powietrzu unosił się intensywny zapach prochu, pachniało nim bardziej wtedy niż później... Sebastian nie patrzył już chyba na Amandę, tylko na mnie... W torbie była jeszcze jakaś broń, wyraźnie ją widziałam... Kiedy Sebastian zaczął do mnie mówić, Amanda była już trochę dalej, ale nie za bardzo, bo tam leżał Christer, więc nie mogła iść w tym kierunku... Wydaje mi się, że była odwrócona twarzą do ściany... a gdy Sebastian zaczął krzyczeć... bo w końcu zaczął to robić... Amanda przestała się ruszać... Nie widziałam już jej oczu ani ust, nie pamiętam, czy coś mówiła, nie sądzę... słyszałam tylko, jak Sebastian głośno krzyczy. Kilka godzin wcześniej też krzyczał.

– Zamknij tego tłustego ryja, dupku – krzyknął Sebastian do Samira, gdy jeden z ochroniarzy odciągał od niego Claesa.

Samir coś odszczeknął, ale nie pamiętam komu. Sebastian wrzeszczał jak oszalały. Tak, chyba wpadł w szal. W tym momencie szaleństwo opanowało wszystkich. Kiedy zjawił się Claes i zaczął szarpać Sebastiana, Samir też zachowywał się jak szaleniec, niemal tak jak Sebastian. Ale to Claes był najgorszy. Gdyby nie interwencja ochroniarzy, dalej biłby i kopał Sebastiana.

Kiedy wszyscy wyszli, Claes krzyknął do Sebastiana, że też ma się wynieść. Sebastian wyszedł, a ja za nim. Kiedy wyszliśmy z willi, wydawało mi się, że Sebastian się uspokoił. Nie rozmawialiśmy o tym, co się stało, ani o tym, co zrobił. O dziewczynach, o jego martwych oczach. Nie powiedziałam mu, że to ja dałam Samirowi numer telefonu do Claesa, ale od kogo innego

mógł go dostać? Sebastian chyba się domyślił, że tylko ja mogłam dać mu ten numer. Mimo to w czasie spaceru zachowywał się spokojnie, chociaż to ja byłam winna, to przeze mnie Claes wrócił do domu... Wszystko było moją winą. Sebastian szedł obok mnie, nie trzymał mnie za rękę... choć złej miny też nie miał. W tym momencie już nie był ze mną. Zostawił wszystko.

Torba była otwarta, więc wyjęłam z niej broń. Z początku Sebastian nie krzyczał. Za to później krzyczał głośniej niż na imprezie. Nie miałam pojęcia, ile razy wystrzelił, za to wiedziałam, dlaczego krzyczy... oczywiście, że wiedziałam. Najpierw mówił normalnym tonem, a potem krzyczał. Wycelował we mnie z karabinu, a ja się domyśliłam po co i sama strzeliłam – raz, drugi, trzeci. Co innego mogłam zrobić?

Nie wierzę w przypadek ani w Boga. Wierzę tylko w jedną rzecz: że to, co się dzieje teraz, jest powiązane z tym, co stało się wcześniej. Jak w łańcuchu złożonym z ogni. Czy zostało to ustalone? Nie, to przecież niemożliwe. Ale nie wystarczy powiedzieć, że jakaś rzecz się po prostu wydarzyła. Prawem ciężenia nie rządzi przypadek. Pod wpływem gotowania woda ulega skropleniu. To nie przypadek ani efekt Bożej sprawiedliwości. Tak po prostu jest.

Mieliśmy kiedyś nauczyciela, który twierdził, że wszystko można wytłumaczyć teorią wielkiego wybuchu. Nadal uważam, że był głupcem, bo co wielki wybuch ma wspólnego z faktem, że wyjęłam z torby karabin? A Sebastian albo Amanda? Kilka minut czy sekund później, gdy cała klasa była podziurawiona kulami i tylko wskazówka w moim zegarku posuwała się niezmordowanie do przodu, pokonując kolejne cyfry na tarczy – co to wszystko miało wspólnego z pochodzeniem wszechświata? Dlaczego Sebastian nie zabił mnie, dzięki czemu Amanda mogłaby dalej żyć? Nauczyciel-głupiec chyba nie potrafiłby mi tego wyjaśnić.

Wszystko – dosłownie wszystko – zamarło i ucichło, stało się nierzeczywiste. Sebastian upadł martwy na podłogę, bo go zastrzeliłam. Za to potem przyciągnęłam go jak najbliżej siebie. Nie zdążyłam objąć przed śmiercią Amandy.

Nie zauważyłam, w którym momencie Sebastian wyjął z torby karabin, ale patrzyłam na niego, gdy trzymał go w rękach i zaczął strzelać. Huk był zbyt głośny, żeby był prawdziwy, zabrakło dla niego miejsca w klasie i dlatego eksplodował w mojej głowie. Widziałam, co się dzieje, ale nic do mnie nie docierało.

Ten drugi karabin wyjęłam z torby tylko dlatego, że nie mogłam postąpić inaczej. Zrozumiałam, że Sebastian chce umrzeć i że to ja muszę go zabić. Inaczej on zastrzelił mnie. Nie zauważyłam, że trafiłam Amandę, ale gdy zobaczyłam, że nie żyje, wiedziałam, że zginęła z mojej ręki.

„Z nich zaś największa jest miłość”. Ludzie stale to powtarzają, niektórzy nawet wierzą, że to prawda. Pani prokurator twierdzi, że to, co zrobiłam, uczyniłam z miłości do Sebastiana, bo moja miłość do niego była dla mnie najważniejsza i wszystko inne przestało się dla mnie liczyć. Ale to nieprawda, bo największy jest zawsze strach przed śmiercią. Miłość przestaje mieć znaczenie w chwili, gdy się spodziewasz, że wkrótce umrzesz.

Wiem, że powinnam się zachować jak Sander i spróbować wyjaśnić, dlaczego tak się stało, ubrać te wydarzenia w literę prawa. Opowiedzieć o wszystkim w układzie chronologicznym – że najpierw stało się „to”, potem „tamto”, a skończyło się na „tym”, że to nie była moja wina, że jestem niewinna. Albo odwrotnie: to był mój błąd i jestem winna.

Ale nie mogę tego zrobić. Nienawidzicie mnie z powodu tego, co się stało, a ja nienawidzę się jeszcze bardziej, bo niczego nie potrafię wyjaśnić. Wyjaśnienie nie istnieje, a wszystko jest całkowicie pozbawione sensu.

Główna rozprawa sądowa, sprawa nr B 147 66

Pozwana: Maria Norberg

Trzeci tydzień procesu — ostatni dzień

41.

W noc poprzedzającą ostatnie posiedzenie sądu staram się nie zasnąć, bo nocą kłamstwa nie istnieją. Myślę, że to wina ciszy. Kiedy nawet ptaki cichną, a niebo okrywa się czernią, pojawiają się marzenia, a one nie przestrzegają żadnych reguł. Nie jestem w stanie zadekretować, czego mają dotyczyć. Są bezwzględne. Moje wspomnienia unoszą się w celi, w środku panuje kompletna cisza, nade mną kołują stada czarnych wron, wlatują we mnie, moje plecy zamieniają się w żwir, piasek, kurz. Staram się nie zasnąć, ale nie mogę się poruszyć, ogarnia mnie zmęczenie. Bólu nie da się przespać, sen nie potrafi od niego uwolnić. W snach jestem wystawiona na działanie prawdy.

Nie, nie planowałam nikogo zabić. Nie, nie chciałam śmierci Dennisa ani Christera. Tak, życzyłam śmierci ojcu Sebastiana, nie, nie chciałam, żeby Sebastian go zabił. Tak, zabiłam Sebastiana, tak, zrobiłam to z premedytacją, tak, żałuję, że to zrobiłam. Tak, to ja zabiłam Amandę, tak, zrobiłabym wszystko, żeby tak się nie stało.

Kiedy jechaliśmy razem do szkoły, nie wiedziałam, co Sebastian zamierza zrobić, bo w ogóle się do mnie nie odzywał. Kiedy Samir mi powiedział, że Sebastian mnie nie potrzebuje, sądziłam, że bredzi. Uważałam, że Sebastian mnie potrzebuje, aby żyć. Byłam przekonana, że to ja jestem dla niego najważniejsza. Niestety, prawda jest taka, że do niczego mnie nie potrzebował, nawet żeby umrzeć, choć w końcu to ja go zabiłam.

Do pewnego momentu tylko tym żyłam – że Sebastian mnie potrzebuje. Nie wiedziałam, że w rzeczywistości nic już dla niego nie znacę.

Podobno wszyscy ludzie są warci tyle samo. Ci, co tak twierdzą, mówią to, bo chcą być uprzejmi, dobrze wychowani i być może mają nawet wyższe wykształcenie. Tyle że to stwierdzenie nie staje się automatycznie prawdą tylko dlatego, że ktoś tak powiedział. Każdy i tak wie, że ludzie różnią się między sobą i ich wartość też jest różna. Gdyby w katastrofie indonezyjskiego samolotu, w której śmierć poniosło czterysta osób, jedną z ofiar był obywatel Szwecji, liczba doniesień medialnych w tej sprawie natychmiast by się podwoiła. W takich sytuacjach pierwszy lepszy turysta szwedzki, który pojechał na sekswakacje, staje się od razu dwa razy więcej wart niż czterystu Indonezyjczyków. Podobnie jest wówczas, gdy zdrowa, młoda i ładna kobieta mająca na swym koncie wybitne dokonania zawodowe ginie pod lawiną. Zupełnie inaczej sytuacja wygląda wtedy, kiedy rozwiedziony i bezdzietny emeryt, który nie trzyma moczu, wychodzi z metra i zostaje napadnięty i zamordowany. Po czymś takim obok reklam kin i firm reklamujących powiększanie piersi pojawia się jedynie krótka wzmianka na ten temat. Z tego samego względu we wszystkich doniesieniach medialnych na temat masakry w Djursholmie pojawia się najczęściej fotografia Amandy, znacznie rzadziej zdjęcie Dennisa.

Tylko idioci udają, że to, kim jesteśmy i czym się zajmujemy, nie ma dla nich znaczenia. Głędzą o wartości człowieka, jak gdyby nie pamiętali, że tę „wartość” sami wymyśliliśmy.

Godność ludzka to absolutnie... bla, bla, bla... wieczna, stała, trwała. Wszyscy jesteśmy równi... bla, bla, bla... Życie Hitlera miało taką samą wartość jak życie Matki Teresy.

Z Sebastianem było inaczej. On znał prawdę. Wychowywał się w domu z własnym dostępem do jeziora, z własną plażą, na którą samolotem i łodziami nawieziono białego piasku z byłej francuskiej kolonii. Czy kiedykolwiek przyszło mu na myśl, że nie jest bogiem, że ktoś mu dorównuje albo że jest

gorszy od innych? Każdy dzień jego życia stanowił dowód na to, że jest wart więcej niż inni. Łatwiej się orientować w pieniądzach niż być specjalistą od filozoficznych teorii o absolutnej wartości ludzkiej.

Problem Sebastiana polegał na tym, że bardzo dobrze wiedział, iż jego wartość zależy od pozycji ojca. Bez niego byłby nikim. Wszyscy nauczyciele, którzy pozwalali mu się spóźniać na lekcje, wszyscy rodzice, którzy nie zabraniali swoim dzieciom spotykać się z nim, wszystkie kolejki, które omijał, wszyscy kumple, jakich miał, wszyscy, którzy robili sobie z nim selfie – wszyscy oni postępowali tak ze względu na Claesa Fagermana. Sebastian był jego synem. Kiedy więc Claes powiedział mu, że nie chce go więcej znać, że jego syn nie jest nic wart, kiedy go opluł i skopał, Sebastian wiedział, że jego ojciec ma rację. Bez Claesa jego życie nie miało sensu.

Sebastian znał się tylko na jednej rzeczy: umiał polować i zabijać. Kiedy sięgał po broń, potrafił działać na własną rękę. I nawet go za to chwalono.

To ja dałam Samirowi numer telefonu Claesa. To ja go poprosiłam, żeby nie dzwonił na policję. Tak, to ja. Może chciałam się zemścić na Sebastianie albo pokazać Claesowi, co jego syn robił z tamtymi dwiema dziewczynami? Wiedziałam, że Claes ukarze go bardziej niż ktokolwiek inny. A może po prostu bałam się trafić do więzienia, bo byłam napruta jak odrzutowiec? Kiedy jednak w tamtą noc zostawiłam Sebastiana i poszłam do domu ze szpilkami w jednej i telefonem, który wkrótce miał się zapełnić pełnymi rozpaczy esemesami, w drugiej ręce, oboje wiedzieliśmy, że znowu go zawiodłam. To oczywiste, że Sebastian nie zwierzał mi się z tego, co zamierzał zrobić. To oczywiste, że mnie też mógł zabić.

Nocą czuję się jak powietrze, które stoi nieruchomo, gdy nie ma wiatru. Mam zbyt wiele wspomnień. Skoro jednak chcecie znać prawdę – w takim sensie, w jakim was ona interesuje – ujmę to następująco: prawda jest taka, że faktycznie jestem winna.

42.

Kiedy prokurator Pärsson stuka w mikrofon, chrząka i rozpoczyna swoje wystąpienie będące podsumowaniem tego, co do tej pory powiedziała, jej głos brzmi prawie smutno, jak gdyby w ogóle nie chciała tutaj być.

– To najbardziej traumatyczne przeżycie wszystkich rodziców... Rano wypuszczają z domu swoje dzieci i nie wiedzą, że one już nie wrócą...

Jednak smutek szybko znika z twarzy pani prokurator. Już po kilku zdaniach znowu mówi zaciętym, złym głosem, zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Tak łatwo ci nie odpuszczę”.

– Trudno to zrozumieć... dla mnie jest to kompletnie niezrozumiałe... No bo jak to możliwe, że młodzi ludzie mogą mieć w sobie tyle złości, by zabić? A jednak nie powinno nam to przeszkodzić w zrozumieniu tego, co się stało. Nie powinno nam też przeszkodzić w zastosowaniu prawa. Sąd ma dzisiaj rozstrzygnąć o winie oskarżonej. Sąd musi zdobyć się na odwagę i zgodnie z prawdą stwierdzić, że oskarżona jest winna podżegania, współuczestnictwa, zabójstwa i próby zabójstwa. Odpowiedzialność oskarżonej za wymienione przestępstwa została udowodniona ponad wszelką wątpliwość.

W miarę jak pani prokurator prezentuje swoje dowody, mówi coraz mocniejszym głosem. Na końcu przybiera prawie triumfalny ton.

Dwie rzeczy są dla mnie oczywiste: pytania, które Sander zadawał Samirowi, nie zrobiły na niej wrażenia. Jest też absolutnie przekonana, że powinnam zostać skazana na najsurowszą karę.

– Nietrudno jest dostosować swoje wyjaśnienia tak, by były zgodne ze stanem faktycznym, a wnioski... – pani prokurator przerywa na chwilę, żeby

znaleźć odpowiednie słowa – ...wnioski, które przedstawili nam biegli zatrudnieni przez obronę, to tylko jedno z wielu możliwych tez. Nie oznacza to, że są one rzeczowe i konkretne.

„Biegli obrony”. Wszyscy się domyślają, co chce przez to powiedzieć: „Oskarżona ich kupiła. Oskarżona chce się wykupić od winy. Pieprzona, bogata zdzira”.

– Policjanci śledczy nie są amatorami. Wiedzą, co robią. To nie było ich pierwsze, drugie ani trzecie dochodzenie. Nikt im nie narzuca, czego mają szukać i jakie mają być efekty ich pracy. Swoje śledztwo prowadzą bezwarunkowo i nie robią tego na zamówienie oskarżonej. Nie wolno nam zapomnieć, co Samir zeznał na początku, co mówił w trakcie śledztwa i przy jakiej wersji mimo upływu czasu pozostał. Samir był w tej klasie. Dokładnie widział, co się w niej wydarzyło podczas tych kilku koszmarnych minut. Dzięki temu mógł nam opowiedzieć o tym, co robiła oskarżona. Czy żeby to zobaczyć, musiał odwrócić głowę? Być może. Jakie to ma znaczenie? Widział, co widział. Samir wyjaśnił też dokładnie rolę, jaką odegrała oskarżona. Nigdy nie wolno nam lekceważyć treści pierwszego przesłuchania, zwłaszcza jeśli jest ono podbudowane wynikami badań techniczno-laboratoryjnych. Na zlecenie policji badania takie przeprowadzili eksperci z Krajowego Laboratorium Kryminalistycznego.

Prokurator wypowiada słowo „Krajowego” ze szczególnym naciskiem, jak gdyby samo to słowo mogło zadecydować o tym, co jest, a co nie jest słuszne i prawdziwe.

To państwowi eksperci, a nie amatorzy od Sandera czy jacyś opłacani przez oskarżoną najemnicy.

Jak więc widać, pani prokurator obstaje przy tym, co twierdziła podczas całego procesu. Jest jednak pewna rzecz, która uległa zmianie. I choć fakt ten dociera do mnie dopiero po dłuższej chwili, ta myśl już od pierwszego

momentu zawładnęła moim umysłem. Kiedy bowiem pani prokurator ciągnie swoją opowieść o mnie, o Sebastianie i o tym, jak się izolowaliśmy od otoczenia i planowaliśmy nasze zbrodnicze zamiary, nie stoi zwrócona twarzą do sędziego, tylko patrzy na ławników, którzy nie są prawnikami.

– Nie wątpię, że cała ta sprawa jest dla oskarżonej bardzo trudna. Jestem pewna, że Maria Norberg żałuje swoich czynów. Całkiem możliwe, że żałowała ich już w klasie, gdy przekonała się na własne oczy, czym tak naprawdę jest śmierć. Niewykluczone, że ją to przeraziło. Kiedy zginął Sebastian, ona nie chciała już umierać. Nie zmienia to jednak w żaden sposób naszego podejścia do kwestii winy.

Gdyby Lena Pärsson chciała odegrać rolę oburzonego prokuratora z amerykańskich seriali, powinna w tym momencie pochylić się nad ławnikami i spojrzeć każdemu po kolei w oczy, żeby sprawdzić, czy któremuś z nich nie zbiera się na płacz. Wyraźnie widać, że gra na ludzkich uczuciach, bo wie, że jeśli uda jej się przeciągnąć na swoją stronę ławników, będę ugotowana. Kiedy bowiem sąd zacznie debatować nad wyrokiem, każdy ławnik będzie tak samo ważny jak sędzia. Każdy z nich dysponuje tylko jednym głosem, dzięki czemu łatwo mogą przegłosować zarówno sędziego, jak i jego paragrafy.

Obserwuję ich, próbuję odczytać z ich twarzy, co myślą. Niestety, bez rezultatu. Ich twarze są nieprzeniknione.

Kiedy Pärsson kończy swoje wystąpienie, sędzia dziękuje jej i rezygnuje z pytań. Teraz czas na wystąpienie Sandera, który zaczyna od tego, że prosi Ferdinand o włączenie rzutnika. Ferdinand wyświetla na ekranie pierwszą stronę gazety z nagłówkiem „Masakra w liceum w Djursholmie – dziewczyna w areszcie”. Ferdinand ponownie klika w klawiaturę i na ekranie pojawia się następny slajd: „Claes Fagerman zamordowany – dziewczyna jego syna domagała się jego śmierci”. I kolejny slajd: „Nasze źródła potwierdzają: zabiła swojego najlepszego przyjaciela”.

Ferdinand wyświetla na ekranie kolejne slajdy. Przy szóstym Sander chrząka i odczytuje jego treść na głos: „Wszyscy mieli umrzeć, nie było innego wyjścia”. W podtytule znajduje się zdanie: „Tak mieszka teraz – siedem stron o życiu w areszcie dziewczyny z Djursholmu”.

Dopiero po tej prezentacji Sander zaczyna swoje wystąpienie.

– Pomyślałem sobie, że powiem państwu, ile dziwnych artykułów prasowych na temat Mai ukazało się w mediach od początku procesu. Ale nie zrobię tego, bo jest to niemożliwe. Przez pierwsze dwa tygodnie po śmierci ofiar moja klientka zajmowała czołówki trzech największych gazet, które ukazują się w całej Szwecji. Wszystkich trzech. Ona, a właściwie zbrodnie, które jej przypisywano, już trzeciego dnia po opisywanych wydarzeniach stały się głównym tematem serwisów informacyjnych takich programów jak *Rapport*, *Aktuellt* i *TV4-Nyheter*. Zbrodnia popełniona w szkole była głównym tematem przez kolejne osiem dni. Kiedy w niecałą dobę po wydarzeniach w szkole policja wydała komunikat o śmierci Claesa Fagermana, sprawą zainteresowały się także media zagraniczne, które wcześniej śledziły ją z mniejszym natężeniem. Moi współpracownicy poinformowali mnie, że gdy na dzień przed tym procesem wpisali w przeglądarkę Google imię i nazwisko mojej klientki, otrzymali prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy wyników, chociaż większość szwedzkich mediów nie podała jej danych osobowych. Po wpisaniu w przeglądarkę hasła „Masakra w Djursholmie” otrzymaliśmy ponad trzysta tysięcy wyników, podobnie jak po wpisaniu razem imion i nazwisk Mai i Sebastiana.

Sander głęboko wzdycha, jak gdyby chciał przeprosić, że musi o tym mówić. Patrzy na sędziego. W przeciwieństwie do pani prokurator kieruje swoje wystąpienie do niego. „My, prawnicy, nie poddamy się trywialnym formom nacisku w wykonaniu wieczornych gazet, internetu, zawodowych komentatorów i uczestników debat, ośrodków zagranicznych i tak dalej”.

Sander wysłała komunikat o treści: „Ufam panu, panie sędzio”, choć z drugiej strony jego postawę można uznać za apel, aby – jeśli okaże się to konieczne – pan sędzia wyjaśnił ławnikom wszystkie prawne zawiłości.

– Podżeganie... Moja klientka jest podejrzana o podżeganie do zabójstwa Claesa Fagermana. W tej części oskarżenia zawiera się też twierdzenie, jakoby moja klientka wspólnie z Sebastianem Fagermanem zaplanowała zbrodnię w szkole w Djursholmie i wspólnie z nim tego samego dnia jej dokonała.

„Moja klientka”. W czasie całego procesu Sander dość rzadko nazywał mnie swoją klientką. Teraz jednak posługuje się suchym językiem prawniczym.

– Żeby oskarżenie o podżeganie można było uznać za udowodnione, pani prokurator powinna wykazać, że moja klientka z premedytacją podżegała do zabójstwa Claesa Fagermana i że istnieje bezpośredni związek między tym, co moja klientka powiedziała lub zrobiła, a samym zabójstwem. Żeby udokumentować swoją tezę, pani prokurator powołała się na wiele esemesów, które moja klientka wysłała Sebastianowi tamtej nocy i następnego ranka i w których – jak twierdzi pani prokurator – rzekomo namawiała go do zabójstwa jego ojca.

Nie rozumiem, po co Sander o tym gada. Wie, że nie lubię, kiedy ktoś cytuje treść moich esemesów, a jednak robi to z dziwnym jak dla mnie uporem. W pewnej chwili Ferdinand znowu podchodzi do rzutnika i wyświetla na ekranie kolejny slajd. Widać na nim jedno z najliczniej obserwowanych kont na Instagramie, należące do pewnej szesnastolatki z Borlänge. Zdjęcie przedstawia lody z polewą. Napis pod zdjęciem brzmi: „Wolę popełnić SAMOBÓJSTWO niż przejść na dietę paleo”. Za plecami słyszę pojedyncze śmiechy. Uśmiech widzę też na twarzach dwóch ławników. Za to sędzia się nie śmieje.

Ferdinand wyświetla kolejny slajd. Zdjęcie przedstawia kurczaka, który

wygląda znad brzegu garnka. Obok – drugie zdjęcie z fabryki kurczaków. Podpis pod zdjęciami brzmi: „Konsumenci mięsa to MORDERCY!”.

Sander opuszcza ręce w geście rezygnacji, podczas gdy Ferdinand wyświetla kolejne slajdy.

– Dobieramy słowa w niewłaściwy sposób. Nawet dorośli wypowiadają się dwuznacznie. Ja na przykład stale powtarzam mojej żonie, że wolę umrzeć, niż obejrzeć kolejne eliminacje do Konkursu Piosenki Eurowizji. Mimo to zawsze oglądamy je razem, a ja w przerwie na reklamy nie popełniam samobójstwa. Czasem głosuję przez telefon na głupie konkursy telewizyjne, ale robię to tylko dlatego, że proszą mnie o to moje wnuki. Zarzucam im wtedy, że chcą mojej śmierci. Sądzę jednak, że nie taki jest prawdziwy sens ich prośby, a przynajmniej nie najważniejszy.

Sander znalazł w sieci mnóstwo wpisów od nastolatków, którzy chcą „zabić” innych nastolatków, bo ci słuchają odmiennej niż oni muzyki, albo apelują, aby „publicznie napiętnować” jakiegoś celebrytę za zdradę. Ferdinand wyświetla też komentarze na blogu należącym do jednego z uczestników *Idola*, a potem jeszcze ze trzy albo cztery transparenty kibiców piłki nożnej, które wyglądają, jak gdyby zostały ściągnięte ze Snapchatu.

W końcu Sander, poirytowany, macha ręką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Wyłącz to, dłużej tego nie zniosę. Co za głupoty”. Jego głos znowu brzmi niezwykle poważnie:

– Mój pokaz nie miał na celu wzbudzenia czyjejś wesołości. Wydarzenia, które mamy ocenić, nie skłaniają do śmiechu. Maja nie miała powodu, żeby żartować, a w treści esemesów, które wysłała do Sebastiana w ciągu ostatnich godzin przed strzelaniną, nie znajdziemy nic śmiesznego. Staram się jedynie pokazać to, co jest oczywiste: posługujemy się słowami i zwrotami, które odnoszą się do śmierci, chociaż nie o to w nich chodzi. Młodzież często wyraża się nie tylko niechlujnie, ale także niewłaściwie. Czy to przestępstwo?

Czy to znaczy, że ich zachowanie wyczerpuje treść paragrafu o podżeganiu?
Nie.

Ferdinand wyłącza rzutnik i siada na swoje miejsce.

– Spróbujmy jednak zastanowić się nad tym głębiej – kontynuuje Sander. – Załóżmy, że Maja rzeczywiście miała na myśli to, o czym pisała w esemesach, a mianowicie, że Sebastian znajduje się w tak rozpaczliwej sytuacji, iż może go uratować jedynie śmierć jego ojca. Załóżmy, że naprawdę chciała, aby Sebastian go zastrzelił. Czy zatem winna jest podżegania do zabójstwa? Nie. Pani prokurator musi wykazać, że zachowanie Mai miało na niego decydujący wpływ i że niezależnie od tego, co Maja by o tym myślała, Sebastian nie zabiłby ojca. Czy pani prokurator wykazała istnienie takiego związku przyczynowo-skutkowego? Nie.

Sander wskazuje na fakt, że na temat tego, co wydarzyło się na imprezie u Fagermanów, zeznawał nie tylko Samir, ale także Labbe, zaproszone dziwki, ochroniarze i wszyscy inni, którzy tam wtedy byli. Ich wersje różnią się od siebie, każda z tych osób widziała przebieg wydarzeń na swój własny sposób, ale w każdym z zeznań pojawia się wspólny motyw: Claes był tak bardzo wściekły na Sebastiana, że zaczął go bić i kopać, aż ochroniarze musieli go od niego odciągnąć. Świadkowie zeznali, że Sebastian krwawił, był zszokowany, a może nawet rozzłoszczony, ale żaden z nich nie potrafił określić, co Sebastian czuł w tym momencie.

Próbowałam to śledczym wyjaśnić, ale przecież trudno ufać komuś takiemu jak ja.

– Zamiast tego pojawia się obraz chorych relacji między urażonym synem a jego ojcem. Nie wiemy, co dokładnie wydarzyło się tamtego ranka, gdy pan Fagerman zginął. Wiemy tylko, że kiedy Sebastian do niego strzelał, byli w domu sami, a krótko przedtem doszło między nimi do gwałtownej bójki. Wiemy też, że Sebastian znajdował się pod wpływem silnych narkotyków, że

nadużywał ich przez długi czas i cierpiał na zaburzenia psychiczne. Czy jest więc możliwe, że jakieś pojedyncze esemesy od Mai mogły wpłynąć decydująco na jego zachowanie? A może wyjaśnienia należy szukać w stosunkach łączących ojca z synem i w stanie psychicznym Sebastiana? Jestem przekonany, że wysoki sąd oceni tę kwestię w taki sam sposób jak ja.

Sander wyjaśniał jeszcze przez chwilę, jakie konsekwencje dla pozostałych wniosków będzie miał fakt, że „wysoki sąd” powinien dojść do wniosku, iż to nie ja namówiłam Sebastiana do zabicia ojca. Ponownie słyszemy jego suchy, prawniczy głos. Sander referuje po kolei, jakie konkretne dowody pani prokurator zebrała przeciwko mnie.

– Czy istnieją jakiegokolwiek okoliczności, zeznania albo inne dowody wskazujące na to, że moja klientka wspólnie z nieżyjącym Sebastianem Fagermanem planowała dokonać znanego nam czynu w szkole w Djursholmie? Nie. Czy istnieją jakiegokolwiek okoliczności, zeznania albo inne dowody wskazujące na to, że moja klientka wiedziała o planach Sebastiana? Nie.

Sander powtarza to, o czym mówił w trakcie procesu. Moich odcisków palców nie znaleziono ani wewnątrz torby, ani na zamku błyskawicznym, ani na szafie z bronią. Na żadnej z tych rzeczy. Wskazuje też, że Sebastian zdobył ładunki wybuchowe (których i tak nie mógłby użyć) na długo przedtem, nim zaczęłam z nim chodzić.

– Czy wśród licznych esemesów, które wysyłali do siebie Maja i Sebastian, istnieje jakiegokolwiek dowód na to, iż Maja wiedziała, że Sebastian zamierza zabić swojego ojca? Nie. Kiedy Maja wróciła do domu Fagermanów, Claes nie żył już od prawie dwóch godzin. Czy w aktach śledztwa cokolwiek wskazuje na fakt, że Sebastian poinformował Maję o śmierci ojca, zanim zjawiała się u niego w domu? Nie. Czy cokolwiek wskazuje na to, że Maja dowiedziała się o śmierci Claesa po wejściu do willi? Nie. Czy dowiedziała się od Sebastiana, że to on jest sprawcą? Nie. Niczego takiego w aktach

śledztwa nie znajdziemy. Dlatego muszę poświęcić mój czas na to, aby pokazać, czego pani prokurator nie zdołała udowodnić, a mianowicie że Maja rzekomo знаła kod do szafy z bronią, a odciski jej palców znaleziono na szafie albo w niej. Technicy policyjni zabezpieczyli jedynie odciski należące do Claesa i Sebastiana – zarówno na szafce, jak i w środku. Nic więc nie wskazuje na to, jakoby Maja ją otwierała. Jej odcisków palców nie znaleziono też na torbach i na zamku błyskawicznym, a jedynie na rączkach toreb i na spodzie jednej z nich. Śladów Mai nie znaleziono też na materiałach wybuchowych, które policja zabezpieczyła w jej szkolnej szafce. Znaleziono je za to na broni, której później użyła, ale nie na spuście karabinu, którym posłużył się Sebastian.

Sander robi krótką przerwę, przegląda papiery, popija wodę. Nie spieszy się. Po dłuższej chwili kontynuuje swój wywód.

– Czy istnieją jakiegokolwiek okoliczności, zeznania albo inne dowody wskazujące na to, że moja klientka wspierała Sebastiana w realizacji jego planu albo z premedytacją pomogła mu w dokonaniu zabójstwa? Tak! Istnieją – mówi Sander z przesadnym zdziwieniem. – Pani prokurator zaprezentowała nam takie zeznania. Zostały one spisane w wątpliwych okolicznościach przez ciężko rannego chłopca, który już przed pierwszym przesłuchaniem dowiedział się, że moja klientka trafiła do aresztu i jest podejrzewana o popełnienie czynu, w sprawie którego ów chłopiec był potem przesłuchiwany. Podczas tamtego przesłuchania zeznał on, że Maja zachowywała się inaczej, niż sama zeznała. Twierdził też, jakoby słyszał, jak moja klientka naradzała się z nieżyjącym Sebastianem, a potem rzekomo widział, jak moja klientka z premedytacją zastrzeliła jedną z ofiar.

Potem Sander przechodzi do szczegółów opisanych w ekspertyzie, której sporządzenie jego kancelaria zleciła niezależnym ekspertom. Wcześniej też o nich wspominał.

– A jak pani prokurator skomentowała jednoznaczne wnioski wypływające ze wspomnianych ekspertyz i przemawiające na korzyść mojej klientki? Otóż uważa ona, że ani nie zostały sporządzone przez kompetentnych fachowców, ani nie były wykonane w odpowiednio niezależnych i właściwych warunkach.

Sander unosi wzrok znad papierów i powoli kręci głową. Potem sięga po kartkę leżącą na stosie innych papierów i zaczyna ją czytać na głos.

Zawiera ona spis osób, które brały udział w teście, informację o ich wykształceniu i zastosowanych metodach badawczych. Ta część wystąpienia Sanderera jest naszpikowana technicznymi nazwami i strasznie mnie nudzi.

Sander kontynuuje swoje wystąpienie w tym duchu jeszcze przez pewien czas. Przemawia monotonnym głosem. Zaczynam mieć problemy z oddychaniem. Rozkładam, a potem znowu zwijam serwetkę, którą trzymam w dłoni. Mam ochotę zerwać się z krzesła, podbiec do ławników i zawołać: „Słuchajcie! Słyszycie, co on mówi?”. Prawda jest bowiem taka, że nagle chcę wierzyć Sanderowi. Dopiero teraz to do mnie dociera, choć jestem na to nieprzygotowana... Chcę wierzyć, że ma rację, gdy mówi, że nie można mnie skazać, że mam prawo do przyszłości.

Chciałabym, żeby miał rację.

Pewnie szybko zapomnicie, jak ten proces się skończył, czy i za co zostałam skazana. Za kilka lat będziecie rozmawiać o mnie na jakiejś imprezie i stwierdzicie, że: „Tak właśnie było” albo: „Nawet jej o to nie oskarżyli”, albo: „Dziwna sprawa” czy: „Jesteś pewien?” bądź: „Moim zdaniem ona...”. Wkrótce moja prawda trafi do szaf z segregatorami zawierającymi akta śledztw przechowywanych w chłodnych podziemiach.

Żeby sobie przypomnieć, jak było naprawdę, jak mogło do tego wszystkiego dojść, będziecie musieli zajrzeć do internetu. Możecie też stwierdzić, że wyrok sądu był słuszny, policja sknociła robotę albo „dobrze się stało, że trafiła za kraty”. Wolno wam tak powiedzieć, bo niektórzy z was

wiedzą.

Bez względu na to, którą z tych wersji wybieriecie, na zawsze będę dla was zabójczynią. Ale ja mam was gdzieś, razem z waszymi pieprzonymi poglądami. Chcę być wolna. Chcę, żeby sąd uwierzył Sanderowi.

Zmęczenie, które ogarnia mnie w chwili, gdy zaczynam myśleć, jest tak paraliżujące, że o mało nie spadam z krzesła. Na szczęście trzymam się obiema rękami. Muszę wytrzymać, bo nie chcę tu dłużej siedzieć. Chcę być wolna.

Moja babcia miała bujany fotel. Siadała w nim, czytała albo coś szyła. Ten fotel nadal stoi u dziadka, marzę o tym, żeby się w nim pobujać. Chcę, żeby dziadek szepnął mi do ucha: „Masz przed sobą całe życie”, a wtedy ja skinę głową, by zrobić mu przyjemność. *Wszystko może się zdarzyć. Chcę kogoś uszczęśliwić. Wszystko jest możliwe.*

I nie muszę nawet myśleć, że gdy wszystko się już wydarzy, gdy wszystkie drzwi staną otworem, to nagle robi się przeciąg i znowu się zatrzasną. Mam osiemnaście lat i chcę zostać księżniczką z filmów Disneya, zawołać ostrym, piskliwym głosem: „Pójdę za głosem serca i będę szczęśliwa”. Nikt się nie domyśli, że jestem złą macochą, która idąc za głosem swojego mrocznego serca, postanawia Śnieżkę zabić. Chcę zdobyć wykształcenie, pracować w biurze na dwudziestym ósmym piętrze i nie bać się, że podłoga usunie mi się nagle spod nóg, budynek się zawali, a ja spadnę na ziemię. Chcę znaleźć się gdzieś, gdzie nie będę musiała wyobrazać sobie mas, które mnie zaleją i pogrzebią moje ciało.

Wysłuchajcie Sandera. Pan, panie sędzio, wy, szanowni ławnicy, i wszyscy dziennikarze. Zaakceptujcie jego wersję. Zostawcie mnie w spokoju.

Sander zsuwa okulary na koniec nosa i patrzy na sędziego. Teraz! Teraz powie coś, co sprawi, że wszyscy poznają prawdę i będą musieli mnie wypuścić.

Taką mam nadzieję. Niestety, Sander mówi coś zupełnie innego.

– Pani prokurator nie zdołała przedstawić dowodów na potwierdzenie swoich tez – oznajmia.

Na tym kończy swoje wystąpienie. Teraz głos zabiera sędzia. To koniec. Wszystko się kończy.

Trzeci tydzień procesu — ostatni dzień

43.

Przydzielono nam nowy pokój. Siedzę w plastikowym fotelu, który ma kształt skorupy. Pośladki mi zdrętwiały, chociaż nie siedzę na nim zbyt długo. W ręce trzymam mętną kawę. Prawdopodobnie zgodziłam się na cukier i mleczko, chociaż nie pamiętam, żeby ktoś mnie o to pytał.

Myślałam, że zaraz po rozprawie odwiozą mnie do aresztu. Wszyscy tak sądziliśmy, bo tak to było zaplanowane. Samochód już na mnie czekał. Ale sędzia miał inne plany. Tuż przed zakończeniem swojego wystąpienia powiedział, że rozprawa w sprawie numer... bla, bla, bla... jest zakończona i teraz sąd uda się na krótką naradę, a następnie wróci, aby ogłosić stronom swoją decyzję. Potem odwrócił się do mnie i do Sandera, skinął głową pani prokurator i powiedział:

– Możecie tu poczekać, wywołamy waszą sprawę, gdy będziemy gotowi.

Przez salę przeszedł głośny szmer, wszyscy się zastanawiali, o co chodzi, patrzyli na siebie i czekali na jakieś wyjaśnienie. Spojrzałam na Sandera.

– Co to znaczy? – spytałam.

Mama spojrzała na tatę.

– Co to znaczy? – spytała.

Ale nikt nie odpowiedział, bo nikt nie znał odpowiedzi. Do tej pory sąd ogłaszał wyrok w tak szybkim tempie tylko w prostych sprawach, gdy chodziło o wysłanie jakiegoś okropnego zbrodniarza do celi śmierci.

Za szybko poszło.

Ja nie chcę!

Wstaliśmy z krzeseł i wyszliśmy z sali. To już był koniec.

Myślałam, że zaraz zwymiotuję albo się uduszę, ale tylko usiadłam i chyba poprosiłam o kubek kawy.

Sander stoi. Naleśnik jest na korytarzu i nawet nie próbuje unikać kontaktu z prasą. Ferdinand pisze coś nerwowo w swoim telefonie, nie wiem co i do kogo.

Sander nie odpowiada na zaczepki. Wygląda na zdenerwowanego, nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Próbuje nalać sobie kawy, ale plastikowy kubek wyslizguje mu się z palców i kawa wylewa się na stolik. Sander rzuca soczyste przekleństwo. „Cholera jasna!”.

Chyba pierwszy raz słyszę, jak przeklina.

Czekamy już godzinę i nic się nie dzieje. Pięć minut później Sander siada w końcu na krześle i czyta coś w telefonie. Ferdinand patrzy na mnie i podaje mi pudełeczko ze snusem. Wyciskam na dłoń cztery prymki i wkładam do ust.

Mija dalsze dwadzieścia minut.

Pytam, jak długo będziemy tak czekać, a ponieważ nikt nie odpowiada, ponownie zadaję to pytanie.

– Ile czasu nam jeszcze zostało?

Mój głos brzmi jak głos rozwydrzonego bachora.

– Kiedy to się wreszcie skończy?

– Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytania – mówi Sander, nie odrywając wzroku od telefonu.

Przez cały czas coś czyta. Co on tam czyta?

Czekamy już dwie godziny i jedenaście minut.

Nagle w głośnikach rozlegają się trzaski. Ktoś wywołuje numer naszej sprawy.

Sander staje obok mnie i kładzie mi rękę na plecach, jak gdyby chciał mnie podprowadzić do stołu. A może prowadzi mnie na egzekucję? Taką z workiem na głowie? Dokąd to wszystko zmierza? Czy to się wreszcie skończy?

Siadamy na swoich miejscach, sędzia i ławnicy są już na sali. Pani prokurator wysunęła krzesło, siedzi ze złączonymi nogami, stopy ma ułożone równo obok siebie. Splotła dłonie i położyła je na kolanach. Kiedy sędzia zaczyna mówić, czuję szum w uszach. Prawie nic nie słyszę, nie wiem, co znaczą jego słowa. Słucham sędziego i patrzę na Sandera.

– Pisemną wersję wyroku przekażę później. Znajdzie się w niej szczegółowe uzasadnienie orzeczenia.

Co to znaczy? O czym on mówi?

Słyszę, jak tata nabiera powietrza. Zabrzmiało to tak, jakby poczuł nagły ból albo jakby ktoś uderzył go w żołądek. Przez krótką chwilę myślę, że się rozszłości i zacznie krzyczeć, jak wtedy, kiedy traci humor. Tymczasem on wybucha niepowstrzymanym płaczem. Mama próbuje go uspokoić, chociaż jej głos też drży. W tym momencie czuję, że i mnie łzy płyną po policzkach. Dziennikarze zachowują się coraz głośniejsze, w końcu przestają się hamować i zaczynają rozmawiać normalnym głosem. W sali robi się hałas. Sędzia ma przed sobą kartkę, ale nawet na nią nie patrzy, tylko mówi z głowy:

– Sąd rejonowy postanowił odrzucić wszystkie oskarżenia prokuratury. Pani prokurator nie udowodniła, że oskarżona dopuściła się zabójstwa z premedytacją, nie udowodniła jej też próby zabójstwa, współudziału w zabójstwie ani podżegania do zabójstwa. Dlatego sąd postanawia uznać oskarżoną za niewinną zarzucanych jej czynów. Maja Norberg jest wolna.

44.

Rodzice siedzą po moich obu stronach na tylnym siedzeniu samochodu Sandera. Tata objął mnie ramieniem, siedzi wyprostowany i oddycha przez usta. Trzyma mnie w tej pozycji od momentu, w którym sędzia ogłosił, że jestem wolna i mogę wrócić do domu. Tata trzymał mnie za rękę nawet wówczas, gdy objął Sandera. Właściwie nie za rękę, tylko dwoma palcami za rękaw koszuli. Trzymał mnie za ramię, gdy ścisnął rękę Naleśnikowi, a gdy przycisnął do siebie Ferdinanda, chwycił mnie za kark. Można by to nazwać objęciem grupowym, gdyby tylko Ferdinand się domyśliła, że tata ją objął.

Mama trochę drży i też ciągnie mnie za rękę. Głaszcze mnie po palcach, paznokciach i knykciach, jak gdyby musiała je policzyć albo skontrolować, czy wszystko jest na swoim miejscu, czy naprawdę tu jestem i czy cała ta sytuacja nie jest wytworem jej fantazji. Co jakiś czas pochyla się nade mną, wsuwa dłoń pod mój pas bezpieczeństwa i usuwa z ubrania niewidzialny pyłek. Klepie mnie po policzkach, oddycha prosto w moje włosy. Nie rozmawiamy zbyt wiele. Żadna z nas nie powiedziała: „Cieszę się”, „Kocham cię” czy „Chwała Bogu”. Tata chyba z tysiąc razy powiedział „Dziękuję-dziękuję-dziękuję”, kierując te słowa do wszystkich znanych i nieznanym osób. Mama mnie obejmuje i szepcze „przepraszam-przepraszam-przepraszam”. Tylko ja ją słyszę, bo jej głos jest tak cichy, że przypomina oddech. Ja też ją obejmuję. Przepraszam, mówię w myślach.

Głośno tego nie mówię. Nie potrafię. Nie umiem.

Moja mama.

Sander zaproponował, żebyśmy przez kilka dni pomieszkali w jego wiejskiej posiadłości, aby się odseparować od dziennikarzy. Posiadłość

rozciąga się nad wodą, ostatni odcinek pokonujemy łodzią. To duża łajba, ale tylko my jesteśmy na pokładzie. Chyba ktoś ją wyczarterował. *Jak on to zdążył zorganizować?* Nie ma tu dziennikarzy, nikt mnie nie wypytuje, jak się czuję, czy się cieszę i czy dojdzie do apelacji. Kiedy dziennikarze spytali o to panią prokurator – „Czy zamierza pani apelować?” – Lena Pärsson zrobiła kwaśną minę i odparła: „Żeby móc zająć stanowisko, muszę się najpierw zapoznać z pisemnym uzasadnieniem wyroku”. Za to Sander był bardziej pewny siebie:

– Jesteśmy usatysfakcjonowani treścią wyroku, sąd nie miał wątpliwości i dlatego uniewinnił moją klientkę. Będę zdziwiony, jeśli po zapoznaniu się z uzasadnieniem pani prokurator znajdzie podstawę do apelacji.

Czy Sander był taki pewny siebie tylko dlatego, że rozmawiał z dziennikarzami? Nie sądzę. Jeśli nie jest to konieczne, nie udaje pewniaka. Pozostawia to Naleśnikowi, który uśmiecha się i stwierdza, że: „Teraz możemy sobie trochę odpuścić” albo „Cholera, ależ my jesteśmy dobrzy”.

Wychodzę na pokład, opieram się brzuchem o barierkę, wystawiam twarz na wiatr, przymykam oczy i poddaję się lodowatym podmuchom wiatru. W oczach mam łzy. Wiatr... Nawet nie wiedziałam, że tak za nim tęskniłam... Na morzu czuć zapach powietrza, chłód unosi się nad wodą, nie wbija się w beton, kraty czy drut kolczasty jak w areszcie. Stoję tam tak długo, aż zaczynają mnie szczypać policzki. Nagle widzę obok siebie Sandera. Ubrany jest w grubą kurtkę, której wcześniej u niego nie widziałam, podbite futrem skórzane rękawiczki i futrzaną czapkę z nausznikami, które poruszają się na wietrze.

Przypomina mi dziadka.

– Dziadek na ciebie czeka – powiedziała w samochodzie mama. – Ciesz się, że jest już po wszystkim. Tęsknił za tobą.

Sander podaje mi cienką bawełnianą chusteczkę. Delikatnie wycieram

w nią nos i oczy. Chusteczka pachnie lekko fajką. Zwijam ją w dłoni.

Czy pan pali, mecenasie Sander? Tyłu rzeczy o panu nie wiem. Czy mogę mówić panu po imieniu? Peder?

Pytam go jednak o coś innego.

– Czy to naprawdę koniec?

Sander nie odpowiada. Patrzy na mnie, a na jego twarzy pojawia się uśmiech. Zanim jednak zostanie na niej na dłużej, Sander zaciska zęby i klepie mnie po ramieniu.

– Tak – odpowiada, a potem klepie mnie jeszcze trzy razy i na moment zostawia dłoń na moim ramieniu. Chyba faktycznie jest najlepszym adwokatem w Szwecji. A jednak widać, że kłamie. – To już koniec.

Biorę go za rękę, robię pół kroku i obejmuję go. Trzymam go tak w lodowatych powiewach wiatru, mocniej, niżbym chciała. Tak, to koniec, przynajmniej dla niego. Uratował mi życie, przekazał sądowi listę poniesionych kosztów. Chusteczkę wsuwam do kieszeni.

Dobijamy do prywatnego pomostu, schodzimy z łodzi przy włączonym silniku. Jest tu chłodniej niż w mieście, pada śnieg, morze jest szare jak blacha, nad szkierami zapada zmrok, który powoli otula strome skały. Moje rzeczy zostały w areszcie, nie mam ze sobą torby. Ruszam w stronę domu i nagle widzę ją przy schodach.

Siedzi na werandzie i wygląda na wyższą, niż ją zapamiętałam. Włosy ma nieuczesane, kręcona grzywka spada wąskimi kosmykami na czoło. Ostatni odcinek pokonuję prawie biegiem. Kucam obok niej i widzę, że wypadły jej dwa górne mleczne zęby.

Nie patrzy mi w oczy. Jej wzrok błądzi gdzie indziej, trudno go uchwycić. Przypomina zajączka puszczonego lusterkiem.

– Czy teraz już naprawdę wróciłaś do domu? – pyta.

Kiwam głową, bo nie ufam własnemu głosowi, a wtedy ona wspina mi się

na ręce. Owija mnie swoimi wąskimi ramionami, oplata mnie nogami w pasie, mocno mnie obejmuje i zaczyna płakać. Prosto w moją szyję. W tym momencie to, co przez tak długi czas mi ciążyło, co siedziało we mnie wpięte pazurami, słabnie i uchodzi z mojego ciała.

– Tak, teraz wróciłam naprawdę.

Podziękowania

Prawnicy rozumują i argumentują, pisarze snują fantazje. Prawnikiem byłam ponad dwa razy dłużej niż pisarką. Prawnik chce, żeby zwyciężyło prawo, podczas gdy autorzy książek tworzą w taki sposób, jak chcą.

Dziękuję adwokatowi, Peterowi Althinowi, za to, że czyta moje rękopisy i odpowiada na pytania. Wskazujesz na błędy, dyskutujesz ze mną taktykę proceduralną, poświęcasz dla mnie swój czas i szczerze obdarzasz mnie nieocenionymi radami. Kiedy więc próbuję lekceważyć treść Kodeksu postępowania sądowego, aby móc opowiedzieć moją historię, gdy błędnie wpisuję numer sprawy (np. bez podania roku), a powoda wzywam na przesłuchanie w niewłaściwy dzień, o wszystkim decyduję ja, autorka książki. Ale była mecenas, Malin Persson Giolito, powinna słuchać uważniej.

Dziękuję Perowi Melinowi, Christinie Österberg, Håkanowi Bernhardssonowi i wszystkim innym funkcjonariuszom służby penitencjarnej, którzy pomogli mi trochę lepiej zrozumieć, jak może wyglądać dzień powszedni młodej osoby osadzonej w areszcie. Ponoszę pełną odpowiedzialność za to, jak odbierze to Czytelnik.

Maja, jej koleżanki i koledzy są uczniami liceum ogólnokształcącego w Djursholmie. W rzeczywistości taka szkoła nie istnieje. Ja uczęszczałam do koedukacyjnej szkoły podstawowej w Djursholmie, a maturę zdawałam

w liceum w Danderyd. Byłam na tyle bezczelna, że nie pytając nikogo o zgodę, szczegóły dotyczące życia szkolnego zaczerpnęłam właśnie z obu tych placówek.

Mari Eberstein... W wieku ośmiu lat zaczęłyśmy pisać opowiadania o niezwykłych zwierzętach, które robiły zwykłe rzeczy. Już wtedy byłaś moją najlepszą przyjaciółką i najważniejszą czytelniczką.

Åsa Larsson... Autorzy zwykli podkreślać, jak bardzo są samotni podczas pisania swoich powieści. Dzięki Tobie rzadko czuję się samotna. Z moim tekstem czy ze wszystkim innym. Dzięki Tobie uwierzyłam, że zdołam dokończyć tę książkę, chociaż przez długi czas miałam wątpliwości. Dziękuję.

Autorzy książek snują nie tylko fantazje, ale także marzenia. Mój wydawca, Åsa Selling, redaktor Katarina Ehnmark Lundquist z wydawnictwa Wahlström & Widstrand, moi agenci Astri von Arbin Ahlander i Christine Edhäll, jak również Kaisa Palo z Ahlander Agency – dzięki Wam odważyłam się marzyć o wielkich rzeczach. To Wy jesteście moim dream teamem.

Mama. Tata. Hedda.é Elsa. Nora. Batrice i Christophe. Ta książka to moja miłość dla Was. Francuskie słowo *merci* ma ten sam źródłosłów, co łacińskie słowo oznaczające litość, ewentualnie łaskę. Jak kto woli. Właśnie taki jest sens tego słowa.

No dobrze, wystarczy już tych sentymentalnych bzdur.

MALIN PERSSON GIOLITO

RUCHOME PIASKI

